

Prolog

Szkocja, rok 1856

Maggie Ramsay złożyła ostatni surdut i umieściła w otwartym kufrze. Patrzyła na ubrania męża; każde przywoływało jakieś wspomnienie z tych szczęśliwszych czasów, kiedy w doskonały sposób wypełniała je muskularna sylwetka Bruce'a Ramsaya.

Zatrzasnęła wieko kufra i odwróciła się.

Bruce Ramsay umarł i choćby nie wiem jak długo wpatrywała się w jego garderobę, nie mogła go przywrócić do życia. Nieznośny ucisk w piersi nie pomagał w zachowaniu spokoju, ale jakoś przełknęła i zdołała powstrzymać łzy, cisnące się do oczu.

- To już ostatni - zwróciła się do ludzi, czekających w milczeniu przy drzwiach. - Możecie znieść na dół. Bez słowa, dziwnie odrętwiała, przyglądała się, jak służący ujmują wytarte skórzane uchwyty i z wysiłkiem dźwigają wielki kufer o wypukłym wieku. Maggie była zmęczona. Jeszcze nigdy nie czuła się tak zagubiona, tak całkowicie pozbawiona woli i uczuć. Jakby wszystko w niej umarło. Zastanawiała się, czy w ogóle będzie jeszcze kiedyś zdolna coś poczuć, czy życie będzie jej płynąć biernie, jakby bez jej udziału, tak jak się działo przez ostatni rok. Czy pewnego dnia zbudzi się, spojrzawszy w lustro ujrzy starą kobietę i zdziwi się, kiedy to wszystko się stało.

Nadszedł czas odjazdu, lecz Maggie nie potrafiła opuścić pokoju Bruce'a, bo to oznaczało definitywne rozstanie z ich wspólnym życiem, z tym wszystkim, co ich łączyło. Odwróciła się z wahaniem, myśląc o tym, czy powinna ostatecznie raz obejść zamek Glengarry, jeszcze raz zajrzeć do każdego z pokoi, żeby na zawsze utrwalić je w pamięci. Była tu taka szczęśliwa. Brała ślub w małej rodzinnej kaplicy na tyłach zamku. Tu urodziło się ich troje dzieci.

A teraz został tu pochowany jej mąż.

Nie, nie mogła już chodzić po tych pokojach. Glengarry, jakie znała, należało do przeszłości, do minionych, szczęśliwszych czasów. Lepiej było po prostu odejść. Z westchnieniem sięgnęła po mufkę, leżącą na ulubionym skórzanym fotelu jej męża. Miękką, wytartą skórą zachowała odciski kształt sylwetki Bruce'a Ramsaya.

Och, Bruce, co ja teraz zrobię? Co z nami będzie? Przycisnęła mufkę do twarzy. Proszę, niech to wszystko okaże się złym snem. Niech się teraz obudzę i zobaczę Bruce'a wchodzącego do pokoju, z Fletcherem siedzącym mu na ramionach. Będzie się śmiał, kiedy mu powiem ... rozśmieszysz go niedorzeczny pomysł, że mógł zjechać na koniu z urwiska. On, Bruce Ramsay, najlepszy jeździec w północnej Szkocji. Och, będzie pękał ze śmiechu. A potem postawi Fletchera na ziemi, stanie przede mną, jak zawsze silny, urodziwy, pełen życia, weźmie mnie w ramiona i pocałunkami ukoi moje troski. On nie umarł. Nie mógł umrzeć. Nie on. Za dużo miał w sobie życia, żeby umrzeć.

A jednak umarł.

Spojrzała na fotel, a potem dotknęła dłonią siedziska, jakby w ten sposób mogła poczuć więź łączącą ją z Bruce'em. Poczula jedynie chłód gładkiej skóry i szybko cofnęła rękę. Świadomość, że wszystko się skończyło, uderzyła ją z taką siłą, że aż zachwiała się na nogach i musiała się chwycić poręczy fotela, żeby nie upaść. Zawsze, kiedy pozwalała sobie na wspomnienia, opadała ją słabość, od której kręciło jej się w głowie. Rozpacz i żal przygniatały ją ciężarem nie do udźwignięcia, mimo iż starała się odnaleźć w sobie choćby cząstkę tej żelaznej siły, jaką zawsze przypisywał jej mąż.

Bruce Ramsay, książę Glengarry, nie żył. Pomyślała, że ci wszyscy, którzy twierdzą, że czas leczy rany, kłamliwi. Minął rok od chwili, gdy jej wspianały mąż spadł na ostre grzebień skał u stóp urwiska, ciągnącego się wzdłuż dzikich północnych wybrzeży Szkocji. Minął cały długi rok, a jej ból nie zelżał ani trochę. Nigdy nie uzyskała wyjaśnień, jak to się stało, że dwudziestodziewięcioletni książę, doskonały jeździec, skierował konia na skraj urwiska i runął w dół albo jakim cudem koń, inteligentne zwierzę, dał się zmusić do skoku w przepaść. W istocie Maggie nie miała zbyt wiele czasu, żeby się nad czymkolwiek zastanawiać, ponieważ kości księcia ledwie zdążyły spocząć w grobie, kiedy została wciągnięta w długotrwałą walkę sądową, wszczętą przez człowieka z Niziny Szkockiej, niejakiego Adaira Ramsaya.

Maggie знаła owego Ramsaya, podobnie jak znajomo brzmiał jego pozew, w którym dowodził, że tytuł jej zmarłego męża według prawa jemu się należy. Wszystko zaczęło się dwa lata wcześniej, kiedy przed masywną bramą zamku Glengarry pojawił się niepozorny człowiek w okularach. Głośno zastukał łaską w rzeźbione dębowe drzwi, domagając się widzenia z księciem.

Wprowadzony do biblioteki Bruce'a Ramsaya, Adair Ramsay zaprezentował dokumenty stwierdzające, że roszczenia Bruce'a do tytułu książęcego oparte były na fałszywych podstawach – spreparowanych rejestrach kościelnych z czasów pradziadka Bruce'a, dotyczących małżeństw, które nigdy nie zostały zawarte. Adair Ramsay upierał się, że tytuł należy się jego rodzinie, która nie była spokrewniona z rodziną Bruce'a, choć wydawało się to dziwne z powodu zbieżności nazwisk.

Bruce kazał wówczas wyrzucić intruza. Jednakże Adair Ramsay był równie cierpliwy, jak chytry. Przez następny rok pojawiał się jeszcze kilkakrotnie, za każdym razem podobnie traktowany przez Bruce'a. Wreszcie ostatnim razem, kiedy przybył do zamku, przywiózł ze sobą dokumenty przygotowane przez prawnika, z wezwaniem na przesłuchanie do Edynburga. Maggie i Bruce udali się tam i po dwóch wstępnych rozprawach sąd wydał werdykt na korzyść Bruce'a Ramsaya.

Po ostatnim przesłuchaniu Adair Ramsay wpadł w furję.

- Jeszcze wrócę - zagroził. - Jeszcze nie wygraliście.
- Możesz się wypchać swoimi groźbami - zlekceważył go Bruce.

Wówczas zdawało się, że Adair ustąpił. Przez ponad dwa miesiące panował spokój. Któregoś wieczoru, jedząc barani gulasz, Bruce zwrócił się do Maggie:

- Nie chce mi się wierzyć, że ten głupiec tak łatwo zrezygnuje. Jest uparty i nieustępliwy jak Szkot, a do tego ma przebiegłość Anglika.

Mimo kpiącego tonu, głos Bruce'a zdradzał zaciekawienie nagłym milczeniem przeciwnika.

- Myślisz, że jeszcze będziemy mieć z nim do czynienia? – podchwyciła Maggie.
- Z pewnością jeszcze się objawi, a muszę przyznać, że jestem ciekaw, jaki będzie jego następny krok. Z jakichś powodów Maggie nie potrafiła brać tej sprawy tak lekko jak Bruce. Niejeden raz zdarzyło mu się żartować z obaw żony.

- Moja zalękniona ptaszyna - mówił, biorąc ją w ramiona. – Kulisz się na dźwięk każdego nadjeżdżającego powozu.

Maggie groziła mu wtedy palcem.

- Śmieję się, ile chcesz, ale ja nie ufam temu człowiekowi.

Ma wąskie rozbiegane oczy i uśmiecha się tak, jakby szczyrzył zęby.

- Nie można nikogo osądzać po tym, że ma rozbiegane oczy i pokazuje zęby - śmiał się Bruce.
- Może ty nie możesz, ale ja mogę. Nie zauważyłeś, że kiedy z tobą rozmawia, nie patrzy ci w oczy? On nie spocznie, dopóki nie odbierze ci tytułu, a nas wszystkich nie wtrąci do lochu.

Bruce wyciągnął do niej ramiona. - Chodź tu, moja kwoczko.

- Och! Nie waż się porównywać mnie do kury, kiedy wiesz, że mam rację - obruszyła się, targając go za uszy.
- Oj, wiem, że masz rację, kochanie - przyznał pokornie Bruce. - Jest typowym mieszkańcem niziny i ja też mu nie ufam.

Tydzień później nadeszła pilna depesza, wzywająca Bruce'a do Edynburga.

Wyruszył natychmiast, ale nigdy nie dotarł na miejsce.

Po dwóch dniach znaleziono ciało księcia Glengarry oraz jego wierzchowca na ostrych zębach skał, pożerających wszystko, co na nie spadło.

Miesiąc po śmierci męża Margaret Sinclair Ramsay znów trafiła do sądu, żeby walczyć przeciwko Adairowi Ramsayowi, który miał nadzieję zagarnąć tytuł, odziedziczony przez syna Maggie, Fletchera.

- Nie martw się, dziewczyno - pocieszał Maggie ojciec, hrabia Caithness. - Zobaczą, co się da zrobić.

Przed laty list od hrabiego Caithness mógł przenosić góry.

Ale czasy się zmieniały, w Szkocji zamierały dawne obyczaje. Hrabia Caithness był już stary i prawie ślepy, i dlatego nie gościł w Edynburgu od ponad piętnastu lat. Jego nazwisko nie miało już tej mocy co kiedyś ... prawdę mówiąc, niewielu tamtejszym ludziom było w ogóle znane.

Mniej więcej w tym samym czasie Maggie dowiedziała się, że ojciec nie tylko jest chory, ale też prawie zrujnowany i może w każdej chwili stracić swe rozległe posiadłości.

Nie mogąc liczyć na starego ojca i nie mając innej rodziny, do której mogłaby się zwrócić, musiała sobie radzić sama, wspomagana jedynie przez kilku oddanych przyjaciół. W procesie, nazwanym przez wielu "najbardziej pożałowania godną sprawą, jaka kiedykolwiek toczyła się w szkockim sądzie", tytuł księcia Glengarry został odebrany młodemu Fletcherowi Ramsayowi i przyznany, wraz z przynależnymi doń

ziemiami i posiadłościami, Adairowi Ramsayowi.

O czym powiadomiono wstrząśniętą Margaret Ramsay. Miała dwa tygodnie na opuszczenie zamku Glengarry.

Samotna, bezdomna Maggie, bez środków do życia, spakowała wszystkie swoje osobiste rzeczy oraz pamiątki po mężu. Nie miała nic więcej do roboty. Przed paroma minutami woźnica powiadomił ją, że dzieci i ich niania czekają już w powozie.

Jej życie w Glengarry dobiegło smutnego, bardzo smutnego końca.

Rozejrzała się dokoła, by sprawdzić, czy nie zapomniała żadnej z rzeczy męża.

Westchnęła, rozcierając zziębnięte dłonie. Dobrze się wywiązała z pakowania - nie zostało nic oprócz mebli, które teraz należały do Adaira Ramsaya. Nie miała już nic do zrobienia, ale ociągała się z opuszczeniem zamku. Może dlatego, że właściwie nie miała dokąd pójść, poza domem ojca. Nie dalej jak tego ranka postanowiła wrócić do miejsca swego dzieciństwa, lecz podejmując tę decyzję, myślała o tym, ile czasu upłynie, nim i stamtąd będą musieli się wynieść.

Usłyszawszy dyskretne kasznięcie, odwróciła się i ujrzała wielbego Davida MacDonalda, stojącego w drzwiach. Pastor odniósł wrażenie, że Maggie doszła do siebie, a przynajmniej próbowała się pozbierać.

- Przykro mi, że na próżno fatygowałeś się taki szmat drogi, Davidzie. Czas na mnie. Dzieci są już na dole, czekają na mnie w powozie.

- Wiedziałem o tym, zanim wszedłem tu na górę. Rozmawiałem z nimi ... - Urwał, patrząc na nią błagalnie. - Maggie, chcę побыć z tobą choć chwilę s'am na sam.

- Przykro mi ... - Maggie westchnęła, owijając się szczelniej wełnianym szalem. - Nie chcę teraz rozmawiać o religii. Nie mogę. Może później ... za jakiś czas.

- Ale właśnie teraz najbardziej potrzebujesz Boga.

Maggie zachnęła się niecierpliwie.

- Moje potrzeby najwyraźniej Boga nie obchodzą.

- Niezbadane są ścieżki Pana. Będzie twoją ucieczką i siłą. Nie odwróci się od ciebie.

- Już się odwrócił. - Spojrzenie jej przygasło. - Nie mów tyle o Bogu. Obawiam się, że całkiem o mnie zapomniał.

- Tak ci się wydaje, ponieważ często wola Boża idzie w poprzek ludzkiej woli, Musisz się trzymać swojej wiary. Ona cię nie opuści w godzinie próby.

- Wiary - powtórzyła wolno. - Nie mogę się trzymać czegoś, co samo sobie zaprzecza. Nie wiem, czy jeszcze wierzę w samą wiarę.

- To przemawia twój ból, nie twoje serce.

Maggie zamilkła, patrząc na wielbego MacDonalda niewidzącym wzrokiem. Ból. Tak, miała go pod dostatkiem. Od dawna był jej nieodłącznym towarzyszem. Cierpiała najpierw z powodu Bruce'a, a potem swojej naj młodszej córki, Ainsley.

Ainsley. Mała dziewczynka, małe imię, a tak wiele znaczyły.

Maggie była pewna, że do śmierci nie opuści jej wspomnienie dnia, kiedy Bruce został pochowany. Tak bardzo żałowała, że nie może cofnąć czasu, wymazać tragedii, jaka się stała tamtego strasznego dnia.

Gdyby wiedziała, że Ainsley przebudzi się z drzemki, sama zejdzie na dół, szukając matki, i trafi do salonu, gdzie leżało zmasakrowane ciało Bruce'a ... Nie dało się zapomnieć przeraźliwego krzyku, jaki wydobył się z gardła Ainsley, ani przerażenia w jej oczach na widok ciała ojca układanego w trumnie, którą następnie zabito gwoździami. Maggie przełknęła łzy, wspominając moment, kiedy musiała uderzyć córeczkę.

Policzek wymierzony dziecku przerwał rodzierający krzyk, ale cisza, która po nim nastąpiła, była jeszcze gorsza, znacznie gorsza. Dobry Boże, gdyby zauważyła obecność córki i zdążyła ją wyprowadzić z salonu, nim dziewczynka zobaczyła to, co zobaczyła. Może gdyby się nie pogłężyła tak głęboko we własnym żalu, prędzej by zrozumiała, jaki wstrząs musiała przeżyć Ainsley, Ale zrozumiała to dopiero dwa dni po pogrzebie, kiedy niania zajmująca się dziećmi powiedziała jej, że Ainsley jest dziwnie milcząca.

Z początku lekarze twierdzili, że to minie, że szok wywołany widokiem ojca zamykanego w trumnie stopniowo zatrze się w młodym umyśle. Mówili też, że wówczas dziewczynka odzyska mowę.

Miniony rok był tak samo trudny dla Maggie, jak dla Ainsley.

Maggie z poczuciem bezsilności patrzyła, jak córka żyje w świecie ciszy. To było jak zawieszenie między niebem a piekłem, w jakiejś zagubionej otchłani.

Z czasem okazało się, że lekarze mieli rację. Po roku Ainsley odzyskała mowę, ale odzywała się mniej niż

dawniej i rzadko się śmiała.

Maggie spojrzała na zatroskaną twarz swego długoletniego duszpasterza i przyjaciela, Davida MacDonalda. Jakoś nie mogła znaleźć pocieszenia i otuchy, którą kiedyś potrafił jej dawać. Poczuli się tym bardziej opuszczona i pusta w środku. Jakby Bóg rzeczywiście się od niej odwrócił.

Dawniej smutek wydawał jej się czymś bezosobowym. Teraz miał swoją nazwę - oznaczał utratę.

Otrząsnąwszy się z zadumy stwierdziła, że wielebny MacDonald przygląda jej się z uwagą.

Odpowiedziała mu twardym spojrzeniem, a potem wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: "Jeśli Bogu na mnie zależy, będzie musiał mi to okazać. Zwracanie się do niego jest dla mnie zbyt bolesne".

Nie oglądając się za siebie, Margaret Ramsay wyszła z pokoju.

Choć wyprostowana sylwetka mogła świadczyć o sile i opanowaniu, oczy miała bardzo smutne.

Ruszyła w dół po schodach. Zerknąwszy odruchowo przez okno klatki schodowej zauważyła, że na podjeździe, obok jej powozu, stoi też powóz Adaira Ramsaya. Nie tracił czasu, żeby objąć to, co obecnie należało do niego. Przyspieszyła kroku, chcąc uniknąć spotkania z tym człowiekiem.

Niemal zbiegała po schodach, jej lekkie pantofle ledwie dotykały kamiennych stopni, lecz nie była dość szybka, by umknąć przed widokiem lisiej twarzy Adaira Ramsaya.

- Ze chce pani pozwolić na chwilkę, madame! - zawołał do niej z biblioteki, kiedy mijala otwarte drzwi. Stał w mrocznym wnętrzu. Ciężkie zasłony były zaciągnięte, nie paliły się żadne świece i tylko słabe smugi światła, przeciskające się przez szpary w draperiach, rozjaśniały nieco pomieszczenie. Stała w progu, wyciągając wzrok.

- Proszę wejść do środka - zachęcił, wykonując ruch chudą, kościstą dłonią.

Maggie zrobiła kilka kroków w jego stronę i przystanęła z dumnie uniesioną głową. Patrząc na tego człowieka, nie była w stanie stłumić w sobie uczucia nienawiści. Serce waliło jej niespokojnym rytmem.

- Ma pan wszystko, co należało do mnie, zniszczył pan człowieka, którego kochałam. Czego jeszcze może pan chcieć? - spytała.

Niemal wyskoczył zza biurka i podszedł w jej stronę.

- Bóg mi świadkiem, madame, nie mogę uwierzyć, że rani mnie pani swymi słowami, podczas gdy ja pragnę tylko udzielić pani pewnej rady.

- Jakiej? Że powinnam sobie ulżyć w cierpieniu, wychylając kielich cykuty?

- Nie pragnę pani śmierci.

- Nie, skądże znowu. Czemu miałby pan tego chcieć? Tylko mój mąż miał ten przywilej, że życzył mu pan śmierci.

Puścił jej uwagę mimo uszu, choć jego twarz przybrała jeszcze bardziej okrutny wyraz. Maggie odruchowo zrobiła krok do tyłu, czując dreszcz biegnący po kręgosłupie, kiedy się roześmiał.

- Muszę pani ostrzec, madame, żeby się pani wyzbyła wszelkich zakusów na odzyskanie tytułu książęcego lub zamku Glengarry.

- Pańskie ostrzeżenie jest zbędne. Mój mąż nie żyje. Tytuł książęcy nie może przejść na mnie.

- To prawda, ale ja mam na myśli pani syna. Maggie bezwiednie zacisnęła dłonie w pięści. - Grozi pan mojemu synowi?

Tym razem to Adair się cofnął. Wyraz napięcia zniknął z jego twarzy.

- Bynajmniej. Udzielam pani jedynie rady, madame. Lepiej zostawić wszystko tak, jak jest. Ruszając gniazdo szerszeni, można się narazić na użądlenie. Pani może nie ma nic do stracenia, ale pani syn tak.

- Jak może stracić coś po raz drugi? Przecież to pan ma teraz tytuł, czyżby pan zapomniał?

- Nie mówię o tytule.

- Więc pan mu grozi - powiedziała, czując, jak serce podchodzi jej do gardła.

- Niech pani tylko spróbuje mieszać, a już ja dopilnuję, żeby pani pożałowała. Nie ma takiego miejsca, gdzie bym pani nie znalazł. - Spojrzał w stronę powozu. - Chłopak jest podobny do ojca. Nie chciałbym, żeby poszedł w jego ślady.

Maggie zdrętwiała ze strachu. Wiedziała, o czym mówił, dobrze rozpoznała groźbę. Jakże nieprzyjazny wydał jej się nagle ten dom, jak daleki od wspomnień tamtych szczęśliwych czasów, kiedy wraz z Bruce'em i dziećmi żyła tu bezpiecznie.

Już siedząc w powozie, Maggie po raz ostatni spojrzała na zamek Glengarry przez okno. Usiadła na twardej ławce naprzeciw Maude, niani, która z typową dla szkockich góralek lojalnością postanowiła ich nie opuszczać, mimo iż Maggie uprzedziła ją, że nie ma z czego jej płacić. Wyczuwając na sobie wzrok Maggie, Maude pochyliła się do przodu i poklepała ją po ręce.

- Może pani spróbuje trochę odpocząć, a ja opowiem dzieciom bajkę.

Zamknawszy oczy, Maggie bezskutecznie usiłowała się zdrzemnąć. Czuła się zmęczona, lecz jej umysł nie chciał spocząć, nie pozwalał jej zasnąć. Otworzyła więc oczy i sięgnęła do wiklinowego koszyka po cienki tomik Hamleta. Czytała przez kilka minut, po czym uniosła wzrok znad książki, zapatrzona przed siebie. Biedny Hamlet, pomyślała, miał w życiu tyle samo kopotów co ja. Zastanawiała się, czy jej życie skończy się równie tragicznie.

Znajdowała się w fatalnym położeniu, niepewna przyszłości, tak samo jak przed rokiem, kiedy umarł Bruce. Miała przy sobie lórkę dzieci, całkiem jeszcze małych, i zadawała sobie pytanie, jaki los je czeka. Bóg nigdy nie zamyka jednych drzwi, równocześnie nie otwierając innych ...

Przez chwilę zastanawiała się, skąd pochodzi ta myśl, aż wreszcie przypomniała sobie, że wypowiedział ją wielbny MacDonald na pogrzebie Bruce'a.

- Jeśli masz zamiar otworzyć jakieś drzwi, to chyba najwyższy czas - powiedziała cicho Maggie, spoglądając w niebo przez małe okienko powozu .

- Mówiła pani coś? - spytała Maude.

- Wierzysz w cuda? - odpowiedziała pytaniem Maggie.

- Oczywiście, że wierzę. A pani nie?

Maggie zamyśliła się.

- Tak, chyba tak. Nie miałabym powodu żyć dalej, gdybym powiedziała, że nie wierzę.

- Niech pani się tym wszystkim tak nie zamartwia. Jakoś się ułoży. Nawet po naj dłuższej i najciemniejszej nocy zawsze rano wstaje słońce.

- Wiem - powiedziała Maggie bez przekonania, opierając głowę o ścianę powozu. - Boję się tylko, czy doczekam końca nocy.

- Martwi się pani na zapas - powiedziała Maude.

- Tak - przyznała Maggie z westchnieniem. - Chyba masz rację. - Opuściła wzrok z powrotem na książkę, odszukała wiersz tekstu, na którym skończyła, i zaczęła czytać:

"Kiedy kogo nawiedzają smutki, to nigdy luzem, a zawždy gromadnie" .

Przeczytała ponownie, a potem powtórzyła na głos Maude.

- Nie powinna się pani martwić - upierała się niania. - Według mnie te gromady smutków już do pani przyszły. Teraz nadszedł czas, żeby oczekiwać na cud.

- Tylko cud może odmienić naszą przyszłość - przyznała Maggie. - Muszę ci powiedzieć, Maude, że niepokoję się i trochę boję. Mój ojciec jest schorowany i z trudem utrzymuje samego siebie. - Patrząc na zalęknione twarzyczki swoich dzieci, dodała: - Maude, co z nami będzie?

- Proszę nie tracić wiary. Zawsze jest jakaś nadzieja.

Maggie pokręciła głową.

- Moje nadzieje umarły dawno temu. Pozostały mi jedynie wątpliwości.

- Nawet wątpliwości mają swoją dobrą stronę. Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz pani. Któregoś dnia wyjdzie pani za jakiegoś dobrego człowieka i oglądając się wstecz, przyzna, że Maude miała rację.

Maggie nie wyglądała na przekonaną. Z zamkniętymi oczyma, odchylając głowę do tyłu, powiedziała:

- Mężczyzna, który chciałby poślubić zrujnowaną kobietę z trójką dzieci, musiałby być zupełnie szalony.

1

Północna Kalifornia, rok 1857

Kiedy Adrian Mackinnon oświadczył, z tą samą nonszalanacją, z jaką polewał syropem naleśniki, że wkrótce się ożeni, nastąpiły różne reakcje, jednak żadna nie przypominała gratulacji. - Facet zupełnie oszalał - mruknął pod nosem któryś z drwali.

- Nie sądziłem, że tego doczekam - wyznał inny.

- To się zdarza człowiekowi, kiedy spędza za dużo czasu w tych lasach. Wariuje. Z braku światła słonecznego - powiedział drwal o nazwisku Clem Burnside do swego kompana Johna Schurtza.

- Rozumiem, że każdy mężczyzna potrzebuje kobiety - przyznał Schurtz - ale żaden nie potrzebuje żony.

- Żony? - Shorty Savage omal się nie udławił tym słowem. - Do diabła! Jeśli chce żony, to chętnie oddam mu swoją.

Dudley Dunlap wybuchnął gromkim śmiechem.

- To mi się podoba! Cholera! Ja to bym nawet dorzucił tuzin dzieciaków, na osłodę.

- Nie rozmawiamy o grze w pokera, Shorty - zmitygował go Tom Radford.

- Czy ja wiem? Nie jestem pewien - odparł Shorty. - Małżeństwo czy poker, jedno i drugie to hazard.

Problem w tym, że jak ci nie idzie w pokerze, możesz rzucić kartami, a z żoną sprawa nie jest taka prosta.

- Mylisz się, Shorty. Kiedy jesteś żonaty, też możesz się wycofać z gry. Czyż sam tego nie zrobiłeś,

opuszczając swoją ślubną? - przypomniał mu Dudley.

Shorty podrapał się po brzuchu.

- No cóż, nigdy nie myślałem o tym w taki sposób, ale skoro tak mówisz, pewnie masz rację. - Pokręcił głową. - Powinienem być to zrobić znacznie wcześniej. Kiedy się wreszcie zdecydowałem, musiałem przebyć trzy tysiące mil, żeby się uwolnić od tej kobiety. Boże miłosierny! Miała nos niczym pies gończy. - Wziął do ust kęs jedzenia i żując, mówił dalej: - Nie mieści mi się w głowie, żeby człowiek przy zdrowych zmysłach naprawdę mógł chcieć żony, a co dopiero zadawał sobie trud, żeby jej szukać. Żona i rozum - rzekł do siebie, znów potrząsając głową. - Te dwa pojęcia nie idą z sobą w parze. W ogóle nie idą w parze.

- Jedyna pociecha, jaką mam w życiu - włączył się Hoot Howell - to ta, że nigdy nie miałem żony.

- Ja też - zawtórował mu Ern Ingersoll. - Jeszcze nie widziałem kobiety, która by cię wzięła w ramiona, nie próbując równocześnie wziąć cię w garść.

- Wiecie, co mówią o małżeństwie - odezwał się Clyde Bishop. - Kawaler jest pawiem. Mężczyzna zaręczony lwem ... - A żonaty osłem - dokończył za niego John Schurtz, na co cała stołówka zatrzęsała się od śmiechu.

- Mówcie sobie, co chcecie - powiedział Adrian, wymachując kawałkiem naleśnika nabitym na widelec - a ja uważam, że najwyższy czas wziąć sobie żonę, więc wybieram się na parę tygodni do San Francisco. Piętnaście widelców z brzękiem upadło na stół. A potem zaległa grobowa cisza.

- Żonę? - rozległ się czyjś strwożony szept, jakby wypowiedzenie tego słowa głośno miało wywołać jakiś straszny skutek. - Powiedział "żonę"?

- Moja żona nieboszcza odpoczywa w grobie, a ja wolny wdowiec nie krzywdzę sobie - wyrecytował Ox Woodburn, na co znów odpowiedział gromki śmiech.

- Musiał pan to wymyślić w wielkim pośpiechu - zauważył Wielki John Polly - bo nie dalej jak dwa dni temu przekonywał pan Toma Radforda, że kobieta jest ostanią rzeczą, jakiej mężczyzna potrzebuje w życiu. Skąd ta nagle zmiana?

Adrian odłożył widelec i sięgnął po kubek z kawą.

- Nie wiem. Może próbując przekonać Toma Radforda, że nie potrzebuje żony, doszedłem do wniosku, że jajej potrzebuję.

eszej nocy, siedząc przy kominku, drapiąc po łbie mojego psa i sącząc brandy, zacząłem myśleć o tym wszystkim, co tu stworzyłem, gdy nagle do mnie dotarło, że nie mam komu tego zostawić. I to mi odebrało całą przyjemność z faktu, że zdołałem urzeczywistnić swoje marzenie.

- Ma pan trzech lub czterech braci, którym może zostawić swój majątek, a do tego więcej bratancic i bratanków, niż można zliczyć na palcach obu rąk. Niech pan spisze testament - poradził Wielki John. - Oszczędzi pan sobie kłopotów.

Adrian uniósł brwi w wyrazie zdumienia.

- Myślałem, że ty i MoHy jesteście szczęśliwi.

- Nie powiedziałem, że nie jestem szczęśliwie ożeniony.

Powiedziałem tylko, że małżeństwo wiąże się z kłopotami.

- Chyba warto je znosić, skoro wytrzymujesz tak długo. Ile to już minęło, trzydzieści lat?

- Dwadzieścia pięć - sprostował Wielki John.

W tej samej chwili ktoś zawołał, że należy mu się medal za męstwo.

Ponownie zagrział śmiech, lecz Adrian nie poddał się ogólnej wesołości.

- Chcę wychować synów. Chcę ich nauczyć, jak kochać i szanować to, co zbudowałem, żeby kontynuowali moje dzieło, kiedy mnie zabraknie. Nie chcę, żeby to wszystko umarło wraz ze mną.

- Człowiek, który tak mówi, z pewnością doczeka się samych córek - stwierdził Shorty. - Niech pan zapamięta moje słowa.

Zgromiony spojrzeniem Adriana, Shorty wbił wzrok w talerz z naleśnikami. Omal się nie udławił, kiedy rozbawiony Clem walnął go w plecy.

- Chodźmy porozmawiać gdzie indziej - zaproponował Wielki John, odsuwając krzesło od stołu.

- Kobietę, psa i pień kasztana, okładaj różgą co dzień od rana! - zawołał za nimi John Schurtz, na nowo wzbudzając powszechną wesołość.

- Schurtz, wygląda, jakby ci się zupełnie nic nie podobało w kobietach - zauważył Wielki John.

- Nic podobnego, Wielki Johnie. Podoba mi się, a jakże. Ich milczenie mi się podoba.

Wielki John wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Adrianem i obaj zgodnie 'wybuchnęli śmiechem.

Zostawiając za sobą gwarne stołówkę pełną nieokrzesanych drwali, skierowali się w stronę tartaku.

- Nie jestem pewien - zaczął Wielki John - ale wydaje mi się, że pragnie pan żony z całkiem niewłaściwych

powodów.

- Dlaczego tak mówisz? Czyżby istniał jakiś właściwy powód?

- Oczywiście, że istnieje - zaśmiał się Wielki John. - Nie wierzy pan w miłość?

Adrian zignorował pytanie.

- Dzieci zawsze były zrozumiałym powodem do ożenku. Wielki John nie przestawał się śmiać.

- Istnieje pewna różnica pomiędzy tym, co zrozumiałe, a tym, co właściwe, ale ja się nie bardzo znam na tych sprawach, więc niech mnie pan nie słucha.

- Ależ słucham cię - zapewnił Adrian. - Mów dalej.

- Cóż, ja to widzę tak. .. To znaczy, mam na myśli ... Och, do licha! To, co dla mężczyzny jest zrozumiałym powodem, dla kobiety może wcale nie być. Chce pan jechać do San Francisco i mówić każdej poznanej kobiecie, że proponuje jej małżeństwo, ponieważ chce mieć synów? Będą panu zamykać drzwi przed nosem. Kobiet jest w San Francisco jak na lekarstwo, a taka kobieta, jakiej pan pragnie, nie będzie chciała poślubić mężczyzny tylko dlatego, że on chce mieć synów.

- Nie zapominaj, że jestem zamożnym człowiekiem.

- Takiej kobiety, która się skusi na pieniądze, pan nie będzie chciał. W San Francisco jest więcej bogaczy niż godnych szacunku kobiet. Kobieta, która by panu odpowiadała, będzie miała całą listę wymagań, a na czele tej listy będzie żądanie, żeby pan ją kochał... i jej nadskakiwał.

_ Kochał? - Adrian roześmiał się głośno, odrzucając głowę do tyłu. - Każda kobieta wie, jeśli jest mądra, że majątek przyda jej się znacznie bardziej niż miłość. - Spojrzał na Wielkiego Johna, marszcząc brwi. - Swoją drogą, co ci daje taką pewność, że wiesz, jakiej kobiety pragnę?

- To, że znam pana od dawna. Widziałem, jak pan się zmienił, odkąd pański brat się ożenił i odsprzedał panu swoją cześć. Od kiedy Alex i Katherine wrócili do Teksasu, stał się pan twardym, zgorzkniałym człowiekiem, Adrianie. Nie trzeba być specjalnie byстрыm, by pojąć, że pańska gorycz bierze się z poczucia krzywdy, ze świadomości, że kobieta, którą pan kochał, wolała pańskiego brata. A co do twardości ... chyba pojawiła się wtedy, gdy postanowił pan udawać, że nic pana to nie obchodzi, że niczego pan nie potrzebuje. Myślę, że właśnie dlatego stał się pan takim perfekcjonistą. Zadowolona pana tylko to, co najlepsze. Może się mylę, ale wydaje mi się, że w ten sposób próbuje pan sobie coś udowodnić.

- Nie muszę niczego udowadniać.

_ Proszę mnie o tym przekonać, udowadniając mi, że me mam racji.

- W czym?

- Że nie takiej kobiety będzie pan szukał.

- To znaczy jakiej?

_ Tak samo doskonałej i pięknej jak dom, który pan sobie wybudował. Kobiety, której będą panu zazdrościć wszyscy mężczyźni. Kobiety, która nigdy nie zdoła sprostać pańskim oczekiwaniom, bo taka, która by umiała, jeszcze się nie narodziła.

Ależ owszem, zaprzeczył w duchu Adrian. Miała na imię Katherine.

Wieść o tym, że właściciel Kalifornijskiej Kompanii Drzewnej zamierza się ożenić, rozniosła się po obozie lotem błyskawicy. Podobnie jak drwale ze stołówki, większość ludzi w obozie twierdziła zgodnie, że Adrian musiał podejmować tę decyzję, będąc nie w pełni władz umysłowych. Rozumieli, że samotny mężczyzna, taki jak Adrian, potrzebuje odrobiny pociechy i towarzysztwa, choć zważywszy na fakt, że w tych stronach odczuwało się dotkliwy niedostatek kobiet, uznawali za mało prawdopodobne, by udało mu się jakąś znaleźć.

Jednakże wszyscy oni nie doceniali Adriana Mackinnona. Przez ostatnie dziesięć lat Adrian przywykł dostawać to, czego zapragnął. Jeśli nie mógł tego zbudować lub zdobyć, po prostu to kupował. A zadowolony był wyłącznie tym, co najlepsze. Nie stałby się jednym z najbogatszych ludzi w Kalifornii, gdyby pozwalał, żeby drobne przeszkody zmuszały go do zmiany poglądów czy zstępowania z raz obranej drogi. Były inne sposoby radzenia sobie z przeciwnościami losu niż wycofywanie się czy ucieczka.

Pożegnawszy się z Wielkim Johnem, Adrian skierował swe kroki do biura tartaku, lecz kiedy już tam przybył, jakoś nie mógł się skupić na czekającej go pracy. Tego dnia w ogóle nie potrafił myśleć o interesach ... ani nawet o przyszłości i planowanym ożenku. Tego dnia jego myśli uparcie wracały do przeszłości.

A przeszłość oznaczała Katherine Simon.

Minęło wiele czasu. Ile? Dwadzieścia trzy lata od tamtego strasznego dnia, gdy Komancze napadli na Fort Parker i porwali jego małą siostrzyczkę Margery. Adrian oczyma duszy spoglądał w przeszłość, bezwiednie obracając w palcach ołówki. Miał świadomość, że ów najazd na Fort Parker zmienił bieg jego

życia, jednocześnie odzierając go ze wspomnień o rodzinie, którą utracił.

Margery. Pamiętał, że kiedy ją porwano, miała sześć lat, a on i jego brat bliźniak Alexander byli zaledwie o rok starsi.

Mieli po siedem lat i byli przerażeni. Pamiętał, jak strasznie się bał tamtego dnia, gdy ich ojciec John nakazał, by naj starszy syn Andrew został w domu z matką, a sam zabrał pozostałych pięciu synów w pościg za bandą Komanczów. Kiedy wrócili, zobaczyli dwa świeże groby i spalony dom.

Ojciec Adriana już nigdy więcej nie wrócił do domu. Przez cały następny rok szukał Margery i bandy, która zabiła Andrew i Margaret. Adrian i Alex mieli po osiem lat, kiedy szeryf przyjechał na ich farmę w Limestone County w Teksasie, żeby powiedzieć pięciu pozostałym przy życiu Mackinnonom, że są sierotami.

Potem los rozproszył pięciu braci: Tavis z Nicholasem wyjechali do Nantucket, żeby się uczyć budowania statków, Ross został bawidamkiem i awanturnikiem, aż w końcu musiał uciekać przed przymusowym ożenkiem do Szkocji, gdzie odziedziczył tytuł szlachecki, a bliźniacy Adrian i Alex na pewien czas zasilili szeregi Strażników Teksasu; potem zaciągnęli się do wojska, by walczyć na wojnie meksykańskiej, nim gorączka złota przywiodła ich do Kalifornii. Wzbogaciwszy się, osiedli w północnej Kalifornii i zainwestowali w przemysł drzewny.

Wtedy życie jakby wymknęło się Adrianowi spod kontroli.

Alex napisał ten nieszczęsny list, zamierzając prosić miłość swego życia, Karin Simon, żeby przyjechała na zachód i go poślubiła, tyle że w pijackim otępieniu pomyłkowo napisał imię jej siostry Katherine.

Adrian wiele razy w życiu się bał, lecz do końca życia miał zapamiętać tamten strach, kiedy ujrzał Katherine, swą wielką miłość, schodzącą ze statku w San Francisco. Coś w nim wtedy umarło.

Patrząc wstecz, rozumiał, że dobrze się stało, że Alex i Katherine wrócili do Teksasu. Alex nigdy nie zdołał się wyzbyć farmerskiego brudu spod paznokci, a i Katherine, zdaniem Adriana, miała w sobie przynajmniej połowę farmerskiej krwi.

Adrian odchylił głowę na oparcie krzesła i zamknął oczy.

Odkąd pamiętał, zawsze kochał Katherine Simon, od ich pierwszego spotkania nad potokiem Tehuacana, kiedy płakała, bo użądliła ją pszczoła. Nie mogła mieć wówczas więcej niż pięć lub sześć lat, a on sam był niewiele starszy.

Otrząsnął się z zadumy. Rozmyślanie o Katherine nie mogło mu przynieść żadnego pożytku. Ona nigdy go nie kochała, a teraz była żoną jego brata. A jednak pozostał ból i uczucie podobne do tęsknoty. Od dnia ślubu Katherine z Alexem Adrian przysiągł sobie, że już nigdy nie będzie tym drugim.

Ołówek w jego palcach z trzaskiem przełamał się na pół.

Zdecydowawszy się na ożenek, Adrian bez zwłoki opuścił swój tartak w nadbrzeżnych lasach północnej Kalifornii i wsiadł na pierwszy statek zmierzający do San Francisco.

- Dwa tygodnie to niezbyt wiele czasu na znalezienie żony - zauważył John Schurtz tamtego ranka, kiedy Adrian szykował się do wejścia na pokład "Gold Rush".

Już na statku Wielki John Polly powtórzył mu to samo.

- W dwa tygodnie trudno kupić dobrego konia, Adrianie. Jest pan pewien, że nie chce zostać w San Francisco na trochę dłużej, żeby mieć więcej czasu na ... - Zmrożony lodowatym spojrzeniem Adriana, dokończył ledwie słyszalnym szeptem: - Po prostu, żeby mieć więcej czasu?

- Jeśli nie znajdę żony w dwa tygodnie, będę musiał spróbować czegoś innego - odparł Adrian z rosnącą irytacją.

Krzaczaste brwi Wielkiego Johna uniosły się w wyrazie zdurnienia.

- Cóż, nie wiem, czego miałby pan spróbować, ale skoro pan tak uważa ... - Potrząsnął głową. -

'Słyszałem, że niektórzy faceci przymierzają się do zwierząt, ale ja sam w życiu bym o czymś takim nie pomyślał.

- Chciałem powiedzieć, że będę musiał zastosować jakiś inny plan - wyjaśnił Adrian.

Wielki John roześmiał się i usunął trap.

- Życzę dobrej podróży i udanego polowania.

- Nie wybieram się polować na niedźwiedzia.

_ Może pan zmienić zdanie, jak tylko jakaś ślicznotka zatopi w panu pazury - rzucił Wielki John, nie przestając się śmiać.

Adrian zbył tę uwagę niedbalym machnięciem ręki. Statek zaczął się oddalać od brzegu.

- Ma pan zamiar przywieźć ze sobą swoją panią?! - zawołał Wielki John, przykładając do ust dłonie zwinięte w trąbkę.

_ Możliwe - odkrzyknął Adrian, zdjęty niespodziewanym lękiem. Co mu strzeliło do głowy? Poza tym, co miałby robić z kobietą w zagubionym wśród lasów obozie drwali? Jeśli już o tym mowa, co w ogóle miałby robić z kobietą? Jeśli chodzi o kobiety, czuł się bezradny. Nawet z żadną nie był od ponad roku. Nie miał nawet pewności, czy potrafi rozmawiać z kobietami, nie licząc prostytutek.

Adrian Mackinnon nie potrzebował kobiet w takim sensie, jak potrzebują ich inni mężczyźni. Jego kochanką był tartak. Po-wszechnie uważano, że jest zbyt wielkim perfekcjonistą, by się kiedykolwiek ożenić. Ludzie z obozu mieli nawet gotowe argumenty na poparcie tej tezy: uważali, że Adrian nigdy nie znajdzie kobiety, którą uzna za wystarczająco dobrą, a żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie zechce poślubić człowieka, który we wszystkim oczekuje doskonałości.

Zgodnie twierdzili, że gdyby ktoś taki jak Adrian miał rodzinę, zarządzałby nią tak samo jak tartakiem.

2

Adrian Mackinnon miał trzydzieści jeden lat. Przez ostatnie dziesięć poświęcał się bez reszty swojej dobrze prosperującej firmie obrotu drewnem, budując prawdziwe imperium, i dzięki olbrzymim kalifornijskim sukcesom stając się jednym z naj-bogatszych ludzi w całej Kalifornii. Przed dwoma laty ukończył budowę wspaniałej rezydencji, co niestety nie osłabiło w nim poczucia dotkliwej samotności. Miał świadomość, że pieniądze i posiadłość nie wystarczą, by ukończyć ten ból.

Kiedy statek wypłynął z portu, Adrian przyjrzał się grupie mężczyzn zgromadzonych na nabrzeżu.

Wiedział, co myślą. Uśmiechnął się szeroko. Miał zamiar udowodnić, że się mylą. Zamierzał się ożenić z kobietą, o jakiej żadnemu z nich nawet się nie śniło.

Jak zawsze, ilekroć jego myśli zbaczały na te tory, przypomniał sobie, jak odrzuciła go Katherine, i w jego duszy zakiełkowały pierwsze nieśmiałe ziarenka lęku i wątplenia, które po jakimś czasie stłumiło poczucie, że musi dopiąć swego.

Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czuł się taki samotny i opuszczony. Chyba wtedy, gdy Katherine opuściła Alexa i wróciła do Teksasu. Wówczas, podobnie jak teraz, czuł się samotny i niepotrzebny.

Spojrzał na skalisty, porośnięty drzewami brzeg, na góry w oddali, sięgające nieba. Nazywał to miejsce swoim domem, czuł się tu pewnie. Tu nie prześladowały go myśli o niespełnieniu. Tu nikt nie odwracał się do niego plecami, nie dawał mu odczuć, że jest nic niewart. Ale nie zmieniało to faktu, że i tu czuł się samotny.

Mniej więcej godzinę po wypłynięciu w morze nastrój Adriana zaczął się zmieniać na coraz bardziej ponury, niczym chmury wiszące nad statkiem. Szczyty masztów nikły w deszczu, a pasma gęstego, szarego dymu jakby wtapiały się w strugi ulewy. Wychylony przez barierkę, wpatrywał się w mętną, spienioną wodę. Jednakże nie widział kłębiących się dziko fal, tylko twarz Katherine Simon. Twarz żony swego brata.

Jak daleko sięgał pamięcią, zawsze kochał Katherine, ciemno-włosą piękność, która wyszła za jego brata. Nawet teraz, po blisko dziesięciu latach, jej wspomnienie było tak samo żywe i wyraźne jak zawsze. Słodka, śliczna Katherine, zawsze młoda, w jego pamięci nietknięta upływem czasu. Katherine, wzór urody, któremu nie mogła sprostać żadna śmiertelna kobieta. Katherine, jedyna kobieta, której pragnął, jedyna, którą potrafił kochać. Katherine, jedyna osoba na świecie, która mogła go zranić i która to zrobiła najboleśniej, jak tylko się dało, wychodząc za jego brata bliźniaka, Alexandra.

Oczywiście nastąpił moment, kiedy przestał cierpieć, kiedy pogodził się z tym, że Katherine na dobre zniknęła z jego życia. Uświadomił sobie daremność żalu za kobietą, którą stracił, która w istocie nigdy do niego nie należała. Przez pewien czas żył w celibacie, wmawiając sobie, że nigdy się nie ożeni, że niczego nie potrzebuje, nawet seksu. Z czasem i to minęło. Okrzeptł, otoczył się twardą skorupą, przysiągł sobie, że już nigdy nie będzie bezbronny.

Podszedł do niego kapitan. Adrian zamienił z nim kilka słów, po czym znów, wsparty na relingu, zapatrzył się w szare odmęty. Znowu opadły go myśli, obsiadły niczym ptactwo, gotowe poderwać się w popłochu przy najdrobniejszym poruszeniu.

Stare uczucia, stare pragnienia, stara gorycz wypełniły go, gdy tylko przymknął oczy. Myśli o Katherine właściwie nigdy go nie opuszczały.

Wrócił pamięcią do ich pierwszego spotkania, kiedy to razem z Alexem przybyli w rodzinne strony, do Teksasu, z wojny meksykańskiej.

- Mamy ze sobą wiele wspólnego, ty i ja - powiedziała wówczas Katherine.

Nie, słodka Katherine, wcale nie mamy. Kochać i być od-rzuconym, to jak być odesłanym do łóżka bez kolacji, boli nie bardziej od ukąszenia pszczoły. Ale kochać i nie zostać zauważonym, to jakby wolno

umierać z głodu. Znikać jak mydło, coraz mniejsze po każdym myciu.

- Och, Adrianie, dlaczego życie jest takie okropne?

Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że nawet sam Bóg, trwając w wieczności, zaznaje czasami bólu. Och, Katherine, zawsze byłaś mi torturą. Życie to droga pełna wybojów, ale ty sobie poradzisz. Nie ma obawy.

- Ty także dasz sobie radę, Adrianie. Wiem, że tak będzie.

Oczywiście, że dam sobie radę. Nigdy w to nie wątpiłem.

Pewnego dnia zostanę kimś, pokażę, na co mnie stać i wtedy, patrząc na mnie, pożałujesz, że nie kochałaś mnie, kiedy mogłaś.

Tylko że taki dzień nigdy nie nadszedł, ponieważ Katherine poślubiła Alexa i była szczęśliwa. Adrian wątpił, by w ogóle jeszcze kiedyś o nim pomyślała.

Bolesne poczucie utraty powróciło, silniejsze, bardziej dokuczliwe niż zwykle. Katherine, Katherine, Katherine. Czy nigdy nie uwolni się od cierpienia, którego była przyczyną?

Nawet jeśli ból miał pozostać w nim na zawsze, mógł próbować go ukoić, wypełniając swój dom dziećmi. Dziećmi, które będą częścią niego, które będzie mógł kochać bez ryzyka utraty.

Już niedługo, powtarzał sobie w duchu. Już niedługo będziesz miał żonę i dzieci i duch Katherine wreszcie da ci spokój. Żona wymaże obraz Katherine z twojej pamięci. A dzieci dadzą ci to, czego potrzebujesz.

Czyż nie?

Spojrzał w pochmurne niebo.

- Uwolnię się od ciebie - powiedział na głos. - Znajdę kobietę jeszcze piękniejszą, mądrzejszą i lepiej wykształconą, która będzie wszystkim, czym nie jesteś ty.

Dwa dni później zrobiło się nienormalnie ciepło jak na połowę października. Optymizm Adriana rósł wraz z temperaturą i kiedy opuściwszy statek zdażał powozem do hotelu, był w znakomitym nastroju.

Przypomniał sobie, co mu powiedziała Mony pony, kiedy w dniu wyjazdu przyszła do kuchni, żeby mu ugotować śniadanie.

- Nie bardzo ci się podoba mój plan wyjazdu do San Francisco, prawda, Mony? - zagadnął ją.

- Nie mogę powiedzieć, żeby mi się podobał, ale każdy robi to, co uważa.

- Co właściwie ci się nie podoba w mojej podróży? To, że jadę szukać żony? Czy sposób, w jaki się do tego zabieram? - Czekał na odpowiedź, patrząc na jej siwiejące włosy z pasemkami pomarańczowej rudości, do której nigdy jakoś się nie przyzwyczaił. - Uważasz, że robię błąd, jadąc do San Francisco?

- Tego nie powiedziałam, ale skoro już pan pyta, powiem, co myślę. Myślę, że traci pan czas, próbując łowić w beczce ze śledziami. Nie tam należy łowić, jeśli ma się ochotę na pstrąga. - Chyba nie wiesz, o czym mówisz.

Mony wzniosła oczy ku niebu.

- Biada tym, którzy się sobie zdadzą być mądrymi, a sami u siebie roztropnymi - zacytowała z powagą. Adrianowi wydało się to tak melodramatyczne i niepodobne do Molly Polly, że aż wybuchnął śmiechem.

- Muszę dopisać jeszcze jeden punkt do listy wymagań, jakie powinna spełniać żona - stwierdził. - Po stronie cech niepożądanych.

- Jaki?

- Nie powinna cytować Biblii.

- Domyślam się, że i ona mogłaby wymienić parę punktów.

- Na przykład jakich? - spytał szczerze zaniepokojony.

- Może jej się nie spodobać zwyczaj żucia tytoniu i plucia nim po kątach. Każdą kobietę coś takiego może doprowadzić do pasji. Nigdy nie zdoła utrzymać podłóg w czystości.

- Ja nie spluwam na podłogi, Molly.

- Może nie celuje pan specjalnie w podłogę - poprawiła go wymownym tonem. - Boże miłosierny! Podłoga w stołówce wygląda, jakby rozdeptano na niej stada robactwa.

- Nie jestem tu jedynym, który żuje tytoń - przypomniał.

- Zgadza się, ale panu jednemu mogę zwrócić na to uwagę.

- I właśnie mi zwracasz. - Chwycił w locie bułkę, którą w niego rzuciła.

Ty dzień później Adrian siedział w fotelu fryzjerskim w San Francisco, rozmyślając o tym, co usłyszał od Molly. Miała rację: łowił w beczce śledzi, szukając pstrąga.

- Mówi pan, że przyjechał aż znad Humboldt, żeby znaleźć sobie żonę? - zainteresował się fryzjer.

Adrian przytaknął, wpatrując się w czubki swoich butów.

Żałował, że wspomniał temu człowiekowi o swoich zamiarach. Nie miał ochoty z nikim dyskutować na temat swego życia osobistego. Przyglądał się, jak fryzjer ostrzy brzytwę na pasku, i niecierpliwie czekał, kiedy wreszcie zacznie go golić.

- Cóż, jest pan tu już od tygodnia. Zauważył pan jakąś odpowiednią kandydatkę?

- Nie.

- Mógłby pan spróbować w Srebrnym Dolarze. Większość ludzi w tych stronach uważa, że najładniejsze kobiety w całym San Francisco można znaleźć w Srebrnym Dolarze.

- Potrzebuję żony, nie prostytutki.

- Wielu mężczyzn z tych okolic nie widzi między nimi żadnej różnicy. Większość nie ma nic przeciwko temu, żeby się ożenić z prostytutką. A pan ma coś przeciwko prostytutkom?

- Nie, dopóki pozostają w burdelu, gdzie ich miejsce. Ale nie chcę się z żadną z nich ...

Nie zdążył dokończyć, bo w tym momencie fryzjer chlapanął mu na twarz pianą z mydła i Adrian musiał zamknąć usta. Niestety, zrobił to odrobinę za późno. Opróżniwszy usta splunięciem, wcisnął się głębiej w fotel. Fryzjer wprawnie przesunął brzytwą po jego policzku, odsłaniając spod piany pas gładkiej skóry. Powtórzył to samo z drugiej strony, po czym odsunął się, celując w Adriana ostrzem.

- Słyszałem, że nawrócona dziwka bywa całkiem dobrą żoną. Taka przynajmniej nie leży jak kłoda.

Dziewka jest jak podpałka, gotowa wybuchnąć płomieniem przy najdrobniejszej iskrze.

- I niewiele ją obchodzi, czyja to iskra - wtrącił Adrian. - Moglibyśmy skończyć z tym goleniem, zanim mydło zaschnie mi na twarzy w skorupę?

- Cóż, skoro panu nie odpowiadają prostytutki, słyszałem, że wdowa Peabody ma dwie córki ...

- Miałem już przyjemność - mruknął Adrian, podrywając się na nogi na wspomnienie wdowy Peabody i jej córek. Dobry Boże, wszystkie trzy były paskudne niczym czterdzieści mil wyboistej drogi.

Zrzucił z ramion ochronną narzutkę i wytarłszy nią twarz z mydła, cisnął na opuszczony fotel. Cała ta absurdalna rozmowa nie miała sensu. Podobnie jak jego podróż do San Francisco. Sięgnął do kieszeni.

- Hola! Jeszcze nie skończyłem.

- Owszem, skończył pan - zapewnił Adrian, wciskając fryzjerowi dwie monety.

Godzinę później wyszedł z budynku Pacific Express na Montgomery Street i na chwilę przystanął na brzegu chodnika. Rozejrzał się, ale nie dostrzegł w pobliżu nawet śladu pojazdu, który mógłby go zawieźć z powrotem do hotelu. Postawiwszy kołnierz płaszcza, ruszył piechotą. Znowu padało. Miał dość San Francisco. Miał dość wścibskich ludzi. A najbardziej ze wszystkiego miał dość swojego głupiego pomysłu, żeby szukać tu żony.

Może ten deszcz był zesłany przez Boga? Bo choć wprawił go w okropny nastrój, pogłębiając jeszcze poczucie osamotnienia, równocześnie uświadomił mu daremność poszukiwań. Stało się dla niego bowiem jasne jak słońce, że żadna szanująca się kobieta nie poślubi mężczyzny, którego dopiero co poznała, choćby był nie wiem jak bogaty.

Poza tym, odkąd przybył do San Francisco, nie spotkał ani jednej kobiety, którą miałby ochotę poprosić do tańca, a co dopiero o rękę. Jeśli chodzi o kobiety, w San Francisco naprawdę nie było w czym wybierać. Nadszedł czas, żeby się wycofać.

Wcisnął zmarznięte palce głęboko do kieszeni i przyspieszając kroku, skierował się w stronę Portsmouth Square. Był bez kapelusza; włosy pociemniały mu od deszczu.

Gdy dotarł do hotelu, był zdecydowany następnego dnia wyruszyć na północ, z powrotem do krainy nad Zatoką Humboldt. I raz na zawsze dać sobie spokój z szukaniem żony.

Najego widok twarz recepcjonisty rozpromieniła się w uśmiechu. W odpowiedzi Adrian zdołał unieść nieco kąciki ust.

- Rano się wyprowadzam, Horacy. Proszę przygotować rano rano chunek.

- Będzie gotowy, panie Mackinnon. - Błyszcząca okrągła twarz Horacego zmarszczyła się od umysłowego wysiłku. - Myślałem, że ma pan zamiar zostać jeszcze tydzień.

- Załatwiłem interesy szybciej, niż się spodziewałem - zbył go Adrian.

- Mam nadzieję, że znów pan do nas zawita ... następnym razem, jak pan będzie w tych stronach. - Podał mu kilka kopert. - Przyszły dzisiaj do pana.

Wziął od niego listy, nawet na nie nie patrząc.

- Może upłynąć sporo czasu, nim znów się pojawię w tych stronach - rzekł wolno, upychając koperty w kieszeni płaszcza.

Poszedł na górę, zatrzymał się przed drzwiami swojego pokoju i wsunął klucz do zamka. Już w środku zdjął płaszcz i rzucił listy na biurko. Pamiętając, że jest wciąż na wpół ogolony, przez chwilę rozważał, czy

nie dokończyć zabiegu. W końcu zrezygnował; czując nadciągający ból głowy, zasunął ciężkie zasłony w oknach. Kiedy pochylił się nad biurkiem, żeby zapalić alabastrową lampę, zaczęło mu pulsować w skroniach.

Natrafił wzrokiem na rzucone listy. Ze zmarszczonym czołem podniósł je z blatu i zaczął przeglądać, otwierając jeden po drugim. Zaproszenia. Wszystkie pochodziły od otyłych, przesadnie wystrojonych matron, które zapraszały go na obiady, żeby mu zaprezentować swoje głupie córki.

Niewiele czasu potrzebował, by się upewnić, że pragnie na żonę dojrzałej, wykształconej i inteligentnej kobiety, a nie jakiejś płoczej dzierlatki, która chichocze za każdym razem, gdy na nią spojrzeć. Pokręcił głową, cisnął zaproszenia na biurko i położył się do łóżka. Przypomniał sobie pewną miłą wyglądającą młodą kobietę, siedzącą obok niego podczas kolacji parę dni wcześniej. Popatrując na niego spod opuszczonych rzęs, powiedziała:

- Mama twierdzi, że byłabym doskonałą żoną. Mam przed sobą całą przyszłość.

Adrian miał ochotę ją zapytać, czy może wolałaby mieć tę przyszłość gdzieś indziej, ale uznał, że nie warto się wysilać. Niewiele więcej pamiętał z tamtego wieczoru, gdyż postanowił wychylać kieliszek za każdym razem, kiedy ta młoda osoba powie coś równie głupiego. Obudził się następnego ranka w swoim pokoju hotelowym, nie mając pojęcia, jak się tam znalazł.

Wyciągnął się na posłaniu, nawet nie zdejmując butów, i leżąc na plecach, utkwiał wzrok w sufit. Nazajutrz miał zamiar wynieść się z San Francisco.

Jeszcze raz spojrzął na koperty leżące na biurku. Napis najednej z nich przypominał mu charakter pisma jego brata Rossa. Adrian uśmiechnął się pod nosem, wrócił do biurka i myśląc o Rossie, dokładniej przyjrzał się listowi. Kto by pomyślał... Minęło tyle lat od czasu, gdy mieszkali w niewielkim domu nad potokiem Tehuacana w Limestone County w Teksasie. Kto by wówczas pomyślał, że Ross Mackinnon wyjedzie do Szkocji, żeby odziedziczyć rodowy tytuł? Kimże on był, księciem? Od kilku lat był żonaty. I miał coraz większą gromadkę małych księżąt czy jak ich tam zwą. Adrian stracił rachubę przy czwartym. Oparł głowę na złożonych dłoniach. Przypomniał sobie listy, nadchodzące nieregularnie od Rossa, i to, jaki brat był dumny ze swej arystokratycznej żony Annabelli. O ile sobie przypominał, Annabella była córką angielskiego księcia i według Rossa prawdziwą pięknoscią o wyjątkowym umyśle. Była zaręczona z jakimś szkockim szlachcicem, ale Ross ukradł mu ją dosłownie sprzed nosa. Tak, Rossowi można było zazdrościć. Zdobył prawdziwą damę, córkę angielskiego księcia.

Tego właśnie mi trzeba, pomyślał Adrian. Damy. Prawdziwej damy.

Istniała tylko jedna przeszkoda. Taka, że w całej Kalifornii nie było ani jednej prawdziwej damy, a Adrian nie miał czasu włóczyć się po Anglii czy Szkocji w poszukiwaniu żony, przy okazji wystawiając się na pośmiewisko. Próbował więc odepchnąć od siebie tę myśl, ale ona uparcie powracała, żeby go prześladować.

Dama. Szkocka dama. Z tytułem.

Takiej kobiety zazdrościłby mu każdy mężczyzna w Kalifornii.

Taka kobieta byłaby idealnym klejnotem w koronie jego drzewnego imperium. Tylko że taką kobietę bardzo, ale to bardzo trudno znaleźć.

Adrian splunął, nie trafiając do sopluczki.

- Cholera! - zaklął, patrząc w sufit. - Nie mam czasu, żeby szukać żony, tu w Kalifornii, a co dopiero w Szkocji.

Ja nie, ale Ross tak, pomyślał.

Odkrycie to najpierw go zaskoczyło. Ross miałby mu szukać żony?

- Nieeee - mruknął do siebie. - Ross by nie wiedział, czego mi trzeba.

Może i nie, ale przecież mógłbym do niego napisać. Napisać do niego?

Napisz. Wyłuszczone mu, czego szukasz, jakiej kobiety pragniesz.

Ostatecznie spisał się doskonale, kupując dla ciebie te cholerne konie, prawda?

- Do diabła! - wykrzyknął, podrywając się na nogi. - To były konie. Teraz chodzi o kobietę ... o moją żonę!

Więc napisz do niego i wytłumacz mu, czego oczekujesz, tak jak to zrobisz w przypadku koni.

Adrian potrząsnął głową. Bił się z myślami, nie potrafił podjąć decyzji. Nie. Nie mógł tego zrobić. Kobieta to nie rzecz, którą się zamawia z katalogu.

Mężczyźni z Kalifornii często sprowadzali sobie zamówione pocztą narzeczone. Niektórzy nawet żenili się w ciemno i ściągali je na miejsce już jako swoje żony.

Adrian podszedł do biurka. Przez chwilę siedział nieruchomo z dłońmi na uchwycie szuflady. Powinieneś to zrobić, czy nie?

Wyjął z szuflady czysty arkusz papieru, zanurzył stalówkę w atramencie i zaczął pisać:

Drogi Rossie!

Ten list może Cię trochę zaskoczyć, ponieważ i dla mnie samego jest zaskoczeniem. Postanowiłem się ożenić i chcę, żebyś znalazł mi odpowiednia.. kobietę ...

Skończył pisanie i od razu wysłał list. Natychmiast opadły go wątpliwości. Co mu strzeliło do głowy, żeby zrobić coś tak niedorzecznego?

Przeklinając w duchu, opuścił budynek poczty. Co się stało, to się nie odstanie, pomyślał. Teraz wszystko jest w rękach losu. A los jest potężną siłą. Adrian nie miał ochoty wdawać się w rozmyślenia na ten temat, więc przyspieszając kroku, skierował się z powrotem do hotelu.

Godzinę później, zasypiając, nadal myślał o wysłanym liście.

Westchnął. Nic już nie można było zmienić ... chyba tylko modlić się, by Ross znalazł mu odpowiednią kandydatkę na żonę. Niezwykłą•

Kiedy jego zmęczony umysł odpływał już w kojącą ciszę snu, Adrianowi wydało się, że słyszy głos matki, jak często mu się zdarzało w dzieciństwie.

Mówiła:

- Uważaj, o co prosisz, Adrianie, bo możesz to dostać.

3

Szkocja Koń miał piekielny błysk w oku i biegał jak sam diabeł. Jeździec ściągnął wodze przed okazałym wejściem do zamku Dunford, przerzucił jedną nogę przez siodło i zeskoczył na ziemię, nim jeszcze wierzchowiec całkiem się zatrzymał.

Klepnął w zad wielkiego siwego wałacha, który ochoczo pokłusował do stajni, nie czekając, aż stajenny zdąży po niego przybiec.

Ross Mackinnon, księżę Dunford, zachichotał pod nosem.

Dobrze wiedział, że stajenny będzie wściekły, ale nic nie sprawiło mu większej przyjemności niż granie na nerwach temu krewkiemu szkockiemu góralowi. Do licha, pomyślał z zadowolaniem, zapowiada się piękny dzień.

Praczką, rozmawiającą z ogrodnikiem przy nagich pędach pnącej róży, widząc całe zdarzenie, szybko się przeżegnała, co było gestem dość niezwykłym! ja!< na zdeklarowaną prezbiteriankę.

- Jego Łaskawość nie pożyje długo, jak będzie tak jeździł - stwierdziła, patrząc, jak księżę wbiega na schody po dwa stopnie naraz i dosłownie wpada w ciężkie dębowe drzwi.

- Ano - zgodził się z nią ogrodnik, mrugając nerwowo, kiedy skrzydło drzwi uderzyło o ścianę. - Mówią, że jest tak samo dziki jak jego koń.

- Jeszcze dzikszys - sprostowała praczką, wolno kiwając głową - i pochodzi od tego samego diabła.

Ostrogi Rossa Mackinnona wzniecały iskry w zetknięciu z kamienną posadzką.

- Hmmm ... - odezwał się za nim jakiś głos. - Wasza Łaskawość ... ostrogi.

- Co? - zdumiał się księżę. Podążając za wzrokiem lokaja, spojrzął na swoje stopy. - Ach tak, rzeczywiście.

- Ściągnął ostrogi i rzucił je Robertowi. - To powinno podtrzymać miły nastrój mojej ślicznej żony - powiedział, mrugając porozumiewawczo.

- W istocie powinno, Wasza Łaskawość - rzekł Robert. - I pozwalam sobie z góry za to podziękować.

Donośny śmiech księcia wypełnił całe południowe skrzydło zamku Dunford.

Nadal rozbawiony Ross dotarł do biblioteki. Przysiadłszy na rogu biurka, machając luźno zwisającą nogą, przejrzał pocztę. Dostrzegł list od swego brata Adriana i otworzył go w pierwszej kolejności.

Przebiegł wzrokiem początek i aż odchylił głowę ze zdumienia.

Nie był pewien, czy dobrze zrozumiał to, co przeczytał. Z każdym kolejnym słowem coraz szerszy uśmiech rozciągał mu usta, a brwi unosiły się wyżej. Kiedy kończył, dosłownie trząsł się ze śmiechu.

- Niech mnie kule biją! - Zanosił się od śmiechu; aż musiał się chwycić krawędzi blatu, żeby utrzymać równowagę. - Adrian ... - rzekł do siebie z niedowierzaniem. - Kto by pomyślał? - Śmiał się jeszcze przez dobrą minutę. Kiedy wreszcie zmęczenie kazało mu przestać, posłał po swoją żonę.

- Bella! - zawołał niecierpliwie, słysząc w progu szelest żoninych spódnic. Uśmiechnął się, czując znajomy zapach wermibeny. Patrzył, jak się do niego zbliża, z wyrazem ni to zamyślenia, ni to rozbawienia na twarzy.

- Spójrz na to - powiedział, wręczając jej list.

Annabella wzięła zapisany arkusik, rzucając przy tym mężowi pytające spojrzenie.

- Przeczytaj - zachęcił Ross, sadowiac się w fotelu. - A potem porozmawiamy.

Czekał na opinię żony, nie spuszczać z niej wzroku.

W miarę jak przesuwiała wzrokiem wzdłuż linijek listu, widział kolejno uśmiech, uniesienie brwi, skinienie, zduszony okrzyk zdumienia, a wreszcie milczącą zadumę. Skończywszy, spojrzała na Rossa i wygięła śliczne wargi w uroczym uśmiechu. Ten uśmiech bynajmniej Rossa nie zaskoczył - Annabella kochała intrygi. Cóż w tym dziwnego? Przecież była kobietą.

Tak, pomyślał z błogością. I to jaką kobietą! I należała do niego.

- Ostatecznie nie prosi o zbyt wiele, prawda? - powiedziała ze śmiechem, oddając list Rossowi.

- Jedynie o słońce i księżyc - przyznał.

Ross nie mógł oderwać oczu od listu, podobnie jak nie mógł powstrzymać śmiechu. Adrian prosi o pomoc? Prędzej by uwierzył, że wężom wyrosną nogi. Pokręcił głową.

- Nie mieści mi się w głowie, że mój samowystarczalny braciszek zwrócił się do mnie o pomoc ... i do tego w znalezieniu mu żony. - Popatrzył na Annabellę. - Do licha, skąd Adrianowi wzięło się przekonanie, że ja będę umiał znaleźć mu żonę?

- W końcu znalazłeś mnie, prawda?

- To co innego - obruszył się, po czym szybko dodał: - Nie zapominaj, że kiedy cię poznałem, wcale nie szukałem żony. Po prostu miałem szczęście, że na ciebie trafiłem. Byłem tak przejęty tym, że muszę nosić kilt, że z początku nawet cię nie dostrzegłem. A kiedy to się już stało, od razu wiedziałem, że wpadniesz w moje ramiona.

Annabella zrobiła groźną minę, krzyżując ramiona na piersi. - Leslie Rossie Mackinnon, niczego podobnego wiedzieć nie mogłeś. Wpadnę w twoje ramiona, też coś! Mówisz o mnie jak o worku mąki. Ross uśmiechnął się, w ogóle nieprzejęty oburzeniem żony.

- Oczywiście, miałem przed sobą jeden drobny problem: musiałem cię najpierw wyrwać z objęć tego nicponia, z którym byłaś zaręczona.

- Tego mordercy, chciałeś powiedzieć - sprostowała Annabella.

Ross pokiwał głową, wiedząc, że wspomnienie śmierci brata Gavina jest dla Annabelli wciąż bardzo bolesne. Nie dając jej czasu na przygnębiające rozmyślenia, rzekł:

- Oczywiście przypadek Adriana jest zupełnie inny.

- Inny? Nie wydaje mi się, żeby był taki znowu inny. Przecież rozmawiamy o małżeństwie.

Ross przez chwilę nie odpowiadał.

- Tak, jest inny. Zupełnie inny. - Spojrzał na żonę z powagą.

- No, mów - zachęciła.

- Na miłość boską, Annabelle. Wiesz, co mam na myśli.

- Wcale nie jestem pewna, czy wiem. - Przyjrzała się z uwagą swoim wypielęgnowanym paznokciom. - Sam wiesz, że parę razy się pomyliłam.

- Daj spokój, Bello. - Na dobre stracił ochotę do żartów. - Mówimy o przyszłości mojego brata, która nagle spadła na moje barki. Ożenek to poważna sprawa.

- Doprawdy? Nie przypominam sobie, żebyś okazywał szczególną powagę, ścigając mnie przez pół Szkocji i pojawiając się z nienacka w różnych miejscach, niczym diabeł wyskakujący z pudełka. Sprawileś mi więcej kłopotów, niż mogłam się spodziewać.

- Jeśli dobrze pamiętam, najbardziej podobały ci się właśnie owe kłopoty.

- Och, ty! - skarciła go.

Odpowiedział łobuzerskim spojrzeniem.

- Zastanawiam się, co teraz knujesz - powiedziała.

- Knuję? Ja? - Zrobił minę urażonej niewinności.

- Aha, a Szkoci nie lubią whisky. No już, mów.

- Nic nie knuję, Bello. Naprawdę. Rozważałem tylko, co jest gorsze - wyznał, znów rozbawiony. - Żona pozbawiona poczucia humoru czy taka, która ma go w nadmiarze.

- Możesz mi wierzyć, lepiej, żeby miała - zapewniła. - Ale chyba zbaczamy z tematu. Brat poprosił cię o pomoc w znalezieniu dla niego żony. Zważywszy na okoliczności, wcale nie wydaje mi się to dziwne ... ani tym bardziej trudne. Uważam, że powinieneś być dumny z tego, że zwrócił się do ciebie zamiast do Alexa, który, jako bliźniak, jest mu przecież bliższy.

- W tym szczególnym przypadku owa bliskość sprawiła, że Adrian bał się mu zaufać. Alex zawsze był lekkoduchem, skorym do żartów i zabawy. Bóg jeden wie, jaka żona by się trafiła biednemu Adrianowi, gdyby poprosił o pomoc Alexa ... - Ross urwał gwałtownie, jakby nagle coś mu przyszło do głowy. - No i jest przecież ta sprawa z Katherine, czyżbyś zapomniała?

- Owszem, zapomniałam - przyznała Annabella. Z jej głosu także wyparowała wcześniejsza wesołość. Po

chwili namysłu, rzekła: - Rozumiem, że Adrian nie chce, by Katherine wiedziała, że potrzebuje pomocy w znalezieniu sobie żony.

- Nie chciałby też pewnie, by to ona pomagała mu w poszukiwaniach - dodał Ross.

- Nadal uważam, że jego prośba ci pochlebia, ale dość już o tym. - Falbanka lamująca dół spódnicy zadrżała, po czym Ross poznał, że Annabella stuka stopą o podłogę. - Właściwie czemu nie mielibyśmy spróbować pomóc twemu bratu?

- Och, Bello! Trudno znaleźć żonę dla kogoś innego, a to, że Adrian jest moim bratem, niczego nie ułatwia. Nie widziałem go od dziesięciu lat. Skąd mam wiedzieć, czego oczekuje od przyszłej żony? Nawet nie wiem, kogo powinienem szukać.

- Kobiety - odpowiedziała Bella, parszając śmiechem na widok miny Rossa. - Do swojego listu dołączył całkiem obszerną listę życzeń - wyjaśniła.

- Oboje wiemy, że jeśli popełnię błąd, będzie mnie winił do końca swojego życia... i mojego. - Ross pokręcił głową. - Ciężka sprawa. Największa trudność wcale nie w tym, by znaleźć kobietę spełniającą wymienione w liście warunki, choć i to wymaga niemałej fatygi, tylko by znaleźć taką, która zechce wyjść za kogoś, kogo nigdy w życiu nie widziała.

- Nie wydaje mi się to aż takie niezwykle. Przecież chodzi o coś w rodzaju aranżowanego małżeństwa, a te zawierano od wieków. Czytałam, że w niektórych częściach świata zamawianie pocztą narzeczonych jest bardzo popularne.

Ross pograżył się w zadumie.

- Wiesz - zaczął w końcu - najbardziej zdumiewa mnie nie to, że on prosi mnie o pomoc w znalezieniu żony, tylko fakt, że Adrian w ogóle chce się ożenić.

- Myślałeś, że nigdy się nie ożeni?

- Nigdy - odparł Ross bez cienia wahania. - Z powodu Katherine?

- Właśnie.

- Cóż, ja nigdy nie wierzyłam, że utrata Katherine na rzecz Alexa na zawsze zniechęci go do kobiet. Byłam pewna, że to tylko chwilowy uraz, nic więcej.

- Chwilowy uraz? Minęło ponad dziesięć lat.

- Nigdy nie spotkałam Adriana osobiście - przyznała Annabella. - Znam go jedynie z jego listów i z tego, co mi o nim opowiadałeś. Jednak wydaje mi się, że nie należy do mężczyzn, którzy przechodzą przez życie bez kobiety u boku... jak zresztą wszyscy, Mackinnonowie.

- Mam nadzieję, że to komplement - powiedział ze śmiechem Ross.

- Owszem. - Bella również nie zdołała powstrzymać wesołości.

Ross nadal nie wydawał się przekonany.

- Wierz mi, Adrian potrafiłby się oprzeć małżeństwu, podobnie zresztą jak wszystkiemu innemu. On jest zbyt uparty nawet na to, by umrzeć.

- Nie zgadzam się.

- Mówisz to tylko dlatego, żeby mi się sprzeciwić?

Annabella obrzuciła męża pełnym urazy spojrzeniem.

- Jak możesz sugerować coś podobnego, Rossie Mackinnon? - Westchnęła, próbując utrzymać powagę.

- Jak mogło ci to w ogóle przyjść do głowy?

- Przecież cię znam, moja droga - przypomniał jej z uśmiechem. - Lubisz mnie prowokować. -

Nieprawda!

- Ależ tak, prawda.

Zatrzepotała rękami, nieco przesadnie, co tym bardziej rozbawiło Rossa.

- Cóż, nie miej mi tego za złe - rzuciła, odsuwając się od niego; jej taftowa halka mocno przy tym zaszeleściła. - Kobiety rodzą się po to, by prowokować mężczyzn. - Spulchniła poduszkę na sofie. - Poza tym wtedy miewasz najlepsze pomysły.

- Czyżby?

- Oczywiście, ale znowu odchodzimy od tematu. - Spoważniała; oparła ręce na biodrach. - Nie wyobrażam sobie, żebyś kiedyś doprowadził rozmowę do końca, nie tracąc wątku, gdyby nie miał kto ci wskazywać właściwego kierunku. - Widząc, że chce odpowiedzieć, powstrzymała go gestem uniesionej dłoni. - Jak już wspomniałam przed chwilą, Adrian nie należy do typu wiecznych kawalerów.

- Bello, jak możesz tak twierdzić, skoro nawet go nie znasz? Wzruszyła ramionami.

- Już ci mówiłam. - Zmrużyła oczy. - W końcu jest twoim bratem, prawda?

W oczach Rossa pojawił się szczególny błysk, zdradzający szczere uwielbienie dla żony.

- Punkt dla ciebie, skarbie - przyznał.

Znów wziął do ręki list i przerzucił strony, zatrzymując się dopiero na wykazie pożądaných cech ewentualnej kandydatki. Przeczytał je ponownie, Ross aż zagwizdał.

- Bello, to poważna sprawa - zganiał żonę, słysząc jej z trudem powstrzymany chichot. - Przestań się śmiać.

Opanowała się, choć nie przyszło jej to łatwo.

- Nie można Adrianowi zarzucić, że nie wie, czego chce. Przeciwnie, ma jasno sprecyzowane oczekiwania. Mój Boże! Niewiele brakuje, żeby podał wymagany numer butów.

- Albo ...

Annabella zmroziła męża spojrzeniem.

- Mniejsza z tym -mruknął.

_ Aha - rzuciła, naśladowując szkocki akcent - mniejsza z tym. - Ja wcale nie jestem przekonany, że Adrian tak dobrze wie,

czego chce. Według mnie, po prostu wymienił wszystko, co mu przyszło na myśl, wychodząc z założenia, że im więcej poda szczegółów, tym mniejsza szansa na popełnienie błędu. W końcu IO nie on będzie musiał znaleźć kobietę spełniającą te wszystkie wymagania - powiedział Ross, uderzając w kartkę wierzchem doni. Jeszcze raz przebiegł wzrokiem listę. - Może przyszedł ci ktoś do głowy, kiedy czytałaś tę listę?

- Aha! - Annabella pogroziła mu palcem. - Nie próbuj zrzucić na mnie tego obowiązku, Rossie Mackinnon - ostrzegła, wycofując się tyłem w stronę drzwi. - To ty masz mu znaleźć żonę. - Odwróciła się i próbowała uciec.

Po pierwszej chwili zaskoczenia Ross rzucił się do wyjścia i zastąpił jej drogę.

- Oboje wpadliśmy jak śliwki w kompot - powiedział, biorąc żonę w ramiona i całując ją w usta. - Więc zachowuj się odpowiednio, żono. To sprawa rodzinna, kochanie, a ty próbujesz zostawić mnie samego na polu walki. Wstydź się - skarcił ją, znów dotykając ustami jej ust.

Oszołomiona pocałunkami Bella pochyliła głowę na bok. - To nieuczciwe zagranie.

Ross tylko wzruszył ramionami i znów ją pocałował. - Mężczyzna czasami nie ma innego wyjścia.

- Próbujesz mnie w to wciągnąć podstępem - stwierdziła, przy każdym słowie stukając go palcem w pierś.

- Możliwe, ale nic lepszego nie zdażyłem wymyślić. Może do jutra ... - zaczął, pieszczotliwie skubiąc wargami skórę najej szyi.

_ Nigdy nie znajdziesz żony swemu bratu, jak tak dalej pójdzie - ostrzegła, odchylając się do tyłu, żeby na niego spojrzeć.

- Może nie, ale za to będę się dobrze bawił.

- Ross, znowu odchodzisz od tematu.

- Chyba masz rację. Nie należy się rozpraszać. - I wyczuwając wzbierający w Annabelli śmiech, dodał: - Nadal uważam, że nie ma w tym nic śmiesznego. - Popatrzył na nią poważnie. - Nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Masz na myśli jakąś osobę?

Annabella namyślała się przez chwilę.

- Może - rzuciła tajemniczo. - Przeczytaj jeszcze raz ... tę część, gdzie wymienia najważniejsze cechy.

- Wszystkie pięćdziesiąt?

- Och, Ross, nie ma ich aż tak wiele.

- Co za różnica - mruknął, biorąc kartkę do ręki. Kręcąc głową, odczytał na głos pokazną listę.

Rzeczywiście, brat nie wymagał wiele, chciał jedynie dostać gwiazdkę z nieba.

... Musi być ładna i zgrabna, dobrze wychowana i wykształcona, pochodzić z dobrej rodziny o wysokim statusie społecznym. Innymi słowy, Drogi Bracie, jasnowłosa mleczarka nie przypadnie mi do gustu. Natomiast córka księcia lub coś w tym rodzaju miałyby szansę. I proszę Cię, bardzo proszę, nie trać czasu na jakieś głupiutki osiemnastolatki. Przekroczyłem już trzydziestkę. Dojrzałość, wdzięk i klasa przemawiają do mnie bardziej niż młodość. Tu muszę dodać słowo ostrzeżenia. Posiadanie potomstwa jest głównym powodem, dla którego szukam żony, więc nie przysyłaj mi kobiety starszej ode mnie ani takiej, która z racji wieku nie może już rodzić dzieci. I jeszcze jedno zastrzeżenie: ponieważ nie mogę wyjechać stąd na dłużej, chcę, żebyś wybrał odpowiednio.. kobietę i doprowadził do zawarcia małżeństwa, występując jako mój pełnomocnik, ma się rozumieć. Załączam czek na pokrycie kosztów jej podróży oraz wszelkich zakupów, jakie chciałaby poczynić przed przyjazdem tutaj.

Skończywszy czytać, Ross spojrział na Bellę, której ściągnięte usta oznaczały głęboką zadumę.

- To strata czasu, kochanie. Nawet sto lat nie wystarczy, żeby znaleźć taką kobietę - powiedział zniechęcony, odkładając list na biurko. - Do tego opisu najbardziej pasują osiemnastolatki, których on

akurat nie chce.

- Chyba masz rację..... przyznała Bella. - Każda starsza, dojrzała kobieta odpowiadająca tym kryteriom od dawna musi być zamężna.

- Albo od dawna nie żyje - dodał ponuro Ross, wysuwając szufladę biurka. - Przede wszystkim kobieta z dobrej rodziny, ciesząca się odpowiednią pozycją, nie zgodzi się na tego rodzaju związek. Chyba że będzie w sytuacji bez wyjścia. - Ross wyjął czysty arkusz papieru. - Odpiszę Adrianowi od razu. Musi f.rozumieć, że prosi mnie o rzecz niemożliwą. - Ross opadł na krzesło, wziął do ręki pióro i zanurzył je w atramencie.

- Chyba że jest w sytuacji bez wyjścia - powtórzyła cicho Annabel1a. Podniosła się z miejsca, nagle ożywiona. - Zaczekaj! →zawołała. Ross wzdrygnął się, ochlapując atramentem niemal cały arkusz.

- Przestań mnie straszyć, bo nigdy nie napiszę tego listu ...

- Wstrzymaj się - powtórzyła z naciskiem. - Co powiedziałeś przed chwilą?

- Powiedziałem, że odpiszę od razu ...

- Nie, wcześniej.

- O co ci chodzi? Że taka kobieta musiałaby być w sytuacji bez wyjścia ...

- Właśnie! - Bella klasnęła w dłonie. - Och, Ross, jesteś prawdziwym szczęściarzem. Masz mądrą żonę, która właśnie cię uratowała.

Ross wpatrywał się w nią, nic nie rozumiejąc.

- Mam idealną kandydatkę - oznajmiła triumfalnie Annabella. - Pasuje wręcz doskonale i sama się dziwię, że od razu o niej nie pomyślałam. - Zatarła ręce. - Och, tym razem przeszłam samą siebie. - Zbliżyła się do Rossa, żeby go ucałować. →Możesz się spodziewać wdzięczności, mężu. Mam żonę dla twojego brata.

- Chyba żartujesz.

- Jakżebym mogła?

- Oj, mogłabyś, mogła. Powiedz mi natychmiast, co wymyliłaś. Bez żartów.

- Margaret Ramsay. To nie żart, Ross. Maggie ma to wszystko, czego on by chciał, a nawet więcej - zapewniła z przekonaniem. - Rzeczywiście! - Świeżo rozbudzona nadzieja w oczach Rossa zgasła niczym zdmuchnięty płomyk. - W liczbie trzech sztuk, jeśli mnie pamięć nie myli.

- Jesteś doprawdy śmieszny.

- Bello, ona już była zamężna ...

- Z księciem Glengarry, zechciej pamiętać.

- Ale ...

Uciszyła go niedbałym machnięciem ręki.

- Proszę cię, Ross, pozwól mi dokończyć. Adrian nie pisze, że kandydatka musi by dziewicą czy panną. Sam przyznałeś, że taka kobieta musiałaby być w sytuacji bez wyjścia, a sytuacja Maggie Ramsay już gorsza być nie może.

- Bello, jeśli pošlę Adrianowi kobietę, która już była mężatką, do tego z trójką dzieci; to on mnie najpierw zastrzeli, a dopiero później będzie zadawał pytania.

- Właśnie dlatego, że już była zamężna i ma troje dzieci, jest doskonałą kandydatką.

Ross uniósł ręce w geście poddania.

- Nie wierzę własnym uszom.

- Ross, posłuchaj mnie przez chwilę. Adrian pragnie mieć rodzinę, a przecież zdarza się, że kobiety bywają nieplodne. A tu ma dowód, że Margaret jest płodna.

- Nawet trzy dowody. Trochę za dużo jak na mój gust.

- W twoich ustach brzmi to tak, jakbyśmy rozmawiali o przejeździe. Bądźże rozsądny. Sam wiesz, że ona pasuje jak ulał.

- Chyba nie mówisz poważnie.

- Jak najpoważniej - zapewniła. - Wiesz, że moglibyśmy szukać od dziś aż do Sądu Ostatecznego i nigdy nie znaleźlibyśmy kobiety takiej jak Maggie Ramsay. Jest inteligentna i dobl,'ze wychowana, ponadto ma więcej hartu ducha i wytrwałości niż dziesięć zwykłych kobiet razem wziętych ... co bardzo jej się przyda, jeśli ma wstąpić do klanu Mackinnonów. Powiadam ci, będzie wymarzoną żoną dla Adriana. Jej wrodzony spokój i dostojęństwo doskonale zrównoważają gwałtowny charakter.

- Taki spokój i dostojęństwo mogą wpędzić mojego brata w pijaństwo.

- Podobnie jak przedłużający się stan kawalerski. Maggie jest odpowiednią kobietą dla niego. Wiesz, że mógłby trafić gorzej. Jest obdarzona wielkim sercem i szlachetną naturą, jaką ma niewielu ludzi. A taki mężczyzna jak Adrian właśnie tego najbardziej potrzebuje. Niepotrzebna mu kobieta o gorącej głowie, skłonna do złości i hysterii. Maggie jest uczuciowa, a przy tym mocno stąpa po ziemi. - Bella nie dawała

sobie przerwać. - Doskonale przystosuje się do trybu życia Adriana. Co więcej, jej praktyczne usposobienie, bystry umysł i poczucie humoru bardzo jej pomogą, jeśli twój brat jest choć trochę podobny do ciebie. A teraz mi powiedz, Rossie Mackinnon, kto mógłby być lepszą kandydatką na żonę dla Adriana? Kate McN amara? Maura MacGregor? Jeanne Morris?

Ross kręcił głową, otrząsając się coraz mocniej przy każdym kolejnym nazwisku.

- Rozumiesz, o co mi chodzi? Ona jest aż za dobra. Gdyby nie rozpaczliwe położenie, w jakim się znalazła, Maggie nie chciałaby nawet słuchać o takiej propozycji. Ale wyjątkowe sytuacje wymagają wyjątkowych rozwiązań. Sam wiesz, że Maggie potrzebuje go tak samo, jak on potrzebuje jej. Kalifornia będzie dla niej świetnym miejscem, z dala od tych wszystkich zmartwień i cierpień, jakich tu doświadczyła. Zacznie tam wszystko od nowa. Możesz sobie wyobrazić, jak jej życie wyglądałoby tutaj ... jak bardzo musiałaby się obawiać, że ten straszny Adair Ramsay skrzywdzi Fletchera?

- Sam nie wiem - bąknął Ross, już mniej pewnie. - Mam wrażenie, że Adrian udławiłby się myślą o ożenku z kobietą, która miała już innego męża. A wiadomość o dzieciach do - prowadziłaby go do szafu i chciałby mnie zamordować.

- Cóż, mieszkamy na tyle daleko, że zanim tu dotrze, zdąży trochę ochłonać - zauważyła trzeźwo Annabella. - A jeśli nawet nie, zawsze się możesz schować za moją spódnicą - dodała, wybuchając śmiechem na widok miny Rossa. Poglądziła go po ramieniu. - Maggie Ramsay nadaje się dla niego, dobrze o tym wiesz. Można powiedzieć, że sam los zadbał o to, by się połączyli. I Bogu dzięki. - Wyglądziła zmarszczkę na surducie. - A co do dzieci, to Adrian sam przyznał, że ich pragnie ...

- Bello, on pragnie spłodzić własne dzieci, a nie dostać gotową gromadkę.

- A gdyby tak się ożenił z bezpłodną kobietą? Czy dopiero wówczas nie wpadłby jak śliwka w zupę?

- Śliwka w kompot - poprawił Ross, rozbrojony jak zawsze, gdy Annabella z wdziękiem przekręcała któreś z jego powie - dzonek.

- No dobrze - ustąpiła. - Nie kłóćmy się już o to. Musimy zapomnieć o różnicy poglądów i wspólnie wymyślić, jak prze - konać Margaret Ramsay, żeby wyszła za twojego brata.

- Dlaczego czuję się jak owieczka prowadzona na rzeź? - zastanawiał się na głos Ross.

- Nie mam pojęcia - odparła Annabella, unosząc brew. - Sądziłam, że postanowiliśmy dojść do porozumienia i zjed - noczyć siły.

- Nie pamiętam, żebyśmy coś takiego postanawiali - mruknął Ross - ale odnoszę wrażenie, że za chwilę mi wmówisz, że to w ogóle był mój pomysł.

Uznawszy się za pokonanego, Ross nie powiedział już nic więcej. Spojrzał tylko na żonę, która uśmiechała się, nie kryjąc zadowolenia.

4

Dwa tygodnie później książę i księżna Dunford jechali swoim nowym powozem na północ. Kołyszając się i podskakując na wybojach, przemierzali kolejne mile porośniętych wrzosem przestrzeni, z rzadka zatrzymując się na popas, aż wreszcie dotarli do domu ojca Margaret Ramsay, hrabiego Caithness. Natychmiast po przybyciu przedstawili Maggie Ramsay ofertę, której nie mogła odrzucić.

Maggie wpatrywała się w nich z otwartymi ustami, zbyt zaskoczona, żeby od razu odpowiedzieć.

- Małżeństwo? - wydukała w końcu. - Per procura? - Po - trząsnęła głową. Słowa Rossa dudniły jej w głowie niczym organowy akord.

Ross powiedział to tak, jakby wznosił toast.

- Chciałbym zaproponować ci małżeństwo z moim bratem w Kalifornii ... małżeństwo per procura ...

Wiedziała, że brat Rossa jest bogaty, a małżeństwo z zamożnym człowiekiem byłoby darem bożym dla każdej kobiety znajdującej się w tak trudnym położeniu jak ona, ale wychodzić za mężczyznę, którego zupełnie się nie zna? Wyjść za Amerykanina i opuścić Szkocję?

Ross zmarszczył czoło.

- No i co, Maggie, co ty na to?

Spojrzała na niego bezradnie.

- Ja ... nie jestem pewna. Jestem zaskoczona. Oniemiałam.

- Niema kobieta - stwierdził Ross, po czym, odwracając się do Belli, dodał: - Miałaś rację, kochanie, ona będzie do - skonałą żoną.

- Och, na litość boską, Ross, daj jej złapać oddech. Zastrzeleś ją tym pytaniem. Potrzebuje czasu, żeby pomyśleć. Nie śpiesz się - zwróciła się do Maggie. - Adrian był kawalerem przez ponad trzydzieści lat.

Parę dni więcej nie robi mu różnicy.

- Nie oczekiwałem, by udzieliła mi odpowiedzi natychmiast - obruszył się Ross. - Chciałem jedynie poznać

jej pierwsze wrażenie.

- Szok - wydusiła z siebie pobladła Maggie. - Nie wiem, co powiedzieć.

- Myśl o małżeństwie z moim bratem wydaje ci się odrażająca? - dociekał Ross.

Maggie przez chwilę patrzyła na niego bezradnie, a potem nagle się uśmiechnęła.

- Powiedziałam, że jestem zaskoczona, nie głupia.

- Można chyba śmiało powiedzieć, że Adrian jest z natury bardziej wrażliwy od Rossa ... Tak, nawet koza jest bardziej wrażliwa - stwierdziła Bella, rzucając mężowi wymowne spoj-rzenie.

Ross odchrząknął.

- Cóż, Maggie, nie chciałem cię przestraszyć tą propozycją, ale ... chodziło mi o to ... - Poszukał wzrokiem wsparcia u żony. -Może ty potrafisz ująć to lepiej, kochanie - zakończył.

Annabella uścisnęła go ze śmiechem.

- Dwulatek poradziłby sobie lepiej. Mężczyźni z klanu Mac-kinnonów nie słyną z talentu do wyrażania tego, co myślą.

Annabella opowiedziała Maggie o Adrianie Mackinnonie, kończąc słowami:

- Sama teraz rozumiesz, dlaczego człowiek o jego pozycji musiał się zdać na pomoc brata w poszukiwaniu żony.

- Adrian jest w stanie dać ci wszystko, czego zapragniesz - powiedział Ross. - Świetlaną przyszłość dla twoich dzieci, wspaniały dom ... wszystko, czego tylko zechcesz.

Oprócz miłości, pomyślała Maggie ze smutkiem. Jakie to typowo męskie, zachwalać pieniądze i majątek, podczas gdy ona pragnęła tego, czego nie można kupić. Tego, co miała, będąc ż.oną Bruce'a.

- Rzeczywiście, w obecnej sytuacji moja przyszłość nie przedstawia się zbyt wesoło, więc rozważałam ponowne wyjście

za mąż. Miałam już nawet jedną propozycję...

- Twój ojciec mi wspominał - wtrącił Ross. - Mówił mi, że oświadczył ci się jakiś mężczyzna, zbyt stary dla ciebie.

- To prawda, był całkiem stary - przyznała Maggie. - Ale nie mogę wyjść za mąż tylko dla pieniędzy. Po prostu nie mogę

- Oczywiście, że nie możesz - podchwyciła Annabella, siadając obok Maggie i obejmując ją ramieniem. - Dlatego doszliśmy do wniosku, że Adrian będzie dla ciebie odpowiednim partnerem. Jest młody i, owszem, zamożny, do tego przystojny i stanowi dobrą partię, jak kiedyś jego brat. Co ważniejsze jednak, jest wrażliwym, czułym mężczyzną, zdolnym do głębokiej miłości.

Ross uniósł wysoko brwi, ale nic nie powiedział.

- Małżeństwo per procura - odezwała się wreszcie Maggie. -Nigdy o takim nie słyszałam.

Jednak nim książę i księżna zakończyli swój trzydniowy pobyt, Maggie nie tylko usłyszała, ale też wyraziła na nie zgodę.

W dniu, kiedy zamierzali wyjechać, Maggie dołączyła do nich w gabinecie ojca, żeby omówić szczegóły zaślubin i późniejszej podróży do San Francisco.

Do tego czasu Ross nabrał przekonania, że Maggie jest odpowiednią kobietą dla jego brata. Czuł, że wraz z Annabellą spełnili dobry uczynek, namawiając Maggie do podjęcia tej decyzji. Jednakże w naturze Rossa nie leżało oszustwo, podobnie jak nie miał zwyczaju manipulować innymi ludźmi, dlatego też postanowił zagrać w otwarte karty.

- Choć jestem głęboko przekonany, że doskonale pasujesz do Adriana - powiedział - czuję, że muszę być z tobą zupełnie szczerzy, Maggie. Mówiąc wprost, masz przed sobą trudne zadanie. Mój brat nie należy do osób łatwych we współżyciu. Jest uparty i miewa humory, do tego bywa cyniczny, ale raczej szczeka niż gryzie. Ma trzydzieści jeden lat i nigdy nie był żonaty. Jest bogaty, samotny i zgorzkniały. Potrzebuje w życiu kobiety takiej jak ty, kogoś, dzięki komu znów zaczniesz się uśmiechać.

Po ostatniej uwadze Maggie spojrzała pytająco najpierw na Rossa, potem na Annabellę.

- Kobieta, którą kochał, wyszła za jego brata bliźniaka -wyjaśniła Bella. - Adrian nigdy się z tego nie otrząsnął.

- Nie zrozum tego źle - włączył się Ross. - Katherine była dziewczyną Adriana tylko w jego wyobraźni.

Nigdy nie zwracała uwagi na nikogo poza Alexem. Po tym, jak Katherine i Alex się pobrali, Adrian zastąpił pragnienie posiadania kobiety potrzebą osiągnięcia sukcesu i bogactwa. Jest jednym z najbogatszych ludzi w Kalifornii, ma wielkie przedsiębiorstwo obrotu drewnem. Ale prawda jest taka, że o kobietach nie ma zielonego pojęcia.

- Kochanie, nie strasz Maggie tego rodzaju uwagami. Zostaw jej listy od Adriana. Niech je przeczyta.

Annabella wychyliła się do przodu; żywa zieleń sukni podkreślała głęboką czerń jej bujnych włosów,

oświetlonych migotliwym blaskiem padającym od kominka. Patrząc na żonę, Ross zapomniał, co chciał powiedzieć. Jakże różniła się od Maggie, całej w odcieniach rudości i brązów. Kiedy jednak napotkał spojrzenie Maggie, musiał przyznać, że ma cudowne oczy. Zanotował sobie w myślach, by wspomnieć o tym w liście do Adriana.

Było też kilka spraw, o których nie mógł wspominać, takich jak poprzednie małżeństwo Maggie i jej dzieci. Ta decyzja nie przyszła Rossowi łatwo. Dopiero po długich rozmyślaniach postanowił zataić te wiadomości przed Adrianem. Nie chodziło o to, by przedstawiać Maggie jako kogoś, kim nie była. Po prostu Ross znał Adriana na tyle dobrze, by wiedzieć, że fakt, iż Maggie była już zamężna i do tego posiada potomstwo,

może się jego bratu nie spodobać, przynajmniej na początku. Ross nie wątpił, że pisząc list, Adrian miał na myśli pannę, co było całkiem zrozumiałe. Żaden mężczyzna szykujący się do ożenku, i to pierwszego w życiu, nie pragnie wdowy obciążonej dziećmi, chyba że się w niej zakocha. I na to właśnie liczył Ross. Ross wiedział, że nawet jako dorastający chłopiec Adrian zawsze czuł się tym drugim, za swoim bliźniaczym bratem, lowarzystym, bezpośrednim Alexem. Kiedy wszedł w wiek męski, stało się jasne, że nie brak mu ambicji i jest gotów pokazać całemu światu, że potrafi przewyciężyć swoją przeszłość. I rzeczywiście mu się to udało. Przez lata czytając listy od Adriana, Ross coraz wyraźniej dostrzegał, że brat staje się człowiekiem, który oczekuje i przyjmuje tylko to, co najlepsze. Teraz przecucie, i to całkiem mocne, podpowiadało Rossowi, że Adrianowi będzie przeszkadzał nie tyle fakt, że Maggie była już raz zamężna, co odkrycie, że znów znalazł się na pozycji tego drugiego.

Dopiero ostatniej nocy, leżąc w łóżku, rozmawiał o tym z Annabellą. Z początku była zaskoczona, że Ross w ogóle bierze pod uwagę takie oszustwo. Jednakże po długiej dyskusji była skłonna zmienić zdanie.

- Chyba masz rację, ale martwię się o Maggie. Jak myślisz, co się stanie, jeśli Adrian dowie się o wszystkim, zanim się w niej zakocha?

- Doceni Maggie od razu, kiedy tylko ją zobaczy.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Ross zachichotał.

- Nie zastrzeli jej, jeśli tego się obawiasz.

- Wiesz, że nie o to mi chodzi. Bądź poważny, Ross. Ostatecznie rozmawiamy o przyszłości Maggie.

- Masz rację, kochanie - zgodził się z nią, już poważnym tonem. - Adrian będzie rozczarowany, nawet zły, kiedy się dowie o jej przeszłości, ale nie jest głupcem. Szybko sobie uświadomi, że nigdy by nie znalazł takiej kobiety jak Maggie ... ani wolnej, ani zmężnej. - Ross odwrócił się do żony, żeby ją pocałować. - Poza tym, to na mnie Adrian będzie zły. Gdybym był tam na miejscu, zażądałby pojedynku na pistolety, ale mnie tam nie będzie, a mój brat nie jest z natury okrutnikiem. Będzie wiedział, że Maggie nic tu nie zawniła.

Annabella nie wyglądała na przekonaną.

- Jesteś pewien?

- Owszem. Na tyle pewien, by twoja śliczna główka mogła pozostać spokojna. Obiecuję, że napiszę do Adriana ... w swoim czasie, ma się rozumieć, i wyznam mu swój grzech zaniechania. Zadowolona?

- Tylko jeśli pozwolisz mi najpierw przeczytać ten list. - Annabella zmarszczyła czoło w wyrazie namysłu. - Sama nie wiem, może powinienem przynajmniej uprzedzić Maggie.

- Nie. Zastanawiałem się nad tym i doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie utrzymać ją w nieświadomości.

- Dlaczego?

- Ponieważ wówczas Adrian nie będzie mógł jej winić za oszustwo, o którym nie miała pojęcia. - A po chwili zastanowienia dodał: - I jeszcze jedno: nie sądzę, by Maggie zgodziła się na to małżeństwo, gdyby wiedziała.

- Ja też nie sądzę, ale mógłbyś odczekać, aż będzie po ślubie, a wtedy ...

- Nie jestem pewien, czy wówczas pojechałaby do Kalifornii - zauważył Ross.

Annabella westchnęła.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Bądź spokojna. Jak mówi przysłowie: "Najlepiej unika pułapek ten, kto sam umie je zastawiać".

Ponieważ Ross w głębi duszy czuł, że robi to, co należało zrobić, nie miał wyrzutów sumienia, wyprawiając nieświadomą podstępnie Maggie do Kalifornii. Z bożą pomocą Adrian będzie w niej tak mocno zakochany, nim pozna wszystkie okoliczności, że nawet nie weźmie pod uwagę zerwania małżeństwa.

Ross spojrzał na żonę i znów zaczął słuchać uważnie.

- Gdy przeczytasz listy Adriana, z pewnością go polubisz -

SEKWOJE

mówiła Annabella, poklepując Maggie po ręce. - On cię potrzebuje, Maggie. Jeszcze bardziej, niż ty potrzebujesz jego, jak sędzę.

Stojąc w progu domu i machając Rossowi i Annabelli na pożegnanie, Maggie zastanawiała się, jak to możliwe, że zgodziła się na ich propozycję. Gdy tylko powóz gości zniknął za wzgórzem, weszła do domu, zamykając za sobą drzwi.

Podawała ojcu filiżankę herbaty i otuliła mu nogi szetlandzkim szlafrokiem, wiedząc, że po wypiciu herbaty starszy pan utnie sobie drzemkę przy kominku. Opuściwszy ojca, udała się na górę, gdzie znalazła Maude, głośno czytając Ainsley bajkę. Posadziła sobie Ainsley na kolanach i ucałowała ją w czubek głowy.

- A gdzie się podziewa twój braciszek? - spytała.

Ainsley wskazała na drzwi, zerkając przy tym w stronę Maude.

- Poszedł z Barrie do kuchni, żeby kucharka przyniosła nam tacę - wyjaśniła Maude. - Mamy proszoną herbatę.

Maggie jeszcze raz ucałowała córkę, która zsunęła się z jej kolan.

- Będę w gabinecie ojca, gdybyście mnie potrzebowali. Schodząc po schodach, Maggie myślała o pakieczku listów czekających na dole i o człowieku, którego miała z nich poznać. Myślała o tym, jak uczciwie postąpił Ross Mackinnon, mówiąc jej prawdę o swoim bracie, i o tym, jak sama postąpiła nieuczciwie, godząc się na małżeństwo z powodu swej sytuacji. Jedynie mocne postanowienie, że postara się być dobrą żoną dla Adriana Mackinnona, łagodziło w niej poczucie winy.

Sadowiąc się w fotelu przed kominkiem, Maggie wzięła do ręki pakieczek poślizgniętych listów, rozwiązała sznureczek i otworzyła pierwszą kopertę wyciągniętą ze spodu.

Trzy godziny później odłożyła na wierzch ostatni list i ponownie związała pakieczek sznurkiem.

Wiele się dowiedziała o Adrianie Mackinnonie z tego, co sam napisał. Jeszcze więcej dowiedziała się z tego, o czym nie napisał. W nieco melancholijnym nastroju spoglądała w ogień, rozmyślając o tym dziwnym człowieku, który tak wiele powiedział o sobie, pisząc o sekwojach i życiu w obozie drwali. Jego listy były inteligentne, dobrze napisane, oryginalne i zawierały mnóstwo faktów, a bardzo niewiele uczuć. Powiedziały jej, że Adrian Mackinnon jest dumnym mężczyzną i został zraniony, głęboko zraniony.

Jednakże to opisy ziemi i życia, jakie kochał, dały Maggie najwięcej informacji o tym, jakim człowiekiem jest Adrian Mackinnon.

Myślę, że to bezkresność i nienaruszona dzikość tego kraju budzi w człowieku pokorę i rzuca go na kolana. Kiedy zapuszczasz się pięć mil w głąb sekwojowego lasu i widzisz najwyższe drzewa na świecie wznoszące się dwieście pięćdziesiąt stóp nad Twoją głową" nie możesz nie poczuć ręki Boga na swoim ramieniu. Rośnie tu roślina o liściach podobnych do koniczyny. Nazywamy ją sekwojowym szczawiem. Ilekroć promień słońca przedrze się przez korony sekwoi i padnie na nią, jej liście stulają się niczym maleńkie dłonie złożone do modlitwy.

Istnieje coś większego niż ludzkość, większego niż samo stworzenie, coś, co mogę jedynie nazwać obecnością Boga. Co uświadamia człowiekowi, jak mało znaczy, jak niewielką część wszechświata zajmuje kaidy z nas.

Adrian był z natury poważny, lecz w jego listach były też przebłyski humoru. Kiedyś, opisując siebie Annabelli, napisał:

Nie jestem taki rozmowny jak Twój mąż. Z tego co pamiętam, Ross potrafił swym gadulstwem wzniecić pożar, podczas gdy o mnie można by powiedzieć, że jestem w stanie rozpalic ogień w kominku.

Ze strzępków informacji uzyskanych od Rossa Maggie dowiedziała się, że Adrian Mackinnon ma ciemne włosy i niebieskie oczy oraz że jest wysoki i szczupły. Jednak bardziej interesowały ją inne rzeczy, takie

jak brzmienie jego głosu, sposób trzymania głowy, wyraz oczu, kiedy patrzył na sekwoje, które tak pięknie opisywał. Była ciekawa, jak się zachowywał wobec ukochanej kobiety. Myślała też o bardziej intymnych sprawach. Na przykład, jakim jest kochankiem. Czy delikatnym i troskliwym jak Bruce, czy też porywczym i szorstkim? Czy daje tyle samo, ile bierze, czy tylko wymaga?

Odpowiedzi na te pytania miał przynieść czas.

Wciąż nie mogła zapomnieć o jednym, choć wcale nie chciała o tym myśleć - odnosiła wrażenie, że Adrian Mackinnon nie należy do ludzi, którzy łatwo wybaczą. Trochę ją to przerażało, ale w końcu sama miała wiele cech typowych dla Szkotki, więc wierzyła, że jakoś sobie poradzi.

W końcu Adrian Mackinnon i tak miał wiele szczęścia, że trafiła mu się kobieta taka jak ona, gotowa go w ciemno poślubić. Może nie dorównywała urodą olśniewającej Annabelli czy nawet tej jego Katherine, ale dobry Bóg uznał za stosowne obdarzyć ją zdrowym rozsądkiem i pogodną naturą. Adrian Mackinnon powinien zrozumieć, że poślubiając go, odpowiedziała na wyzwanie, a nie zrobiła tego z litości. Może odnosiła z tego korzyści, ale była uczciwa i potrafiła również dawać.

Bez wątpienia mógł trafić znacznie gorzej.

Tego wieczoru przy kolacji opowiedziała o swych zamiarach ojcu. Stary hrabia obrzucił ją pochmurnym spojrzeniem.

- Wiem, co chcesz powiedzieć, ale się mylisz, ojcze. Przyjęła bym propozycję Rossa Mackinnona, nawet gdybyś był najbogatszym człowiekiem w Szkocji. - Maggie podniosła się zza stołu, podeszła do kredensu i wyjęła kryształową karafkę, po czym naląła ojcu kolejny kieliszek czerwonego wina, które lekarz zalecił mu na żołądek. - Zmiana kraju to właśnie to, czego potrzebujemy, ja i dzieci. Tutaj zbyt wiele przypomina mi życie z Bruce'em.

- Miałem cię za osobę, która przed niczym nie ucieka.

- Nie uciekam. Po prostu zaczynam wszystko od nowa. Z tego co słyszałam o życiu w Kalifornii, jest to wspaniała okazja dla dzieci i wyzwanie dla mnie.

- Zawsze lubiłaś odpowiadać na wyzwania - przyznał. - Wiem, że postanowiłaś nie zabierać ze sobą dzieci, kiedy tam pojedziesz.

- Tak, zostawię je tu, żeby przyjechały później z Maude.

Fletcher i Barrie rozumieją, ale najbardziej martwię się o Ainsley". bo jest jeszcze taka mała.

Rozmawiałam z nią o tym i pozwalałam jej pomagać przy pakowaniu. Sprawiałam jej kuferek, żeby mogła zacząć pakowanie także swoich rzeczy. Wie, że zostanie tu z Fletcherem i Barrie i że dojadą do mnie później z Maude. Zaznaczyłyśmy już, ile to jest sześć miesięcy, w kalendarzu. Ainsley stawia krzyżyk przy każdym upływającym dniu. Wie, ile czasu upłynie, nim do mnie dołączą. Ross Mackinnon zamówił nawet u pewnego człowieka w mieście model statku, na którym odbędą podróż, a ja i Maude czytamy im o Ameryce wszystko, co tylko wpadnie nam w ręce.

- Zatem jesteś całkiem zdecydowana?

Maggie spojrzała na ojca. Zawsze był wysokim, silnym mężczyzną, a teraz ... wydawał się taki kruchy. Był stary. Nie potrzebował dodatkowego ciężaru zmartwień o nią i jej dzieci. Choć nie mogła znieść myśli, że musi go opuścić, wiedziała, że tak będzie najlepiej.

- Tak - potwierdziła. - Jestem zdecydowana.

- A to małżeństwo? Rozumiem, że zostanie zawarte już wkrótce?

- Annabella i Ross wrócą tu za dwa tygodnie. Ross wszystko załatwi tak, by ślub wtedy się odbył.

Wszystko poszło tak, jak było zaplanowane. Dwa tygodnie po rozmowie z ojcem Margaret Sinclair Ramsay poślubiła Adriana Mackinnona, w zastępstwie którego wystąpił jego brat Ross, księżę Dunford. Po ceremonii Maggie odprowadziła Annabellę i Rossa do powozu. Ross pomógł żonie wejść do środka, po czym serdecznie uściśnął Maggie.

- Witaj w klanie Mackinnonów - powiedział. - Czuję, że uszczęśliwisz mojego brata.

- Mam nadzieję, że twój brat poczuje to samo, kiedy zobaczy, co mu przysłałaś - odparła ze śmiechem.

Oczy Rossa zaszyły mgłą wzruszenia.

- Poczuj. Wiem, że tak będzie. - Jeszcze raz objął nową bratową. - Zaufaj mi, Maggie. I pamiętaj, lepiej się uśmiechać na końcu, niż śmiać na początku.

Noc poślubną spędziła nad wielkim kufrem w swoim pokoju, pakując resztę rzeczy. Kiedy ostatnie ubrania zniknęły w środku, zamknęła wieko i usiadła na nim. Rozejrzała się wokół siebie.

Jakie to dziwne, wrócić do domu po dziesięciu latach małżeństwa. Jakie dziwne być mężatką, matką trojga dzieci i pewnego ranka obudzić się wdową, a wkrótce potem wprowadzić się do swego

panieńskiego pokoju.

Teraz pokój wydawał się pusty i nagi, zniknęły rzeczy, które nagromadziła w nim przez ostatni rok. Po raz drugi w życiu pakowała się, żeby opuścić ten pokój i ten dom. Tyle że tym razem została żoną człowieka, który mieszkał na drugim końcu świata. Amerykanina. Mężczyzny, którego nigdy nie widziała.

Nie opuszczała jej myśl, jak będzie wyglądał. Jak będzie się czuła w ramionach innego mężczyzny? Czy będzie umiała znieść jego bliskość? Czy będzie przystojny? Silny? Czysty? Czy da jej czas na oswojenie się z nim, zanim ją weźmie do łóżka?

Czy ją pokocha? I czy ona kiedyś pokocha jego?

Spojrzała na złotą obrączkę na palcu. Była szersza od tej, którą dał jej Bruce. Och, Bruce, Bruce, dlaczego muszę teraz o tobie myśleć? Zasmuciła się.

- Adrian - powiedziała cicho. - Muszę myśleć o Adrianie.

Tylko o Adrianie.

Schodząc na dół, po zapachu rodzynek i obieranych owoców poznała, że Jean piecze ciasto.

W kuchni było pusto. Jean nie miała w zwyczaju tam przesiadywać, kiedy gdzie indziej było coś do zrobienia. Maggie wzięła opróżnioną miskę do wyrabiania ciasta i siadając na stole jak kiedyś, gdy była małą dziewczynką, zaczęła wylizywać resztki słodkości wyskrobane z dna. Pamiętała dzień, kiedy jej matka kupiła tę miskę. Były wtedy w Edynburgu ... Szybko odrzuciła te wspomnienia; matka nie żyła od wielu lat i myśląc o tamtych czasach, Maggie poczuła się stara.

Wyskrobawszy do czysta brzegi miski, oblizwała łyżkę. Smak mielonych migdałów i skórki pomarańczowej przypominał jej jakieś odległe, egzotyczne miejsca. Nagle poczuła ciekawość, jak będą smakować pocałunki Adriana Mackinnona.

Serce zatrzepotało jej w piersi. Od tak dawna nie czuła tego ciepłego, znajomego skurczu pożądania, więc wydało jej się tym bardziej dziwne, że poczuła go teraz, myśląc o mężczyźnie, którego nawet nie знаła. Jeszcze raz przyjrzała się obrączce. Choć w środku czuła ciepło promieniujące z głębi brzucha, obrączka była zimna.

Zeskoczyła ze stołu i odstawiła miskę na blat koło zlewu.

Wyszła z domu, kierując się w stronę stodoły. Cullen i Cloutie, owczarki ojca, podbiegły do niej i próbowały ją lizać po rękach.

Długo szła przed siebie, tak długo, że znużone psy wróciły do domu. Nawet tego nie zauważyła. To mógł być jej ostatni spacer po pachnących wrzosowiskach, nad tajemniczym jeziorem o zimnych, mrocznych głębinach. Szła tuż przy brzegu, spoglądając w dal ponad lekko zmarszczoną powierzchnią wody.

W szędzie, gdzie spojrzała, wszystko, na co popatrzyła, było nieskończenie szare, nieskończenie ciche i nieskończenie jej drogie. Przysiadła na omszałym kamieniu, wpatrując się w taflę jeziora, na której wiatr podnosił drobne falki, i myślała o swojej ojczyźnie. O Szkocji, silnej, niezłomnej i dumnej. Przypomniały jej się słowa Adriana o sekwojach i o wspartej na ziemi ręce Boga. Ręka Boga mogła być w Kalifornii, ale jego serce z pewnością było tu, na Pogórzu Szkockim.

Wstała tak gwałtownie, że jakaś spłoszona kuropatwa podrywała się spośród wrzosów. Kuropatwy i wrzosy. Były tą częścią Szkocji, za którą na pewno będzie tęsknić. Nie za jeleniami i łososiami, ponieważ z listów Adriana wynikało, że jest ich w Kalifornii pod dostatkiem. Ale dobrze znajomy trzepot skrzydeł kuropatwy i lawendowe poławie wrzosowisk ... musi pożegnać na zawsze, tak samo jak dźwięk szkockich dud. Wracając do domu, zastanawiała się, czy bardzo jej będzie brakowało tego szkockiego dziedzictwa. A może wkrótce zaniknie w niej niczym celtycki język?

Miesiąc po zawarciu małżeństwa per procura z Adrianem Mackinnonem Maggie wyruszyła do San Francisco.

Podczas pierwszego tygodnia na morzu zaczęła prowadzić dziennik, dokonując w nim zapisków co wieczór po przeczytaniu jednego z listów Adriana do brata. To dziwne, jak wiele się z tych listów dowiadywała. Przejrzawszy listę swoich obserwacji, zapisała w dzienniku: "Jest dumnym mężczyzną i przez tę dumę czasami wydaje się szorstki i nieczuły. Zdołał stworzyć potężne imperium. Jest jednym z najbogatszych ludzi w Kalifornii, ale dokucza mu samotność. Wprawdzie nigdy by się do tego nie przyznał, ale to prawda. Woli myśleć, że jest samowystarczalny, że nie potrzebuje ... nikogo".

Z tego, co Ross opowiadał jej o swojej rodzinie, Maggie wiedziała, że pomiędzy Adrianem i jego bratem bliźniakiem Alexem zawsze istniała rywalizacja. Według Rossa, Alex był bardziej śmiały, czarujący, zawsze dostawał to, czego chciał, a Adrian zawsze pozostawał na drugim planie, zawsze o krok lub dwa w tyle. Ten kompleks jeszcze się w nim utrwalił, kiedy Alex poślubił kobietę, w której Adrian podkochiwał się od dziecka.

Maggie zamknęła dziennik, myśląc o Adrianie z niespodziewanym współczuciem. Niewiele zaznał w życiu ciepła i czułości, a według niej właśnie tego najbardziej potrzebował. Pochylając się, żeby zdmuchnąć lampę, przypomniała sobie coś, co Ross powiedział w dniu ślubu.

Adrian nie należy do mężczyzn, którzy zakochują się od pierwszego wejrzenia. Jest przekonany, że wszyscy, których pokocha, kiedyś go opuszczą, więc będzie robił wszystko, żeby cię zniechęcić, żebyś uciekła z powrotem do Szkocji, by mógł sobie w ten sposób dowiedzieć, że się nie myli. Napisałem mu o tobie. Będzie potrzebował trochę czasu, żeby się oswoić z faktem, że byłaś już zamężna. Nie każ mu o tym rozmawiać. Pozwól raczej, by sam podjął ten temat, kiedy będzie gotowy. Nie wymagaj, by o tym mówił czy to rozumiał. Musi upłynąć trochę czasu, nim się z tym upora. I pamiętaj, czas działa na twoją korzyść.

5

Obudziły ją jakieś głosy.

Wstrzymując oddech, nasłuchiwała przez chwilę. Tak, bez wątplenia to były głosy jej córeczek, Barrie i Ainsley, słodkie, czyste i po dziecinnemu wysokie. Rozbrzmiewały jej w głowie, dodając otuchy. Dziecięce głosiki, beztroskie i szczęśliwe, wyśpiewujące jakieś głupstwa. Czy na pewno głupstwa?

Liście, po.ki, kwiaty, korzeń, Chcesz kłopotów, to się ożeń.

Na wpół ze strachem, na wpół z nadzieją Maggie otworzyła oczy. Rozejrzała się dookoła, ale w maleńkiej kajucie wszystko wyglądało tak samo, jak poprzedniego wieczoru. Nie było jej dzieci.

Dobiegły ją odgłosy wiatru i morza, ale dziecięce głosiki nie umilkły, jasne i wyraźne, wracały do niej upartą melodią prostych rymów, jak wspomnienia zrodzone z cierpienia i rozpacz.

Jeszcze nigdy nie była z dala od swoich dzieci dłużej niż kilka dni i teraz ich nieobecność bolała niczym rozdartą raną. Tęknęła za nimi, marzyła, żeby je do siebie przytulić. Wiedziała, że ta rozłąka kiedyś się skończy, ale jej cień miał na zawsze pozostać w matczynym sercu.

Maggie podeszła do kufra i wyjęła miniaturowe portrety swoich dzieci. Fletcher wyglądał bardzo poważnie, a Barrie miała minę, którą tak często u niej widywała. Mała Ainsley uśmiechała się nieśmiało. Łza spłynęła po policzku Maggie, spadając na portret naj młodszej córeczki. Maggie wytarła ją starannie. Moje maleństwa, załkała w duszy. Moje maleństwa. Żałowała, że zdecydowała się je zostawić, ale skąd mogła wiedzieć, że tęsknota będzie aż tak bolesna? Nawet jej się nie śniło, że rozstanie będzie takie trudne.

Nigdy. Przyszły jej na myśl słowa Dantego: Nessun maggior dolore. Che ricordarsi del tempo felice Nella miseria. "Nie ma nic smutniejszego niż wspomnianie w żalu czasów, kiedy byliśmy szczęśliwi".

Leżała bezsennie przez długie godziny, patrząc na księżyc przez małe okrągłe okienko, dręczona wspomnieniami i żalem, aż wreszcie, nie wiedząc kiedy, zapadła w sen.

Wydawało jej się, że nie jest już w kajucie ani nawet na statku; miała wrażenie, że została przeniesiona do krainy mgieł i kamieni. Stała samotnie w ciemności pośród wrzosowiska, wiatr szarpał jej spódnicę, rozwiewał włosy. Wokół niej rozlegały się głosy i najpierw odległe, potem coraz bliższe wycie wilków. Zobaczyła swoje dzieci i przywołała je do siebie, lecz wilki otoczyły ją, warcząc, z kłami ociekającymi pianą.

Nagle, niczym uderzenie pioruna, nie wiadomo skąd pojawił się wielki ptak, podobny do świetlistego orła, rozjaśnił ciemność, przeganiając nocne stwory, i uniósł ją ze sobą.

Znajdowała się w dziwnym miejscu, w jakimś obcym kraju, podobnym do Szkocji, choć to nie była Szkocja. Znów widziała swoje dzieci, lecz kiedy wyciągnęła rękę, żeby ich dotknąć, dłoni przeszła przez nie na wylot, a ich postacie rozplynęły się przed jej oczyma.

Obudziła się z mocno walącym sercem, zlana potem. Usiadła na łóżku, kurczowo zaciskając palce na kocu. Zdawało jej się, że słyszy:

Kiedy się tu spotkamy jeszcze? Gdy błysnie piorun, luna.. deszcze? Gdy wrzawa ciszy ulegnie, Ktoś zwycięży, ktoś poległ.

Czarownice z "Makbeta"? Czyżby traciła zmysły? Strach dławił ją w gardle. Co się z nią dzieło?

Powietrze w maleńkiej kajucie zafalowało, przynosząc jej nieco ulgi. Znów się położyła.

Tej nocy nie miała już więcej snów.

Promień słońca zajrzał przez bulaj i osiadł miękko na twarzy Maggie. Przewróciła się na drugi bok, osłaniając oczy ramieniem. Przez chwilę zmagala się ze wspomnieniem przynębiających snów, lecz nie należała do osób zwykłych rozczulać się nad sobą, więc szybko zajęła umysł myśleniem o przyszłości.

Najważniejszym zadaniem, jakie sobie postawiła, był wybór odpowiedniego stroju, ponieważ miała świadomość, że od pierwszego wrażenia, jakie wywrze na Adrianie, będzie w pewnym stopniu zależało

to, co nastąpi później. Poderwawszy się z łóżka, stanęła przed niewielkim lustrem, wiszącym na ścianie; sama je tam umieściła za pomocą grudki smoły. To z pozoru proste przedsięwzięcie wymagało sporo szkockiego sprytu i cierpliwości. Teraz stała przed lustrem i krytycznie przyglądała się swemu odbiciu, czując na palcach lepkie pozostałości smoły. Postukując niecierpliwie palcami stopy, przechyliła głowę na jeden bok, potem na drugi, unosząc przy tym wysoko włosy. Miała ładną, czystą cerę, gęste błyszczące włosy i równe białe zęby. Jej orzechowe oczy były wprawdzie duże i wyraziste, ale jak na angielskie standardy trochę za duże i zbyt szeroko rozstawione. Podobnie usta mogły być uznane za zbyt pełne, karnacja za zbyt smagłą, a barwa włosów za nieokreśloną, ni to płową, ni to rudą. Nie odziedziczyła ani jasnych kolorów po nordyckich przodkach swojej matki, ani kruczej czerni po celtyckiej linii ojca.

Maggie miała w sobie coś, co podobało się mężczyznom, którzy lubili słowne potyczki z wykształconymi kobietami o bystry umysł i ostrym języku. Niemal odruchowo sięgała po swój cięty dowcip, ilekroć przyszło jej się zmierzyć z mężczyzną. .. każdym mężczyzną.

Zanim wyszła za Bruce'a Ramsaya, była jedną z najbardziej pożądanym kobiet w Szkocji, jeśli nie dla urody, to dla swego nieodpartego wdzięku.

A teraz miała świadomość, że w ciągu następnych paru godzin będzie jej potrzebny cały wdźwięk, jaki tylko

zdoła z siebie wyrzesać. Co ją opętało, żeby poślubić zupełnie nieznanego człowieka, wsiąść na statek i całkiem samotnie przepłynąć pół świata, żeby się z nim spotkać? I choć stojąc przed lustrem, widziała w nim spokojną, opanowaną postać, w środku aż się trzęsała z niepewności.

Pukanie do drzwi kabiny przerwało jej rozmyślenia.

- Tak?

- Kapitan kazał powiedzieć, że wkrótce zawijamy do portu - odezwał się jakiś głos.

- Nie mogę się doczekać - odpowiedziała przez zamknięte drzwi. Usłyszała, jak poślaniec zachichotał i odszedł.

Po przedłużających się przymiarkach, kiedy wszystkie stroje zaczęły jej się wydawać takie same, wybrała podróżną suknię z chińskiego jedwabiu w zielono-różowe pasy. Trzy rzędy falbanek na spódnicy podkreślały wcięcie w pasie tak udatnie, że jej obwód w talii sprawiał wrażenie, że wynosi najwyżej pięćdziesiąt trzy centymetry, a dopasowana góra podkreślała zgrabny kontrast między szczupłymi ramionami i miękko zaokrąglonymi biodrami. Odgarnęła włosy do tyłu i spięła je w schludny węzeł, a potem stanęła pśrodku kajuty, udając, że płaszcz zwisający z lampy jest mężem, z którym ma się spotkać.

Wyciągnęła rękę.

- Pan musi być Adrianem Mackinnonem - powiedziała. Niezadowolona potrząsnęła głową.

Zbyt oficjalnie.

Jeszcze raz wyciągnęła rękę.

- Witam, jestem ... - urwała.

Jak powinna siebie nazywać? Pani Mackinnon? Maggie Mac-kinnon? Margaret? Twoja żona?

- To śmieszne. - Odwróciła się na pięcie i tupnęła ze złością. - Daj sobie spokój z tymi wszystkimi przymiarkami i próbami - powiedziała do siebie, ruszając ku drzwiom. - Niech diabli wezmą konwenanse - dodała, skrzępiąc w długi, ciemny korytarz, nie zadawszy sobie nawet trudu, by ściągnąć płaszcz z lampy. Chwilę później była już na pokładzie, skąpanym w słońcu. - Tak jest znacznie lepiej - stwierdziła z ulgą w głosie.

Po raz pierwszy od kilku dni widziała słońce i choć poza skrawkiem czystego błękitu niebo nadal zasłane było chmurami, świat od razu wydał jej się bardziej radosny. Spędziwszy cały ranek w dusznej kabinie, tym chętniej podeszła do relingu, gdzie lagodna bryza muskała jej policzki, a powietrze nasycone było słonawym zapachem oceanu. Mgła na szczęście opadła, więc mogła patrzeć, jak "Stonehenge", opuściwszy żagle, bezgłośnie i zwinnie niczym szkocki łosoś lawiruje przez labirynt statków zakotwiczonych w Zatoce San Francisco, żeby zacumować na swoim miejscu przy nabrzeżu.

Schodząc n~ dół po płaszcz i czepek, Maggie zauważyła, że jej bagaże zostały już zabrane z kajuty. Nim trzykrotnie poprawiła wiązanie czepka, tak żeby kokarda wypadła równo pod brodą, i wróciła na górę, słońce już się schowało za chmury, a pierwsze ciężkie krople deszczu znaczyły pokład ciemnymi plamami.

- Cudownie - mruknęła pod nosem, zerkając na pociemniałe niebo. - Przynajmniej nie muszę się martwić tym, że będę stać na brzegu jak głupia, nie wiedząc, co powiedzieć.

Nie, dodała w duchu, pobiegiesz do powozu i będziesz tam siedziała mokra i trzęsała się jak głupia, nie wiedząc, co powie~dzieć.

Pół godziny później nadal stała na brzegu, mokra i trzęsąca się, w otoczeniu swoich kufrów i kilku podejrzanych typów, kręcących się zwykle po porcie, a strugi deszczu spływały po jej parasolu i wsiąkały w płaszcz. Rozejrzawszy się, stwierdziła, że większość pasażerów, którzy wysiedli wraz z nią, już odjechała.

Osamotniona i zziębnięta, w coraz gorszym nastroju, Maggie zagryzła wargę i zacisnęła dłonie w pięści, próbując opanować niepokój. Nie mogła się poddawać obawom i podejrzeniom, które zaczynały ją osaczać. Przecież to niedorzeczność, by czuła się porzucona i niechciana. Ostatecznie przebyła pół świata, a Adrian przybywał na jej spotkanie z północnej Kalifornii. Nie miała prawa wymagać idealnej punktualności, a oczekiwanie, że spotkają się natychmiast, było po prostu dziecinne. Zamierzała poczekać jeszcze kilka minut. Jeśli Adrian się wkrótce nie pojawi, poszuka kogoś, żeby dostarczył jej bagaże do jakiegoś miłego hotelu, i zostawi u kapitana statku stosowną wiadomość.

Ganiąc się w duchu za melodramatyczne wizje, owinęła się szczelnie płaszczem i przysiadła na najmniejszym kufrze, opierając splecione ręce na wiklinowym koszyku umieszczonym na kolanach. Starła się nie słyszeć upartego głosu we własnej głowie, który złośliwie podsuwał jej pytanie: "A jeśli on nie zjawi się ... nigdy?"

Zbyt praktyczna, by poddawać się panice, usiłowała skupić myśli na dwóch sprawach: pytaniu, co powinna zrobić, jeśli Adrian nie przyjedzie, oraz dobrych stronach sytuacji, w jakiej się znalazła. Z pewnością pozytywne było to, że będzie miała dom i możliwość rozpoczęcia nowego życia dla siebie i swoich dzieci.

Dzieci.

Tęskniła za nimi. Przysięgła sobie już nigdy się z nimi nie rozstawać. Nagle sobie uświadomiła, że tak naprawdę dobrze zrobiła, nie zabierając ich ze sobą, ponieważ nie miała pewności, czy kiedykolwiek wydobędzie się z tego portu. Tak, to też była dobra strona sytuacji.

Przemoczona do nitki, Maggie uznała, że czas poszukać jakiegoś środka transportu, który by ją zawiózł do hotelu. Czas był najwyższy, więc rozprostowała ramiona, uniosła głowę i właśnie podnosiła się z kufra, kiedy zalaną deszczem ulicą podjechał błyszczący czarny powóz.

Człowiek siedzący w środku przyglądał jej się dobrą minutę, zanim go dostrzegła. Wystarczyło mu tego czasu, by stwierdzić, że ma przed sobą najdzielniejszą kobietę, jaką było mu dane widzieć w życiu. Wiedział, że nie ma prawa jej tego powiedzieć; zapewne spiorunowałyby go wzrokiem, gdyby miał czelność choćby wspomnieć o jej dzielności. Jednakże samo spojrzenie wiele mu o niej powiedziało; był pewien, że należała do istot, które nie cofają się przed życiem i dzięki swemu instynktowi przetrwania są zdolne pokonywać wszelkie przeszkody.

A więc to jest ta mała Szkotka, pomyślał, uśmiechając się pod nosem. Na oko miała w sobie tyle energii co huragan, a takie kobiety nigdy nie godzą się z porażką.

Uniósłszy wzrok, Maggie zobaczyła, że drzwi powozu się otwierają i ze środka wysiada jakiś olbrzym. Na widok uśmiechu rozjaśniającego szeroką, ogorzałą twarz serce zaczęło jej łomotać, a żołądek niemal podszedł do gardła. Walcząc z nagłą słabością, która ogarnęła ją niczym czarna chmura, ujrzała w wyobraźni ukochaną twarz Bruce'a Ramsaya. Och, Bruce, Bruce, krzyczała jej w duszy, mój mężu, moja miłości, co ja uczyniłam? Jak mogę być żoną tego człowieka? Jak mogłam to zrobić? Mimo bólu w sercu Maggie odetchnęła głęboko, unosząc twarz na strugi zimnego deszczu; krople wilgoci spadające z nieba mieszały się z jej łzami.

Kiedy zamknął drzwi powozu, ruszył ku niej przez ulicę, poczuła ostre ukłucie rozczarowania. Był wielkim, zwalistym mężczyzną i choć wyglądał pocziwie, nie było w nim nawet cienia dystynkcji. To przecież nie może być mój mąż, pomyślała z rozpaczliwą nadzieją, że owo rozczarowanie nie jest wypisane najej twarzy. On w niczym nie przypomina Rossa! W niczym!

Próbowała sobie powtarzać, że mogło być gorzej, że mógł się okazać podobny do któregoś z tych nieokrzesanych marynarzy, wprawiających ją w zakłopotanie bezwstydnymi pożądanymi spojrzeniami ... albo do któregoś z tych, którzy przyglądali jej się otwarcie, kiedy czekała w porcie. Jednakże, mimo szczerych i usilnych starań, nie potrafiła w sobie zdusić dotkliwego uczucia zawodu. Ten człowiek po prostu w niczym nie przypominał mężczyzny, jakiego sobie wyobrażała.

Jedynie, na co było ją stać, to robienie dobrej miny do złej gry. Ostatecznie wyszła za tego człowieka. I musiała się z tym jakoś pogodzić. Z ciężkim westchnieniem zmusiła się do uśmiechu, kiedy zbliżał się do niej, brnąc przez błotnistą ulicę.

Był na tyle blisko, że widziała, jak błoto opryskuje mu nogawki spodni, słyszała mlaśnięcia błota pod jego butami przy każdym kroku. Zauważyła jego nienormalnie wielkie stopy, co nasunęło jej kolejną natrętą myśl: "Dobry Boże, oby tylko reszta nie była w tych końskich rozmiarach". Zaraz potem, zawstydzona,

splonęła rumieńcem.

Przez chwilę przyglądali się sobie nawzajem. Maggie widziała w oczach olbrzyma samą łagodność, podczas gdy on, jak to się często zdarzało, wydawał się zaskoczony niezwykłą barwą jej tęczy.

- Pani musi być panią Mackinnon - odezwał się wreszcie, wyciągając do niej potężną dłoń i potrzęsając jej ręką.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, rozejrzał się po nabrzeżu, po czym spojrzał na nią pytająco.

- Pani Mackinnon, tak?

Maggie pokiwała głową, poruszając przy tym ustami, ale wyraz potwierdzenia zabrzmiał zbyt cicho, by można go było usłyszeć. Olbrzym przyjął jej skinienie z wyraźną ulgą. Człowiek, którego miała przed sobą, w żaden sposób nie pasował do wyobrażenia delikatnego, wrażliwego mężczyzny, jakiego знаła z listów. Nawet jego głos nie miał cech świadczących o wykształceniu i ogładzie, których oczekiwała; Patrząc, jak bezskutecznie wyciera ręce w szmatę wyciągniętą z tylnej kieszeni, miała ochotę zapłakać, głośno i rozpaczliwie, jak tamtego dnia, kiedy pochowała Bruce'a Ramsaya.

Myśl o dobrych stronach, o czymś pozytywnym, powtarzała sobie w duchu.

Natychmiast odkryła, że jest spokojnym, raczej jowialnym człowiekiem. I cieszącym się dobrym zdrowiem, sądząc po krzepkiej posturze. Był rozłożysty niczym szkocka sosna, a jego nogi przywodziły jej na myśl potężne maszty statku. Ma miłe spojrzenie i pewnie jest dobry dla swojej trzody i ludzi, którzy dla niego pracują. .. co w żaden sposób nie przesądza, jak będzie traktował żonę.

Z bijącym mocno sercem, drżąc na całym ciele, wydusiła z siebie:

- Czy to pan ...

Olbrzym odrzucił do tyłu wielką głowę i roześmiał się głośno. Zbita z tropu, Maggie miała ochotę dźgnąć go parasolem za grubiaństwo, ale mimo wszystko była zadowolona, że się śmiał. Ostatecznie śmiech był całkiem miłym odgłosem, a jeszcze miłsze było to, co usłyszała.

- Nie jestem pani mężem, pani Mackinnon. Boże miłosierny, taka śliczna kobieta zasługuje na coś lepszego niż taka stara wojenna szkapka jak ja.

Maggie uśmiechnęła się szeroko.

- Dziękuję za komplement, ale nie powinien mnie pan nazywać śliczną. Nie jestem urodziwa, za to szczerą. Prawda nie rani.

Jeśli nawet był zaskoczony tą szczerością, nie dał tego po sobie poznać.

- Niech pani nie oczekuje, że będę przepraszał, bo nie mam takiego zamiaru. Pani nie widzi urody, ale ja widzę. A piękno powstaje w oczach patrzącego, tak mi przynajmniej mówiono.

- Dziękuję.

Odchrząknął, zanim znów się odezwał.

- Nie widzimy zbyt wielu kobiet w tych stronach, pani Mackinnon, a jeśli już, to nie są tak wytwornie ubrane i nie pachną tak ładnie. Prawdę mówiąc, gdyby założyła suknię i czepek na stylisko od topora, tutejsi mężczyźni zdejmowaliby kapelusze i gapili się z otwartymi ustami. - Maggie musiała mieć dziwną minę, bo olbrzym roześmiał się serdecznie. - Nazywam się Carr. Eli Carr. Pracuję dla pani męża. Można powiedzieć, że jestem czymś w rodzaju jego prawej ręki. Zabiorę panią na północ ...

Mówił dalej, lecz Maggie go nie słyszała. Uczucie nieopisanego ulgi sprawiło, że aż zachwiała się na nogach. Eli wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać.

- Oj, widzę, że jeszcze nie przywykła pani do chodzenia po lądzie - stwierdził. - To musi potrwać jakiś czas. Proszę się oprzeć o starego Eliego, aja zagwiżdżę na woźnicę. Powóz zaraz tu do nas podjedzie. - Rzuciwszy okiem na falbaniasty brzeg sukni wystający spod płaszcza, dodał: - Każę mu podjechać całkiem blisko, żeby sobie pani nie zabłociła ubrania.

Chciała mu powiedzieć, że odrobina błota nie zrobi jej większej różnicy, bo i tak już przemokła na wylot, ale nie zdążyła, bo przenikliwym świstem przywołał powóz i pomógł jej wsiąść do środka.

- Pomóż mi zapakować kufry - rzucił do woźnicy. Załadowawszy bagaże, Eli wsiadł do powozu, zajmując miejsce naprzeciw Maggie.

- Jedziemy na spotkanie z panem Mackinnonem? - spytała.

- Nie, proszę pani. Przejedziemy tylko na drugą stronę portu. Tam wsiądziemy na inny statek, "Wanderlust", który zawiedzie nas na północ.

Maggie oniemiała. Dopiero co doznała największej w życiu ulgi dowiedziawszy się, że nie jest żoną tego człowieka, a tu czekało ją następne rozczarowanie; jej mąż nie uznał za stosowne powitać ją osobiście. Najwyraźniej Adrianowi Mackinnonowi nawet w połowie nie zależało tak jak jej na wywarceniu korzystnego wrażenia. Coś ścisnęło ją w gardle na myśl, że spędziła prawie cały ranek na przymierzaniu sukni, żeby

jak najlepiej wyglądać, podczas gdy on nawet nie raczył się pojawić. Zrobiło jej się przykro.

- Mój mąż ... pan Mackinnon nie przyjedzie, jak rozumiem?

- Nie, proszę pani.

- Czy będzie z mojej strony nietaktem; jeśli spytam dlaczego, panie Carr?

- Pani mąż wyjechał w zeszłym tygodniu do Puget Sound, proszę pani. Przed wyjazdem nakazał, żebym odebrał panią w San Francisco i sprowadził do obozu, jeśli nie zdąży wrócić na czas. Jestem pewien, że będzie na miejscu, nim dotrzemy na północ od Zatoki Humboldta. Nie mógł się doczekać pani przyjazdu. - Jakby wyczuwając jej rozczarowanie, dodał: - Pani IllaŻ zadbał, żeby pani dostała najlepszą kajutę na statku. Będzie tam pani wygodnie.

_ Jeśli tylko nie będzie padać, to już wystarczy - zapewniła. - Jestem przemoknięta do nitki, a nie wydaje mi się, żeby pan Mackinnon był szczęśliwy, witając kichającą żonę. - Wyjrzała przez okno, więc nie mogła zauważyć wyrazu podziwu w oczach Illiego.

Eli Carr jeszcze o tym nie wiedział, ale właśnie spadła na niego pierwsza dawka uroku, rzuconego przez Maggie MacKinnon.

_ Mackinnon będzie zaskoczony, że trafiła mu się żona nie tylko mądra i dzielna, ale też obdarzona miłym, wielkodusznym charakterem. Ta kobieta ma ikrę. Niech mnie diabli, jeśli się mylę - szepnęła do siebie.

Maggie zwróciła ku niemu głowę. - Mówił pan coś, panie Carr?

_ Proszę nie zwracać na mnie uwagi, pani Mackinnon. Po prostu głośno myślałem. Ciągle mi się to zdarza.

_ Mnie także, panie Carr. Mnie także - wyznała Maggie z uśmiechem.

Droga na północ przypominała wyprawę do piekieł; w ryżących ciemnościach statek skakał po falach jak dziecinna zabawka. Kołysząca się pod sufitem naftowa lampa rzucała po ścianach kajuty dziwaczne cienie, pograżając całe wnętrze w nieprzyjemnym półmroku. Było ciemno, zimno i cuchnęło stęchlizną, jak w grobie. Na zewnątrz było zbyt mroczno, by cokolwiek zobaczyć, ale Maggie słyszała huk wzburzonych fal, smaganych wyjąłym dziko wiatrem. Statek uparcie zmierzał na północ, jęcząc i skrzypiąc, a Maggie była coraz mocniej przekonana, że to, co ją otacza, to zimna wersja piekła. Ze zmarzniętymi nogami i rozedrganym żołądkiem położyła się na koi. O zaśnięciu nie było co marzyć, więc skupiła całą uwagę i energię na tym, by utrzymać się w pozycji leżącej na cienkim materacu. Modła się, by kolejne szarpnięcie statku nie zrzuciło jej na podłogę, kurczowo chwytając się sztormdeski. Mogła mieć tylko nadzieję, że podróż do obozu nie potrwa dugo.

Trwała dwa dni. Dwa dni zimnych posiłków i zimnej kajuty.

Maggie nie była pewna, czy nie dostanie zapalenia płuc. Jeszcze nigdy tak nie zmarzła, a w końcu pochodziła ze Szkocji.

Następnego ranka wpłynęli do portu.

Eli dołączył do Maggie stojącej na pokładzie i patrzącej na swą nową ojczyznę.

- Zdenerwowana? - zagadnął.

- Nie - odparła, spoglądając ufnie na Eliego. - Postanowiłam, że mi się tu spodoba. A podjęcie decyzji to już połowa sukcesu. Życie mnie nauczyło, że w każdej sytuacji można znaleźć jakieś dobre strony, jeśli się tego pragnie. - Utkwiła wzrok w obozowisku widocznym na brzegu. - To moja przyszłość - stwierdziła. - Tu jest moje miejsce, więc nie będę rozmyślać o przeszłości.

Jeszcze nigdy nie czuła się taka samotna. Stojąc na nabrzeżu, patrzyła, jak "Wanderlust" wypływa z zatoki, i przypominała sobie, że postanowiła polubić to, co tu zastanie. Tylko że wówczas nie wiedziała, jakie to będzie trudne. Odwróciła się, żeby znów spojrzeć na obóz, i stwierdziła, że nie wygląda wcale lepiej niż przed chwilą. Tworzyły go nieliczne prymitywne zabudowania i ułożone w sągi drewno na zaśmieconym placu, wystające pnie, trociny, gapiący się ludzie, nieprzyjazne psy i sterty drzewnych ścinków. Jednym słowem, miejsce takie samo jak praca, która się tu odbywała. Maggie stała na brzegu, jakby ktoś jej przybił spódnicę do ziemi; nie była w stanie się poruszyć, sparaliżowana gorzkim rozczarowaniem i nagłą, nieprzepatą tęsknotą za domem. Nie powinnam była tu przyjeżdżać, tłukło jej się po głowie. Powinnam była zostać w Szkocji.

Tylko że w Szkocji wcale nie układało jej się najlepiej. Nie myślała o tym, dopóki sobie nie przypomniała o Adairze Ramsayu. Wyraz jego twarzy tamtego dnia w Glengarry Castle pojawił się przed jej oczyma i nie chciał zniknąć. Wytężyła całą siłę woli, żeby odegnać poczucie zagubienia i tęsknoty za domem, ganiąc się w duchu za mazgajstwo. Fletcher stanowił śmiertelne zagrożenie dla Adaira Ramsaya i tego wszystkiego, co podstępnie im odebrał. Słusznie uczyniła, przybywając do Kalifornii. Tu jej dzieci będą

mogły zacząć nowe życie. Tu Fletcher będzie bezpieczny.

Bezpieczny. Aż zadrżała, przypomniawszy sobie groźbę Adaira Ramsaya. Na moment zrobiło jej się ciemno przed oczyma.

"Niech pani tylko spróbuje mieszać, a już ja dopilnuję, żeby pani pożałowała. Nie ma takiego miejsca, gdzie bym pani nie znalazł. Chłopak jest podobny do ojca. Nie chciałbym, żeby poszedł w jego ślady". Maggie pomyślała o swojej długiej podróży ze Szkocji do Ameryki. Teraz, kiedy była tak daleko, Adair Ramsay zapomni o Fletcherze, rozumiejąc, że chłopiec nie stanowi już dla niego zagrożenia. To wystarczyło, by podnieść Maggie na duchu i upewnić ją w przekonaniu, że dobrze zrobiła, wychodząc za Adriana Mackinnona i opływając pół świata, by do niego dołączyć jako żona. Fletcher będzie tu bezpieczny. Już sama odległość uniemożliwi Adairovi wszelkie knowania. A z czasem ten niego dziwy człowiek uwierzy, że Maggie nie ma zamiaru upominać się o stracony tytuł.

Eli dotknął jej łokcia.

_ Nie wygląda najlepiej, ale to najgorsza część obozu - powiedział. - Kiedy się oddalimy od brzegu i dotrzemy do środka, zobaczy pani, że nie jest aż tak źle. Proszę poczekać, aż pani zobaczy swój nowy dom. To prawdziwa, wspaniała posiadłość. Nie ma drugiej takiej w tych stronach.

_ Domyślam się, że musi być piękna, panie Carr, choćby dlatego, że pan tak twierdzi. - Maggie przyglądała się w milczeniu, jak Eli dyryguje ludźmi, mocującymi jej bagaże z tyłu wozu.

_ Zawieźcie to do dużego domu - polecił. - I noście ostrożnie. W środku są rzeczy tej pani, delikatne rzeczy, takie jak filizanki i tym podobne. - Zwracając się do Maggie, dodał: - Dobrze mówię, pani Mackinnon?

- Owszem. Bezcenne filizanki - potwierdziła z żartobliwą przesadą.

Eli rozciągnął wargi w uśmiechu. Dał woźnicy znak do odjazdu i wóz powoli ruszył.

- Jeśli zechce pani tu chwilę poczekać, sprowadzę jakiś transport, żeby panią zawieźć do domu.

Maggie patrzyła, jak biegnie, zadziwiająco szybko jak na człowieka o takiej posturze, przez zawałony drewnem plac do długiego, niskiego baraku po drugiej stronie. Od wody dął zimny wiatr, szarpał jej spódnicą, w górę kłębiły się nieprzyjemne chmury. Niebo przybrało barwę ciemnego, mokrego łupku, powietrze pachniało wilgocią. Maggie stała na niewielkim drewnianym pomoście, rozpaczliwie walcząc z dławiącym poczuciem opuszczenia. Znajdowała się w obcym miejscu, otoczona przez obcych ludzi. Miała nadzieję, że Eli wróci po nią, nim na dobre się rozpadą.

Zaczynało kropić, kiedy pojawił się wyraźnie rozczerowany. - Powiniennem być panią wsadzić na wóz razem z bagażami - oznajmił. - W tej chwili nie ma w obozie żadnego wolnego pojazdu. Będę musiał zabrać panią do biura. Tam pani może poczekać, aż wóz wróci. Przykro mi, nic więcej nie mogę zrobić. Głupiec ze mnie - dodał tonem przeprosin.

Maggie spojrzała na budynek z wyblakłym szyldem, na którym było napisane KALIFORNIJSKA KOMPANIA DRZEWNA, a pod spodem: ADRIAN MACKINNON - WŁAŚCICIEL.

Odległość nie była duża, ale ziemia gładka. I znów padało. Eli podążył za jej spojrzeniem, zatrzymując wzrok na głębokich koleinach pozostawionych przez koła wozu. Widząc jego zakłopotanie, świadoma, że jest mu niezręcznie prowadzić ją przez błoto, a równocześnie nie ma śmiałości zaproponować, że ją przeniesie, Maggie postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Rozłożywszy parasol, oddała Eliemu swój wiklinowy koszyk i uniosła brzeg spódnicy.

- Mój ojciec zawsze mawiał: "Jeśli Szkot boi się wyjść na deszcz, nigdy nie zazna ruchu". Idziemy?

Eliemu wyraźnie ulżyło.

- Przepraszam za to wszystko - powiedział ze skruchą. - Chyba głupio zrobiłem, odsyłając wóz z pani rzeczami.

- Panie Carr, nie będę więcej słuchać pańskich przeprosin - powiedziała Maggie ze śmiechem. - Proszę mi wierzyć, jestem gotowa przeczłochać się przez to bagno, byle dotrzeć do jakiegoś ciepłego, suchego miejsca.

Jedną ręką podtrzymując fałdy spódnicy, drugą wsparła się na jego ramieniu i ruszyła przed siebie. Błoto było lepkie i głębokie. Niemal natychmiast poczuła, jak przemakają jej cienkie buciki. Po dwóch krokach jedną nogę miała już bosą.

- Pomogę pani - zaferował Eli, kiedy schyliła się, żeby wydobyć utopiony pantofel. Nim zdążył podtrzymać ją za łokieć, straciła równowagę i wylądowała w błocie na czworakach. Nieśmiało uniosła głowę; nawet z daleka widziała, że wszystkie oczy skierowane są na nią - gapiów musiało być około stu pięćdziesięciu.

Śmiertelna cisza niemal przyprawiła ją o łzy. Czowała na sobie wzrok Eliego i nawet nie patrząc w jego stronę, wiedziała, że czuje się tak samo bezradny jak ona.

Jeszcze nigdy w życiu nie stała w błocie na czworakach.

Rozpaczliwie próbując się pocieszyć, uznała, że ktoś, kto tego nie doświadczył, nie poznał pełni ludzkich doznań. Poza tym błoto przecież łatwo można zmyć, a osoba, która zawsze robi tylko to, co stosowne i rozważne, ma bardzo nudne życie.

- Nie mówił mi pan, że macie tu aż tyle błota - wykrztusiła, a potem roześmiała się, stając na nogach dzięki pomocnej dłoni Eliego. - Widzę, że pierwszym moim zakupem będzie para solidnych butów.

Wsparta na ramieniu Eliego zrobiła trzy kroki, tracąc drugi pantofel. Zawahała się tylko na moment, po czym ruszyła dalej, nie próbując szukać zguby. Ostatecznie co za pożytek z jednego pantofla?

- Kiedy byłam dzieckiem - powiedziała - zazdrościłam kołniam, że mają cztery nogi i mogą pędzić szybko jak wiatr. Dopiero dziś zrozumiałam, jaka wdzięczność należy się Bogu, że w swej nieskończonej mądrości dał nam tylko po dwie.

Eli wybuchnął gromkim śmiechem.

- Pani Mackinnon, gdyby pani była mężczyzną, poklepałbym panią po ramieniu.

Maggie puściła go, stając o własnych siłach.

- Dziękuję, panie Carr. Dalej sama sobie poradzę. Wyprostowała ramiona i uśmiechnęła się, a potem ruszyła

dziarsko przed siebie, podbijając serca wszystkich mężczyzn w obozie, którzy patrzyli, jak nowa żona Adriana Mackinnona idzie do nich, bosa i ubłocona.

6

Przylądek wznosił się nad wodą niczym zaciśnięta pięść wygrazająca niebu. Poniżej wielkie fale waliły o skały z wściekłością nacierającego barana i pokonane, spokojnie wracały w głąb morza, znacząc się na zielonej otchłani już tylko strzępami białej piany.

Była w tej scenerii dzikość, przypominająca Maggie rodzinne strony, ponieważ to miejsce, podobnie jak Szkocja, zrodziło się z gwałtu na ziemi. Widok tego surowego skrawka łądu budził w niej mieszane uczucia, był miły sercu, ale też zaprawiony goryczą, budził wspomnienia i skłaniał do bolesnych refleksji. Zaciśnęła dłonie na kolanach i zamknęła oczy, wdychając głęboko zapach morza. Na myśl o Szkocji poczuła tęsknotę, najsilniejszą od czasu, gdy opuściła spowite mgłą brzegi ojczyzny.

Tak, to jest Szkocja, pomyślała. Szkocja, zanim nastał w niej smutek. Ponieważ tu nie pobrzmiwały echa celtyckiej mowy, nie snuły się duchy dzielnych dudziarzy, odzianych w kilty wojowników, wiatr nie opowiadał tragicznej sagi królów i królowych. Smutek jeszcze nie naznaczył tego miejsca swoim piętnem. Serce jej się ścisnęło, łzy zapiekły pod powiekami. Tak, smutek był bliźniaczym bratem Szkocji. Czyżby jej siostrą była rozpacz?

Wyczuwając jej nastrój, Eli ściągnął lejce i nacisnął stopą na hamulec, zatrzymując wóz. Spojrzał na smagany przez nieprzyjazne morze przylądek.

- Człowiek czuje się tu, jakby był ostatnią istotą pozostałą na ziemi, co?

Maggie miała sucho w gardle. Nie patrzyła na Eliego, nie musiała na niego patrzeć, by wiedział, że właśnie tak się czuła. Samotna. Opuszczona. Jak miała mu o tym powiedzieć? Jak miała prostymi słowami wyrazić uczucia, jakie budziło w niej to miejsce? A przypomniało jej dawne marzenia, nasuwało przed oczy wizje zlepione z cząstek prawdy, okruchów fałszu, porwanych wspomnień, budziło żal za tym, co mogło być ...

"Panie mój, czemuś mnie opuścił?"

Wysiadła z wozu i stanęła, zziębnięta, chłostana wiatrem, pośrodku długiej krętej drogi, spoglądając na wielki dom, który wkrótce miała nazywać swoim domem. Czy naprawdę miał być jej domem? Wyczuwała w nim czyjąś obecność i smutek. Zadrzała, jakby ją owiał prąd zimnego powietrza.

Obraz domu nagle zmatowiał, zaczął jej się zamazywać przed oczyma i przez moment miała wrażenie, że widzi niewyraźną kobiecą postać. Czyżby traciła zmysły? Czyżby zmartwienie i długa, wyczerpująca podróż tak na nią podziałały? Może to tylko kobieca intuicja płatała jej figle? Zamrugła, próbując się otrząsnąć z dziwnego wrażenia, i spojrzała na Eliego, ale to nic nie pomogło. Ponownie przyjrzała się domostwu i zrozumiała, że ma przed sobą pomnik, który Adrian Mackinnon wznosił na pamiątkę swej dawno utraconej miłości, kobiety, która nazywała się Katherine Simon Mackinnon. Hołd samotnego, zgorzkniałego mężczyzny złożony bratowej.

Widok potężnej budowli, opierającej się gniewnemu morskiemu żywiołowi, budził zarówno podziw, jak i lęk. Miał, niczym pomnik, upamiętniać dramatyczne przeżycia i wielki romans z przeszłości. Powinna czuć nienawiść do tego domu za to, co oznaczał i co symbolizował, ale jakoś nie potrafiła. Bo dla niej był wyrazem bólu po przegranej bitwie, po przeszłości tragicznej i żalostnej zarazem. Ten dom przemawiał do

niej bez słów, trafiając prosto do serca. Dobry Boże, tak bardzo przypomniał jej własny dom. Szkocję.

- Dobrze się pani czuje, pani Mackinnon? - przerwał ciszę głos Eliego.

- Tak - szepnęła. - Jeszcze tylko chwilkę.

- Nie musi się pani śpieszyć - powiedział Eli, kiedy na niego spojrzała. Podziękowała mu skinieniem i znów się odwróciła.

Na tym sięgającym w morze kawałku lądu Adrian Mackinnon zbudował koronę swego imperium, wspaniałą rezydencję, wielką i rozłożystą, przypominającą raczej hotel niż dom. Tego rodzaju budowle były dość powszechne w Szkocji i Anglii, lecz tutaj, gdzie jak okiem sięgnąć, widać było tylko ocean, drzewa i góry, wydawała się dziwnie nie na miejscu, jak cielsko wieloryba pośrodku pustyni.

Nagle się przestraszyła. W pierwszym odruchu miała ochotę zawrócić na pięcie i uciekać, opuścić to miejsce, ponieważ zrozumiała, że zawsze i wszędzie będzie ją prześladować cień tamtej kobiety.

Kim był człowiek, który wybudował sobie dom pośrodku takiego pustkowia?

Był mężczyzną, który kiedyś kochał i to kochał głęboko. Który nie potrafił zapomnieć. I wybudował pomnik przeszłości, żeby pamiętać. Zadrżała, owijając się mocniej płaszczem, ale wcale nie zrobiło jej się cieplej, ponieważ dreszcz nie brał się z zimna na zewnątrz. Wzbudziło go przecucie, że została wciągnięta w historię z przeszłości, w opary namiętności po dawno umarłym romansie.

Wróciła do wozu.

- Jestem gotowa - oznajmiła i Eli pomógł jej wsiąść. Droga z obozu była dość nudna i wyczerpująca; uwaga

Maggie skupiona była głównie na tym, by nie marznąć. Wciągnęła stopy, od dawna tak zeszytywniałe, że prawie bez czucia, pod spódnicę, w nadziei, że w ten sposób zdoła je trochę rozgrzać. Kiedy wreszcie dotarli na miejsce i wóz zatrzymał się przed drzwiami domu, wstając z ławki, musiała się przytrzymać oparcia, żeby nie upaść.

Eli już okrążał wóz, śpiesząc jej na pomoc.

- Proszę wybaczyć, pani Mackinnon - powiedział, chwytając ją w ramiona, nim zdążyła postawić nogi na ziemi. Następnie, jakby czuł potrzebę wytłumaczenia swego zachowania, dodał: - Powinienem był to zrobić tam, w obozie, to by pani nie upadła w błoto.

- Ubrudzi pan sobie ubranie, panie Carr - zauważyła.

- Nic nie szkodzi, proszę pani. Poza tym całkiem się pani udało wyczyścić najgorsze błoto, a to, co zostało, zdążyło prawie wyschnąć. - Postawił ją przed wielkimi mahoniowymi drzwiami. - Domyślam się, że musi pani być strasznie zmęczona ... wykończona jak pies z ośmioma nogami - rzekł, przybierając dziarski ton. - Jak tylko będziemy w środku, postaram się o gorącą kawę.

Kawa. Maggie zmusiła się do uśmiechu. Lubiła herbatę.

Spojrzała na drzwi, na tę nieprzyjazną barierę stojącą pomiędzy nią a tym domem. Miała ochotę zawrócić i uciekać, zanim się otworzą i zostanie połknięta przez cień innej kobiety. Nie była w stanie nic powiedzieć przez nagle ściśnięte gardło. Eli mylnie odczytał jej milczenie i bezruch, kładąc je na karb zmęczenia, a może lepiej niż ona znał ducha, który czekał, by ją powitać.

Otworzył drzwi i wprowadził ją o środka.

- No, jesteśmy - oznajmił, rozglądając się wokół siebie. - Wszystko nowiutkie jak spod igły, tylko czeka na kobiecą rękę.

Zabolały ją dłonie, kurczowo zaciśnięte na pałąku wiklinowego koszyka. Powitała ją głucha cisza, cisza i dziwne wydłużone cienie, padające na nieskazitelnie błyszczącą posadzkę. Jakże inną od podłóg w zamku Glengarry, rósłymi ślady wielowiekowego użytkowania.

- Na początku robi wrażenie - mówił Eli - trochę człowieka przytłacza. Ale wkrótce poczuje się tu pani jak u siebie w domu.

W domu?

Maggie jeszcze nigdy w nic tak mocno nie wątpiła. Spodoba ci się, powtarzała sobie w duchu. Spodoba ci się.

- Nie ma tu nikogo? - wykrztusiła wreszcie z trudem. - Nie ma nikogo?

- Tylko Wong, jak sądzę, ale proszę się nie martwić. Kiedyś był obozowym kucharzem, ale od kiedy pani mąż zatrudnił nowego kucharza, zajmuje się domem, i to całkiem dobrze. Nie będzie się pani musiała o nic kłopotać. Wong sprząta, a Molly Polly we wszystkim pomaga. Głównie to ona gotuje.

Eli przeszedł z olbrzymiego holu do następnego pomieszczenia, po czym wrócił, spoglądając na Maggie z troską. Stała przy drzwiach, drobna, krucha postać w umazanej błotem jedwabnej sukni, zaciskając w pergaminowo białych dłoniach wiklinowy koszyk. Twarz także miała poblada i ubrudzoną ziemią. Gdzieś w głębi domu trzasnęły zamykane drzwi, a potem rozległ się odgłos kroków, coraz bliższy. Uniółszy

wzrok, Maggie dostrzegła nadchodzącą ku nim kobietę o posturze wojownika. Rzadkie siwe włosy miała zwinięte w mały koczek. Piwne oczy, choć pocziwe w wyrazie, przeszywały Maggie na wskroś.

- To jest Mony pony - przedstawił Eli. - Jej mąż, Wielki John Polly, jest tu postacią numer dwa. Mówiłem pani o niej, zajmuje się gotowaniem. Kiedyś była kucharką w obozie, razem z Wongiem, ale pan Mackinnon postanowił, że będzie gotowała tylko dla niego.

- Wyłącznie dlatego, że robię się za stara i zbyt złośliwa, żeby dojść do ładu z podkuchennymi - powiedziała. - Proszę nie wierzyć w to wszystko, co Eli plecie na mój temat. Gdybym go słuchała, mogłabym jeszcze sama uwierzyć w te androny, a Wielki John mówi, że i tak już trudno ze mną wytrzymać.

- Miło mi panią poznać, pani pony - bąknęła Maggie.

- O wszyscy święci, nikt mnie nie nazywał panią Polly od dnia, kiedy brałam ślub. Proszę mówić do mnie Mony.

Maggie zauważyła, że Mony przygląda jej się tak, jakby ją z kimś porównywała. Nie musiała się długo zastanawiać, by wiedzieć, z kim jest porównywana, i nabrać przekonania, że porównanie musiało wypaść na jej niekorzyść.

Rozejrzała się dokoła. W środku wszystko było tak samo doskonałe i tchnące nowością jak drewniano-kamienna elewacja.

- Piękny dom. Wygląda na całkiem nowy.

- Ma niespełna trzy lata. A budowa trwała cztery lata.

- Byłaś tu, kiedy go budowano?

- Jestem tu od czasu, gdy Adrian i jego brat Alex założyli pierwszy obóz.

Do pokoju wpadł wielki płowy pies nieokreślonej rasy, stukając pazurami o posadzkę. Zbliżywszy się do Maggie, dotknął jej ręki zimnym, wilgotnym nosem i zaczął wachać, aż w końcu, wyraźnie zadowolony, ją polizał.

- To Izrael - wyjaśnił Eli. - Nie ma właściciela, ale okazuje szczególne przywiązanie Adrianowi.

- Wyciągnął rękę i pogłaszał psa po łbie. - Nazywamy go tak, bo ciągle gdzieś wędruje.

- Och, nie chciałam pani trzymać na stojąco przy drzwiach - ocknęła się Molly. - Widzę, że jest pani całkiem wykończona. Pewnie chciałaby pani odpocząć. - Spojrzała na ubłoconą suknię Maggie. - I może przebrać się do kolacji.

- Rzeczywiście, nie chciałabym tak siadać do kolacji. Minęło dużo czasu, odkąd się ostatnio kąpałam - przyznała skwapliwie Maggie.

- Wygonię Izraela i biorę się do szykowania kolacji - powiedziała Molly.

- Och, Izrael mi nie przeszkadza - zapewniła Maggie. - Czuję, że będzie miłym towarzystwem.

Molly zerknęła na psa.

- Towarzyski to on jest, i owszem, ale czy taki miły, tobym nie powiedziała. Jeśli będzie przeszkadzał, proszę mnie zawołać, to go wyrzucę. - Odwracając się do wyjścia, dodała: - Nastawię wodę na kąpiel, a potem zaprowadzę panią do pokoju.

Molly odeszła tak samo szybko, jak się pojawiła.

Wkrótce po Molly wyszedł także Eli, zostawiając Maggie samą w holu. Na szczęście Mony niebawiem wróciła i zaprowadziła Maggie do sypialni na piętrze.

Wykąpała się i założyła szlafrok. Resztę popołudnia spędziła na rozpakowywaniu bagaży. O wpół do dziewiątej została wezwana na kolację, którą spożywała samotnie w wielkiej jadalni, przy długim na dwadzieścia stóp stole, odbijającym światło trzech wielkich żyrandoli zwisających z sufitu.

Uprzątnąwszy po posiłku, Mony stanęła przed Maggie i mierząc ją spojrzeniem, powiedziała:

- Będę się już zbierała do domu. Potrzebuje pani jeszcze czegoś ode mnie, zanim wyjdę?

- Nie - odparła Maggie. - Myślę, że sobie poradzę. Dziękuję.

- Cóż, Won g jest pod ręką ... gdyby go pani potrzebowała.

Oczywiście najpierw trzeba go znaleźć. W życiu nie widziałam człowieka, który by potrafił tak zniknąć. Nigdy nie wiadomo, gdzie akurat jest, bo porusza się po domu jak duch. To pewnie przez te czarne buty.

W ogóle ich nie słyhać. Nie to co moje stare chodaki. Mnie to słyhać na milę, jak nadchodzę. - Mony przerwała zawstydzona. - No proszę, znowu gadam jak najęta, a pani taka zmęczona, że ledwie się trzyma na nogach. To ja już pójdę.

Maggie znów została sama w ogromnej jadalni, ze świadomością, że w całym dwudziestopokojowym domu są tylko dwie ludzkie istoty - ona i Azjata o imieniu Wong.

Siedziała przy stole, dopóki świece w żyrandolach nie zaczęły się dopalać; roztopiony wosk skapywał z podstawek, zastygając w dziwne kształty. Podeszła do kredensu i wzięła do ręki podwójny złoty świecznik.

Był niewielki, lecz bardzo ciężki. Odpaliła obie świece od żyrandola, zdmuchnęła te nad stołem i opuściła jadalnię.

Dochodząc do stóp wielkich marmurowych schodów, postanowiła rozejrzeć się nieco po parterze.

Najpierw trafiła do biblioteki i do pokoju, który musiał być gabinetem Adriana. Chociaż pomieszczenia różniły się od siebie, w wystroju wszystkich dominowało drewno o miodowym odcieniu, o którym Eli powiedział, że jest bardzo cenne i pochodzi z Ameryki Południowej.

Wędrując po wielkim domu, z Izraelem drepającym u boku, Maggie myślała o tym, że ma tu spędzić resztę życia. Jej dzieci będą tu dorastać, a ona sama będzie się starzeć, popijając herbatę w spokojne wieczory, z mężczyzną, którego poślubiła, z mężczyzną, którego nawet nie знаła. Pochyliła się, żeby podrapać Izraela za uchem, na co gorliwie polizał ją po dłoni. Była pewna, że dzieci go pokochają. Ruszyła dalej, z trochę niepokojącym wrażeniem, że ten dom ma w sobie coś z muzeum. Czuć w nim było dziwny zapach, jak w kościele w niedzielny poranek, kiedy drzwi zostają otwarte po raz pierwszy po długim, wilgotnym tygodniu.

Nie przejęła się tym specjalnie. Pomyślała, że każde zapalić trociczki, jak tylko skończy rozpakowywać swoje rzeczy. To powinno przegnać niemiłe wonie i dom zacznie pachnieć tak samo świeżo jak miejsce, w którym stoi, pomiędzy lasem i morzem. Rozejrzała się, próbując sobie wyobrazić, jak będzie wyglądał wkrótce, udekorowany jej rzeczami.

W tym pokoju jej dzieci będą się bawić przed rzeźbionym kominkiem, w pokoju muzycznym widziała Barrie przy fortepianie, z buzią wykrzywioną w śmiesznym grymasie, jak zawsze, gdy ćwiczyła gamy, a Ainsley przewracała jej nuty. W bibliotece ustawiła na półce nad kominkiem figurki Roberta Burnsa i Szkockiej Madonny, a jej mąż oprzeł stopy na bogato wyszywanym podnóżku, cierpliwie słuchając Fletchera, który z pełnymi rękami wędek będzie mu opowiadał o swych wędkarskich przygodach. A potem, wieczorem, kiedy już położy dzieci spać, uda się do sypialni, wyjmie ze skrzyni nocną koszulę, przebierze się, wyszczotkuje włosy i będzie czekać na męża w wielkim palisandrowym łóżku.

Serce zabiło jej mocniej. Otrząsnąwszy się z rozmyślań, poszła dalej, minęła jadalnię i kuchnię, zaglądając do pokoju muzycznego i bawialni. W końcu przystanęła przed wielkimi podwójnymi drzwiami, zaskoczona dźwięcznym odgłosem bijącego zegara. Natychmiast rozpoznała, że zegar pochodzi z Anglii, a dokładniejsze oględziny powiedziały jej, że został wykonany przez Josepha Windmillsa. Patrząc na dębową szafkę intarsjowaną we wzór wodorostów, poczuła się jakby bliżej domu. Dziwne, że ona, Szkotka do szpiku kości, zatem nie przepadająca za

wszystkim co angielskie, doznawała otuchy, słuchając tykania angielskiego zegara.

Otworzyła podwójne drzwi i przyjrawszy się bez większego zainteresowania wymalowanym na nich nagim amorkom i chmurkom, weszła do salonu.

Uniosła wysoko świecznik i oniemiała. Salon robił wrażenie. Podobnie jak portret kobiety w czerwonych aksamitach. Ocknąwszy się z szoku na widok wielkiego obrazu wiszącego nad kominkiem, Maggie zauważyła coś jeszcze. Salon nie miał stęchłego zapachu, typowego dla nieużytkowanych wnętrz, który wyczuła w bibliotece i innych pokojach. Ten pokój z pewnością był zamieszkały, ktoś urządził go i umeblował z pieczołowitą dbałością. Bez wątpienia był używany, o czym świadczyły choćby ślady na błyszczącej posadzce, papiery rozrzucone na blacie składanego stołu czy znajoma woń drogiego tytoniu. Odszukała wzrokiem otwarte pudełko cygar.

Odstawiła świecznik, zapaliła stojącą w pobliżu lampę i trzymając ją w wyciągniętej ręce, zbliżyła się do portretu. Snop światła jakby ożywił malowidło, wywołując niesamowity efekt. Kolory były żywe i świeże, jakby artysta dopiero co przeniósł je z palety na płótno. Kasztanowe włosy o miedzianym połysku odbijały ostrym kontrastem od delikatnie kremowej twarzy, a fałdy czerwonej aksamitnej sukni miękko opinały ciało, które „dawało się pulsować życiem.

Cień podejrzenia zmienił się w zaskoczenie, by w końcu przerodzić się w pewność. Katherine. Kobieta na portrecie stała w królewskiej pozie, z rękami opartymi na stole pełnym kwiatów, jakby zaraz miała ich dotknąć. Miała czerwoną suknię; głęboka, nasycona czerwień w cieniu nabierała odcienia purpury. Krój sukni podkreślał łagodną linię szyi i wdzięczną krągłość piersi. Kobieta była piękna, ale był w niej jakiś smutek.

Kto namalował ten portret, kto ją ożywił w taki sposób? Izrael, siedzący dotąd spokojnie przy nodze Maggie, podniósł się z miejsca i podreptał w drugi koniec salonu. Maggie nagle wyczuła, że nie jest sama. Odwróciwszy się, ujrzała w progu rozłożystą postać Molly Polly.

- Och! Przestraszyłaś mnie! - zawołała, unosząc rękę do szyi.

- Przepraszam. Wróciłam, żeby sprawdzić świece w jadalni. Zapomniałam pani powiedzieć, że trzeba je pogasić.

- Już to zrobiłam - powiedziała Maggie.

- Tak, widziałam. Przyszłam powiedzieć, że teraz już naprawdę wychodzę. Nie chciałam, żeby moja krzątająca panią przestraszyła.

Izrael podszedł do Molly, obwąchał jej ręce, okrążył ją dwukrotnie, po czym wrócił do Maggie. Molly spojrzała na portret, ale nic nie powiedziała.

- Mam pani coś podać, zanim wyjdę?

- Nie, dziękuję.

Molly przyglądała się jej przez chwilę, a potem znów przeniosła wzrok na malowidło.

- Piękny portret - stwierdziła Maggie. - Właśnie go podziwiałam.

- Tak - przyznała Molly z ociąganiem - jest piękny. Ale nie tak piękny, jak ona była.

Maggie poczuła ukłucie w sercu.

- Znałaś ją.

- Tak. Całkiem dobrze. Była piękną kobietą, miała piękną nie tylko twarz, ale i charakter. Byłam dumna, że mogę ją nazywać swoją przyjaciółką.

Maggie jeszcze raz przyjrzała się portretowi. To dziwne, ale nie czuła niechęci ani wrogości wobec tej kobiety.

- Tak, jest piękna. I artysta też musiał być wyjątkowy. Chyba udało mu się pokazać żar w jej duszy.

- Tak, chyba mu się udało.

- Został namalowany przez kogoś znanego?

- Został namalowany przez kogoś, kogo ja dobrze znam ... przez pani męża.

Nie była w stanie ukryć zaskoczenia. Krew odpłynęła jej z twarzy, serce zaczęło walić.

- Nie wiedziałam ... nie miałam pojęcia, że jest utalentowanym artystą. Jego brat nigdy o tym nie wspominał.

- Hmm, to dlatego, że Adrian nie jest artystą. .. przynajmniej "ie w tym sensie, o jaki pani chodzi. - Kiwnęła głową w stronę portretu. - To jedyny obraz, jaki namalował.

Maggie jeszcze raz uważnie przyjrzała się portretowi.

- Trudno uwierzyć, że nigdy wcześniej nie malował. Te kolory, detale ... wszystko jest doskonałe, nie wyłączając odcienia draperii nad oknem. Od razu wiedziałam, w którym miejscu stała w tym pokoju, kiedy ją malował.

- Wszyscy odnoszą to samo wrażenie, a jednak, choć trudno w to uwierzyć, Katherine nigdy nie była w tym pokoju. Nie było jej tu już od jakiegoś czasu, kiedy wybudowano ten dom. A obraz powstał jeszcze przed rozpoczęciem budowy.

- Musiał go wybudować jako hołd dla niej.

- Katherine nienawidziłaby tego domu. Zupełnie do niej nie pasuje.

- A jednak wybudował go dla niej. Molly wzruszyła ramionami.

- Być może. Adrian nigdy tak naprawdę nie znał Katherine.

Fantazjował na jej temat, wydawało mu się, że jest w niej zakochany, ale nigdy jej nie poznał.

Maggie nie mogła oderwać oczu od portretu.

- Jak na człowieka, który jej nie znał, zadziwiająco wyraziście przedstawił ją na płótnie.

- Powierzchnie - oceniła Molly, a Maggie odczuła jej opinię niczym dźgnięcie nożem. - Malował to, co widział. Piękno. Ale nie znał serca Katherine. Gdyby je znał, nie kochałby się w niej tak uparcie przez te wszystkie lata. Katherine nigdy nie była mu przeznaczona. Nie pasowali do siebie. Gdyby Katherine wyszła za Adriana, byłiby jak dwa muły sprzęgnięte razem, jeden z całych sił ciągnący w prawo, drugi rwący się w lewo. Nigdy nie byłaby tu taka szczęśliwa, jak jest w Teksasie. Uwielbia tamte strony, tak samo jak Alex. Nie jest kobietą żyjącą wizjami i marzeniami.

- A Adrian taki jest?

Molly spojrzała jej prosto w oczy.

- Jest. A pani?

Maggie przyjęła jej bezpośredniość z uśmiechem. Czuła, że znajdzie wspólny język z tą kobietą.

- Jestem Szkotką, a Szkocja jest miejscem wizji i marzeń.

Chociaż uwielbiamy się pławić w chwale i zawodzić nad tragediami z przeszłości, jesteśmy ludźmi patrzącymi w przyszłość. Jesteśmy urodzonymi wynalazcami, ceniącymi nauki. Trzymamy się jak bluszcz słów Jamesa Boswella. Spero meliora. Mam nadzieję na lepsze.

Nim Molly zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Maggie usiadła, gestem zachęcając ją, by zrobiła to samo. Pochylając się do przodu, z rękami złożonymi na kolanach, poprosiła otwarcie: - Opowiedz mi o moim mężu, o tych wizjach i marzeniach, które przywiodły go do Kalifornii.

MoHy zawahała się, ale usiadła. Z początku Maggie musiała wyduszać z niej niemal każde słowo, lecz w końcu MoHy opowiedziała jej o czasach gorączki złota, o tym, jak Adrian i Alex przybyli na Zachód skuszeni obietnicą i jak zdobyli bogactwo większe, niż mogli sobie wyobrazić.

- To Adrian uparł się, by wybudować tu firmę przerobu drewna. Widział tu dla siebie przyszłość. Alex nigdy nie pragnął nic innego, niż być farmerem. Zawsze planował wrócić do Teksasu.

- Żeby się ożenić z Katherine.

- Nie. Żeby się ożenić z jej siostrą, Karin.

Maggie musiała mieć zaskoczenie wypisane na twarzy.

- To pani nic nie wie o Karin? - domyśliła się Molly.

- Nie. Ross niewiele mi mówił o Katherine, tyle tylko, że Adrian zawsze się w niej kochał, ajego brat bliźniak ją poślubił.

- Cóż, to prawda. To był dziwny i skomplikowany splot wydarzeń. Serce Alexa należało do Karin. Adrian kochał się w Katherine. Katherine miała się ku Alexowi.

- A Karin? Na kim jej zależało?

_ Głównie na sobie. Wyszła za jakiegoś bogacza, o wiele starszego od niej, ale z tego, co słyszałam, jest zadowolona ze swego wyboru.

_ Więc kiedy Karin wyszła za męża, Alex zwrócił się ku Katherine?

_ Nie. Alex ożenił się z Katherine jeszcze przed tym wszystkim. - Molly westchnęła. - Widzę, że chce pani poznać całą tę historię, więc lepiej pani od razu opowiem, jeśli mam zaznać spokoju. - Umościła się w wygodniejszej pozycji. - Alex i Adrian zawsze walczyli ze sobą jak pies z kotem, co pewnie jest normalne u braci bliźniaków, ale któregoś wieczoru pożarli się na dobre i Alex, lecząc swą nadwerżoną dumę, poszedł i się i. a. p. r. a. w. i. ł. . .

_ Zaprawił? Masz na myśli, że się upił?

_ Gorzej, niż upił. - MoHy przerwała opowieść, popadając w zadumę. - Boże miłosierny! - podjęła po chwili. - Nigdy nie zapomnę tego, jak wtedy ze sobą walczyli. Musiałam im dać po łbach polanem. Jak Alex się zaprawił, napisał list do Karin, z prośbą, żeby tu przyjechała i wyszła za niego, tylko że przez pomyłkę napisał imię Katherine.

- I Katherine przyjechała.

- Właśnie.

_ Alex powiedział jej, co się stało?

- Nie.

- Dlaczego?

Molly westchnęła.

_ Po części dlatego, że Adrian zagroził mu, że go zabije, jeśli to zrobi ... choć to nie był główny powód, bo Alex nigdy się nie przejmował groźbami Adriana. Sądzę, że tym razem w głębi serca Alex czuł, że Adrian ma rację. Katherine nie zasługiwała na upokorzenie i krzywdę, jakich by doznała, dowiadując się prawdy.

_ Więc się nie dowiedziała ... Nigdy się nie dowiedziała.

_ Ależ tak, odkryła prawdę i omal nie przyplącała tego życiem. Uciekła, jakby jej się paliło pod nogami.

Alex pobiegł za nią, ale zdążyła wcześniej spotkać grizzly. Słyszała pam kiedyś o grizzly?

Maggie zaprzeczyła ruchem głowy.

- To niedźwiedź, występujący głównie w tych stronach i nie-podobny do innych niedźwiedzi. Niektóre na stojąco mają ponad osiem stóp wzrostu. Łatwo je sprowokować, a kiedy atakują, są śmiertelnie groźne. Słyszałam o takich, które walczyły trafione dwudziestoma kulami. Trudno takiego powalić, jeśli się nie trafi we właściwy punkt.

Maggie skrzywiła się, odwracając głowę. - To straszne.

- Tak - przyznała Momy. - Niewiele mogliśmy tu dla niej zrobić, więc zabrali ją do San Francisco. Adrian i Alex zostali tam z nią przez jakiś czas. Alex zdążył się już w niej zakochać, ale był zbyt tępy, żeby to wyznać. Katherine wróciła do Teksasu, gdy tylko wydobrzała na tyle, by odbyć podróż.

- Alex nie pojechał? Momy potrząsnęła głową.

- Nie wiedział, że Katherine wyjeżdża. Ale Adrian wiedział.

- A kiedy Alex odkrył, że Katherine wyjechała? Czy wtedy za nią pojechał?

- Niezupełnie. Plątał się tu przez jakiś czas, smutny jak pies na uwięzi, nim się zdecydował ruszyć za nią. W życiu nie widziałam szczęśliwszego człowieka niż Alex w dniu, kiedy odsprzedał swoją część majątku Adrianowi i wyruszył do Teksasu.

- Może tak było najlepiej.

- Pewnie tak, bo po tym wszystkim między Adrianem i Alexem nie byłoby już tak samo jak dawniej. Alex miał Adrianowi za złe, że wiedział o wyjeździe Katherine i nie próbował jej zatrzymać. Maggie spojrzała na piękną kobietę na portrecie. Rozumiała, dlaczego mężczyzna był gotów podążać za nią na koniec świata. Rozumiała także, jak łatwo musiało być Adrianowi ją kochać. Olbrzymie pomieszczenie wydało jej się nieznośnie duszne.

Nagle Maggie miała ochotę uciec od tych pozostałości po uczuciu do innej kobiety. Zastanawiała się, co by Molly pomyślała, widząc jej ucieczkę. A potem zaczęła się zastanawiać, co w nią wstąpiło, że pozwala sobie na takie pomysły. Przecież nigdy przed niczym nie uciekała. Zawsze stąpała mocno po ziemi i nie miała zwyczaju bujać z głową w chmurach. Nie powinno mieć dla niej znaczenia, co Adrian kiedyś czuł do tej kobiety. Poślubił ją, Maggie Mackinnon, i miała zamiar zrobić wszystko, by o tym nie zapomniał... i tego nie żałował.

Jakby czytając w jej myślach, Mony powiedziała:

- Na pani miejscu wcale bym się nie martwiła. Tak jak Adrian, Alex poślubił kobietę, w której nie był zakochany. W przypadku Alexa potem się okazało, że trafił na właściwą osobę. Bóg czasem tak robi: daje nam nie to, czego chcemy, tylko czego potrzebujemy.

- Może rzeczywiście tak jest, ale nie mam pewności, czy ja jestem tą, której on potrzebuje - powiedziała cicho Maggie.

- Tylko czas może to pokazać - stwierdziła Mony rzeczowym tonem i podniosła się z miejsca. - Znowu paplam jak najęta, chociaż wiem, że Wielki John pony siedzi w domu i niecierpliwie czeka na swoją kolację. O której chciałaby pani śniadanie?

- Och, nie chcę sprawiać tyle fatygi. Z powodzeniem sama mogę sobie zrobić śniadanie.

- Za to mi płacą - przypomniała jej Molly. - Jeśli pani nie robi różnicy, przygotuję je o zwykłej godzinie.

- A jaka to godzina?

- Piąta.

Kiedy Molly już odwracała się do wyjścia, Maggie odchrząknęła.

- Czy nadal mogę wybrać porę? - spytała. - Bo jeżeli tak, to wolałabym ósmą. - Mogłaby przysiąc, że kąciuki ust Mony pony drgnęły w skrywanym uśmiechu.

- Przygotuję placuszki i gorącą herbatę na ósmą.

- Nigdy bym się nie spodziewała, że zwykle jadacie tu na śniadanie placuszki z gorącą herbatą - zdziwiła się Maggie.

- Bo nie jadamy. To będzie pierwszy raz.

Molly skinęła szybko głową i wyszła. Maggie odniosła wrażenie, że to było pierwsze ustępstwo, jakie Molly poczyniła dla kogokolwiek w czymkolwiek.

Odwróciła się znów twarzą do portretu. A więc miała rację.

Ta niekończąca się uczta dla oczu, piękna kobieta w karmazynowych aksamitach, to była Katherine.

Katherine, nieobecna, a taka rzeczywista. Dokładnie taka, jaką Maggie mogłaby sobie wyobrazić - niezwykle elegancka, ucieleśnienie piękna oglądane w łagodnym świetle przez mężczyznę, który ją kochał. Marzenie, którego głos ciągle brzmiał mu w uszach, nie dając spać.

- To stoi pomiędzy nami - szepnęła. - Od tego się wszystko zaczęło.

7

Adrian Mackinnon najwidoczniej nie wykazał szkockiej przezorności, ponieważ gdyby wiedział, że zjawiając się w obozie dopiero dwa tygodnie po przybyciu Maggie, doleje oliwy do ognia, z pewnością wróciłby wcześniej.

Wczesnym popołudniem Adrian i Eli jechali wąską, krętą drogą prowadzącą do domu. Lato wreszcie zawitało do krainy sekwoi; niebo było bezchmurne, a słońce przygrzewało w najlepszy sposób. Adrian nie miał zwyczaju rozglądać się po otoczeniu, więc pewnie by nie spojrzął w dal ponad trawiastym, ukwieconym zboczem, gdyby kątem oka nie uchwycił tam czegoś godnego uwagi. Wyteżywszy wzrok, ujrzał kobietę w bieli. Stała na rdzaworóżowym cyplu pośród bujnej zieleni, oświetlona słońcem, i wpatrywała się w ocean. Wiatr szarpał jej suknię i przyklejał do ciała. Adrian ściągnął wodze, nie zważając na protesty swojego wierzchowca, który parsknął i walił kopytem o ziemię, niecierpliwie wyczekując chwili, gdy znajdzie się w stajni.

Adrian miał wrażenie, że widzi ten wysunięty w morze skrawek lądu pod czystym błękitnym niebem po raz pierwszy w życiu. Czuł, że widok, na który patrzy, ma w sobie coś pierwotnego i odwiecznego, przypominającego o Bogu i stworzeniu świata, o Adamie i jego towarzysze Ewie, o pięknie i tajemnicy istoty, jaką jest kobieta.

Własne odczucia go zaskoczyły. Czy to ta odległa kobieca postać tak na niego podziałała?

W samych rozważaniach o stworzeniu świata nie było może nic dziwnego, jednak więcej niż dziwne było to, że oddawał się im ktoś taki jak Adrian Mackinnon. Przyjmował on za coś oczywistego, że Bóg stworzył mężczyznę i kobietę. Jaki sens mogły mieć rozmyślenia na ten temat? Miał przecież ważniejsze sprawy na głowie, a poza tym kierował się w życiu dewizą, że to, co nie przynosi pieniędzy, nie zasługuje na uwagę.

Zaintrygowany nie tylko obecnością nieznaną, ale i swoimi nieoczekiwanymi odczuciami, patrzył, jak kobieta, odwrócona do niego plecami, schodzi po zboczu.

Był jednocześnie zadowolony i rozczerowany, że go nie dostrzegła - rozczerowany, bo nie widział jej twarzy, a zadowolony, bo swoją obecnością nie zakłócił jej spokoju. Nie wiedział, jak długo tam tkwi, oczarowany widokiem smukłej, eleganckiej, tajemniczej postaci. Podmuchał wiatr w górę tiulową woalkę przy jej kapeluszu, rozpląszczył fałdy sukni na zgrabnych, długich nogach, kiedy lekko stąpała po trawie. Wyglądała delikatnie i kobieco. Była uosobieniem wdzięku. Była kobietą. Jego kobietą.

Tak się złożyło, że była również jego żoną.

Żoną. Ta myśl go otrzeźwiła. Uniósł brwi w typowy dla siebie sposób, w dumny, niemal pogardliwym wyrazie. Nie miał żadnych wątpliwości, kim jest ta kobieta. Rozpoznał ją natychmiast, jakby była częścią niego samego, kiedyś zagubioną, a teraz nagle odkrytą. Poczł się nieswojo. Wrażenie było równie silne, jak wspomnienie o Katherine.

- Hmm ... chce pan, żebym jechał z panem do domu? - spytał Eli, niespokojnie wierząc się w siodło.

- Co? - Adrian spojrzł na Eliego półprzymkniętymi oczami, ponieważ całkiem o nim zapomniał.

- Do domu. Nadal pan chce, żebym z panem jechał?

- Nie - odparł Adrian, powracając wzrokiem do kobiety. - Możemy przejrzeć te rachunki innym razem.

Wygląda na to, że teraz mam pilniejszą sprawę do załatwienia.

Eli podążył za spojrzeniem Adriana.

- No, też mi się tak zdaje. Niech się pan nie obawia, ona jest prawdziwą kobietą z krwi i kości. Jest całkiem normalna, jak każdy z nas. Nigdy wcześniej nie znałem żadnej Szkotki, ale tak sobie myślałem, że nie mogą się za bardzo od nas różnić, poza tym, że trochę dziwnie się wyrażają. Od razu pan to zauważył, jak tylko ją usłyszy. Niby mówi po angielsku, ale to llic jest taki całkiem angielski. - Eli pokręcił głową. - Dziwna l, niej kobietka. Przypomina mi małego teriera, którego kiedyś miałem. Był nieduży, ale o tym nie wiedział. Zawsze się dziwiłem, że umie się postawić psu trzy razy większemu od siebie.

Adrian zmierzył go kwaśnym spojrzeniem.

- Musisz porównywać moją żonę z psem? Nie mógłbyś znaleźć czegoś lepszego?

Eli zarechotał.

- Może bym i mógł, ale nie sądzę, żeby jej to przeszkadzało.

- Mnie przeszkadza - warknął Adrian. - Chyba wystarczy.

- Cóż, tak czy owak myślę, że się panu spodoba. Dziwna kobieta. Przyjechała tu z postanowieniem, żeby się dopasować, i niech mnie diabli, udało jej się. Wpadła w błoto prosto na twarz, słowo daję ... już pierwszego dnia, niech pan sobie wyobrazi, ale wcale jej to nie zniechęciło. Pozbierała się na nogi i poszła dalej, jakby się nic nie stało, gdy brodziła w błocie po łokcie. Zgubiła oba pantofle. - Zachichotał. - Musiały ważyć tonę z tym błotem, ale nie poskarżyła się ani jednym słowem. Wszyscy w obozie japońscy. Tak, dziwna kobieta - powtórzył, kiwając głową, jakby się zgadzał sam ze sobą. - Tak ... ma mocny kark.

Naprawdę mocny.

- Do diabła z jej karkiem - mruknął Adrian, nie odrywając oczu od kobiecej postaci. - Bardziej interesuje mnie co innego. - Cóż, może i czego innego jej nie brakuje ... Powiadają, że smaruje się to koło, które skrzypi.

Ze słowami Eliego dźwięczącymi mu w głowie, Adrian przyglądał się swojej żonie. Obdarzony naturą człowieka interesu, w pierwszym odruchu chciał się jej natychmiast pokazać, zaskoczyć ją swoją obecnością, zyskując w ten sposób kontrolę nad sytuacją. Jednakże nie był w stanie zmusić ciała, by słuchało nakazów umysłu, nie potrafił się ruszyć z miejsca. Obserwował ją z dziwnym uczuciem zadowolenia, wprost nie mogąc oderwać od niej oczu, jakby tylko ta chwila dawała mu szansę przyjrzenia jej się dokładnie. Jednocześnie odczuwał obawę graniczącą z lękiem, że zniknie jak zjawą, niespodziewanie, pozostawiając mu jedynie wspomnienie i posmak słodczy na języku przywykłym do cierpkości octu.

Kilka jardów w tyle porzuciła parasolkę i teraz trzymała przed sobą pełne naręcze wiosennych kwiatów. Irytowało go, że nie potrafi właściwie odczytać, zinterpretować każdego jej ruchu, każdego gestu. W jej zachowaniu niby nie było nic niezwykłego, nic, co by go powinno zaintrygować - żadnego gardłowego

śmiechu, żadnej pozy, frywolnych podskoków, wdzięcznych tanecznych figur, wirowania w koło do utraty równowagi ... nic poza prostą, bezpretensjonalną, najprawdziwszą elegancją, miękkim i czystym kobiecym pięknem, wrażliwością i tajemniczym darem boskiej natury. Jej zjawiskowa uroda wydała mu się niepokojąca i nawet trochę przerażająca. Przy niej całe otoczenie jakby traciło blask, stawało się jedyń- nie tłem.

Natychmiast zrozumiał, co Ross miał na myśli, pisząc o niej:

Jest urodzono... dama, wystarczy jedno spojrzenie, by pojąć zna- czenie tego słowa.

Rzeczywiście, miał przed sobą kobietę, która wyróżniała się w szczególny, szlachetny sposób.

Wiedział, że będzie pamiętał przez całe życie ten pierwszy moment, kiedy ją zobaczył, wrażenie, jakie wywarła na nim jej wdzięczna kobieca postać w prostej" białej sukni, zjawisko złożone z miękkich kształtów, subtelnym cieni i żywego, pro- miennego światła.

Oczarowany, patrzył, jak odwraca się powoli i podąża dalej trawiastym zboczem, zbierając po drodze dzikie kwiaty, wciąż nieświadomajego obecności. Miał wrażenie, że obcuje z dziełem sztuki, stworzonym przez malarza realistę, obrazem, który w jednej chwili zdołał w nim wzbudzić wszystkie najistotniejsze dla człowieka uczucia.

- Cóż - odezwał się Eli, znów odchrząkując - chyba będę wracał do obozu. Przyniosę te papiery jutro do biura.

- Dobrze - zgodził się Adrian. - Może być jutro. - A ponieważ Eli nie kwapił się do odjazdu, dodał: - Masz do mnie coś jeszcze?

- Nie, chyba nie. - Widząc, że Adrian otwiera usta, by coś powiedzieć, przerwał mu szybko: - Wiem, wiem, czas, żebym się stąd zabierał, ale wcale mi się nie chce. Lubię obserwować starcia. Zwłaszcza ciekawe.

Adrian przyjrzał mu się z dziwną miną. - Spodziewasz się starcia?

Eli zachichotał.

- Owszem, ale coś mi się zdaje, że nie będzie długie.

- Nie, nie będzie - odburknął Adrian.

Eli nie przestawał się śmiać.

- Na pana miejscu miałbym się na baczności. Im większa głowa, tym większy i ból głowy. - Eli zawrócił konia w miejscu, dotykając dłonią brzegu kapelusza. - W takim razie, życzę miłego dnia, panie Mackinnon

- rzekł cierpko. - Zobaczymy się jutro ... jeśli nadal będzie pan miał ochotę.

Spiął konia piętami i oddalił się ze śmiechem.

Adrian odprowadził go wzrokiem, a potem zjechał z drogi i bezwiednie skierował się w stronę kobiety.

Próbował sobie wyobrazić, jak wygląda z bliska jej twarz. Był na siebie zły, że nie potrafi się niczego więcej o niej dowiedzieć z samej obser- wacji. Dociekliwy umysł człowieka interesu w tej sytuacji nie na wiele się zdawał.

Kiedy podjechał bliżej i niemal poraziła go w oczy rozświetlona ostrym słońcem biel jej sukni, mimowolnie zaczął sobie wyob- rażać, jak wyglądałaby naga, zbliżająca się do niego w liliowych cieniach nocy.

Ta myśl wprawiła jego ciało w zmysłowe ożywienie, które z trudem zdołał poskromić. Nie należał do mężczyzn łatwo ulegającym uczuciom, a tym bardziej nie dawał się ponosić namiętności. Jego kartą

atutową, zawsze trzymaną pod ręką, było opanowane. Przyglądał się kobiecie twardym, niemal aroganckim spojrzeniem, tym samym, którym zwykle onieśmielał przeciwnika, gdy sam czuł się bezbronny. A jedno spojrzenie na kobietę na zbczku wystarczyło, by Adrian stał się otwartą raną.

Z odległości kilku jardów dostrzegł ramę z płótnem opartą na sztalugach, a obok otwarte pudełko z przyborami malarskimi. Był ciekaw, czy jego żona ma talent malarski. Może była jedną z tych, które nie posiadając talentu, chwytają za pędzel dla zabicia nudy?

Przypomniawszy sobie, że mieszkała tu już od ponad dwóch tygodni, poczuł się w pewnym stopniu odpowiedzialny za jej ewentualne znudzenie. Próbował odegnać to niewygodne poczu- cie, powtarzając sobie w duchu, że jest zapracowanym człowie- kiem, prowadzącym wielką firmę, i żona od początku ich związku musi wiedzieć, co jest dla niego najważniejsze w życiu.

Podjechał bliżej, świadomy, że siedząc na koniu i patrząc z góry na tego, kto stoi na ziemi, zyskuje naturalną przewagę. Nim się do niej zbliżył, zaczęła zbierać pędzle. Przyszło mu na myśl, że jest odważna, skoro ustawia się do malowania tak blisko brzegu urwiska, lecz był zbyt ciekaw efektu jej pracy, tej naiwnej próby oddania na skrawku płótna szlachetnych wysiłków natury, by się zdobyć na jakikolwiek komentarz.

Jeszcze go nie zauważyła, więc postanowił zaczekać, przekonać się, po jakim czasie wyczuje jego obecność. Przyglądał się obrazowi. Nie uważał się za znawcę sztuki, ale dość w życiu widział i dość kupił do swego domu, by wiedzieć, że ma przed sobą całkiem udane dzieło. Miało wdzięk dziecięcego obrazka,

prostego i szczerego, nieskażonego nhdmiarem wymyślnych szczegółów. Przełała na płótno to, co widziała - łąkę pełną wiosennych kwiatów, słońce, fale rozbijające się o ciemne, poszarpane skały, a wszystko pod bezkresną połącią czystego błękitnego nieba.

Jego milczącą kontemplację przerwał odgłos blaszanego pojemnika grzechoczącego o kamienie. Odwrócił się na czas, by dostrzec, że jedno z naczynek do rozrabiania farb stoczyło się po skałach i zatrzymało niebezpiecznie blisko brzegu.

Poruszała się szybko, tak szybko, że nie od razu się zorientował, że zamierza sięgnąć po pojemnik. Bez zastanowienia, kierując się wyłącznie instynktem, zeskoczył z siodła, rzucił się za nią i chwycił ją w pasie, przyciągnął do siebie, równocześnie odsuwając od krawędzi przepaści. W tym samym momencie pchnięty nagłym porywem wiatru pojemnik zniknął z pola widzenia.

Przez ułamek sekundy Maggie miała przed oczyma ostre grzebienie skał i rozkołysane fale, a potem jakaś siła szarpnęła ją do tyłu, aż straciła oddech, uderzając o coś twardego.

Adrian zaklął pod nosem. Niezupełnie tak wyobrażał sobie ich pierwsze spotkanie. Czuąc w ramionach jej ciężar i ciepło, poczuł się nagle dziwnie nieswojo. Ta kobieta go niepokoiła, niemal złościła. Miał ochotę nią potrząsnąć ... i przygarnąć ją do siebie jeszcze mocniej. Był zły i nie wiedział, skąd się bierze jego złość. Czyżby stąd, że jej bliskość budziła w nim dawno zapomniane odczucia?

Ogarnął go lęk, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie zaznał. Lęk, że mógł ją stracić, nie zdążywszy poznać, sprawił, że zareagował ostrzej, niż zamierzał. Wiedział, że powinien być wobec niej wyrozumiały.

Ostatecznie była kobietą, w dodatku wyraźnie przerażoną. Omal nie spadła w przepaść, uganiając się za tym swoim przeklętym naczyniem do farb. Lada moment mogła wybuchnąć łzami. Na myśl o łzach poczuł się jeszcze bardziej nieswojo. Żadna wyrozumiałość nie mogła wchodzić w grę. Najlepszą obroną przed łzami był gniew, a tego mu nie brakowało. Gniew zawsze dodawał mu pewności siebie, a z innymi, łagodniejszymi emocjami miał niewielkie doświadczenie.

- Boże, uchowaj przed głupią kobietą - zaczął. - Miałś zamiar się zabić? Czy może planowałaś spędzić resztę życia w łóżku, jako inwalidka?

Natychmiast ugryzł się w język. Dlaczego tak się odezwał?

Nie miał powodu być dla niej aż tak szorstki. Była jego żoną. Co mógł osiągnąć w ten sposób? Że od niego ucieknie? Szukał w myślach jakiegoś odpowiedniego zwrotu, czegoś miękkiego, co przypadłoby jej do gustu, ale jakoś nic nie przychodziło mu do głowy.

Nie powiedział nic więcej, bo w tym momencie odwróciła głowę i spojrzała mu w oczy. Puścił ją gwałtownie, porażony tym, co zobaczył.

Nie była piękna. Była wściekła.

- Na pewno nie planowałam spędzania tu dwóch tygodni w samotności - powiedziała, odsuwając się od niego i poprawiając ubranie. - Może jesteś bogatym ważniakiem, Mackinnon, ale twoje maniery pozostawiają wiele do życzenia.

Jej ostry ton natychmiast go otrzeźwił.

- Jeśli chciałaś manier, to należało zostać w Szkocji - rzekł szybko, zły na siebie, że dał się sprowokować.

- Tak, albo wyjść za lokaja.

Adrian zamrużył ze zdumienia. Przywykł do tego, że zawsze panuje nad sytuacją, i nie bardzo mu się spodobało, że jego nowa zona nie dość, że ma własne zdanie, to jeszcze stroi sobie z niego żarty.

Wprawiała go w zakłopotanie; czuł się dziwnie, nie wiedział, co mówić ani jak się do niej odnosić. Maniery ... Spodziewał się, że kobieta może oczekiwać różnych rzeczy, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że będzie jej zależało na manierach. Była prawdziwą damą ... i to z tytułem. Skąd, u licha, miał mieć takie maniery, jakich ona wymagała? Złość walczyła w nim z poczuciem bezradności. Owszem, potrafił rozmawiać z drwalami. A nawet z MoHy i z Izraelem. Ale z prawdziwą damą?

- Nie mamy tu czasu na takie zbytki jak maniery - rzekł obronnym tonem. - Kalifornia jest dzika i nieucywilizowana. - Tak samo jak ludzie, którzy tu żyją.

Niemal się uśmiechnął. Miała bystry umysł i cięty język.

Z pewnością nie była nudna. To odkrycie ucieszyło go bardziej, niż się mógł spodziewać. Opuściła go złość, a nawet częściowo rozczarowanie, że nie okazała się piękna. .

- Jak na taką kruchą istotę, jesteś całkiem wygadana.

- To rodzinna cecha.

- Hmm - mruknął zamyślony. - To mnie dziwi.

- Dlaczego?

- Spodziewałem się, że dobrze wychowana dama będzie umiała panować nad językiem.

Wyraźne rozbawienie w jego głosie wprawiło ją w irytację.

Już otworzyła usta, żeby mu powiedzieć, co o nim myśli, ale w ostatniej chwili zdołała się powstrzymać. Nie na długo jednak. - Nie cenisz szczerości czy po prostu nie podoba ci się to, 1, e kobieta wyraża swoją opinię?

Zmierzył ją szybkim spojrzeniem od stóp do głów.

- Cenię szczerość. A co do tego drugiego, mogę tylko powiedzieć ... Mniejsza z tym. Będę musiał podziękować Rossowi. Zawsze mieliśmy odmienne gusty.

- Skoro tak, dlaczego poprosiłeś go, by ci znalazł żonę?

- To był nagły impuls ... jak u człowieka, który wypija truciznę albo strzela sobie w łeb.

Znowu usłyszała ten denerwujący ton pobłażliwości, jakby specjalnie ją prowokował.

- Może powinieneś spróbować trucizny.

Uśmiech Adriana był lodowaty jak zima na Pogórzu Szkockim.

- Masz ostry język - powiedział. - Wierzę, że umiesz nad nim panować. - Patrzył na nią z góry, ciemnowłosa obcy mężczyzna o przenikliwych niebieskich oczach i zaciętym wyrazie ust. Przebiegł ją dreszcz. - Jesteś zziębnięta - zauważył. - Nie powinnaś tu przychodzić w takim stroju. - Wskazał na jej cienką suknię. - Tutejsze wiatry potrafią dać się we znaki.

- Ludzie także.

Uniósł brew, ale się nie odezwał. Przyglądał jej się uważnie, jakby się upewniał w tym, co ujrzał wcześniej.

Nie była pięknością, ale nie miało to już dla niego znaczenia. Krótka chwila, kiedy ją trzymał w ramionach, wystarczyła, by odcisnąć mu w pamięci smukłą figurę, miło zaokrągloną we wszystkich właściwych miejscach. No i, dobry Boże, te oczy ...

Nie były czysto zielone, jak u Katherine, miały dziwny odcień - ni to zielony, ni brązowy - były żywe i błyszczące, zdradzały inteligencję, natomiast z całą pewnością nie wyrażały uległości i czułości, których należałoby się przecie spodziewać w kobiecych oczach. Miała mały wąski nos - zbyt mały i zbyt wąski, by mógł uchodzić za klasyczny - a usta zbyt pełne i szerokie.

Te usta wydały mu się za bardzo stanowcze jak na kobietę.

Często widywał takie usta u mężczyzn, z którymi prowadził interesy, i to u tych, z którymi szło mu najtrudniej, bo nie dawali się zbić z tropu i niechętnie przyjmowali jego punkt widzenia. W jej twarzy o wydatnych kościach policzkowych i mocnym podbródku była jakaś zadziorność, świadcząca o sile, zdolności rozumienia i przenikliwości. Tak, ta twarz była zbyt wyrazista, by mogła uchodzić za piękną ... a przecie życzył sobie pięknej kobiety. Nawet nie próbował ukryć swego krytycznego spojrzenia, nie przejmował się też, że jego rozczarowanie jest widoczne.

- Jesteś zawiedziony - domyśliła się. - Oczekiwałeś piękności.

- To bez znaczenia. Przyzwyczaję się. Nie po raz pierwszy nie dostałem tego, czego pragnąłem.

W jej oczach o dziwnej barwie błysnęły iskierki humoru.

- Ha, pobratymcy diabła miewają diabelskie szczęście - rzuciła. Gdyby nie zaskoczenie jej bezpośredniością i nieco dziwną wymową, Adrian pewnie odpowiedziałby jakąś równie ciętą uwagą, ale zbity z tropu, tylko się na nią gapił.

Nie podobała mu się ta kobieta. Była, ogólnie rzecz ujmując, zbyt wygadana, a mimo to wciąż stała mu przed oczyma jej jasna sylwetka na tle porośniętego trawą zbocza.

Z pewnością nie taką osobę miał na myśli, pisząc tamten list do Rossa. Jednakże było w niej coś, co go pociągało. Zapewne chodziło o jej oczy, bo w takich oczach mężczyzna mógł się zatracić, bo patrząc w nie czuł się tak, jakby przechodził przez lustro w głąb jej duszy. Zbyt wiele w nich zobaczył - upór, zrozumienie, czułość, dobroć oraz coś, co nasuwało myśl o bólu. Wszystko, czego od niej nie chciał ani nie potrzebował.

Wezbrał w nim gniew, irytujący niczym swędzenie w koniuszkach palców. Odczuwał nieodpartą chęć, by ten gniew rozładować, by doznać ulgi. Rysy mu stężyły w cynicznym wyrazie. Kiedy mu posłała otwarte, jakby lekko przestraszone spojrzenie, gniew ustąpił, wyparty przez uczucie, którego nie potrafił nazwać. Musiał przyznać, że posiadała naturalny wdzięk i stanowiła miły widok dla oczu. Była mu poślubiona. Co więcej, był skłonny wyznać, że budziła jego pożądanie.

Ale mu się nie podobała.

Nie miał wielkiego doświadczenia, jeśli chodzi o kobiety, ale doświadczenie nie było konieczne, by wiedzieć o kobietach pewne rzeczy. Choć miał niewiele do czynienia z płcią przeciwną, wiedział, że niektóre kobiety szukają mężczyzny, żeby się do niego przyczepić jak pijawka, wysysać z niego życie, czerpać siłę, wykorzystując swoją dominującą pozycję. Kobiety o takim chytrym, znaczącym uśmiechu. Nigdy nie lubił u kobiet tego rodzaju mocy.

Dźwięk jej głosu wyrwał go z zadumy. Zdał sobie sprawę, że od dłuższej chwili otwarcie jej się przygląda.

Wokół nich panowała cisza, przerywana jedynie cichym szelestem wiatru w trawie.

- Trochę za późno, żeby się rozmyślić, Adrianie, jeśli to ci chodzi po głowie.

Zachnął się, słysząc swoje imię. Zwróciła na niego te swoje diabelskie oczy i uśmiechnęła się; ostre rysy jej twarzy wdzięcznie złagodniały, kąciki ust uniosły się w wyrazie rozbawienia. Uśmiechała się, ale on wiedział o drzemającej w niej mocy, gotowej się ujawnić zniecka. Uniosła brwi, wyraźnie czekając, że znów zrobi z siebie głupca. Wszystko wskazywało na to, że nie będzie musiała długo czekać.

Potrząsnęła głową, jakby nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje. Nic dziwnego, bo sam nie mógł w to uwierzyć. Bez wątpienia początek ich znajomości nie wypadł najlepiej; Adrian dałby wiele, by móc zacząć wszystko jeszcze raz, od nowa. Nie chodziło tylko o ostatnią wymianę zdań, po prostu cała sprawa przebiegała nie tak, jak można by oczekiwać.

Patrząc na nią, Adrian poczuł gwałtowne uderzenie krwi do głowy; miał trudności z zebraniem myśli.

- Niestety, nie mogę się z tym zgodzić. Nigdy nie jest za późno. Nawet w małżeństwie. - Urwał, czekając na jej od powiedź. Nie odzywała się, więc po chwili mówił dalej: - Tu, że jesteś moją żoną, nie musi oznaczać, że tak będzie zawsze, prawda?

Zdawało mu się, że dojrzał w jej oczach błysk gniewu, bardzo krótki, bo natychmiast zastąpiła go wesołość.

- Owszem - przyznała z irytującym spokojem. - Podobnie jak biorąc oddech, nie mamy pewności, że dożyjemy następnego. Możemy mieć tylko nadzieję.

- Nadzieję? A więc kierowała tobą nadzieja, kiedy igrałaś ze śmiercią na skraju tego urwiska? Jeśli tak, to masz chyba nic po kolei w głowie.

- Rzeczywiście, skoro przyjechałam tu, żeby być twoją żoną - odparła, tym razem z wyraźną nutą złości. - Cenię życie tak samo, jak każdy. Próbowałam złapać słoiczek z farbą, zanim się stoczy w przepaść - wyjaśniła czystym, mocnym głosem. I patrząc mu w twarz, dodała: - I udałoby mi się, gdybyś mi nie przeszkodził.

Adrian zmarszczył czoło.

- Prędeż byś sobie roztrzaskała głowę na skałach tam w dole - mruknął. - Żadna farba nie jest warta takiego ryzyka.

- Mój dom był położony na takim samym brzegu. Bawiłam się nad urwiskiem jako dziecko. Ojciec zawsze mówił, że pewnie się trzymam na nogach. Nigdy mi się nic nie stało.

Adrian miał wrażenie, że sam wpadł na skalną ścianę. Rozczarowała go. Wprawiała w złość. Wychodził przy niej na głupca. Nie była taką kobietą, jakiej chciał na żonę, a jednak patrząc na nią, czuł, że nie wie, czemu krew zaczyna mu szybciej krążyć. Przecież nie mógł jej pożądać.

Nie mógł.

...
Posłał jej kolejny niemiły uśmieszek.

- Choć podziwiam twą pewność siebie, muszę ci przypomnieć, że zawsze jest ten pierwszy raz. - Tłumiąc w sobie nagłą chęć, by zagarnąć ją w ramiona i pocałować, dodał niezamierzenie ostrym tonem: - Widzę, że jeśli idzie o kobiety, gust mojego brata jest nie tylko inny, ale też mniej ... określony.

- Rzeczywiście. - Maggie westchnęła. - Wiem dokładnie, w jakich kobietach ty gustujesz. - Dała mu do zrozumienia, że wie o jego niespełnionym uczuciu do bratowej, czym dotknęła go boleśnie. - Powinam cię ostrzec, że zbyt ściśle określone upodobanie może ograniczyć z obsesją.

Zachnął się wyraźnie.

- Wybacz. - Oblała się rumieńcem. - Czasami nie potrafię zapanować nad językiem. - Tym razem w jej głosie brzmiała szczerza skrucha.

- Zdażyłem się o tym przekonać - mruknął, a potem westchnął, łagodniejąc. - To chyba moja wina. Nie powinienem był cię prowokować. Nic dziwnego, że wpadłaś w złość. Wygląda na to, że działał podobnie na większość ludzi. - Przepraszam wydały jej się zaprawione goryczą. - Nie wiedziałem o twojej zręczności, więc widząc cię niebezpiecznie blisko krawędzi, po prostu się przestraszyłem. Nie chciałem być brutalny. Nic ci się nie stało?

Uśmiechnęła się, ale on nie odwzajemnił uśmiechu.

- Nie zламаłam sobie niczego ... - popatrzyła na pęknięty paznokieć - ... ważnego.

- Całe szczęście. Nie powinnaś się zbliżać do brzegu urwiska.

To nie jest odpowiednie miejsce dla kobiety. Na twoim miejscu zebrałbym te zabawki i wrócił do domu, zanim się stanie coś naprawdę głupiego.

- Trochę na to za późno. - Spojrzała na niego z ukosa. - Głupcy zawsze się śpieszą - powiedziała ze śmiechem.

Nie podzielił jej wesołości, co trochę ją zastanowiło. Zaskoczył ją, pojawiając się zniecka i odciągając

znad krawędzi przepaści. Jego gniew i szorstkość wprawiły ją w lekkie zmieszanie. Mieszkała w jego domu od dwóch tygodni, spędzając większość czasu w brązowym gabinecie, gdzie odgrywała próby ich pierwszego spotkania. W najśmielszych wyobrażeniach - a we wszystkich widziała się nieskazitelnie odzianą i uczesaną, siedzącą przy fortepianie lub w jakimś innym, równie odpowiednim miejscu - nie brała pod uwagę, że będzie miała do czynienia z gburem, szarpiącym ją za ubranie w przekonaniu, że ratuje ją przed niechybną śmiercią, a potem udzieli jej reprimendy i tonem rozszerezonego nauczyciela każe wynosić się do domu.

Minęło sporo czasu, odkąd posyłano ją za karę do domu, więc sytuacja wydała jej się nieodparcie zabawna. Zagryzła wargę, napominając się w duchu, że nie powinna jeszcze bardziej drażnić swego męża przy pierwszym spotkaniu.

Patrzył na nią surowo; zaciśnięte szczęki świadczyły, że jest świadomy jej rozbawienia, którego wcale nie podzielał. Mimo jego wyniosłości i chłodu, nie mogła oderwać od niego oczu. W jego twarzy było coś pociągającego, poza tym, że mógłby uchodzić za diabelnie przystojnego mężczyznę, gdyby nie miał takiej cynicznej miny.

- Początek nie wypadł nam najlepiej, prawda? - spytała zniechęcona. - Może powinniśmy zacząć jeszcze raz. - Lepiej nie - odparł szorstko. - Za drugim razem mogłoby nam pójść jeszcze gorzej.

Przyjęła odpowiedź ze śmiechem. Miał dźwięczny, męski głos, ale jego ton mógł zmrozić krew w żyłach. Na niej jednak nie zrobił większego wrażenia. Dla szkockiej góralki wszystko było kwestią czasu; następnego dnia to ich pierwsze spotkanie, jakkolwiek nieprzyjemne, będzie wyglądało już całkiem inaczej.

- Tak - przyznała, uśmiechając się mimowolnie. - Wiem, że to możliwe. - Jego bliskość i to, że ją obserwował, sprawiły, że serce Maggie zaczęło dziwnie trzepotać.

Przyglądał jej się otwarcie, bez skrepowania.

- Zdałam egzamin? - spytała bez 'Złośliwości czy kpiny, tak jak się zadaje zwykłe pytanie.

- Czy to ważne, co myślę? - Wpatrywał się nią, jakby szukał pogardy, ale znajdował jedynie łagodność.

- Możliwe - odparła, wypełniona jakimś ciepłym, niepokojącym uczuciem, które mogłoby przyrównać do litości, nie dla niego, bo przecież nad mężczyzną o jego wyglądzie i bogactwie z pewnością nie trzeba się było litować, lecz nad samotnością, którą w nim wyczuwała, która kazała mu przyjąć pozę twardego ;ynika, skrywającą poczucie niespełnienia. Najbardziej godne litości wydawało jej się jednak to, że próbował wypełnić swoje ",ycie pogonią za bogactwem, nieświadomy, że majątkiem nie można wypełnić pustki w sercu.

- Próbujesz wymusić na mnie komplement?

- A uda mi się?

- Pewnie nie. - Zaśmiał się. - Zresztą, czymże jest uroda? Zawsze słyszałem, że "szminka i puder działają cuda".

Być może nigdy nie postawił nogi na szkockiej ziemi, ale ." pewnością miał typowo szkocką skłonność do prowokowania swoich rozmówców. Szkoda, że nie wiedział, przez co musiała przejść, jak walczyła o byt, nie mógł docenić jej zdolności do przetrwania w najtrudniejszych warunkach, zadawalania się tym, co ma, bez oczekiwania na coś więcej. Samowystarczalność i niezależność miała we krwi. A co więcej, nigdy nie uważała się za piękną, więc jego ocena wcale jej nie zaskoczyła ani nią nie wstrząsnęła.

Nie ukrywał zdumienia, kiedy i tym razem odpowiedziała śmiechem.

- Tak, wiem, że nie jestem piękną, ale to może działać na twoją korzyść. Podobno wielka uroda żony zwykle przeraża męża. Przynajmniej nie grozi mi porwanie. - Na koniec dodała z rozbijającą szczerością: - Przykro mi, że jesteś aż tak bardzo rozbawiony.

Maggie wykorzystała jego milczenie, żeby mu się przyjrzeć równie otwarcie i krytycznie, jak on obserwował ją. Był wyższy od Rossa i szczuplejszy. Nie miał też lśniących czarnych włosów i bladych oczu Rossa Mackinnona, tylko gęstą płową czuprynę i tęczówki o barwie ciemnego błękitu.

Od tego pierwszego spojrzenia wiedziała, że ma przed sobą człowieka upartego, niezłomnego i dumnego niczym rosnące na tej ziemi odwieczne sekwoje. Nie przypominał żadnego ze znanych jej dotąd ludzi. Był twardy jak granit i nieprzenikniony jak szkocka mgła.

Od razu go polubiła.

Była na tyle mądra, by nie dać mu tego poznać. Wiedziała też, że nie będzie jej łatwo. Zmusiła się do zachowania spokoju, opanowania złości na niego za to, że kazał jej na siebie tak długo czekać, jako że jego dwutygodniowe spóźnienie bez wątpienia było celowe. Miało ją ostrzec, odebrać jej pewność siebie. Wystawiła twarz na powiew wiatru i głęboko wciągnęła powietrze w płuca. Następnie stanęła naprzeciw niego, tak jak jej przodkowie nieskończenie wiele razy stawiali oko w oko z przeciwnościami losu -

niezłomna, zdecydowana, gotowa do walki, nieczuła na chłostanie wiatru, wściekły ryk morza, przygnębiającą pustkę wrzosowisk, chytrą Anglików i wrogie działanie czasu.

Wpatrywała się w niego z mieszanymi uczuciami. Nigdy by nie przypuszczała, że mężczyzna, który napisał te wszystkie listy, może być taki nieodparcie męski, tak potężnie zbudowany. Tego rodzaju wrażliwość cechowała zwykle ludzi o drobniejszej posturze i łagodniejszych rysach. Jak mógł pisać takie listy, skoro był twardym osiłkiem?

Nie znajdowała w tym niebieskookim brutalu nic, ale to absolutnie nic, co mogłoby świadczyć o wrażliwości i miękkim sercu. Miał wąskie usta o pogardliwym wyrazie, a jego spojrzenie mogło zamrozić wrzątek. Wydał jej się arogancki, zarozumiały, niedostępny i władczy. Westchnęła ciężko. Tego było już za wiele. W ostatnim czasie miała urwanie głowy z pośrednikami, bankierami, adwokatami i prezbiteriańską arystokracją, a teraz przyszło jej się zmierzyć z tym oschłym Amerykaninem. Tego było już po prostu za wiele.

Nagle, nie wiadomo skąd, dobiegł ją głos ojca, wspomnienie czegoś, co jej powiedział, tak żywe i wyraźne, iż mogłaby przysiąc, że stary hrabia Caithness stoi tuż obok.

- My, Szkoci, uchodzimy za kłótlivy naród, bo największą intelektualną przyjemność znajdujemy w niezgodzie.

Jeśli to była prawda, to Adrian Mackinnon, choć nigdy nie stanął na szkockiej ziemi, był Szkotem do szpiku kości, zarówno charakteru, jak i stosunku do rzeczywistości. Jeśli chciał się trzymać przeszłości, nie miała zamiaru mu w tym przeszkadzać. Jak mogłaby karać czy potępiać człowieka za jego złożoną osobowość i szkocką naturę?

Odwróciła się i zaczęła zbierać swoje przybory do malowania. - Dokąd się wybierasz?

Spojrzała na niego przez ramię, zakręcając słoiczek z karminową czerwinią. Zastanawiała się, czy powinna mu powiedzieć, że kieruje się kolejną ze swych szkockich cech - praktycznością.

- Zdaje mi się, że parę minut temu kazano mi wracać do domu. Ogarnął wzrokiem rozłożone farby, płótno, sztalugę i porzuconą w trawie parasolkę.

- Przyszłaś tu sama?

- Nie. - Odgarnęła z twarzy niesforny kosmyk włosów. - Był ze mną ten łazęga Izrael.

Adrian rozejrzał się dokoła. Po psie nie było śladu.

- Płocze stworzenie - przyznała, zamykając wieko pudła z farbami. - Porzucą mnie, kiedy tylko dojrzą zającą.

Uśmiechnął się i Maggie natychmiast zrozumiała, dlaczego tak rzadko mu się to zdarza. Gdyby to robił częściej, kobiety by tego nie zniosły. Miał uśmiech, od którego topi się masło, a kobietom miękną kolana. Ogarnęła ją fala ciepła, serce zabiło i w niej, mięśnie się napięły. W pierwszej chwili pomyślała, że to złość, ale nie potrafiła się długo oszukiwać. To niezwykle drzenie w całym ciele brało się z jego bliskości.

Pochylił się nad nią, wysoki i potężny; niebieskie oczy obserwowały ją czujnie. Jego skóra, widoczna w rozpięciu kołnierzyka, była lekko opalona. I zapewne ciepła. Popołudniowe słońce rozpalało rudawe błyski w jego zmierzwionych wiatrem włosach. Sprawiał wrażenie całkowicie opanowanego, ale coś jej mówiło, że nie jest do końca taki, jak chciałby być przez nią postrzegany. Był w nim jakiś smutek. I samotność.

Maggie szybko opuściła wzrok, ścierając z dłoni smugę farby. Wiedziała, że musiał dostrzec nagły rumieniec na jej twarzy.

Jej mąż miał szorstkie, może nawet odpychające maniery, ale był silnym, przystojnym, pełnym życia mężczyzną. Ogarnęła ją fala tęsknoty, od której aż zakręciło jej się w głowie. Jego obecność przypomniła jej o zbyt wielu rzeczach, których była pozbawiona. Brakowało jej bliskości, jaką daje małżeństwo. Poczucia przynależności i bezpieczeństwa, wypływających z pożycia z mężczyzną. Tęskniła za intymnością, ciepłymi spojrzeniami, pieścizotami. Tęskniła za podobnym do błogiej senności poczuciem spełnienia po fizycznym zbliżeniu.

A teraz niemal tęskniła do jego następnej uwagi.

- Izrael nigdy nie przeszedł nauki posłuszeństwa. Nie ma pojęcia, czego się od niego oczekuje - powiedział.

Zupełnie jak jego pan ... Była pewna, że nie ma drugiego mężczyzny, który by równie skutecznie jak jej mąż potrafił studzić kobiecy zapał. Ona pozwalała sobie snuć romantyczne rozważania, a on mówi o psie. Jeśli w ogóle mieli się kiedyś porozumieć, to przede wszystkim musieli znaleźć jakąś wspólną płaszczyznę. Bo na razie każde z nich żyło jakby w innej przestrzeni.

- Zatem Izrael i ja mamy ze sobą wiele wspólnego - rzuciła od niechcienia.

Zacisnął usta, aż wargi pobieleły mu w kącikach.

- Zawsze mówisz to, co myślisz?

- Owszem. Przeszkadza ci to?

- Nie mogę powiedzieć, żeby akurat szczerze najbardziej podobała mi się w kobietach.

- Z tego, co widzę, w ogóle niewiele ci się podoba.

- Och, umiem docenić piękno - powiedział, odwracając się lekko. - Weźmy chociażby tego konia. Jest piękny.

Uśmiechnęła się pod nosem. Nie miała zamiaru się przejmować jego uwagami ani wytaczać dział do boju. Była zbyt inteligentna, by dać się wciągnąć w takie gierki. Ojciec często uczył ją, że nie należy ujawniać wszystkich swoich atutów, tylko zawsze trzymać coś w zanadru.

- Jak już zauważyliśmy, nie idzie nam najlepiej. Powinam już pójść. Może zaczniemy od nowa przy kolacji. Bo chyba jestem zaproszona na kolację?

Widział iskierki humoru w jej oczach. Miał ochotę ją udusić. Do licha, wprawiała go w stan dziwnego, niezrozumiałego zdenerwowania. Zmierzył ją twardym spojrzeniem, jakby w ten sposób mógł ją zdeprymować i skłonić, by przestraszona umknęła do domu. Tymczasem stało się coś zupełnie innego - to on się przestraszył, stracił pewność siebie. Jeszcze przed chwilą mu się!, dawało, że jej oczy są zielone, a teraz, kiedy uniosła twarz ku słońcu, miały złocistobrazową barwę. Musiała być diablicą, bo przecież żaden człowiek nie jest w stanie zmieniać koloru oczu~ Odwróciła głowę, tak że jej twarz znów znalazła się w cieniu, a oczy z powrotem były zielone. Do licha, więc właściwie jakiego były koloru?

Ogłupiały, powiedział pierwszą rzecz, jaka mu przyszła do głowy:

- Humor u kobiety nie jest zaletą.

- Podobnie jak gburowatość u mężczyzny.

Czyżby zawsze była taka szybka w udzielaniu ciętych odpowiedzi? Jeśli tak, niełatwo będzie z nią wytrzymać. Spędzili razem zaledwie parę minut, a już zrodziły się w nim wątpliwości, czy aby wzięcie sobie żony nie świadczyło o głupocie. Musiał powiedzieć coś, co by ją wstrząsnęło, ustawiło ją na właściwej, przynależnej kobiecie, podrzędnej pozycji. Znowu zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

- Nie jesteś taka, jak się spodziewałem. Tak, pomyślał, to powinno wystarczyć.

- Muszę przyznać, że ty też nie jesteś taki, jak oczekiwałam - odparowała ze śmiechem.

- Ross zapomniał mi napisać, że jesteś taka szczerą. Aja nie ...

- ... lubię szczerych kobiet - dokończyła za niego. - Bardziej by ci się spodobała kłamczucha? Kobieta, która oszukuje? Lubisz te cechy u kobiet?

Uśmiechnął się pod nosem. Postanowił trochę się z nią po-droczyć.

- To ma być pytanie czy ostrzeżenie?

- Ani jedno, ani drugie - odparła Maggie, upychając pod pachą sztalugę i płótno. - Nic na to nie mogę poradzić.

Równocześnie schylił się po pudełko z farbami.

- Jaje wezmę - powiedział, niechcący dotykając jej ręki. Ten przypadkowy kontakt zaskoczył ich oboje. Adrian szybko cofnął dłoń, Maggie wypuściła pudełko. Znowu jednocześnie się pochylili, tym razem zderzając się głowami. Popatrzyli na siebie bez słowa.

Adrian nie wiedział, co powiedzieć. Nie lubił sytuacji, kiedy ktoś miał nad nim przewagę, choćby najmniejszą. Był bogatym, potężnym, wpływowym człowiekiem, który rządzi swym imperium łącznie po królewsku. Nikt nie stał ponad nim.

Już nie.

Przez całe życie był tym drugim, za swoim bratem. Alex pierwszy przyszedł na świat i to drobne zrzędzenie losu jakoś zaważyło na reszcie życia braci. Alex był tym bliźniakiem bardziej pewnym siebie i zawsze skorym do śmiechu. To Alexa zauważano, to on domagał się uznania i zwykle je zdobywał, to on miał miłe usposobienie, łatwy charakter i męską urodę, która zwracała kobietom w głowach. Był przystojnym bawidamkiem i kobiety go uwielbiały. Potrafił flirtować i uwodzić. Twierdził, że kocha Karin Simons, a ożenił się z jej siostrą Katherine.

Adrian poprzysiągł sobie, że już nigdy nie będzie tym drugim.

Że odtąd zawsze będzie na pierwszym miejscu. Będzie najlepszy, najbogatszy, najpotężniejszy.

Wszystko, co zdobędzie, musi być najlepsze, najdroższe i musi wzbudzać powszechną zawiść. Już nigdy nie zadowolony resztkami. Był raz zakochany, zakochany bez pamięci, stracił ukochaną na rzecz brata i omal go to nie zniszczyło. Nawet teraz, po wielu latach, wspomnienie Katherine wypalało mu serce i umysł. Katherine niewinnej i czystej, takiej, jaka była, zanim wziął ją Alex.

Taką ją namalował.

Uniósł głowę i spojrzał przed siebie, na słońce, które powoli zanurzało się w oceanie. Nie przeszkadzało mu to, że Maggie wpatruje się w niego tymi swoimi dziwnymi oczami o zmiennym kolorze.

_ Jeśli ty i ja mamy żyć razem jako mąż i żona, musimy się leiej porozumiewać. Może moglibyśmy porozmawiać wieczorem, przy kolacji, jak trochę odpoczniesz i się przebierzesz.

Przyjrzał się swemu ubraniu.

_ Nie odpowiada ci widok kogoś ciężko pracującego, moja pani?

_ Nie odpowiada mi styl tej rozmowy. Chciałam jedynie zaproponować inny moment, w nadziei, że okaże się bardziej sprzyjający. - Podniosła z ziemi pudełko z farbami i odwróciła się, żeby odejść.

- Jeszcze nie skończyłem do ciebie mówić.

_ No to mamy problem, bo ja nie mam zwyczaju czekać, aż wstanę odprawiona.

_ Jesteś moją żoną - przypomniał, jakby to miało ją skłonić do uległości.

Przystanęła, odwracając głowę.

_ Owszem, jestem twoją żoną. Na mocy aktu małżeństwa, a nie umowy kupna.

Maggie czuła wzbierającą burzę, a myśl o kolejnej słownej potyczce z tym bystrym mężczyzną wydawała jej się tyleż przerażająca, co zabawna. Coś jej jednak podpowiadało, że wdawanie się z nim w otwartą walkę nie jest rozsądne. Był cyniczny i trochę porywczy. Gdyby sobie nieco pofolgowała, ją także mogłyby ponieść nerwy, a wiedziała, że dwoje furiatów nigdy nie dochodzi do porozumienia. Przynajmniej jedna strona musi zachować zimną krew. Na szczęście dobry Bóg i tego jej nie poskąpił, a bez wątpienia w tej sytuacji cierpliwość i zro-zumienie były bardziej stosowne niż złość i wrogie nastawienie.

Jakby czytając w jej myślach, on także wyraźnie się opamiętał.

_ Brat pisał mi, że jesteś utytułowaną damą i do tego wykształconą - zaczął niemal serdecznie.

_ Tak, pod tym względem chyba cię nie rozczaruję•

- A twój ojciec jest księciem.

_ Mój ojciec nie stoi aż tak wysoko w arystokratycznej hierarchii. Jest hrabią.

- Nie wyglądasz na kobietę, która zawiera małżeństwo per procura i płynie przez pół świata, żeby żyć w dziczy z człowiekiem, którego nie zna.

- A ty nie wyglądasz na człowieka, który pocztą zamawill sobie żonę.

- Jak mój brat cię znalazł?

- Wcale mnie nie znajdował. Znam Annabellę i Rossa od kilku lat. Przeczytawszy twój list i wykaz cech, których szukasz całkiem obszerny wykaz, muszę przyznać - uznali, że jestem idealną kandydatką.

Przyjechali razem do domu mojego ojca i przedstawili mi propozycję.

- A ty ją przyjęłaś.

Przykucnęła w głębokim ukłonie.

- Owszem, jak widzisz, skoro jestem tutaj. - Ruszyła w stron~ domu. Adrian wziął od niej sztalugę oraz pudełko z farbami i szedł obok, prowadząc konia. - Nie od razu się zgodziłam _ mówiła dalej. - To nie jest propozycja, na którą kobieta zgadza się natychmiast~ ot tak.

- Sądziłbym raczej, że kobieta o twoim pochodzeniu w ogóle się na nią nie zgodzi. Co cię do tego skłoniło? Dar przekonywania mojego brata, czy fakt, że jestem bogaty?

- Ani jedno, ani drugie. Twoje listy, dwadzieścia czy trzy~dzieści listów, napisanych przez ostatnie dziesięć lat. Po tym, jak je przeczytałam, czułam, że wiem o tobie więcej, że znam cię jako człowieka, że cię rozumiem.

Zatrzymał się, spoglądając w dal na bezkresną połąć oceanu.

- Gdybyś mnie rozumiała, nie zdecydowałabyś się tu przy~jechać.

- Gdybyś ty mnie rozumiał, Wiedziałbyś dokładnie, dlaczego się zdecydowałam.

Zajrzał jej pytająco w oczy.

- Coś tu się nie zgadza - stwierdził. - Nie jestem pewien co, ale coś się nie zgadza.

- Czy to ma być twoja wymówka, powód, dla którego odeślesz mnie z powrotem?

- Nie będę musiał cię odsyłać. Wcześniej czy później zechcesz wyjechać z własnej woli.

Wytrzymała jego spojrzenie. W głowie kłębiły jej się różne myśli na jego temat, serce waliło jej głośno.

- Jesteś pewien?

- Jestem. - Odwrócił się i szybko odszedł.

Serce jej się ścisnęło; postanowiła być dla niego dobra.

Postanowiła być w jego życiu czymś stałym i niezmiennym, kimś, na kim będzie mógł polegać. Choć porównanie mogło się wydawać szokujące, Adrian przypominał jej małego pieska, którego znalazła i przyprowadziła do domu jako dziecko. To był młody terier, tak bardzo skrzywdzony, że warczał i pokazywał zęby, gdy tylko ktoś próbował się do niego zbliżyć. Przez długie tygodnie Maggie karmiła psa, siedząc na werandzie i przyglądając mu się, kiedy jadł, i przemawiając do niego łagodnie. Stopniowo pies pozwolił jej się do siebie zbliżyć, nie okazując wrogości. Po długim czasie jej wytrwałość, czuła opieka i

okazywane zwierzęciu serce okazały się silniejsze niż pamięć o bólu i krzywdzie. Od chwili, gdy po raz pierwszy pies polizał jej rękę, stał się oddanym przyjacielem i był takim przez szesnaście lat, aż do śmierci.

Ogarnięta falą współczucia, poszła za Adrianem, starając się dotrzymać mu kroku.

- Nie mam zwyczaju się poddawać. - Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jego ramienia. Zatrzymał się gwałtownie, odwracając głowę, by na nią spojrzeć. Opuściła dłoń. - Nie wyjadę, chyba że sam mnie o to poprosisz. Nie cofam danego słowa i nie złamię przysięgi.

Promienie zachodzącego słońca otaczały jej postać świetlistą aureolą. Wpatrywała się w niego pytająco, jakby to ona od dawna była panią tego wielkiego, rozłożystego domu, a on kandydatem, który chce ten dom wynająć. Nie odezwał się.

Niezrażona jego milczeniem, uśmiechnęła się, odsłaniając równe, białe zęby.

- Szkoda, że nie miałeś tej samej możliwości co ja, nie miałeś pliku moich listów, z których mógłbyś mnie poznać.

- Brat napisał mi o tobie wszystko, co chciałem wiedzieć. Zmieniła się na twarzy, ale zachowała spokój.

- Tak, Ross mówił, że wysłał do ciebie list. Co ci napisał? Że spełniam twoje wymagania jako żona?

- Napisał, że będziesz mogła dać mi dzieci. Stworzyłem potężną firmę. Chcę mieć komu ją zostawić. To był powód, dla którego szukałem żony. Umieściłem to na liście, którą Ross ci przedstawił, więc to nie powinno być dla ciebie zaskoczenie. Lepiej, żebyś o tym pamiętała i nie próbowała sobie nic roić.

- Nie ma nic złego w chęci posiadania dzieci, Adrianie - powiedziała cicho.

Niespodziewanie ton jej głosu wzbudził w nim pożądanie.

- Chyba źle mnie zrozumiałaś - rzekł po chwili. - To był jedyny powód, dla którego zaprzagnąłem się ożenić. - Nie wiedział, dlaczego tak się do niej odzywa, dlaczego ma ochotę wyprowadzić ją z równowagi. Może chciał zachwiać jej pewność siebie.

Nie udało mu się.

- To uczciwy powód i ważny. Kocham dzieci i bardzo cenię szczerość.

- Skoro chcesz szczerości, to od razu ci powiem, żebyś nie oczekiwała tego wszystkiego, co zwykle idzie w parze z małżeństwem. Nie mam zamiaru się zakochać. Nigdy.

- Dlaczego?

Zmrużył oczy, odpowiadając zimnym, odpychającym tonem: - Ponieważ wciąż kocham żonę mojego brata.

Wzgrzygnęła się na wzmiankę o żonie brata, choć wiedziała, że powinna mu być wdzięczna za tę całkowitą szczerość. Znany wróg jest znacznie łatwiejszy do pokonania niż niewidoczny. Ponadto wiedziała o Katherine, zanim się zgodziła poślubić Adriana.

- Jesteś wstrząśnięta? - spytał. Kiedy się do niego uśmiechnęła, miał ochotę ją udusić.

- Nie - odparła. - A powinnam być?

Wzruszył ramionami. .

- Każdy reaguje na swój sposób.

- Więc nie mogę powiedzieć, bym była wstrząśnięta. Ross powiedział mi o Katherine, zanim tu przyjechałam - wyznała cicho.

Wyraz niedowierzania na jego twarzy sprawił, że serce jej podskoczyło z radości.

- I mimo to za mnie wysłaś?

- Tak.

- No to jesteś głupia.

- Być może.

- Dlaczego? Dlaczego zgodziłaś się wyjść za mężczyznę, o którym wiedziałaś, że jest zakochany w innej?

- Miałam swoje powody.

- Bez wątplenia. Ale jestem ciekawy jakie.

- Mniej więcej takie same jak twoje.

- Dzieci?

- Samotność.

Nagle zza wzniesienia wyłonił się Izrael, zdyszany od gonitwy, i szczekając podbiegł do nich.

Maggie przystanęła; z dłonią na ciepłym, złocistym łbie psa patrzyła, jak Adrian oddala się długimi, zdecydowanymi krokami. Dziwny był z niego człowiek. Miał więcej warstw niż cebula.

Ba! Ale z cebulą można było sobie poradzić.

Cebula wyciska łzy, kiedy się ją kroi, ale nic złego się nie dzieje, kiedy się ją obiera warstwa po warstwie. Omal nie wybuchnęła śmiechem, uświadomiwszy sobie, że porównuje swego męża do cebuli.

Cóż, były gorsze porównania.

O tak, znacznie gorsze. Utkwiła wzrok w zadzie idącego przed nią wierzchowca i aż zakryła usta dłonią, bo nagle pokaz dziecinnego gniewu Adriana wydał jej się niesłychanie zabawny.

To nie gniew kazał Adrianowi uciekać, tylko lęk. Od ponad dziesięciu lat był panem samego siebie, organizował własne życie tak, by nikt inny nie miał na niego wpływu, by nikt nie wyrzucił mu życia do góry nogami, jak kiedyś Alex i Katherine. Nim brat z bratową wrócili do Teksasu, Adrian zdążył zrozumieć, że najważniejszą sprawą jest panowanie nad własnym losem.

A teraz nagle sobie uświadomił, że żeniąc się z tą kobietą, włączył do swego życia drugą osobę i odtąd będzie musiał brać ją pod uwagę przy podejmowaniu wszelkich życiowych decyzji.

Dotarłszy do schodów domu, odwrócił się i stwierdził, że nic przyszła za nim, lecz porzuciwszy ramię z płótnem na kamieniu, bawi się z psem. Rzuciła patyk i śmiała się, gdy pies biegł po niego, przynosił jej w pysku i kładł u stóp, szczekaniem i dzikimi podskokami zachęcając, by rzuciła ponownie, na co chętnie się godziła.

Była osobą łatwo przystosowującą się do okoliczności, ulegającą emocjom ... choć już nie tak całkiem łatwo, nieskończenie cierpliwą i zdolną przebaczać. Musiał przyznać, że mógł trafić gorzej.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się, jak dokazuje z Izraelem. Przyszło mu do głowy, że będzie dobrą matką.

Patrzył na Maggie oczyma pociemniałymi od bolesnego żalu, przyglądał się jej jasnym włosom, w których promienie zachodzącego słońca rozpałały rudawe błyski.

Nienawidził jasnych włosów o rudawym odcieniu.

Według Adriana włosy powinny być albo blond, albo rude i to nie tak po prostu rude, tylko ogniście miedziane, takie jak miała Katherine. A włosy tej kobiety były nieokreślonego koloru.

Patrzył, jak Maggie podnosi z ziemi sztalugę i rusza biegiem w stronę domu, w towarzystwie poszczekującego psa. Zdyszana przystanęła obok Adriana, kiedy otwierał drzwi.

- Zejdiesz na kolację? - spytał, spodziewając się, po nieudanym początku znajomości, że będzie się wymawiała bólem głowy czy zmęczeniem i poprosi o przysłanie tacy do pokoju.

- Oczywiście, że zejdę - odparła ze śmiechem. Miała ochotę dodać: "Ty głupcze, nie przestraszysz mnie swoim zachowaniem". Ma się rozumieć, nie powiedziała tego, ale na chwilę zadumała się nad słabością płci zwanej silniejszą. Ten bystry, stanowczy mężczyzna uciekał się do wybiegów, na które nie nabraloby się nawet dziecko. Chciało jej się z niego śmiać.

Jeśli chciał ją trzymać na dystans, musiał się zdobyć na coś lepszego. Jego strata, że spóźnił się o dwa tygodnie, bo zyskała przez to czas na oswojenie się z otoczeniem i sporo się dowiedziała o człowieku, którego poślubiła. Na tyle dużo, żeby się poczuć częścią jego życia.

Innymi słowy, jeśli Adrian Mackinnon chciał ją zniechęcić, powinien być tu na miejscu od samego początku, kiedy wszystko było dla Maggie nowe i brakowało jej pewności siebie. Jak i, wierzę, przygotowując się do zimy, wykorzystwała czas na gromadzenie zapasów. Była przygotowana i dlatego nadejście zimy nie wzbudzało w niej lęku.

Widok chmury na jego czole sprawił jej nieklamana radość.

Znała go. Znała tego mężczyznę i bardzo ją to cieszyło. Był dla niej jak Szkocja - surowy, twardy, nieprzystępny, niegościnnie dla obcych, pełen uprzedzeń, dumny, niechętny zmianom i ... chwytający za serce.

Kiedy ten człowiek pokocha, będzie lojalny, opiekuńczy, czuły. Będzie miłością na całe życie. Jego szorstki sposób bycia, surowe spojrzenie i cyniczny uśmiezek igrający w kącikach ust już jej nie martwiły. Jego złość, ta, której doświadczyła i której z pewnością miała doświadczać w przyszłości, nie była skierowana przeciwko niej, lecz przeciwko temu, co dla niego oznaczała, i nie mogła być bardziej sroga niż smagnięcia wiatru, który zawsze w końcu ustaje. Miłość nie przyjdzie mu łatwo, ale kiedy już nadejdzie, będzie słodka i warta najdłuższego oczekiwania. Maggie była gotowa czekać na to wyjątkowe szczęście kochania i bycia kochaną przez silnego, upartego i trudnego mężczyznę.

Wzięła od niego pudełko z farbami, minęła go z uśmiechem i weszła do domu, pozostawiając w oczach

Adriana niewyraźny obraz farb, sztalugi, halek i wielkiego płowego psa.

8

Eli i Wielki John Polly następnego ranka czekali na Adriana w biurze.

- Pope i Talbot budują jeszcze jeden tartak w Teekalet ~ oznajmił Wielki John.

Eli spojrział najpierw na Wielkiego Johna, potem na Adriana. - Dostaliśmy wiadomość od kapitana Kline'a zaraz po tym, jak dziś rano zarzucił kotwicę - powiedział.

- Cholera - zaklął Adrian, rzucając rękawice na biurko. - Więc te pogłoski w San Francisco to nie były tylko plotki. - Oparł się o blat, wbijając wzrok w rozrzucone papiery. Ten drań Pope chciał go doprowadzić do zguby, a przynajmniej do ruiny. Odkąd on i Talbot poszli w ślady Adriana i zajęli się przetwórstwem drewna na północy, sprawiali ciągłe kłopoty. Nie dość im było, że sami zbili fortunę, lecz jeszcze uparli się, że doprowadzą Adriana do bankructwa.

- Cholera! - zaklął ponownie, podchodząc do okna i spoglądając na tartaczny plac. - Tego się wfaśnie obawiałem.

- Nie rozumiem, dlaczego on czeka, aż pan wybuduje tartak, a potem sam chce postawić własny tak blisko, że mógłby na nas splunąć, gdyby się postarał - rzekł Eli.

- Och, ja to rozumiem - powiedział Adrian. - Winny jest Pope. Talbot godzi się na wszystko, co Pope zdecyduje.

- Co on ma nadzieję zyskać? - spytał Eli. - W tych okolicach jest dość drewna, żebyśmy wszyscy mieli zajęcie na długie lata. Dlaczego musi się budować tuż obok nas?

Adrian odwrócił się od okna.

_ Nie chodzi mu tylko o drewno. Chce nas wygryźć z interesu.

_ Tego właśnie nie rozumiem - przyznał Wielki John. - Miejsca jest dosyć dla wszystkich.

_ Zdobywanie zagranicznych rynków zajęło nam całe lata. Mamy najlepsze kontakty i najlepszych agentów, jakich tylko można mieć. To nie przyszło z dnia na dzień. Ich firma, Kompania Puget Mili, potrzebuje rynków zbytu za granicą. Pope chce nas wykończyć i zająć nasze miejsce. Po prostu. - Adrian zamilkł dla dłuższą chwilę. - Dwa miesiące temu otrzymałem wiadomość, 'i, ejakiś człowiek Pope'a węszy w Valparaiso, a potem usłyszałem IO samo z Sydney. - Podniósł z biurka kartkę. - Trzy tygodnie temu dostałem ten list z Hongkongu.

- To samo? - domyślił się Eli.

_ To samo - potwierdził Adrian, rzucając list z powrotem na blat.

Wielki John podszedł do mapy wiszącej na ścianie i przez jakiś czas studiował ją uważnie.

_ Więc prawdopodobnie dostaniemy podobne raporty z Manili i Szanghaju - powiedział, wskazując odpowiednie punkty.

- Nie zapominaj o Honolulu - dodał Eli, podchodząc do mapy i stukając palcem w miejsce, gdzie leżały Hawaje. - Tego też nie ominą.

_ Niczego nie ominą - potwierdził Adrian. - Na to możemy liczyć.

Pół godziny później, nie przerywając rozmowy, wyszli na ganek, żeby Adrian mógł swobodnie żuć tytoń, nie martwiąc się o to, gdzie spłuwa.

Kiedy dwaj jego towarzysze w końcu odeszli, Adrian wrócił do biurka i z głową opartą na splecionych dłoniach myślał o Talbocie i Popie ... przynajmniej próbował myśleć o Talbocie i Popie, lecz wkrótce myśli o Kompanii Puget Mill wyparty rozważania zupełnie innej natury.

Nie było na to sposobu. Ożenił się i jego życie uległo zmianie, Nie spodziewał się, że to nastąpi, ale nastąpiło. Pozostawało pytanie, jak sobie z tym radzić?

Cała ta sprawa z małżeństwem nie szła tak, jak należało, Chciał żony po to, by mu dała prawowitych następców, nie po to, by mieć w głowie kłębowisko myśli, podobne do roju wściekłych owadów.

Oczywiście, to nie była wina jego żony, że tak wiele o niej myślał, tracąc czas potrzebny na zajmowanie się ważniejszymi sprawami, jak choćby interesy.

W młodości Adrian uważał kobiety za istoty, przed którymi uchyla się kapelusza, ustępuje się im miejsca czy wstaje, kiedy one wchodzi do pokoju. Z biegiem lat przekonał się, że pewną część jego ciała robi to ostatnie niezależnie od niego - wstaje, kiedy jakaś kobieta wchodzi do pokoju. Odtąd jego penis, wcześniej służący jedynie do zaspokajania naturalnej potrzeby, stał się źródłem pewnego rodzaju napięcia, które nie tak łatwo było rozładować ... przynajmniej w niektórych miejscach, jak na przykład w kościele. Zauważył, że ten rodzaj napięcia pojawiał się albo w obecności kobiet, albo nocą, kiedy myślał o nich, leżąc w łóżku.

Przez całe życie obracał się pośród mężczyzn i nigdy nie spędził więcej niż pięć minut, rozmawiając z

kobietą, poza Katherine Simon i jej siostrą Karin. prostytutki się nie liczyły, zwłaszcza że z nimi akurat niewiele rozmawiał.

Myślał o swoim pierwszym spotkaniu z żoną, do którego doszło zaledwie wczoraj. Przyszło mu do głowy, że byłoby lepiej, gdyby Alex odbył za niego tę pierwszą rozmowę. Musiał przyznać, że sam nie bardzo umiał się znaleźć w takiej sytuacji, a w dodatku nigdy wcześniej nie stał oko w oko z prawdziwą damą. Zżymał się na wspomnienie ich spotkania na skraju urwiska. Nie dało się zaprzeczyć, że wyszedł na kompletnego głupca. Mógł się jedynie dziwić, że ta niezwykła kobieta w ogóle jeszcze chciała z nim rozmawiać.

Myślał o tym, jak usiadła naprzeciw niego przy kolacji, w ozdobionej różą ciemnoniebieskiej sukni, cudownie uwypuklającej doskonałą figurę, kibić tak smukłą, że wszystko co ponad i poniżej wydawało się idealnie krągłe i powabne. Musiał stłumić w sobie pragnienie, by sięgnąć po nią przez stół i pojąć ją na miejscu, co sprawiałoby, że czuł się tym bardziej nieswojo.

Ona natomiast, wyraźnie wolna od tego rodzaju niepokojów, zjadła zaupę, raz po raz zadając mu pytania o sprawy związane z prowadzeniem tartaku. Trudno mu się było skupić na rozmowie o interesach, kiedy jego myśli uparcie krążyły wokół jej cudownego zapachu, czystego i słodkiego, który wypełnił mu nozdrza, kiedy się pochylał, by odsunąć jej krzesło. Katherine zawsze pachniała czystością, jak mydło. prostytutki roztaczały zgoła odmienne zapachy - zlewały się wodami toaletowymi, co miało wyrównać niedostatek kontaktu z wodą i mydłem. Maggie była pierwszą znaną mu kobietą, łączącą oba te zapachy. Nim podano smażonego łososia, Adrian siedział, rozmyślając o tym, co chciałby z nią robić. Jeśli miał mieć tych potomków, których tak pragnął, musiał ją jakoś zwabić do swojego łóżka.

Zarządzanie tartakiem wydawało mu się łatwiejsze.

Nim posiłek dobiegł końca, Adrian zrozumiał, że nie zastanowił się wystarczająco nad tym problemem, zanim wziął sobie żonę. Ta kobieta miała mieszkać w jego domu, miała spędzać każdą noc pod tym samym dachem. Nie brakowało mu jurności, ale przecież nawet on nie był w stanie spędzić następnych trzydziestu czy czterdziestu lat w łóżku, kochając się z nią. Co mieliby robić w przerwach? I o czym, u diabła, mieliby rozmawiać, dzień po dniu, podczas trzech posiłków i całego wieczoru? Wprawdzie mógł jej powiedzieć kilka rzeczy na temat swoich interesów, pokazać jej parę widoków wartych obejrzenia, ale co potem? Próbował sobie przypomnieć, co robili Alex i Katherine podczas ego krótkiego okresu, kiedy tu mieszkała, ale jakoś nie pamiętał nic poza uczuciami, które do niej żywił.

Przez cały wieczór zastanawiał się, co by powiedziała, gdyby tak po prostu wstał i rzeczowym tonem zapytał: "Czego właściwie ode mnie oczekujesz?"

Myślał o tym bez przerwy, ale w końcu nic nie powiedział.

O wpół do siódmej Adrian zakończył doglądanie tartaku i wrócił do domu. Powitała go głucha cisza, która jeszcze pogłębiła jego niepokój. Przeszedł kolejno przez pomieszczenia na dole, ale wszystko wydało mu się takie jak zwykle ... co było o tyle dziwne, że przecież sama obecność Szkotki w tym domu była czymś niezwykłym.

Wszedł do salonu, stanął przed kominkiem i wpatrując się w portret Katherine, myślał o Maggie. Przez te wszystkie miesiące po napisaniu listu do Rossa z prośbą o znalezienie mu żony wyobrażał sobie śliczną kobietę szyjącą przyoknie, która na jego widok natychmiast odkłada robótkę i wstaje, żeby go powitać. Nigdy, ani razu, nie wyobrażał sobie, że wróci do ciemnego, pustego domu. Odwrócił się szybko od obrazu i przeszedł do holu.

Już miał postawić stopę na pierwszym stopniu schodów, kiedy za jego plecami rozległ się głos:

- Codziennie mniej więcej o tej porze chodzi z psem na spacer. Pewnie ją pan znajdzie przy skałach nad brzegiem.

Adrian obejrzał się za siebie. Dobrze, że przynajmniej Molly wciąż tu była.

- Czemu sądzisz, że jej szukam?

Kucharka zachowała kamienną twarz, ale w jej oczach czaiły się dziwne błyski.

- Czemu uważa mnie pan za głupią?

- Właśnie, czemu - mruknął Adrian i wyszedł.

Tak jak mówiła Molly, znalazł ją na skalistym brzegu, niedaleko od miejsca, gdzie się spotkali poprzedniego dnia. Była sama.

Tak samo jak dzień wcześniej przystanął, żeby na nią popatrzeć, podziwiać ją na tle zachodu słońca, mieniącego się czerwienią, różem i odcieniami złota. Stała w miejscu, gdzie ocean stykał się z lądem, zapatrzona w bezkresną dal, samotna, krucha postać w obliczu natury kipiącej barwami, energią, bogactwem form i kształtów.

Był ciekaw, czy kiedyś spróbuje namalować ten urwisty brzeg atakowany przez nieustępliwe fale, niewzruszone skały opierające się żywiołowi. A właściwie dlaczego miałoby go to obchodzić? Podjechał bliżej, zatrzymując konia tuż przy niej.

- Halo - odezwał się i natychmiast pomyślał, że zabrzmiało to jakoś głupio.

- Nie słyszałam, jak nadjeżdżasz - powiedziała, uśmiechając się do niego.

Była bez kapelusza; splecione w warkocz włosy miała upięte lisko na karku. Jasnożółta suknia z białoróżowymi wykończeniami zlewała się barwą z promieniami zmierzchu, podobnie lak jej złotorude włosy. Patrząc na nią, Adrian zastanawiał się, o czym mogła myśleć.

Słońce chyliło się ku zachodowi, ale wciąż czuło się w powietrzu jego ciepło. Adrian mocno ścisnął w dłoniach wodze. W ustach Iniał dziwną suchość, w uszach czuł głośnie bicie serca.

Maggie przyglądała mu się w milczeniu, z twarzą nie zdradzającą żadnych emocji.

- Szukałeś mnie? - spytała w końcu.

- Nie. - Zsiadł z konia. Starał się, żeby zabrzmiało to wiarygodnie, ale nie bardzo mu się udało.

- Zdawało mi się, że nadjechałeś od strony domu.

_ Rzeczywiście. Często po powrocie do domu wybieram się tu na przejażdżkę.

Jej wielkie żółtozielone oczy zrobiły się jeszcze większe. Jakże łatwo sobie z niego kpiła. Dawała mu do zrozumienia, że rozpoznała kłamstwo, jednakże nic nie powiedziała, tylko odwróciła się, żeby sycić oczy pięknem natury. Targnęła nim złość na własną głupotę.

- Chciałabym to namalować - rzuciła swobodnie.

- To czemu nie malujesz?

- Och, nigdy bym nie potrafiła oddać tych kolorów. To zbyt trudne zadanie dla takiej nowicjuszki jak ja.

- Dlatego zostawiłaś farby w domu?

- Nie. Nie miałam dziś ochoty na malowanie. Chciałam tylko pospacerować.

- Myślałam, że może przyszłaś tu szukać swojego słoiczka z farbą.

Odwróciła się do niego z uśmiechem.

- Obawiam się, że jest już w połowie drogi do Chin. Prąd jest tu bardzo silny.

Owszem, pomyślał z mocno bijącym sercem. Nie był w stanie się odezwać, poruszony do głębi ciepłem jej uśmiechu. Nic potrafił myśleć o niczym innym poza tym, że była jego żoną i miał prawo zrobić z nią ... wszystko.

Chodź ze mną do łóżka, błagał w myśli.

Co z tobą, Mackinnon? Jeśli chcesz się kochać ze swoją żoną, idź do jej pokoju i zrób to, strofował sam siebie.

- Pospacerujemy razem? - spytała. - Masz jakąś swoją ulubioną trasę?

- Nie. Właściwie nie zwracam uwagi, którędy idę.

- O, to szkoda. Tu jest tak ślicznie, pewnie nie dostrzegasz wielu pięknych rzeczy.

Spodziewał się, że będzie na niego zła albo przynajmniej oschła, zważywszy na to, że poprzedniego dnia zachowywał się nieuprzejmie, a rano opuścił dom przed świtem, nawet jej o tym nie mówiąc. Jednakże nawet jeśli ją to zaniepokoiło, nie dała po sobie niczego poznać.

Znów zapatrzyła się w dal, w bezkresną płaszczyznę oceanu. - Myślisz o Szkocji.

Spojrzała na niego tymi niesamowitymi oczyma. Tego dnia przypominały oczy kota, były prawie żółte, jedynie lekko nakrapiane zielenią.

- Owszem - przyznała.

- Tęsknisz za domem?

- Właściwie nie wiem, co czuję. - Rozejrzała się dookoła. - Tutaj tyle rzeczy przypomina mi rodzinne strony.

- Z pewnością nie sekwoje.

Parsknęła śmiechem.

- Nie, sekwoje nie. Nie mamy aż takich wspaniałych drzew. Ale wybrzeże jest zupełnie takie samo, i te fale uderzające ze złością o skały. - Zamknęła oczy, biorąc głęboki oddech. - Uwielbiam zapach morza. Dorastałam w nim. - Skierowała wzrok nad wodę. - Czasami odczuwam taką więź z tym miejscem ...

jakbym w ogóle nie opuszczała Szkocji, tylko cofnęła Nil.; w czasie. To miejsce ma w sobie świeżość, nieposkromioną dzikość, jaką musiała mieć Szkocja w dawnych czasach. - Spojrzała na pas drzew rosnących wzdłuż brzegu. - Czasami, kiedy tu siedzę, słyszę tętent galopujących koni, szczęk mieczy i przez mgnienie oka widzę oddział ubranych w kilty wojowników, wyłaniających się z lasu.

- Wyobraźnia od czasu do czasu każdemu płata figle.

- To nie wyobraźnia. Widziałam ich i słyszałam dźwięk dud.

Nie tych współczesnych, z trzema pieszczakami, tylko dawnych, sprzed wieków, takich, które miały dwie pieszczaki. - Odwróciła głowę. - Pewnie uważasz mnie za stukniętą.

- Nie. Uważam, że nie jesteś stukniętą, tylko intrygującą, Margaret.

- Margaret - powtórzyła. - Och! Od tak dawna nikt nie nazywał mnie Margaret.

- Ross pisał, że tak masz na imię.

- Owszem. Ale nikt z bliskich nie nazywał mnie Margaret. Zawsze mówiono na mnie Maggie.

- To zdrobnienie bardziej pasuje do kelnerki niż do damy - wyrwało mu się. Co się ze mną dzieje, przeklinał w duchu. Dlaczego nie potrafię z nią rozmawiać tak, jakbym chciał? Dlaczego nie mogę jej powiedzieć, co czuję w środku? Dlaczego mówię takie rzeczy, które mogą ją tylko skłonić do ucieczki, podczas gdy chcę, żeby została?

Opuściła głowę.

- Dziękuję - powiedziała cicho, a potem się roześmiała. Jej śmiech był czysty, radosny i całkiem, ale to całkiem szczerzy. - Może zostałam nazwana trafniej, niż sądziłam.

- A może wcale nie.

Znow wybuchnęła śmiechem, a Adrian jeszcze nigdy w życiu tak bardzo nie pragnął wziąć kobiety w ramiona. Maggie, Maggie, pocałujesz mnie? Serce mu podskoczyło. Niemal czuł jej słodki ciężar w swoich objęciach, ciepło jej krągłych piersi pod palcami. Z wrażenia zakręciło mu się w głowie. Podszedł do niej i ujął ją lekko za podbródek. Iskierki wesołości w jej oczach nagle zgasły, w ich miejsce pojawiła się czujność. Adrian miał ochotę zderzyć z niej ubranie, zobaczyć, co się kryje pod tymi wszystkimi warstwami zwiewnych halek. Bezwiednie przejechał kciukiem po jej ustach, nieco zbyt pełnych, by mogły uchodzić za piękne.

Ale jakże doskonałych do całowania.

Nie potrzebował zachęty. Drżąc z napięcia, przyciągnął ją do siebie i nie myśląc o tym, co robi, zgniótł jej wargi mocnym, natarczywym pocałunkiem.

Maggie otoczyła go ramionami, wbijając palce w twarde mięśnie najego plecach. Przeszło mu przez myśl, że wolałby czuć te palce w innym miejscu swego ciała i aż jęknął, gdy to miejsce ożyło.

Maggie wstrzymała oddech, gdy uniósł rękę do jej piersi; jego dotyk palił ją mimo bariery ubrania.

Ogarnęła ją fala ciepłego, niemal bolesnego mrowienia, rozchodząca się od piersi ku dołowi brzucha. Z westchnieniem przywarła do Adriana i z całych sił oddała pocałunek.

Oderwał się od niej gwałtownie.

- Chodź tutaj - powiedział, biorąc ją za rękę. - Za te skały. W pierwszym odruchu Maggie chciała go odepchnąć, powie-

dzieć mu, żeby sobie znalazł jakiś inny obiekt i zabawił się z nim do woli, lecz miała świadomość, skąd wzięło się jego przekonanie, że może jej zdrzeć spódnicę jak jakiejś pospolitej dziewczce. Odpowiedziała na jego gest. Pocałunek sprawił jej przyjemność. Podobnie jak dotyk jego dłoni na piersiach. I co najważniejsze, dała mu to poznać.

Spojrzała na niego, pełna zmieszania i wstydu, a potem szybko odwróciła głowę, przytłoczona napięciem, wzbierającym w niej od kilku ostatnich dni. Przez moment rozważała, jak by to było, oprzeć głowę na jego mocnym ramieniu i pozwolić się zaprowadzić za skały. Nagle jednak przypomniała sobie ostrzeżenie Rossa: "Nie śpiesz się. Adrian nie zakocha się w dwa tygodnie. Pamiętaj, czas działa na twoją korzyść". Odsunęła się, nie patrząc mu w oczy.

- Kim ty jesteś? - spytał cicho.

Odchyliła głowę, rzucając mu zdziwione spojrzenie.

- Przecież wiesz, kim jestem.

- Nie wiem nic poza tym, co mi powiedziano. A to czasami bywa mylące. Margaret... Maggie, sam nie wiem, co mam myśleć. Masz wizje, słyszysz jakieś dziwne dźwięki, mówisz zagadkami. Twoje imię nie jest twoim imieniem. Najpierw wydajesz mi się zwyczajna, a potem odkrywam, że jesteś piękna aż do bólu. Jesteś damą do szpiku kości, a topniejesz w moich ramionach jak kobieta, która doświadczyła już wcześniej takich rzeczy. Jesteś córką hrabiego, a mimo to rzuciłaś wszystko, żeby tu do mnie przyjechać, do człowieka, którego nawet nie znałaś. Jesteś otwarta i szczerą, a jednocześnie spowita mgłą tajemnicy. I nawet te twoje niesamowite oczy zmieniają kolor. Kim ty, do diabła, jesteś?

- Może jestem wszystkimi tymi kobietami, które opisałeś, ale przede wszystkim jestem twoją żoną.

- Wiem, ale nie mogę zrozumieć dlaczego. Przed czym uciekasz? - spytał głosem zdradzającym napięcie.

- Jaki jest prawdziwy powód, dla którego wybrałaś tę drogę? - Słońce przedzierało się przez jej długie rzęsy, kładąc cień na porcelanowo gładkich policzkach. - Powiedz mi, powiedz, dla czego tu przyjechałaś. Bo niemożliwe, żebyś nie miała innych propozycji.

- Nie, nie dlatego. Miałam inną propozycję, ale wybrałam ciebie.

- Dlaczego?

- Mówiłam ci - przypomniała mu, odwracając się w stronę morza. - Przyjechałam do człowieka, którego poznałam z twoich listów. Twoje życie tutaj wydało mi się ciekawe, poza tym nigdy nie byłam w Ameryce, ale to człowiek z listów mnie przyciągał, IO dla niego wybrałam nieznaną zamiast tego co znajome.

- Co ja napisałem w tych cholernych listach, co cię tak bardzo zainteresowało?

- Czytałam o samotnym człowieku pełnym pragnień i wie działałam, że znajdę zrozumienie, wiedziałam, że ktoś taki może być partnerem. Jest dla mnie ważne, by czuć się potrzebną, mieć poczucie, że coś z siebie daję. - Spojrzała mu prosto w oczy. Może moje życie nie przedstawiało się zbyt obiecująco, ale przecież miałam wybór. Nie musiałam tu przyjeżdżać ze względu na okoliczności ... choć nie były sprzyjające. Przyjmując tę drugą propozycję i pozostając w Szkocji, wybrałabym łatwiejszą drogę. Cokolwiek byś o mnie myślał, Adrianie, chcę, żebyś wiedział, że dobrowolnie zdecydowałam się wyjść za ciebie i tu przyjechać.

Adrian widział w jej oczach uczciwość i wierzył, że mówiła prawdę, ale coś w tym wszystkim nie dawało mu spokoju. Coś go wewnętrznie uwierało, kazało mu drążyć głębiej, by odkryć prawdziwy powód, dla którego zgodziła się go poślubić.

- Mówiłaś, że miałaś tylko jedną inną propozycję. To mnie intryguje. Sądziłbym, że córka hrabiego otrzyma ich więcej ... i znacznie wcześniej. Ile masz lat?

- Wystarczająco dużo - odparła ze śmiechem. Po chwili, już poważnie, wyznała: - Dwadzieścia siedem.

- Dwadzieścia siedem - powtórzył. - Dlaczego czekałaś tak długo z wyjściem za mąż?

- A ty ile masz lat, Adrianie?

- Trzydzieści jeden.

- Dlaczego ty tak długo czekałaś?

Roześmiał się trochę sztucznie.

- Mówiłem ci. Byłem zakochany w kimś innym.

- Tak jak ja - powiedziała cicho. Nim zdążył jej zadać kolejne pytanie, odwróciła się na pięcie i pobiegła w stronę domu.

Patrzył za nią, myśląc o tym, co mu powiedziała. Że kochała kogoś innego. Nie przyszło mu do głowy, że jej może być równie ciężko ze świadomością, że on kochał inną.

I że nadal kocha.

9

Jadalnię rozjaśniał blask świec, odbijający się w drobno dzielonych okiennych szybach. Trzy wielkie żyrandole znad stołu ścieliły smugi złocistego blasku na lśniącej podłodze. Jednakże mężczyzna stojący z kieliszkiem brandy przyoknie i dawał się wcale tego nie zauważać. Poirytowany ściągnął brwi, czując narastające pulsowanie w skroniach.

Czekał na nią, a ona się spóźniła ... znowu. Zamierzał jej powiedzieć, jak bardzo go złości to jej wieczne spóźnianie się, nie kiedy usłyszawszy zbliżające się kroki w holu, odwrócił głowę ... słowa utknęły mu w gardle.

W chwili gdy przestąpiła próg jadalni, całe światło jakby skierowało się na nią. Miała na sobie suknię w ciemnym odcieniu zieleni, aksamitną, obcisłą, wyzywającą. Całkowicie odkryte ramiona jaśniały perłową bielą. Obcisły stanik przylegał niczym dłoń do piersi, idealnie kształtnych i pełnych nad smukłą talią. Gęste, niemal czarne fałdy aksamitu opasywały biodra i upięte z tyłu opadały kaskadą, tworząc tren. Jej uszy zdobiła para antycznych kolczyków ze szmaragdami i brylantami. Włosy miała zaczesane do tyłu i zwinięte w węzeł, co sprawiało, że jej wielkie oczy wydawały się jeszcze większe.

- Spóźniłam się - oznajmiła.

- Owszem - potwierdził. - Znowu.

- Może z czasem stanę się bardziej punktualna.

- Może.

Zbliżyła się do niego płynnym, opanowanym ruchem, jak powolny strumień podążający korytem znanym od wieków. Cała jej postać miała w sobie jakąś królewską godność - sposób chodzenia, postawa, uniesienie głowy, a przede wszystkim opanowanie. Nic nie wskazywało, że to ta sama kobieta, która pod wpływem wzburzenia uciekła przed nim zaledwie kilka godzin temu.

Stała tuż przed nim i spojrzała na niego. Tego wieczoru jej oczy miały kolor bursztynu, były jasne i błyszczące światłem tysiąca świec. Bezwiednie powiódł wzrokiem po miękkiej linii jej odkrytych ramion, do cudownej wypukłości na wpół odkrytych piersi. Nie chciał myśleć o jej oczach i o piersiach. Nie chciał się

poddać jej urokowi.

- Trochę tu chłodno. Jak sądzisz, może przydałby ci się jakiś szal?

Zauważyła gniewnie zacisnięte szczęki. Dostrzegła też głód w jego oczach.

- Nie wydaje mi się, żebym potrzebowała szala. Sądząc po tym, jak na mnie patrzysz, przydałaby mi się raczej ochrona.

Roześmiał się, odrzucając głowę do tyłu.

Czuła się nieswojo pod jego przenikliwym spojrzeniem. Jeszcze nigdy tak na nią nie patrzył; w jego wzroku było coś więcej niż tylko zaciekawienie czy nawet poufałość. Pojawiło się też między nimi napięcie, którego wcześniej nie było. Po raz pierwszy bała się być z nim sama i nienawidziła siebie za ten strach.

Serce jej waliło jak oszalałe, oddech z trudem przeciskał się przez ściśnięte gardło. Nie tak powinno być między nimi. Była już mężatką, знаła uczucie bliskości i związanego z nią ciepła. Nie tak wyobrażała sobie kontakty ze swoim nowym mężem. Przy Adrianie nie czuła się swobodnie, miała świadomość własnych niedoskonałości. Przede wszystkim jednak uświadamiał jej kruchość tego nietypowo zawartego małżeństwa, niepewność jej pozycji u jego boku. Istniały między nimi niewyjaśnione problemy, te już odkryte i te jeszcze niewypowiedziane. Ojciec często mawiał, że problemy po to pojawiają się w życiu, żeby człowieka czegoś nauczyć. A doświadczenie radziło, by od razu przyswoić sobie tę naukę, ponieważ problemy nie tylko lubią się powtarzać, ale też każda kolejna powtórka bywa bardziej bolesna.

W końcu w Maggie doszedł do głosu zdrowy rozsądek. Nie mogli przecież tak stać przez cały wieczór, próbując odgadnąć nawzajem swoje myśli.

- Muszę cię przeprosić za dzisiejsze popołudnie - odezwała się pierwsza. - Zwykle nie mam zwyczaju odwracać się plecami i odchodzić. Ja ...

Oczy mu rozbliły.

- Nie odeszłaś - sprostował, przypominając sobie dokładnie, co powiedziała i jak uciekła.

- Ależ tak - upierała się z uśmiechem - tylko dość szybkim krokiem. - Nie odpowiedział uśmiechem, więc i ona spoważniała. - Nie mam zwyczaju uciekać. To się więcej nie powtórzy.

Swoim wystąpieniem zaskoczyła Adriana, zwłaszcza że to nie była tylko jej wina. Uciekła, bo dał się jej we znaki, ale sam jakoś nie mógł się zdobyć na przeprosiny. Wciąż zżerała go ciekawość, kim był mężczyzna, którego kochała, ale przecież to nie był odpowiedni temat do rozmowy przy kolacji.

Postanowił odłożyć pytania na później.

- Nie składaj żadnych obietnic - powiedział. - Obietnice są chyba po to, żeby je łamać. Spróbujmy miło spędzić czas przy posiłku. Ostatnio musieliśmy prawie krzyczeć, więc poprosiłem Molly, żeby przesunęła twoje nakrycie bliżej mojego. Strasznie rudno z tobą rozmawiać, kiedy siedzisz w odległości pół mili ode mnie.

Maggie postanowiła nie zrywać cienkiej nitki porozumienia, jaka się między nimi nawiązała.

- Ja też wolę oszczędzać głos - powiedziała ugodowo.

- Może usiądziemy? - Odsunął jej krzesło.

~ Chętnie, dziękuję. - Usiadła jednym zgrabnym ruchem.

Nerwy wciąż miała napięte do granic możliwości. Jakże sztywni byli oboje. Jak strasznie oficjalni.

Zajął miejsce u szczytu stołu, po jej prawej stronie. Nalał jej czerwonego wina z pięknej kryształowej karafki. Uniosła kieliszek i pociągnęła łyk, znacznie większy, niż przystało na dystyngowaną damę.

- Lubię czerwone wino - usprawiedliwiła się, przyłapawszy rozbawione spojrzenie Adriana.

- Najwyraźniej.

- Pewnie uważasz, że sobie nie żałowałam.

- Bo sobie nie żałowałaś - potwierdził z iskierkami śmiechu w oczach.

- Owszem. Ale miałam dobry powód.

Już miał ją spytać o ów powód, lecz w tym momencie Wong g wniósł pierwsze danie. Maggie rzuciła Adrianowi pytające spojrzenie.

- Dałem Molly wolny wieczór - wyjaśnił. - Ale nie obawiaj się. Wong tylko podaje tę zupę z łososia. Nie gotował jej sam.

Roześmiała się, nieco spokojniejsza.

- Cieszę się, że dałeś Molly trochę wolnego. Zasługuje na to. Poza tym jest mężatką.

Błysk humoru w oczach Adriana nagle zgasł.

- To najczęściej jest powód, żeby się trzymać od siebie z daleka.

- Tak - przyznała, czując znów narastające napięcie. - Zdarza się, ale wcale nie musi tak być. - Opuściła

wzrok na talerz z zupą, sięgając równocześnie po łyżkę.

Ona nawet je po królewsku, pomyślał. Uniósł kieliszek, zły na siebie, że zwraca uwagę na takie rzeczy. Było mu przecież wszystko jedno, mogła równie dobrze wypić tę zupę z talerza lub wejść na stół i wychłęptać ją jak pies.

- Jak do tego doszło, że zapragnąłeś wybudować tartak?

Jej głos zaskoczył go, przerywając tok jego myśli. Nim odpowiedział, przez chwilę przyglądał jej się w milczeniu.

- Myślałem, że Ross powiedział ci o mnie wszystko, co było do powiedzenia.

- Nie wszystko. - Po chwili dodała z uśmiechem: - Sądzę, że chciał nam zostawić coś, o czym byśmy mogli porozmawiać.

W istocie Ross opowiadał jej trochę o Adrianie, o jego udziale w wojnie meksykańskiej, nieudanej próbie gospodarowania na farmie i o tym, jak wraz z Alexem wyruszył na poszukiwanie złota. Wiedziała o Katherine, ma się rozumieć, i o tym, że Adrian wykupił udziały brata w firmie. Nie wiedziała jednak, skąd wzięło się zainteresowanie obróbką drewna.

Adrian zaczął opowiadać, z początku jakby trochę niechętnie, potem z większą swobodą, kiedy odkrył, że jej zainteresowanie jest szczere. Jej pytania zdradzały inteligencję, były dobrze sformułowane i skłaniały do refleksji. W niczym nie przypominały pytań, jakich spodziewał się od kobiety.

Nie minęło wiele czasu, gdy zaczął jej opowiadać o swej miłości do tej pustej, majestatycznej krainy, o swoich osiągnięciach, o celach, jakie sobie wyznaczył, a także o swoich rozczarowaniach i porażkach. Słuchała go w taki sposób, że miał ochotę mówić, co więcej, odkrył, że mówienie o sobie daje mu poczucie ożywienia, jakiego nie czuł od bardzo dawna. Co innego mieć marzenia, a co innego z kimś je dzielić. Nim się spostrzegł, zdążył jej powiedzieć o swoich kłopotach z Pope'em i Talbotem, o tym, że nie spoczną, dopóki go nie zrujną lub przynajmniej nie przejmą jego transgranicznych rynków zbytu.

Nim kolacja dobiegła końca i Wong sprzątnął ostatnie półmiski, Adrian przegadał dwie godziny, a po czerwonym winie nie wstało śladu.

Wreszcie zapadła cisza. Siedzieli, przyglądając się sobie nawzajem.

Nie przypuszczałem, że rozmowa może być taka przyjemna, przemknęło mu przez głowę.

Nie miałam pojęcia, że on ma tyle spraw na głowie, że ciąży na nim tyle obowiązków, pomyślała.

- Najwyraźniej jesteś przyzwyczajona do dyskusowania na tematy zwykle omawiane przez mężczyzn w palarni. Twój ojciec musi być niepospolitym człowiekiem.

- Rzeczywiście, jest. Urodziłam się, kiedy rodzice nie byli już tacy młodzi, byłam najmłodsza spośród trzech braci i dwóch sióstr. Z powodu dużej różnicy wieku pomiędzy mną i resztą, rodzeństwa wychowywałam się trochę jak jedynaczka. Ojciec dbał o to, bym nie miała poczucia niższości wobec mężczyzn. Dopilnował też, bym zdobyła porządne wykształcenie w dziedzinach tradycyjnie kobiecych oraz w wielu tych, które zwykło uważać się za domenę mężczyzn. Pomagałam mu w rozliczeniach i zarządzaniu naszymi posiadłościami.

W miarę jak mówiła, Adrian nabierał przekonania, że Maggie posiada wiedzę i umiejętności, których mógłby jej pozazdrościć niejeden mężczyzna. Skrzyżowawszy ramiona na piersi, rozmyślał o tych jej nowych, zaskakujących cechach. Podziwiał je, lecz równocześnie zastanawiał się, czy to właśnie one były powodem, że tak długo pozostała niezamężna. Czyżby ojciec polegał na niej tak bardzo, że czuła się zobowiązana przy nim pozostać, odkładając szansę posiadania męża i rodziny? Czy to możliwe, że był jedynym ważnym mężczyzną w jej życiu?

Te rozważania przypomniły mu, że ma w zanadrzu jeszcze parę innych pytań, na które pragnął odpowiedzi. Podniósł się z miejsca i stanął za Maggie, żeby odsunąć jej krzesło.

- Grasz na fortepianie? - spytał zniechęcony.

- Owszem - odparła bez wahania, po czym dodała lekko: -

Gram również na dudach, ale nie sądzę, byś chciał słuchać. Moja gra jest, oględnie mówiąc, okropna. Ilekroć grałam na dudach, pies mojego ojca zaczynał wyc.

Adrian zrobił dziwną minę, jakby chciał się uśmiechnąć, ale zaraz przybrał poważny wyraz twarzy. Jednak kiedy się odezwał, w jego głosie pobrzmiwały nutki rozbawienia.

- Fortepian, owszem, posiadam. Dud, na szczęście, tu nie ma ... chyba że przywiozłaś ze sobą. Chociaż mam nadzieję ...

- Na razie nic ci nie grozi - przerwała mu ze śmiechem. - Mam wystarczająco dużo bagażu, żeby pomieścić w nim kilka par dud, ale jakoś żadne do niego nie trafiły. Może to i lepiej. Cała służba by ci uciekła, gdybym zagrała, zwłaszcza jeśli nigdy wcześniej nie słyszeli gry na dudach. Pierwsze dźwięki bywają nieznośne dla nienawykłych uszu. Niektórzy porównują je do kociej muzyki.

Uniosła głowę, a on znów poczuł ten sam przyływ pożądania, który kazał mu ją pocałować tego popołudnia nad urwiskiem. Patrzył na jej pogodne rysy i nie dostrzegał w nich złości ani wyrzutów sumienia z powodu tego, co między nimi zaszło. Nie znał dotąd kobiety, która by tak łatwo zapomniała o urazach. Nagle sobie uświadomił, że Maggie przygląda mu się z wyraźnym pytaniem w oczach.

- Zatem dudy nie wchodzą w rachubę - rzekł szybko.

_ Tak i powinieneś być zadowolony, że pozostał mi jedynie twój fortepian, bym mogła zaprezentować swoje talenty.

- Jestem pewien, że grasz bardzo dobrze.

_ Ma się rozumieć. Znałeś kiedyś Szkota, który by przyznał, że robi coś niedobrze? - Kiedy zaprzeczył ruchem głowy, doświadczył: - Chwalono mnie, że jestem utalentowaną pianistką, ale to było w mojej obecności. Cóż innego mogłam usłyszeć? - Przystanął przed drzwiami, przepuszczając ją przodem. - Zresztą, będziesz musiał sam osądzić. Chciałbyś, żebym ci coś zagrała?

- Chciałbym.

Przeszli do pokoju muzycznego.

_ Prawdę mówiąc, pozwoliłam już sobie skorzystać z twojego fortepianu - wyznała Maggie. Nic nie powiedział, ale czuła się w obowiązku dokończyć wyjaśnień. - Przecież spędziłam tu dwa tygodnie, zanim przyjechałeś. Chyba się spodziewałeś, że trochę się rozejrzę. Każda kobieta jest z natury ciekawa. Dziwię się, że sam dotąd tego nie odkryłeś.

_ Nie mam żadnego doświadczenia, jeśli chodzi o kobiety, o czym się wkrótce przekonasz.

- To pewnie dobrze dla ciebie ... i dla mnie - stwierdziła ze śmiechem.

Wymiana zdań o kobietach wprowadziła go w zakłopotanie.

Przypomniała mu bowiem, jak trzymał ją w ramionach, jak dotykał ustami jej ust. Zaciśnął zęby, starając się skupić całą uwagę na kwestii fortepianu.

- I jak ci się podoba?

- Fortepian?

Nie, uprawianie miłości.

- Fortepian - powiedział, kiwając głową.

Maggie nie znała kierunku jego myśli, wiedziała jednak, że błędzą gdzieś poza pokojem muzycznym. Prawdopodobnie w okolicach sypialni, pomyślała, dokładając starań, by jej głos brzmiał lekko i swobodnie.

- Wspaniały instrument, tylko trochę rozstrojony - powiedziała. Miała zamiar dodać, że to normalne, skoro był przewożony na dużą odległość, ale przerwał jej, nim zdążyła dokończyć.

- Jeśli fortepian nie jest dla ciebie wystarczająco dobry, nie będę cię zmuszał do grania - rzekł przez zaciśnięte zęby. Mimo wysiłków, nie udało mu się skryć złości. - Kupiłem najdroższy, jaki tylko był w sprzedaży. Jest całkiem nowy, więc wszystko powinno być z nim w porządku. Może to przez twoją grę. Maggie jeszcze się nie spotkała z tak wielką drażliwością.

- Nowy czy najdroższy, nie zawsze znaczy najlepszy - powiedziała łagodnym, lecz stanowczym tonem. - Nie twierdziłam, że z twoim fortepianem jest coś nie w porządku, Adrianie. Powiedziałam tylko, że wymaga strojenia ... jak każdy instrument po przewiezieniu na dużą odległość.

Zastanawiała się, czy powinna zareagować na jego ostatnią uwagę, podającą w wątpliwość jej umiejętności. Postanowiła ją zignorować, ale słowa same wydarty jej się w ust:

- Zaczęłam grać, kiedy miałam cztery lata. Mój ojciec był zdolnym pianistą i sam mnie uczył. Nauczyłam się grać na instrumencie Cristoforiego, wykonanym w tysiąc siedemset dwudziestym roku.

- Nie wiem nic o fortepianach i ich producentach - rzucił szorstko, przeszywając ją przy tym ostrym spojrzeniem. - Nigdy nie słyszałem o żadnym Cristoforim ... ale wiem całkiem sporo o ludziach, którzy lubią okazywać innym swoją wyższość. Nigdy nie budzili mojego uznania.

- Pozwolę sobie zauważyć, że tacy ludzie nie budzą niczyjego uznania, może poza wyjątkowymi tępakami. Mówiąc to wszystko, nie miałam na myśli, że twój fortepian jest gorszy, podobnie jak nie przyszło mi do głowy, że mogłabym się wywyższać. Wspominałam o Cristoforim, ponieważ to on wynalazł fortepian. Ty masz Steinwaya, zbudowanego znacznie później i odznaczającego się lżejszym, miłszym dla ucha tonem. Jest o wiele lepszy od Cristoforiego. - Przypomniała sobie, jak pierwszy raz dotknęła tego wspaniałego instrumentu, z jaką radością i podnieceniem uderzyła w klawisze. - Nigdy nie miałam okazji grać na instrumencie tej klasy. Każdy pianista marzyłby o posiadaniu takiego cuda na własność.

Adrian nie pamiętał, by kiedykolwiek wpadł w złość z tak błahego powodu. Cała ta rozmowa o fortepianach i ich wytwórcach o dziwacznych nazwiskach wyprowadziła go z równowagi. Żałował, że w ogóle wspominał o fortepianie, żałował, że poprosił ją, by zagrała. Nie przewidział, że skutkiem tej

niewinnej prośby będzie przytłaczające go poczucie niedoskonałości, że cała ta sprawa przypomni mu boleśnie o jego nędznych początkach. Ona urodziła się w bogactwie i splendorach, podczas gdy on przyszedł na świat w rodzinie biednej jak myszy kościelne. Cóż, może nie był synem szkockiego hrabiego, ale na litość boską, był wnukiem księcia, a jego brat także posiadał książęcy tytuł.

Uświadomił sobie, że może ludziom imponować jedynie swoim majątkiem, a na kobiecie takiej jak Maggie bogactwo robiło niewielkie wrażenie.

W milczeniu poprowadził ją do pokoju muzycznego. Maggie także się nie odzywała. Usadowała się na ławeczce, a Adrian podszedł do małego stolika, nalał sobie kieliszek brandy i dopiero wtedy usiadł na krześle w takim miejscu, by mieć dogodny widok na jej twarz.

- Co chciałbyś usłyszeć? - spytała.

- Sama zdecyduj - odparł.

Co chciałbyś usłyszeć, przedrzeźnił ją w duchu. Musiał wiedzieć, że on nie ma pojęcia o muzyce.

Wzburzona gniewem krew szybciej popłynęła mu w żyłach. Ileż to razy żałował, że nie zdobył lepszego wykształcenia? Zacisnął dłoń na kruchym kieliszku, wyobrażając sobie, że to jej szyja. Irytacja zaprawiona bezsilnością zaczęła przechodzić w furję. Głupi. Głupi. Głupi. Zasłużył sobie na to, domagając się kulturalnej, wyrafinowanej damy na żonę. Do tego z tytułem. Co sobie wyobrażał? Że część tego wyrafinowania i ogłady spłynie na niego? Byłby się zapędził dalej w swych gorzkich rozmyśleniach, ale przerwały mu pierwsze dźwięki muzyki.

Muzyki, mającej uspokoić dziką bestię. Ten wniosek jeszcze podsycił jego złość.

Maggie odegrała trzy żywe utwory Mozarta, a potem wybrała jakiś spokojniejszy utwór.

- Zmieniłaś kompozytora - zauważył z nadzieją, że się nie myli i uniknie dalszych upokorzeń. - Co teraz grasz?

- To Szopen - powiedziała. - Preludium. Opus dwudzieste ósme, numer piętnasty, D-dur, potocznie zwane "Deszczowym".

Znów miał ochotę ją udusić.

- Wolę "Deszczowe" od ... - zakaszłał - ..innego.

Parsknęła żywym, dźwięcznym śmiechem, niemal równie melodyjnym jak piękny utwór, który właśnie grała.

- Mój mąż zawsze tak mówił.

Kieliszek w dłoni Adriana pękł; odłamki szkła posypały się na podłogę.

"Mój mąż zawsze tak mówił?"

Suka! Cholerna suka!

Była już mężatką. Jakiś inny mężczyzna miał ją przed nim. Ekspłodowała w nim furia, oślepiająca i zabójcza. Krzesło, na którym siedział, zazgrzytało o posadzkę, a potem upadło z hukiem, kiedy poderwał się na nogi. Maggie przestała grać i zwróciła na niego zdumiony wzrok. Przestraszona, bezwiednie uniosła rękę do szyi.

Przez długą chwilę patrzyli na siebie bez słowa. W pokoju zapadła grobowa cisza. Serce Maggie biło tak głośno, iż była pewna, że Adrian musi je słyszeć. Jego twarz wykrzywił grymas złości tak wielkiej, że chyba mógłby zabić.

- Adrianie, co ...

Powstrzymał ją, unosząc rękę.

- Nie mów ani słowa więcej.

- Ale ...

- Jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, nie odzywaj się - wycedził przez zęby.

Nie odrywając od niego oczu, siedziała zmrożona, patrząc, jak walczy ze sobą. Co takiego zrobiła?

Długo nic nie mówił, a kiedy wreszcie powiedział, zrobił to tak lodowatym tonem, że aż skóra jej ścierpła.

- Twój mąż ...

Podszedł do niej, bladej i nieruchomej, wpatrującej się w niego szeroko otwartymi oczyma.

Odpowiedział jej spojrzeniem ostrym i zimnym jak ostrze noża; mięśnie na zaciśniętych szczękach wyraźnie chodziły mu pod skórą. Drżącą dłonią ujął jeden z luźnych pukli spadających jej na ramię, rozstał w palcach jedwabiste pasemko włosów, a potem z nieznośną, nienaturalną powolnością rozprostował palce. Powietrze niemal iskrzyło od napięcia. Maggie miała ochotę poderwać się od fortepianu i wybiec z pokoju. Powiedz coś, do licha, myślała gorączkowo. Cokolwiek! Odezwij się do mnie! Co ja takiego, na miłość boską, zrobiłam?

- To dziwne - rzekł przerażająco spokojnym głosem, który mógł wyrażać najgłębszą furję. - Zastanawiam się, dlaczego czekałaś aż do teraz, by mi powiedzieć, że byłaś już zamężna.

Przesunął dłonie na jej szyję, gładząc kciukami miejsce, gdzie krew pulsowała dziko, jakby próbowała uciec przed jego zabójczym dotykiem.

Cały czas mierzyli się wzrokiem. Maggie czuła, jak wzbiera w niej zimny lęk; spodziewała się, że Adrian zaciśnie palce i będzie zaciskał coraz mocniej, aż odetnie dopływ powietrza do płuc albo jednym ruchem skręci jej kark. Odetchnęła głęboko, zamykając oczy. Ułatwię mu to, pomyślała z rozpaczą. Niech nie pamięta strachu w moich oczach.

Puścił jej szyję, przesunął ręce na ramiona i zmusił ją, by wstała.

- Powiedz mi, słodka Margaret, jak to się stało, że kwestia twojego poprzedniego małżeństwa umknęła mojej uwagi? Nie sądziłaś, że to ważne? Że miałem prawo o tym wiedzieć?

W pobladłej, pozbawionej koloru twarzy oczy błyszczały jej niezdrowym blaskiem.

- Oczywiście, że miałeś prawo wiedzieć - szepnęła drżącymi ustami. - Myślałam, że wiesz. Nawet mi się nie śniło, że mógłbyś nie wiedzieć.

- Skąd miałbym wiedzieć, skoro nie uznałaś za stosowne mi powiedzieć?

- Ross:...- wyszeptała. - Twierdził, że do ciebie napisał. Że powiedział ci o mnie wszystko, więc zakładałam ...

- Ross - powtórzył z zadumą. - Oczywiście, to całkiem podobne do mojego drogiego brata... pominąć niewygodne szczegóły, wszystko, co mogłoby przeszkadzać.

Głośno wciągnęła powietrze. - I to ci przeszkadza?

- Nie sądzisz, że trochę późno na takie pytanie? Małżeństwo zostało zawarte i jest ważne.

- A wcześniej - naciskała - gdybyś wiedział wcześniej, czy też by ci przeszkadzało?

- Oczywiście - powiedział głosem wciąż nienaturalnie spokojnym i zimnym. Przejechał palcem po jej szyi.

- Gdybym wiedział wcześniej, słodka Margaret, nigdy bym się z tobą nie ożenił. -

Opuścił rękę. ..

- Rozumiem - wydusiła z siebie łamiącym się szepem.

Zamknęła oczy, wewnętrznie roztrzęsiona. Jeszcze nigdy w życiu nie była tak bliska płaczu. Spojrzała na niego i odniosła wrażenie, że zaraz pęknie jej serce. Ogarnął ją wstyd i poczucie winy, że pozostawiła Rossowi coś, czego powinna była dopilnować sama. Wyobrażała sobie, jak to odkrycie musiało Adrianem wstrząsnąć.

Miał prawo posiąść za żonę dziewicę, jeśli to było dla niego ważne ... a dla wielu mężczyzn było ważne.

Rozumiała, skąd brał się ból, widoczny na jego twarzy.

Jednak choć rozumiała jego rozczarowanie, dziwiło ją, dlaczego przywiązuje do niego aż tak wielką wagę.

Dlaczego to, że była już mężatką, wydawało mu się takie straszne? Zapewne sądził, że nadal kocha swojego byłego męża, że jej poprzednie małżeństwo może zagrozić ich wspólnemu szczęściu. Nagle sobie przypomniała, że przecież on kocha Katherine, a nie można zagrozić czemuś, co nie istnieje.

Minęła jej ochota do płaczu .

- Przykro mi z powodu tej pomyłki ...

- Oszustwa - sprostował.

- To nie było umyślne.

- Nic mnie nie obchodzą intencje. Dla mnie liczą się fakty.

Te szorstkie słowa, choć nabrzmiałe złością, miały w sobie załączek obietnicy. Gdyby mu była całkiem obojętna, nie czułby się aż tak urażony. Żałowała, że tak się stało, że została mu niewłaściwie przedstawiona, że tak wiele to dla niego znaczy. Przykro mi, że tylko się nawzajem ranimy, pomyślała. Przykro mi, że nie potrafimy czuć do siebie nic poza żądzą i złością. Przykro mi, że raczej do siebie nie pasujemy.

- Więc co teraz zrobimy? - odezwała się w końcu, już całkiem opanowana.

- Nie wiem - odparł. - To chyba oczywiste, że w tym stanie umysłu nie jestem zdolny podejmować żadnych istotnych decyzji.

Oczywiste? Maggie zeszytniała. Miała ochotę mu przypomniać, że i on nie wszedł w to małżeństwo z całkiem czystymi rękoma. Ostatecznie nadal był zakochany w tonie swojego brata . wciąż trzymał w domu jej portret. Myśli kłębiły jej się w głowie, me była w stanie jasno myśleć.

Wreszcie oprzytomniała na tyle, że mogła stwierdzić:

- Małżeństwo nie zostało skonsumowane. - Poczuli się zmę...:zona sytuacją i zapragnęła doprowadzić do końca całą tę :lielfortunną sprawę. - Można je z łatwością anulować.

- Mieszkaliśmy przez pewien czas w tym samym domu zauważył, mierząc ją wzrokiem, zatrzymując spojrzenie na jej piersiach, a potem przenosząc je niżej. - Wątpię, by ktokolwiek uwierzył, że nie doszło między nami do zbliżenia. A ponieważ' byłaś już wykorzystana przez innego mężczyznę, nie da się niczego

udowodnić - dodał ostrym, niemal oskarżycielskim tonem.

- Jak śmiesz! - wyrzuciła z siebie z furją.

Nie myśląc o tym, co robi, Maggie zamachnęła się, by mu wymierzyć policzek. Adrian błyskawicznie chwycił jej uniesioną rękę i boleśnie ścisnął. Możesz mi ją nawet złamać, nie dbam o to, pomyślała.

- Byłam zamężna - powiedziała, wbijając w niego twarde spojrzenie. - W obliczu Boga. W przeciwieństwie do tego, co sobie wyobrażasz, nigdy nie byłam wykorzystana. Byłam kończana. - Oczy zaszyły jej łzami, tłumiony szloch dusił ją w gardle. - Jaka szkoda, że nie widzisz różnicy. - Próbowała wyszarpnąć rękę z jego uścisku.

Nie tylko jej nie puścił, lecz ścisnął jeszcze mocniej, szarpnięciem przyciągając ją do siebie.

- No chodź. Niech zobaczą, co kupiłem. - Zgniół jej wargi brutalnym, gwałtownym pocałunkiem. Wsunął jej język do ust, zanurzając jednocześnie palce w starannie uczesane włosy, uniemożliwiając jej cofnięcie głowy. Chciał jej w ten sposób pokazać, kto jest górą, uświadomić, że może od niej zażądać, czego tylko zechce.

Puścił ją gwałtownie. - Zdejmij ubranie.

Stała bez ruchu, ledwie oddychając, wpatrując się w jego nieprzeniknione niebieskie oczy, lśniącego piekielnym blaskiem. Odrętwiała, czuła jedynie dławiący ból przy każdym zaczerpnięciu powietrza.

- Co z tobą, boginko? Nie rozumiałaś, co mówię? Nie ma co się przerażać ani nawet wstydzić. Masz po prostu zrobić to, co robiłaś już setki razy - rozebrać się dla swojego męża.

- Adrianie, proszę cię, posłuchaj ... - Jej głos dobiegał jakby z oddali.

Szybkim ruchem przyciągnął ją do siebie, tak blisko, że czuł na rozpalonej twarzy jej urywany oddech.

- Czas na słuchanie już minął. Teraz się rozbieraj, złotko. Pokaż mi te piersi, które mnie tak kusily przez cały wieczór. Jestem ciekaw, czy brodawki stwardnieją, kiedy ich dotknę, tak jak sobie wyobrażałem. Chcę sprawdzić, ile potrafisz.

Próbowała mu się wyrwać, ale był szybki i silny, i nie pozwolił jej na to.

- Nie stój jak spłoszona dziewczyna. Pomyśl, ile razy chciałem to zrobić i nie zrobiłem. - Urwał, jakby się dziwił własnej głupocie. - Oboje wiemy, jaka jesteś doświadczona. Pokaż mi! - Potrząsnął nią. - Do ciężkiego diabła, pokaż mi, jaka jesteś w tym dobra!

- Nie mogę - powiedziała cicho, obejmując go ramionami. - Mogę ci tylko pokazać, co czuję. - Wspięła się na palce i drżącymi wargami dotknęła jego ust.

Miała najśodsze, najbardziej kuszące usta, jakie widział.

I czuł pokusę. Zamknąwszy oczy, walczył z chęcią odwzajemnienia pocałunku, poddania się. Jednak pozostał niewzruszony; strząsnął z siebie jej ramiona i odepchnął ją.

- Prosiłem, żebyś się rozebrała.

- Nie mogę. Nie w taki sposób.

- Co z tobą, kochanie? Nie sądzisz, że mam prawo zobaczyć, co kupiłem za tak wygórowaną cenę? Nie mam prawa pójść do łóżka z własną żoną?

- Nie sądzę, żebyś miał prawo mnie zgwałcić - odpowiedziała dziwnie spokojnie - niezależnie od tego, czy jestem, czy nie jestem twoją żoną.

Odwrócił się od niej gwałtownie, z rękami wciśniętymi w kieszenie, z głową odrzuconą do tyłu i zamkniętymi oczyma, jakby się zmagał z jakąś potężną, wrogą siłą tkwiącą w nim w środku. Poczowała litość, widząc, jak ze sobą walczy, ale nie wykonała żadnego gestu.

Zgwałcić? Dobry Boże. Więc to zamierzał zrobić? Czy to możliwe? Czuł obrzydzenie do samego siebie, żołądek podszedł mu do gardła, miał wrażenie, że krwawi z wielu ran. Zaczynało mu na niej zależeć.

Wierzył, że naprawdę jakoś się między nimi ułoży. W mózgu dudniło mu pytanie: Dlaczego? Dlaczego?

Nic widziałaś, że zaczynam się do ciebie przekonywać, że cię; pragnę? Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś? Zaraz po tej myśli pojawiła się następna: Może tego nie zrobiła, bo było tak, jak powiedziała - myślała, że wiem?

Serce mu waliło, w głowie miał zamęt. Nie wiem, co mam robić. Nie mogę ścierpieć, że zostałem wystrychnięty na dudka ... Nie jestem gotów, by pozwolić jej odejść.

Będziesz musiał, chyba że jej uwierzysz. Uwierz jej albo ją odeślij. Po prostu.

Odeśłać ją? Nie ma mowy.

W końcu, nie odwracając się, otworzył oczy i stwierdził: - Anulowanie małżeństwa nie wchodzi w grę.

- Dlaczego? To ma być twoja zemsta, sposób ukarania mnie, że będziesz mi codziennie przez resztę życia przypominał, że nie jestem taką osobą, jakiej chciałeś?

Ich spojrzenia się spotkały.

- Myśl sobie, co chcesz, ale nie zapominaj o tym, co ci powiedziałem. Nikt nie uwierzy, że nie doszło między nami do zbliżenia.

To nie jest powód i ty o tym wiesz, dodał w duchu. Czemu nie powiesz jej prawdy? Dlaczego nie 'możesz jej powiedzieć, co czujesz?

- Nie obchodzi mnie, co kto pomyśli - oznajmiła twardo. - Jakie to w końcu może mieć znaczenie? Twoja reputacja na tym nie ucierpi. Nic nie stracisz.

- Ja nie, ale ty owszem.

- To dziwne. Sądziłam, że nie leży w twojej naturze przejmowanie się innymi. Proszę, nie zmieniaj się dla mnie - powiedziała, a potem dodała: - Moja reputacja jakoś wytrzyma. Wygrywałam już gorsze bitwy.

Moje imię i słowo honoru

nadal są w Szkocji szanowane. Jestem pewna, że bez problemu za obopólną zgodą możemy doprowadzić do anulowania małżeństwa.

Odwróciła się do fortepianu i zamknęła pokrywę z nieprzyjemnym, głuchym stuknięciem. Struny odpowiedziały stłumionym brzęczeniem. Maggie skierowała się do drzwi.

- Dokąd idziesz?

Przystanęła, ale na niego nie spojrzała.

- Myślę, że powiedzieliśmy sobie dość przykrych rzeczy jak na jeden wieczór. Nie mam ochoty na więcej. Pójdę już do swojego pokoju. Dzień był męczący, a muszę się przecież spakować.

- Nie prosiłem cię, żebyś wyjechała. Odwróciła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Nie prosiłem mnie też, żebym została - powiedziała cicho. Stali naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem, czekając, które nie wytrzyma i podda się pierwsze. Wreszcie Adrian westchnął, przeszedł przez pokój i stanął przed jednym z okiem wychodzących na ocean.

- Jutro muszę jechać do Puget Sound - odezwał się, odwrócony do niej plecami. - Mam tam jeszcze jeden obóz drwali. Nie będzie mnie przez dwa tygodnie. To nam da czas na przemyślenie wszystkiego, zastanowienie się, co robić, czas na oswojenie się z faktem, że nie jestem twoim pierwszym mężczyzną.

- Ja nie muszę się z niczym oswajać - odpowiedziała. - Nigdy nie zakładałam, że jestem twoją pierwszą kobietą. Byłam mężatką. Dla większości ludzi to jest różnica. To nie to samo, jakbym była pierwszą lepszą kobietą z ulicy.

- Nie to miałem na myśli - obruszył się. - Tylko że ...

- Dla ciebie niewiele znaczy, że to by mój mąż. Jeden mężczyzna - przerwała mu. - Żadna różnica. Dla ciebie to bez znaczenia, prawda? Jeden mężczyzna czy stu, wszystko jedno. - Pokiwała głową ze smutkiem. - A z nią byś się ożenił, prawda? Gdyby coś się stało Alexowi, ożeniłbyś się z nią w sekundę, bez względu na to, czy była wykorzystana, czy nie.

- Nie mieszaj w to Katherine. Nic o niej nie wiesz. Nie mu powodu o niej wspominać.

- Według mnie jest. Wciąż o niej myślisz, czyż nie? Założę się, że znacznie częściej niż ja o swoim mężu. To nie moje małżeństwo stanęło między nami. Chodzi o to, że ty się z nią nie ożeniłeś. Adrianie, nie chodzi ci o to, że Bruce był moim pierwszym mężczyzną, tylko że ty nie byłeś jej pierwszym.

Zachwiał się i zrobił krok do tyłu, jakby go uderzyła.

- To nieprawda - szepnął.

- Owszem, prawda. Ona wisi nad naszym życiem, tak jak jej portret wisi na ścianie w salonie.

- Dlaczego nie zostawisz Katherine tam, gdzie jest jej miejsce, w przeszłości? - W głosie Adriana było zmęczenie i niepewność. - Dlaczego ty tego nie potrafisz?

- Powiedziałem ci, że tu nie chodzi o Katherine. Chodzi o ciebie. Może nie powinienem oczekiwać, że to zrozumiesz. Ostatecznie to nie ty zostałeś oszukana.

- Nie, ja nie zostałam oszukana. Ja przynajmniej wiedziałam o Katherine. W twoich oczach to cię upoważnia do codziennego oddawania jej czci, prawda?

- Jakie to typowo kobiece, mieszać różne sprawy. Jeśli chcesz rozmawiać o Katherine, proszę bardzo. Później.

- Pomieszało nam się kilka spraw. I nie tylko z mojej winy. Nie mogłam wiedzieć. Nie mam zwyczaju oszukiwać, Adrianie. Myślałam ... zakładałam, ponieważ Ross wiedział, że ...

- Mój brat najwyraźniej wiedział o wielu rzeczach, o których zapomniał mnie powiadomić - przerwał jej. - A musiał wiedzieć, że to ważne rzeczy. Zastanawiam się, co nim kierowało.

Westchnęła; ramiona jej opadły z wyczerpania. Potarła palcami skronie, w których wzbierał dotkliwy ból.

- Nie wiem, dlaczego tak postąpił. - Podniosła na niego wzrok. - Czy to aż takie ważne - spytała - żeby być

tym pierwszym?

- Owszem - przyznał. - Ważne.

- Dlaczego? Dlaczego to jest dla ciebie takie ważne?

- Ponieważ ... - Odwrócił głowę, jakby nie mógł na nią patrzeć, mówiąc to, co miał do powiedzenia. - Ponieważ nie umiem być tym drugim.

To wyznanie przypomniało mu starą torturę, dawną mękę utraty, bycia tym drugim, wiecznie z tyłu. Czy nigdy w życiu nie miał być tym pierwszym, czy już zawsze miał się zadowalać tym, co zostało?

- Mam największą firmę drzewną w Ameryce. Produkuję więcej drewna niż wszyscy moi konkurenci razem wzięci. Mój dom jest większy, podobnie jak moje konto w banku. Przybyłem tu ze złotonośnych pól i wraz z bratem oczyściliśmy tę ziemię gołymi rękami. Nie mieliśmy wiele, kiedy odsprzedał mi swoją część i wrócił do Teksasu. Przez ponad dziesięć lat żyłem jak pustelnik, harując jak wół, żeby stworzyć coś z niczego, walcząc z ludźmi, którzy chcieli mi to odebrać, i niszczycielskimi siłami natury. Udało mi się ... ponad wszelkie oczekiwania. A wiesz dlaczego? Bo nigdy, ani razu, nie godziłem się na mniej niż to, co najlepsze.

Maggie uznała, że nadszedł czas. Czas, żeby zacząć mówić o rzeczach, które powinny być już dawno poruszone. Wiedział, i.e była żoną Bruce'a, i potępił ją za to, ale jeszcze nigdy nie rozmawiali o Aleksie. Wiele wysiłku kosztowało ją zachowanie spokojnego tonu, bo cała się trzęsła w środku.

- Skoro już rozmawiamy ze sobą szczerze, po raz pierwszy, chciałabym się czegoś dowiedzieć. Ross opowiadał mi o tobie i Aleksie. Mówił, że wy dwaj zawsze byliście nierozłączni. Dlaczego więc odsprzedał ci swoją część? Dlaczego wyjechał? Z powodu Katherine? - spytała ostro. - Prosiłeś go, żeby wyjechał? Poczzerwieniał na twarzy; przez moment była pewna, że jej nie odpowie.

- Wyjechał z własnego wyboru - powiedział, a po chwili dodał: - Alex wiedział, że między nami nigdy się nie ułoży.

Maggie zmrużyła oczy, wpatrując się w niego z napięciem.

- Dlaczego? Z powodu Katherine?

Zacisnął zęby, aż mięśnie pod skórą zadrgały.

- Częściowo. A częściowo dlatego, że nie był stworzony do takiego życia. Alex mocno stąpa po ziemi, nie jest wizjonerem. Teksas to odpowiednie miejsce dla niego i on zdawał sobie z tego sprawę. A ponieważ Katherine już tam wróciła, tym łatwiej mu było wyjechać.

Popatrzyła na niego niemal z litością. Czyżby nie było już dla nich żadnej nadziei? Nie, dopóki nie wyprowadzi z tego domu Katherine. Maggie zamilkła, pogrążona w zadumie. Miała wrażenie, że drzwi do umysłu Adriana nagle się otwały i mogła zajrzeć do środka. Był przepełniony bólem i właśnie ten ból kazał mu się bronić, uderzać na oślep.

- Alex zawsze był pierwszy, prawda? - spytała ze zrozumieniem. Adrian nie odpowiadał, więc łagodnie mówiła dalej: - Rozumiem, jaki to miało na ciebie wpływ, dlaczego nie możesz znieść bycia tym drugim. Jej słowa trafiły zbyt blisko czułych miejsc, otwartych ran, które w sobie nosił. Oślepiony bólem, odpowiedział cieniem, tak jak zranione zwierzę gryzie kochającą dłoń. Najsmutniejsze było jednak to, że mówiąc okrutne słowa, nie Maggie chciał zranić, tylko siebie.

- Nie, nie rozumiesz. W ogóle nie rozumiesz. Moje odczucia nie mają nic wspólnego z Alexem ... ani nawet z Katherine. Przykro mi, że muszę cię rozczarować, Maggie. Po prostu nic lubię dojadać resztek. Niczym królowa udająca się na ścieżkę, Maggie odwróciła się i wyszła z pokoju.

Nie pozwól jej tak odejść. Powiedz coś, upominał siebie. Kiedy już była w drzwiach, Adrian zawołał za nią:

- Chyba mogło być gorzej! Przynajmniej nie masz dzieci!

- Dobry Boże - szepnęła, w popłochu wbiegając na schody

10

Maggie zamknęła drzwi swojego pokoju i oparła się o nie plecami, dysząc ciężko po biegu. Z każdym dniem stopniowo wyzbywała się dumy i do czego doszło?

Zaciskając mocno powieki, próbowała zatrzymać łzy, ale jej wysiłki nie na wiele się zdawały.

Nieznośny ciężar przygniatał jej duszę, a całe ciało ogarnęło paraliżujące zmęczenie. Wszystkie mięśnie ją bolały, oczy piekły od łez, jakby się naoglądały zbyt wiele niedoli tego świata, li serce wypełniał nieprzebrany smutek.

- Co ja zrobiłam? - zaszlochała, zwracając się do Najwyższego. - Co ja zrobiłam? Czy aż tak się myliłam, wychodząc za nieznanego człowieka? Czy moje pragnienia były aż tak naganne? Co w tym złego, że chciałam lepszego jutra dla siebie i swoich dzieci? Czy to źle, że nie jest mi obojętne, czy przeżyjemy, czy

umrzemy? Nie chciałam, żeby moja rodzina zginęła. I na tym polega moja zbrodnia! - Łkała. -
Niesłychane, co? Należy mi się za to kara? Och, przecież jestem złą, występłą kobietą, prawda? -
Uderzyła się w piersi, a potem ukryła twarz w dłoniach i szlochając, osunęła się na ziemię.
Musiała usnąć wyczerpana płaczem, bo obudziła się na podłodze, zdrętwiała z zimna. W pokoju
panował lodowaty chłód i cierniowość. Usiadła, opierając łokcie na podciągniętych kolanach.
Czuła się znacznie lepiej. Pomyślała, że nie ma to jak dobrze się wypłakać.
Jaka szkoda, że Adrian nie może zrobić tego samego. Wydarzenia ostatnich dwóch lat nauczyły
ją jednego - mogli liczyć wyłącznie na siebie, a małżeństwo z Adrianem Mackinnonem w żaden sposób
tego nie zmieniło. Po śmierci Bruce'a czuła się opuszczona, zmuszona polegać na własnych źródłach
utrzymania. Niesłusznie liczyła na to, że nowe małżeństwo będzie wybawił e niem. Teraz rozumiała, że
znów musi się ratować. Co oznaczało, że nie może się poddawać wyrokowi złośliwego losu, który
przygnał ją do tego nowego kraju, żeby zaczęła nowe życie, i podłożył jej nogi; już na samym początku.
Ross Mackinnon postanowił nie ujawniać bratu wszystkiego, a Maggie, choć tak bardzo z tego powodu
uciępiła, wiedziała, że podejmując tę decyzję, Ross chciał jak najlepiej zarówno dla niej, jak i dla
Adriana. Niemniej jednak miała ochotę wygarnąć Rossowi od serca, co myśli o jego sprytnym posunięciu i
kłopotach z niego wynikłych.

W pierwszym odruchu chciała napisać do Rossa Mackinnona odpowiedni list z wymówkami, ale w głębi
duszy czuła, że nie powinna go winić. Nie miała wątpliwości, że Ross i Annabella sa jej oddanymi
przyjaciółmi i żadne z nich nigdy celowo nie sprawiłoby jej bólu ... chyba że chodziło o wielki cel
uświęcający środki.

Maggie przypomniała sobie ostatnie słowa, jakie usłyszała od Rossa. "Zaufaj mi, Maggie. Pamiętaj, że ten
się śmieje, kto się śmieje ostatni". Serce jej się ścisnęło. Czy jeszcze kiedyś będzie się śmiać?
Przebiegła w myślach ten niedługi okres, który spędziła z Adrianem. Była taką skomplikowaną osobą,
pełną sprzeczności - raz łagodną, raz szorstką, a nawet brutalną. Człowiek, którego poznała osobiście, w
niczym nie przypominał tamtego mężczyzny, którego pokochała, czytając jego listy. I nie opuszczało jej
pytanie, który z nich był tym prawdziwym Adrianem.

Maggie nie potrafiłaby wyjaśnić dlaczego, ale czuła, że prawdziwy Adrian jest tym, który tak pięknie
wrażał swe uczucia na papierze. Pomyślała o listach, szczerych i cudownych, i zobaczyła w nich
gwiazdę przewodnią, jasny punkt wyznaczający właściwy kierunek drogi. Dziękowała Bogu, że Ross
okazał się Oli tyle przewidujący, by dać jej te listy, że podróż trwała tak długo i zdążyła je przeczytać po
wielekroć, aż odcisnęły się na ślady w jej sercu. Uznała za błogosławieństwo, że miała okazję poznać
Adriana, zanim go spotkała. Uświadomiła sobie z całą jasnością, że Adrian całkowicie różni się od
wszystkich mężczyzn, których dotąd знаła. Można go było zdobyć jedynie zrozumieniem, wierną miłością
i subtelną strategią. Bo Adrian zamykał drzwi do swego serca. Może Ross o tym wiedział i może
ukrywając fakt, że Maggie była już raz zamężna, miał nadzieję, że uda jej się uchylić te drzwi i wetknąć w
nie stopę.

Cóż, udało jej się, a teraz Adrian ścisnął tę stopę ze wszystkich sił. Poza tym stopa w drzwiach to
niewielkie osiągnięcie. A jednak ... W sercu zapaliła jej się ciepła iskierka. Nie wszystko było stracone.
Następnym punktem strategii musi być wetknięcie w tę wąską szparę czegoś innego ... może ramienia?
Potrząsnęła głową, przyznając w duchu, że porównywanie miłości i małżeństwa do przeciskania się przez
zamknięte drzwi jest co najmniej śmieszne. Jednakże w tym wypadku miało swoje dobre strony,
pozwalało jej spojrzeć na sytuację z nietypowej perspektywy. Adriana nie da się zdobyć od razu, to już
wiedziała. Musiała więc zbudować oblężenie i pokonać jego linię obrony. Modliła się, żeby przy tym nie
polec na polu walki.

Przetarła oczy; od rozmyślań zrobiła się senna. Miała na razie dość myślenia o Adrianie. W końcu ogarnęła
ją spójność. Wyjrzała przez okno, zobaczyła gwiazdy migoczące na granatowym aksamicie nieba.

- Dziękuję - szepnęła. - Dziękuję Ci, że zawsze tam jesteś.

Ani przez chwilę nie wątpiła, że Bóg w swej nieskończonej mądrości uznał za słuszne dać jej moment
ukojenia w samotności, więc nie zamierzała go zepsuć uzalaniem się nad niegodziwością Adriana i swoją
niedolą. Niezależnie od tego, na czym polegał problem, musiał poczekać do rana. Uznała, że wtedy
będzie miała dość czasu, żeby się nad nim zastanowić.

Maggie położyła się tej nocy do łóżka z mocnym postanowieniem niepodejmowania żadnych pochopnych
decyzji, których by potem żałowała. Doszła do wniosku, że następnego dnia porozmawia z Adrianem i
wówczas razem zadecydują, co dalej robić.

Jednakże kiedy następnego ranka Maggie zeszła na dół, Adriana nie było w domu.

- Wyjechał przez świątynię - oznajmiła MoHy. - Wymknął się stąd z podkulonym ogonem. W życiu nie

widziałam, żeby się tak dziwnie zachowywał. Musiała mu pani nieźle dopiec - powiedziała ze śmiechem. - Pewnie mu to dobrze zrobi.

Maggie próbowała odpowiedzieć uśmiechem, lecz nie bardzo jej się udało. W obawie, że MoHy zacznie zadawać niewygodne pytania, wzięła psa na spacer wzdłuż brzegu, usiłując jakoś zebrać myśli.

Próbowała się wczuć w sytuację Adriana. Ross zataił przed nim jej poprzednie małżeństwo. Miał więc wszelkie prawo być zaskoczony, nawet wściekły.

Przypomniała sobie tamten wieczór, kiedy Ross powiedział jej, że napisał do Adriana i wszystko mu o niej opowiedział. Ross radził nawet, by dała Adrianowi czas na oswojenie się z faktem, że była już mężatką, i sama nie poruszała tego tematu, czekając, aż zrobi to Adrian. Teraz było oczywiste, że Ross nie napisał bratu o wszystkim, jak twierdził. Dlaczego? Przeszły ją ciarki, gdy sobie przypomniała ostatnie słowa Adriana.

"Przynajmniej nie masz dzieci".

Zadrżała. Wiadomość o nich' musiała jeszcze bardziej skomplikować związek, który i tak nie był łatwy. Zrozumiała, dlaczego Ross tak skwapliwie namawiał ją, żeby zostawiła dzieci w Szkocji. Nie po to, by dać jej okazję do spędzenia pewnego czasu sam na sam z Adrianem, jak twierdził, tylko żeby go oszukać. Dlaczego? Ponieważ Ross wiedział, że dzieci stanęłyby Adrianowi kością w gardle? Kością, której w żaden sposób nie mógłby przełknąć?

Obserwowała Izraela, który odbiegł za jakimś tropem, a potem zatoczył koło i w podskokach wrócił do jej boku.

- Chodź, łobuzie. Nie mogę pozwolić, żeby wszyscy ode mnie uciekli.

Zaufanie, jakie pokładała w Rossie, przywróciło jej nieco optymizmu. Nikt nie znał Adriana lepiej niż jego brat, więc skoro Ross uważał, że to właściwy sposób postępowania, dlaczego ona miałaby sądzić inaczej? Postanowiła zaufać Rossowi. Zwłaszcza że nie miała innego wyboru.

Ledwie rozwiązała jeden problem, pojawił się następny. Musiała kiedyś powiedzieć Adrianowi o swoich dzieciach. Równie dobrze mogła to zrobić natychmiast po jego powrocie.

MoHy Polly była w kuchni, kiedy Maggie wróciła ze spaceru.

Poklepawszy Izraela po łbie na pożegnanie, zamknęła za sobą drzwi, zza których natychmiast dobiegło żalosne psie wycie.

- On to robi tylko przy pani - powiedziała MoHy.

- Od razu wyczuł moje miękkie serce - zauważyła Maggie.

- Ma do tego talent - przyznała MoHy. - Pewnie po Adrianie. - Parsknęła śmiechem.

- Pewnie tak - zgodziła się z nią Maggie, starając się utrzymać lekki ton.

Umyła ręce, nałóżła sobie herbaty, wysypała cukru i usiadłszy przy stole bez słowa, dłuższą chwilę mieszała łyżeczką w filiżance. Molly, zajęta obieraniem marchwi i ziemniaków, przerwała pracę. - Chce pani porozmawiać o tym, zanim będzie jeszcze gorzej?

- O czym?

- O tym, co panią dręczy. Miesza pani tę łyżeczkę cukru od kwadransa. Kiedy pani przestanie? Jak w dniu filiżanki pojawi się dziura?

Maggie wypuściła łyżeczkę z ręki i spojrzała na Molly.

- Czasami mogłabym przysiąc, że jesteś Szkotką.

- Bo jestem szczerą?

- Między innymi. Bo jesteś kobietą, która niewiele mówi, a posiada głęboką mądrość. I jesteś bardzo przebiegłą.

- Cóż, staram się dobrze korzystać z tej głębokiej mądrości. Co panią dręczy?

- Aż tak widać?

- Ma pani to wypisane na twarzy. Rozumiem, że nie za dobrze wam się układa, co?

- Obawiam się, że jest nawet jeszcze gorzej.

- Sądziłam, że jeśli świeżo poślubionej parze źle się układa, to gorzej już być nie może.

- Może, jeśli jedno z nich było już wcześniej zamężne, a drugie o tym nie wiedziało.

MoHy upuściła nóż, a Maggie niewidzącym wzrokiem patrzyła, jak krążek marchwi toczy się po podłodze i odbija od ściany. - Wielkie nieba! - wykrzyknęła MoHy. - Chce pani powiedzieć, że była już raz mężatką?

- Tak. Przez kilka lat.

- I co się stało? Chyba pani nie uciekła od pierwszego męża? - Molly pokręciła głową. - Nie, musi pani być wdową. - Właśnie, jestem wdową.

Maggie opowiedziała MoHy o śmierci Bruce'a, o przesłuchaniu, po którym odebrano mu tytuł i majątek, pozostawiając ją bez domu. Nie mówiła o dzieciach ani o groźbie Adaira, wypowiedzianej w dniu, kiedy

opuszczała Glengarry Castle. Lubiła MoHy i ufałajej, lecz nie mogła być pewna, czy MoHy nie wyjawia czegoś Adrianowi, jeśli uzna, że Maggie może być w niebezpieczeństwie. Im mniej Adrian wiedział o jej kłopotach w Szkoci, tym lepiej. Nie chciała go wtajemniczać w swoje dawne sprawy ... zwłaszcza na wypadek ewentualnych problemów z Adairem. Jej nowe małżeństwo i tak źle się zaczęło. Wszelkie dodatkowe niespodzianki mogły niebezpiecznie napiąć te parę nici, jakie ich jeszcze łączyły. Zagubiona w myślach Maggie ledwie usłyszała następne słowa MoHy.

- Ross powinien był powiedzieć Adrianowi. Ale rozumiem, że postanowił z tym poczekać, żebyście wy dwoje mogli spędzić trochę czasu razem i lepiej się poznać. Myślę, że chciał dobrze. Pewnie miał nadzieję, że Adrianowi zacznie na pani zależeć na tyle, że poprzednie małżeństwo nie będzie miało znaczenia.

- Cóż, co do tego się mylił - powiedziała Maggie. - Ale masz rację. Sama doszłam do podobnego wniosku. Ross nie powinien był tak postąpić. Ta decyzja nie należała do niego.

- Nie należała, ale domyślam się, że chciał jak najlepiej. - Molly wytarła ręce i nalala sobie kubek kawy, po czym dołączyła do Maggie przy stole. - Zamierza panią odesłać?

Maggie zaśmiała się niewesoło.

- Mówisz tak, jakbym była workiem zepsutych irlandzkich liemniaków, które można wyrzucić na śmietnik. Żony nie zwraca się; tak łatwo jak sztuki płótna.

- Wiem, ale czy poprosił panią, żeby pani wyjechała?

- Dlaczego pytasz? To ważne, czy poprosił?

- Ważne. Adrian jest człowiekiem, który mówi to, co myśli. gdyby był zły, nie zawahałby się zapakować panią na najbliższy odpływający stąd statek.

- Pewnie ma nadzieję, że sama o to zadbam, oszczędzając mu kłopotu. Powiedział, że nie będzie go dwa tygodnie. Zapewne oczekuje, że już mnie tu nie zastanie po powrocie.

- A zastanie panią? - spytała MoHy, podnosząc się od stołu.

- Jestem Szkotką - odparła Maggie z uśmiechem. - A Szkoci nie uciekają i nie poddają się. Dobrze się nad tym zastanowię i niczego mu nie będę ułatwiać. Jeśli Adrian chce, żebym wyjechała, będzie musiał sam mi to powiedzieć.

- I bardzo słusznie - pochwaliła Molly. Słowom towarzyszyło klepięcie w plecy, które omal nie zrzuciło Maggie z krzesła. - Adrian od dawna potrzebował kogoś takiego jak pani.

- Nie sądzę, żeby Adrian się z tobą zgodził w tej kwestii.

- Ci mężczyźni ... - prychnęła MoHy. - Nie mają pojęcia, czego chcą, dopóki jakaś kobieta im tego nie da. Izrael znów zawył, drapiąc w drzewa.

- On wie, że pani tu jest - powiedziała MoHy ze śmiechem. - Wykorzystuje pani miękkie serce, jak dziecko: Albo mężczyzna - dodała z szerokim uśmiechem.

Maggie jęknęła, ukrywając twarz w dłoniach.

- O co chodzi? - zdziwiła się Molly. - Powiedziałam coś nie tak?

Maggie podniosła na nią oczy.

- Skoro mowa o dzieciach ... - zaczęła słabym głosem.

Molly wbiła w nią wzrok, w którym powoli, lecz wyraźnie, zapalał się błysk domysłu. Uniosła wysoko brwi.

- Próbuje mi pani powiedzieć, że ma jakiś drobiazg? Drobiazg?

Maggie mimowolnie wybuchnęła śmiechem.

- Tak, mam dzieci.

- Wielkie nieba - westchnęła Molly. - Dzieci ... więcej niż jedno?

- O dwa więcej - wyznała Maggie. - Chłopca i dwie dziewczynki.

- No, no, wy, Szkoci, może macie wiele dobrych cech, ale jedno pani powiem: umiecie komplikować sprawy. To musz!; przyznać. - Zmierzyła Maggie surowym spojrzeniem. - Jest pani pewna, że nie ma męża, który krąży gdzieś w pobliżu i pewnego popołudnia może stanąć na pani progu? Znabit., bronią?

- Nie. On nie żyje.

- Więc co pani teraz zrobi?

- Oczywiście, muszę powiedzieć Adrianowi, ale ...

- Nie musi mu pani mówić tego tak od razu.

- To oznacza oszukiwanie, nie sądzisz?

Molly wzruszyła ramionami.

- Mamy to po Ewie - stwierdziła rzeczowo - więc nie można nas winić. - Mrugnęła do Maggie

porozumiewawczo. - Niech się pani nie zamartwia. Już został oszukany. Na mój rozum, nic może się już bardziej wściec, czy usłyszy to teraz, czy za miesiąc.

- Moje dzieci przyjadą tu za miesiąc lub dwa. Nie mogą czekać zbyt długo.
- Niech pani odczeka tyle, żeby Adrian mógł sobie wyjąć jeden cierń z łapy, zanim mu pani wbije następny. Nie ma co dosypywać węgla do ognia, jak się mocno pali. Najlepiej posuwać się krok za krokiem, jak mawiał mój tato. - Molly przeszła przez kuchnię, odstawiła kubek i wróciła do krojenia jarzyn, co dla Maggie było niezawodnym sygnałem, że temat został wyczerpany.
- Molly, jak sądzisz, czy Wielki John mógłby mi jutro pokazać tartak?
- Molly nie odpowiedziała, tylko zmierzyła Maggie dziwnym spojrzeniem.
- Dobrze się pani czuje?
- _ Dobrze, ale muszę się wyrwać z tego domu. Potrzebuję lakiegoś innego zajęcia poza malowaniem, grą na fortepianie, lubieraniem psa na spacer i zmaganiem się z moimi problemami. Chciałabym się dowiedzieć czegoś więcej o interesach Adriana. Może wówczas miałabym z nim o czym rozmawiać, kiedy wraca wieczorem do domu. Wiedziałabym, co robi całymi dniami. Zupełnie nie znam życia, jakie on i wy wszyscy tu prowadzicie.
- _ Porozmawiam z Johnem dziś wieczorem. Nie widzę przeszkód, by pani pojechała do obozu i trochę się rozejrzała. Jak sama pani mówi, to by panią oderwało od innych spraw.
- Maggie przeniosła swoją filiżankę na blat kredensu, a potem odwróciła się do Molly i spojrzała na nią poważnie.
- _ Nie wspomnisz o ... tym wszystkim, o czym rozmawialiśmy, Wielkiemu Johnowi ani Adrianowi?
- _ Pani sekrety są tak samo bezpieczne u mnie, jak u Izraela - zapewniła MoHy.
- _ Skąd wiedziałaś, że rozmawiam z Izraelem? - spytała Maggie ze śmiechem.
- _ Nie trzeba być mędrce, żeby to wiedzieć. Każdy, kto kocha zwierzęta, rozmawia z nimi, tak samo jak z dziećmi ... Przepraszam. Nie chciałam poruszać tego tematu.
- _ Dziękuję. - Maggie położyła rękę na ramieniu Molly. - Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby cię tu nie było i nie mogłabym z tobą porozmawiać.
- Przez moment MoHy miała minę, jakby nie wiedziała, co powiedzieć, a potem wyznała:
- _ Wie pani, byłam przygotowana na to, że pani nie polubię, po tym jak bardzo lubiłam Katherine.
- Maggie nie zdołała ukryć zdziwienia. -
- Jaka ona była?
- _ W pewien sposób jest pani do niej podobna ... spokojna, o miłym usposobieniu. Ale Katherine łatwiej się denerwowała.
- . o tak, wierzę - powiedziała Maggie. - Widziałam te rude włosy.
- Pani też ma trochę rudych pasemek, ale potrafi pani nad sobą panować. Dlatego myślę, że pani bardziej pasuje do Adriana niż Katherine. Tyle że musi trochę potrwać, nim on sobie to uświadomi. Jest tak samo uparty jak Alex, który potrzebował lat, by zrozumieć, że kocha Katherine, a nie jej siostrę. Teraz Adrian głupio powtarza jego błąd. Słowo daję, wyć się chce. Oczywiście, może pani w to nie wierzyć ... albo mieć mi za złe, że porównuję panią z Katherine.
- Nie czuję się obrażona, Molly, ani też nie jestem wrogiem Katherine. Wręcz przeciwnie. Sądząc po portrecie i po tym, co o niej słyszałam, myślę, że szybko byśmy się zaprzyjaźniły, mając ku temu szansę. Adrian ją kochał. Nie mam tego za złe ani jemu, ani jej. Jakżebyśmy mogła? Przecież ja też kochałam innego mężczyznę.
- Jest pani mądrą kobietę, Maggie Mackinnon. Już samo to daleko panią zaprowadzi. A spodziewam się, że wkrótce i Adrian to doceni. Na razie jest zaskoczony i urażony. Jego duma została w paru miejscach naruszona, ale niedługo znów będzie jak nowa. Ma pani w sobie coś niezwykłego: spokój bezksiężycowej nocy. Naprawdę nic pani nie wyprowadza z równowagi?
- O tak, miewam swoje popisowe momenty.
- Wszyscy miewamy, ale pani wydaje się taka opanowana. Ciekawa jestem, skąd się bierze w człowieku taki spokój?
- Może stąd, że wiele przeszłam. Wiesz, jak jest napisane w Biblii: "Cierpienie uczy cierpliwości".
- Boże miłosierny, jakbym nie wiedziała - westchnęła Molly, i obie się roześmiały.

Wielki John Polly przyjechał po Maggie następnego ranka. Nad ziemią unosiła się gęsta mgła, tak ciężka, że krople zbierające się na gałązkach drzew skapywały na daszek zielonego czepek Maggie. Wokół wszędzie panowała cisza. Nawet końskie kopyta nie wydawały żadnego dźwięku, uderzając o wilgotny dywan jodłowych igieł. Od prawej, gdzieś z daleka, zza ściany insu, dobiegało jednostajne stukanie dziecięcia, szukającego owadów pod korą. Nagle stukanie umilkło. Maggie z uśmiechem pomyślała, że

widocznie dzieciół znalazł to, czego szukał, i zaczęła się zastanawiać, czy i jej się to uda.

Wielki John zerknął na młodą kobietę siedzącą obok niego ła koźle. Przypomniał sobie, co mówiła mu o niej Molly. Była ła mała i filigranowa, i pewnie dlatego ślizgała się po skórzanej ławeczce, mimo iż starała się przytrzymać rozpostartymi po obu stronach rękami.

Ileokroć wóz wpadał w koleinę albo podskakiwał na wystającym korzeniu, wylatywała wysoko w górę, a potem poprawiała swój śmieszny zielony czepek, który zsuwał jej się na czoło. Wyglądała jak typowa dama przedstawiana na obrazkach, a przy tym nie była osobą, które ludziom pośledniejszego stanu, do jakich on należał, okazują wyższość. Rozmawiało mu się z nią równie swobodnie jak z Molly.

Znienacka ciszę rozdarł głośny szcęk. Wielki John zatrzymał z. aprzęg, wskazując wyciągniętą ręką na zbocze. Maggie zobaczyła szeroką ścieżkę utwardzoną ułożonymi w poprzek belkami. Skierowała na Wielkiego Johna pytające spojrzenie.

— To się nazywa ześlizg. Budujemy je po to, żeby ściągać drewno z wyżej położonych terenów do obozu. Ten dziwny dźwięk, który pani słyszy, to zaprzęg ciągnący ładunek na dół. Zaraz będą tędy przejeżdżać.

Niedługo potem zza drzew ukazało się osiem par wołów, prowadzonych przez chudego człowieka w zmiętym kapeluszu, kapocie i okutych blachą butach. Zamiast strzelać z bata - co zwykle rozbili powożący końmi w Szkocji - ten poganiacz trzymał w ręce długą tyczkę, zakończoną ostrym metalowym szpicem. Maggie aż się zachłysnęła, kiedy dźgnął wołu w zad.

— Nie kłuje ich tak mocno, żeby przebić skórę, pani Mackinnon - uspokoił ją Wielki John. - Woły są tłustymi, leniwymi bydlętami i potrzebują małej zachęty.

— Jak niektórzy znani mi ludzie. - Maggie już miała dodać, że istnieją lepsze sposoby zachęcania do wysiłku, kiedy w powic trzu rozniósł się donośny krzyk poganiacza.

- Ruszać się, leniwe bestie! No, dalej! Ciągnąć!

Z ustami otwartymi ze zgrozy Maggie patrzyła, jak poganiacz wskakuje na grzbiety zwierząt i depcze po nich okutymi buciami. Wielki John wyjaśnił jej, że w ten sposób zmusza zaprzęg! do marszu we właściwym kierunku. Maggie szczerze współczuła wołom, które stękając z wysiłku stapały po nierównych belkach. co chwilę zapadając się w błocie. Zza zakrętu ukazał się sznur co najmniej dziesięciu lub nawet dwunastu ogromnych kłoców. spiętych ze sobą łańcuchami.

- Ściąga się tędy prawie dziesięć tysięcy funtów drewna powiedział Wielki John. - Niedługo pojawi się następny ładunek.

W miarę jak transport się zbliżał, szcęk łańcuchów, sapanił' wołów i przekleństwa poganiacza stawały się tak głośne, że Maggie miała ochotę zatkać obie uszy. Jednak zaprzęg minął ich wolno, znikając za następną pochyłością, i wokół znów zapanowała cisza.

Wielki John smagnał lejcamy po szerokich końskich zadach i wóz ruszył w dalszą drogę. Następnym odgłosem, który usłyszeli. był z początku słaby, potem stopniowo coraz głośniejszy brzęk pił. Nim dotarli do obozu, hałas uniósł się nad wierzchołkami drzew i odleciał niesiony wiatrem. Słońce grzało coraz mocniej, ropraszając poranną mgłę. Widząc, że Maggie spogląda w niebo. Wielki John także popatrzył w górę.

- Będziemy mieli ładny dzień. - Przeniósł wzrok na jej zielony kostium z długimi rękawami. - Nie będzie pani gorąco w tej sukni?

- Mogę zdjąć żakiet. Pod spodem mam krótsze rękawy i większe wycięcie pod szyją.

Wielki John pokiwał głową ze zrozumieniem, podejżdżając pod budynek biura. Nad drzwiami widniał znajomy biało-czerwony szyld, na którym było napisane: KALIFORNIJSKA KOMPANIA DRZEWNA, ADRIAN MACKINNON - WŁAŚCICIEL

- Proszę tu poczekać minutkę lub dwie. Muszę dopilnować pewnej roboty, ale przyślę Toma Radforda, żeby panią oprowadził.

Po chwili zjawił się Tom Radford, wysoki chudy mężczyzna o kruczoczarnych włosach.

- Wielki John mówi, że mam panią oprowadzić - powiedział. Zajęło mu to następne dwie godziny.

Tydzień później Maggie wybrała się do obozu na niedużym, łagodnym wałachu. Nie znalazła, oczywiście, damskiego siodła, ile Ox Woodburn, miejscowy kowal, przystosował dla niej stare dziecinne siodło. Wyglądało trochę śmiesznie, lecz spełniało swoje zadanie, a Maggie cieszyła się, że może sama pojechać do obozu, nie czekając, aż przyjedzie po nią wozem Wielki John i:zy jakiś inny pracownik. Chociaż zawsze chętnie jej służyli i okazywali uprzejmość, lecz Maggie wiedziała, że są zapracowani i z pewnością szkoda im było czasu na zabawianie jej.

Po niespełna dwóch tygodniach codziennych wizyt w obozie Maggie doszła do wniosku, że tamtejsi

drwale posiadają nie tylko wspaniałe muskularne ciała, ale też niezaprzeczalny urok osobisty. Oczywiście zdarzało się czasami, że skłonność do żartów poniosła kogoś z robotników za daleko, co stwarzało kłopotliwe sytuacje.

Ox opowiedział jej jedną z takich historii.

- Kiedyś dobrali się do drwala znanego jako Jim Brudna Koszula. Nazywali go tak, rozumie pani, bo nikt nigdy nie widział, żeby zmieniał koszulę albo się kąpał przez te pół roku, jakie tu spędził. Inni drwale uznali, że najwyższy czas, by Brudna Koszula się wykąpał, więc wrzucili go do rzeki i zaczęli szorować do krwi, mimo że biedak dał się wniebogłosy.

Maggie nie mogła powstrzymać śmiechu, kiedy Clem Burnside dodał:

- Stary Jim Brudna Koszula był wściekły jak wszyscy diabli.

Następnego ranka czmychnął z obozu i tyleśmy go widzieli. Drwale mieli swoje przesady i powiedzonka, które Maggie traktowała ze zrozumieniem, jako że i ona wierzyła w szkockie 'mądrości ludowe'. John Schurtz powiedział jej, że drwale nic zaczynają wyrębu w nowym miejscu w piątek, ponieważ to przynosi pecha. Oświecił ją także, że grubas spotkany wleśił' to znak, że zdarzą się trzy wypadki.

Kiedy spytała Eliego Carra o miedzianą bransoletkę, która, zauważyła na jego ręce, odrzekł z powagą:

- Miedziane opaski noszone na przegubach i kostkach chronią przed reumatyzmem.

Ponieważ w obozie nie było lekarza, Maggie zaczęła spędzać codziennie godzinę lub dwie w niewielkiej chacie przeznaczonej do celów medycznych. Zarzekała się wprawdzie, że nie ma większego pojęcia o leczeniu u niż drwale, ale każdy, kto odwiedził chatę z jakimś skaleczeniem, siniakiem lub nadwzrężonym mięśniem, przyrównywał ją do anioła miłosierdzia.

Niektórzy robotnicy wstępujący do chaty wypytywali ją o szkockie wróżby i wkrótce Maggie rozdała mnóstwo krzyżyków z drzewa jarzębiny, które przywieszono nad frontowymi drzwiami miały chronić domostwo od wszelkiego zła.

Gdy wielki John dowiedział się od Molly, że podobny krzyżyk został przybity nad drzwiami domu Adriana Mackinnona, założył się z nią o to, jak długo tam zostanie po powrocie Adriana.

Dwa dni przed spodziewanym powrotem męża Maggie wybrała się do obozu. W obozie jak zawsze wrzała praca, zaprzęgi wołów ciągnęły niekończące się ładunki belek, tartaczne piły nie ustawały ani na chwilę, a wiatr niósł daleko dźwięczny stuk kowalskich młotów.

Dudley Dunlap siedział w biurze nad grubą księgą, zapisując w niej jakieś liczby, a w przerwach obgryzając koniec ołówka, kiedy Maggie wetknęła głowę do środka.

- Witaj, Dudley - zagadnęła, lecz on tylko uniósł głowę, pomachał przyjaźnie i wrócił do swoich zapisków. Maggie zamknęła drzwi i odeszła. Po chwili napotkała Toma Radforda, ale jako odpowiedzialny za woły z Ayrshire był zajęty układaniem nowego zaprzęgu. Maggie przysiadła na pniu i przez chwilę przyglądała się jego pracy. Ponieważ Tom doglądał ludowy ześlizgów, po których ściągano drewno z gór, i trenował woły, nazywano go potocznie poganiaczem. Z początku Maggie łożumiała to dosłownie, lecz Tom szybko wyjaśnił jej, na czym w istocie polegają jego obowiązki.

- Nigdy bym nie bił żadnego z tych cennych zwierząt. Para kosztuje trzysta dolarów albo i więcej. Można powiedzieć, że łożchodzę się z nimi w białych rękawiczkach.

Musiła mu przyznać rację, bo sama zobaczyła, jak wcierał maść z arniki w otarty kark jednego wołu, a potem kąpał inne.

Po chwili stało się dla niej jasne, że Tom jest zbyt zajęty, by mógł jej poświęcić więcej czasu, a ponieważ ona z kolei była zbyt dumna, by dać mu poznać, że czuje się opuszczona, udała się do stołówki, przystając po drodze na krótką pogawędkę z Johnem Schurtzem.

Tak naprawdę stołówka była jej ulubionym miejscem w obozie, ze względu na miłe towarzystwo kucharza zwanego Sucharem i jego dwóch młodocianych pomocników. Ci dwaj młodzieńcy, Oscar Price i Olley Page, mieli najwyżej po szesnaście lat i dosłownie prześcigali się w niewinnych żartach i chłopięcych psotach.

Choć nie łączyło ich żadne pokrewieństwo, byli do siebie podobni, obaj wysocy i szczupli, obaj z gęstymi kręconymi czuprynami. Tyle tylko, że Oskar miał rude włosy i mnóstwo piegów na dziecinnej buzi, podczas gdy Olley był szatynem o ciemnych oczach.

Suchar był w obozie ważną figurą. Swoje imię zawdzięczał temu, że kiedyś był żeglarzem. Wychował się w rybackiej wiosce na wybrzeżu Maine, a pierwsze lata życia spędził na statku wielorybniczym. Miał włosy białe niczym święty Mikołaj i wesołe niebieskie oczy. W istocie mógłby przypominać świętego Mikołaja, gdyby nie to, że zamiast pokaźnego brzucha posiadał tatuaż przedstawiający wijącego się smoka.

- Mam jeszcze węża wytatuowanego na ...

Na szczęście w ostatniej chwili ugryzł się w język, lecz nie zdołał powstrzymać rumieńca, który wykwitł

najego pocziwym

ELA/NE COFFMAN

obliczu. Maggie udawała, że niczego nie zauważyła. W zupełności wystarczył jej wizerunek smoczego ogona, sięgającego kostek na dłoni. Ziejąca ogniem paszcza była ukryta pod ubraniem.

Suchar był gotów zaprezentować jej całość, ale Maggie grzecznie odmówiła.

Idąc do stołówki, zastanawiała się, jaką psotę szykowali na ten dzień Suchar i jego pomocnicy. Stołówka była przestronna i nadspodziewanie czysta. W całym, dość dużym, prostokątnym budynku panowało coś w rodzaju zorganizowanego bałaganu. Wszędzie na półkach i na podłodze widać było naczynia, garnki, sztucce, lampy, beczki z mąką, puszki przypraw i pojemniki z cukrem. Z belek pod sufitem zwisały tuziny blaszanych kubków i dzbanów do kawy, a środek pomieszczenia zajmowało pięć długich stołów, przy których mogło zasiąść naraz trzydziestu ludzi.

Kiedy Maggie weszła do środka, Suchar miesił ciasto, oblepiające mu ręce aż po łokcie, wykrzykując przy tym do Olleya i Oscara, ukrytych za gęstą chmurą dymu i pary buchającej od pleca:

- Ile razy wam mówiłem, że kiedy kichacie, macie odwracać głowę? Niedojdy! Myślicie, że ktoś ma ochotę jeść zupę z pływającymi w niej smarkami? - Oderwał kawałek ciasta i cisnął nim w stronę pieca. Zza tumana oparów dobiegł pełen urazy głos.

- Hej! Za co we mnie rzucasz? To nie ja zrobiłem, tylko on!

- Więc ty oberwałeś na zapas - oznajmił Suchar. W tym momencie zauważył wchodzącą Maggie. - Proszę, proszę - zachęcił, machając wałkiem do ciasta. - Ma pani ochotę na filiżankę gorącej kawy?

- Raczej nie, skoro ktoś do niej nakichał - odpowiedziała, wzbudzając śmiech kucharza.

- Myślę, że Oscar już skończył z kichaniem - uspokoił ją. - Wie, że zostało mi jeszcze sporo ciasta.

- Hej! - dobiegło znów zza dymnej kurtyny. - Mówiłem, że to nie ja kichałem. To Olley kichał.

- Jeszcze raz otwórz usta, to ci je zamknę tym wałkiem - zagroził Suchar. - Przekłęci smarkacze.

Maggie tylko się uśmiechnęła, wiedząc, że Suchar w gruncie rzeczy bardzo lubi obu chłopców.

- Czemu się ich nie pozbędziesz, skoro są tacy nieznośni?

- Cóż, oni są jak stary odcisk na pięcie, co to daje się we maki, i owszem, ale mniej boli niż jego wycinanie.

- Innymi słowy, chcesz powiedzieć, że przywiązałeś się do tych chłopaków? - naciskała Maggie z uśmiechem.

Suchar uformował z ciasta placki i ułożył w formie. Następnie lmył ręce w miednicy.

- Chyba chcę powiedzieć, że tak - przyznał.

Maggie usiadła na kuchennym stołku i przysłuchiwała się, jak Suchar opowiada o czasach spędzonych na morzu, równocześnie smażąc olbrzymie steki z niedźwiedziego mięsa. Maggie nigdy nie widziała niedźwiedzia, a już na pewno nie próbowała jego mięsa.

- Ci ludzie lubią niedźwiedzie mięso? - spytała z niedowierzaniem.

- Lubią wszystko, co nieżywe i ocieka tłuszczem - rzekł, rzucając widelcem ostatni kawałek na półmisek. Sięgnął do stojącej obok blaszanej puszki i zaczął zasypywać mąką gorący tłuszcz pozostały po smażeniu.

- Potrzebuję więcej mąki - powiedział, po czym spoglądając na Maggie, poprosił: - Mogłaby mi pani podać tamten garnek z najwyższej półki?

Maggie zdążyła wstać, kiedy Olley i Oscar wykrzyknęli jednocześnie:

- Proszę nie ruszać!

Za późno.

Maggie stojąc na palcach dosięgnęła garnka i dopiero kiedy go zdejmowała z półki, zauważyła, że nie ma pokrywki.

Suchar, słysząc krzyki chłopców, domyślił się, że chodzi o jakąś nową psotę i w tym samym momencie ujrzał białą chmurę rozpylonej mąki opadającą na Maggie. Słyszając jej zduszony krzyk, a zaraz potem stuk rozbijającego się glinianego garnka, chwycił wałek i ruszył w pościg za Olleyem i Oscarem. Pomocnicy w ostatniej chwili zdążyli się wymknąć, a ciśnięty w nich wałek odbił się od drzwi i z klekotem potoczył po podłodze.

Maggie tymczasem głośno próbowała złapać oddech wolny od mącznego pyłu. Suchar uzbrojony w ścierkę ruszył jej na pomoc, jednakże jego wysiłki nie na wiele się zdały, więc w końcu rzekł z rezygnacją:

- Chyba będzie pani musiała umyć się w strumieniu.

Resztę dnia poświęciła na wyskubywanie z włosów grudek zaschniętego ciasta. Kąpiel pozwoliła usunąć mąkę z reszty ciała, ale niestety, sporo zdążyło się przykleić do głowy. Wieczorem Olley i Oscar - trzymani przez Suchara za uszy, zjawili się u niej z pokornymi przeprosinami.

Maggie przyjęła ich w kuchni herbatą i łaskawie zgodziła się przyjąć przeprosiny.

- Nie wiedziałam, co mnie bardziej rozśmieszyło - zwierzała się później ze śmiechem Molly. - Wczorajsze miny chłopców, kiedy zobaczyli mnie zasypaną mąką, czy dzisiejsze, kiedy zaprosiłam ich do domu na herbatę.

- To dlatego, że wszyscy wiedzą, iż jest pani prawdziwą damą, a pani ojciec należy do arystokracji.

Maggie wybuchnęła śmiechem.

- Mój ojciec by powiedział, że przynależność do arystokracji nie jest warta funta kłaków.

- Musi mi to pani przetłumaczyć na nasze - poprosiła Molly.

- To znaczy, że niewiele z niej wynika. A hrabia to jeszcze nie królewska rodzina.

- Cóż, bliżej tronu ci dwaj młodzieńcy już się w życiu me znajdują. Pewnie będą kiedyś opowiadali swoim wnukom, że pili herbatę z wielką damą o manierach królowej i dobroci anioła. - Och, Molly, z pewnością przesadzasz. W życiu nie słyszałam takich wymysłów. Dobrze, że my, Szkoci, nie zwracamy uwagi na pochlebstwa.

- To nie pochlebstwo. Pani nie może tego wiedzieć, ale słyszałam od Wielkiego Johna, że ludzie z obozu uważają panią prawie za anioła. Wygląda na to, że podbiła pani nawet najtwardsze serca.

- W żaden sposób nie zasłużyłam na takie uwagi.

- Ależ owszem. Dała pani tym ludziom coś, czego nikt inny nawet nie próbował im dawać.

- Co takiego?

- Swoją uwagę. Szacunek. Ludzką dobroć. Poczucie, że coś znaczą. Większość z tych nieszczęsnych typów nigdy nie widziała damy takiej jak pani. Nie byłiby bardziej zaskoczeni, gdyby to sama Dziewica Maryja zstąpiła do obozu, a pani nie tylko się tam pojawiła, ale nawet odwiedza ich regularnie. Poznała pani ich imiona, pytała o ich rodziny i o zdrowie. Wysłuchiwała pani opowieści o ich pracy i radziła, jak mogą poprawić swój los. Dzięki pani poczuli się ważni i bardzo panią za to szanują.

- Nie miałam pojęcia ...

- Powiem pani coś jeszcze. Po obozie krążą też inne opowieści.

O tym, jak pani wpadła w błoto tamtego pierwszego dnia po przyjeździe tutaj.

Maggie aż skurczyła się w sobie.

- Och, miałam nadzieję, że nie będą tego pamiętały.

- Owszem, pamiętają i podziwiają panią za to, że się pani podniosła i poszła dalej, jakby nic się nie stało. Tak samo się pani zachowała wczoraj w kuchni. Wszyscy w obozie wiedzą, że potraktowała pani całą sprawę z humorem i wyrozumiałością.

Maggie popadła w zadumę. Nigdy by nie sądziła, że jej wizyty w obozie drwali były dla nich czymś tak ważnym i wyjątkowym. Sama nie widziała niczego szczególnego w rozmowach z robotnikami, tak jak wówczas, gdy towarzyszyła ojcu w odwiedzinach u pracujących dla niego ludzi. Bycie damą w Szkocji nie oznaczało codziennego przesiadywania na proszonych herbatkach. Jako córka owdowiałego hrabiego, Maggie zajęła miejsce matki w kontaktach z pracownikami rodzowego majątku. Wobec tych ludzi zachowywała się tak samo, jak kiedyś w Szkocji służyła radą i pomocą, gdy tylko mogła się przydać: pokazywała, jak mieszać terpentynę z kamforą, żeby usunąć wszy, pisała listy do rodzin albo czytała te, które nadeszły.

Podniosła wzrok na MoHy, która obserwowała ją bacznie.

Nieczęsto się zdarzało Maggie, by nie wiedziała, co powiedzieć.

Następnego dnia o zwykłej porze zakończyła wizytę w obozie i już miała wsiadać na konia, gdy podszedł do niej Doc Amenson.

- Mamy wielki problem w szopie z narzędziami.

- Jakiego rodzaju, Doc?

- Myszy i szczury. Całe mnóstwo. Niektóre takie wielkie, że z łatwością mogłyby przenieść kowadło.

Przegryzają na wylot jutowe worki i dobierają się do drewnianych trzonek.

Następnego ranka śmiech Wielkiego Johna rozniósł się po całym obozie, docierając aż do kuchni, a drwale zbiegli się zewsząd, przywabieni nagłym zamieszaniem. Znaleźli Wielkiego Johna stojącego przed drzwiami szopy z narzędziami. Za jego plecami gromadził się coraz większy tłum, a on wskazywał na kartkę papieru przybitą do ściany jakieś trzy lub cztery cale nad podłogą. Wszyscy wstrzymali oddech, kiedy Wielki John odczytał, co było na niej napisane.

Myszy i szczury,

Wynocha Z tej dziury.

Idźcie sobie do Talbota,

Bo tam dla was jest robota.

Drwale, śmiejąc się, słuchali Wielkiego Johna, który opowiadał im o tym, jacy przesądni są Szkoci, jak wierzą w magię, amulety, uroki i takie różne głupstwa.

- No dobrze, wystarczy - zakończył Wielki John. - Zbiegliście się tu jak stado gęsi. Wracać mi natychmiast do pracy.

Mężczyźni posłusznie odeszli, ale niejeden z nich zastanawiał się, co też by zrobił stary Talbot, gdyby armia szczurów i myszy pojawiła się zniemacka w jego tartaku w Seattle.

11

W dniu swego powrotu Adrian wyjrzał przez okno biura i aż uniósł brwi ze zdumienia.

- Co, u licha ciężkiego, robi tu Maggie? - spytał, dojrawszy swą żonę zmierzającą do chaty medycznej, przed drzwiami której czekało w kolejce około dziesięciu osób.

Zaniepokojony przyglądał się, jak Wielki John odfajkuje ostatnią kolumnę liczb dotyczących produkcji z ostatniego tygodnia, po czym odkłada ołówek.

Adrian nie mógł się doczekać odpowiedzi.

_ Maggie przyjeżdża do obozu codziennie, od kiedy pan wyjechał - powiedział Wielki John. - Wbrew temu, co pan zapewne myśli, nikomu nie przyniosło to żadnej szkody. Przeciwnie, morale robotników wyraźnie wzrosło. Oczekują jej wizyt z niecierpliwością ...

- Och, w to nie wątpię - przerwał mu Adrian.

- Ona jest inteligentną kobietą, panie Mackinnon. Zaproponowała kilka sensownych zmian.

- I?

- A parę z nich nie tylko zaproponowała.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Wielki Johnie?

- Że pańska żona wprowadziła parę zmian pod pańską nieobecność.

Zamiast wpaść w furję albo natychmiast posłać po żonę, czego spodziewał się po nim Wielki John, Adrian przeszedł do swojego fotela za biurkiem i usiadł. Odchyliwszy się do tyłu, oparł nogi na blacie, złożył na brzuchu splecione dłonie i rzekł krótko:

- Mów dalej.

Te dwa słowa i widoczna gotowość Adriana do słuchania zachęciły Wielkiego Johna do wyłuszczenia całej sprawy.

- Zanim przejdę do szczegółów, chcę, żeby pan wiedział, że produkcja wzrosła, odkąd pani Mackinnon zaczęła bywać w obozie. Wszystko jest czarno na białym w raportach za ostatnie dwa tygodnie - zapewnił, wskazując na rozpostarte przed nim papiery.

- I ty przypisujesz ten wzrost obecności Maggie w obozie?

- Owszem.

- Mów dalej. Słucham.

- Pani Mackinnon nie tylko wprowadziła zmiany, znacząco ułatwiające życie naszym ludziom, ale w ten sposób jakby dodała im ducha.

- Przejdź do konkretów - ponaglił Adrian - i przestań się wyrażać tak, jakbyś przemawiał na parafialnej herbatce dla pań.

- Po pierwsze, chcę panu powiedzieć, że pańska żona nauczyła się, w zdumiewająco krótkim czasie, na czym polega prowadzenie tartaku. Zabierała na noc do domu księgi rachunkowe i wracała z nimi rano, z dokładną listą rzeczy, które chciała wyjaśnić lub zaproponować.

- Nie możemy prowadzić tartaku tak, jak się prowadzi gospodarstwo domowe.

- Wiem, ale muszę przyznać, że niektóre z jej pomysłów są naprawdę dobre.

Adrian sprawiał wrażenie znudzonego, lecz Wielki John niezrażony kontynuował:

- Nie mówię o wieszaniu falbaniastych firanek w oknach. Mam na myśli jej uwagi w sprawie transportu drewna statkami.

- Statkami?

- Ona ma rację. Mamy tartak i obecnie jesteśmy właścicielami dziesięciu statków. Obaj dobrze wiemy, że przydałoby się drugie dziesięć. Pani Mackinnon zasugerowała, żebyśmy je zbudowali. - Nie jestem budowniczym statków i nie mam ochoty nim zostać.

- Ale mógłby pan.

- Co tu się, u diabła, dzieje? Wyjeżdżam na dwa tygodnie, li moja żona przez ten czas wywraca mój

interes do góry nogami. Moi bracia budują statki. Ja nie mam o nich zielonego pojęcia.

- Więc niech pan zleci to swoim braciom. Jeśli oni wybudują panu statki, zamiast kupować gotowe, zaoszczędzi pan sporo pieniędzy. - Wielki John poszperał w papierach, znalazł ten, którego szukał, i podał Adrianowi. - Proszę spojrzeć na to. Naniósł tu całkiem rozsądne uwagi. Powiedziała też, że pańscy bracia mogliby projektować statki lepsze do wożenia drewna niż te, które kupujemy, i że zamiast kupować, można by je wybudować, i to znacznie taniej. Pomysł z mocniejszymi, lepiej zaprojektowanymi statkami jest całkiem dobry. Wie pan, ile statków traci się na mieliznach ... jeśli nawet nie my tracimy, to inni. Wspomniała nawet o parowych holownikach.

- Dostyc o jej zwiariowanych pomysłach. Wspominałaś o zmianach. Co to za zmiany?

- Codzienne otwieranie chaty medycznej. Nauka czystości. Wydzieliła za kuchnię miejsce do prania i przekonała ludzi, że należy gotować odzież, żeby się pozbyć wszy. Zamówiła szare mydło. Mamy teraz łaźnię parową.

- A co to jest, jeśli mogę spytać, łaźnia parowa?

Adrian z rosnącą irytacją słuchał opowieści Wielkiego Johna o tym, jak Maggie kazała umieścić silnik parowy przy łaźni, żeby drwale mogli korzystać z kąpeli parowych i pozbywać się wszy.

- Następnym razem się dowiem, że otworzyła jakąś cholerną świetlicę. Do czego zmierzasz? - spytał Adrian, nie kryjąc zniecierpliwienia.

- Próbuję zwrócić panu uwagę na kilka rzeczy, ale pan jest uprzedzony do wszystkiego, co dotyczy pańskiej żony.

- Nie chcę, żeby się szwendała po obozie.

- Jej pomysły są dobre.

- Do diabła z jej pomysłami! Nie chcę jej tutaj. Czy to jasne?

- Tak. Tak samo jasne jak to, że nie chce pan przyznać, że dzięki niej wiele mogłoby się tu zmienić na korzyść.

- Wszystko jedno, jakie zmiany wprowadziła moja żona, chcę, by wszystko znów było tak, jak przed moim wyjazdem. - Te zmiany zostały wprowadzone dla dobra pracujących tu ludzi. Powrót do starego spowoduje kłopoty.

- I co z tego? Przecież i tak mam same kłopoty od czasu, gdy tu przyjechała.

Chociaż Maggie w dniu przybycia Adriana była w chacie medycznej, a jeden z drwali natychmiast przybiegł z wiadomością o jego powrocie, nie widziała się z mężem aż do kolacji.

Adrian siedział naprzeciw niej i milczał. Z tego jak na niego patrzył, wywnioskowała, że zdołał wyczytać wszystkie tajemnice z jej myśli. Bez wątplenia wiedział o jej wizytach w obozie pod jego nieobecność i bez wątplenia nie był z nich zadowolony. To ostatnie akurat nie robiło na niej żadnego wrażenia. Był najwyższy czas, żeby Adrian pojął, że nie ożenił się z kobietą, która potrafi jedynie wzdychać, rodzić, narzekać i prowadzić dom. Ostatecznie dysponowała całkiem sprawnym umysłem i zamierzała robić z niego użytek. A Adrian mógł sobie oszczędzić wielu kłopotów, przyjmując to do wiadomości.

Przez cały posiłek Maggie czuła dodatkowy niepokój, wiedząc, że Adrian nie zapominał słów, które między nimi padły przed jego wyjazdem, i zastanawiając się, kiedy zechce wrócić do drażliwego tematu. Żadne z nich zbyt wiele się nie odzywało, ale napięcie wyczuwalne w jadalni samo z siebie było znaczące. Maggie widziała, że najgorsze minęło, jeśli idzie o jej poprzednie małżeństwo, ponieważ Adrian przebywał poza domem przez dwa tygodnie, a to dość czasu, by nieco zatrzeć pierwsze wrażenie. Uznała, że nie ma sensu martwić się bez powodu, i zdołała nawet z uśmiechem poruszyć kilka lżejszych tematów.

- Słyszałem, że ostatnio bywasz w obozie - powiedział w końcu Adrian.

Poczuła rozczarowanie.

- Owszem, ale szkoda, że ktoś ci o tym powiedział. Chciałam, żeby to była niespodzianka.

Wbił w nią przenikliwe spojrzenie.

- Ależ to była niespodzianka. Wracam do domu i słyszę, że moja żona kąpie się w mące, umieszcza nad drzwiami magiczne kawałki drewna i nabija moim ludziom głowy teoriami o czystości ... posuwając się nawet do tego, że zamienia łaźnię w saunę.

- Ci ludzie są zjadani przez wszy.

- Jak wszyscy drwale mieszkający w obozach. Są do tego przyzwyczajeni, nauczyli się z tym żyć.

- Ale przecież nie muszą. Wszy można się pozbyć.

- Nie chcę, żebyś się plątała po obozie, Maggie. Robotników rozprasza obecność kobiety.

- Właśnie miałam zamiar cię spytać, dlaczego tu nie ma kobiet. Wiem, że niektórzy z tych mężczyzn są żonaci.

- Niektórzy są, ale większość jest samotna. Ich praca jest niebezpieczna i wymaga zręczności typowej dla młodych. Na ogół nie mieli czasu, żeby sobie znaleźć kobiety. A tym, którzy mają żony, nie wolno ich tu sprowadzać.

- Dlaczego?

- Ponieważ ja tego zabraniam.

Sprawiała wrażenie zupełnie zbitej z tropu.

- Ale dlaczego?

- To wymaga odpowiedzialności i wywołuje zamieszanie, a ja nie mam ani czasu, ani ochoty, by tracić energię na jedno czy drugie. Kobiety i dzieci potrzebują sklepów, lekarzy i szkół. Nimbym się spostrzegł, miałbym tu miasto, a nie obóz.

- Ale ...

- Zostawmy to, Maggie. Zostawiam ci wolną rękę, jeśli idzie o prowadzenie domu, ale trzymaj się z daleka od obozu. To dotyczy także chaty medycznej. Nie chcę, żebyś tam chodziła.

- Nie rozumiem.

- Nie oczekuję, byś rozumiała. Oczekuję, że usłuchasz mojego zakazu.

Maggie poderwała się zza stołu. Rozmowa z Adrianem przypominała grę w odbijanie piłki. Niezależnie od tego, jak dobrze grała, od czasu do czasu piłka lądowała na ziemi, a Adrian zdawał się czerpać z tego faktu nową siłę, takjak Samson czerpał siłę ze swych długich włosów.

Jednakże nie miała zamiaru się poddawać ani ukrywać przed nim swoich poglądów.

- Obawiam się, że słowo "usłuchać" nie figuruje w moim słowniku.

- To je tam umieść.

Siedział spokojnie przy stole, oczekując na jej reakcję, i przyglądał się jej z pozorną obojętnością. Ubrana była w suknię z różowej tafty, włosy miała wysoko upięte, a brylantowe kolczyki w jej uszach migotały, odbijając światło padające z żyrandola. Robiła wrażenie pięknej, niedoświadczonej i uległej ... choć Adrian wiedział, że to wrażenie jest iluzją. Wyglądała pięknie, ale nie była piękna. Wyglądała na niedoświadczoną, ale była już wcześniej mężatką. Wydawała się pokorna i uległa, ale tak naprawdę była uparta i zuchwała.

Czyżby właśnie te cechy tak go w niej pociągały?

- Dodanie jednego słowa do słownika nie powinno być trudne - odezwał się wreszcie.

- Nie mogę - powiedziała cicho. - Nie to słowo. Czuję się jak zwierzę. Można spełniać prośby czy życzenia, Adrianie, ale okazywać posłuszeństwo ...

Spełniać życzenia ... Dobry Boże, jakby nie wiedział... Przecież właśnie o tym rozmyślał bezustannie przez ostatnie dwa tygodnie. Pragnął, by spełniała jego życzenia, pragnął, by należała do niego. Chciał ją osiąść i na zawsze wymazać z jej pamięci wspomnienie innego mężczyzny. A wszystko miało być zupełnie inaczej. Chciał, by jego myśli o Katherine pozostały świeże i żywe, lecz ta kobieta przyćmiła pamięć, którą pielęgnował w sobie przez lata.

Pragnął Maggie. Nie chciał jej pragnąć, ale tak było. Miał dość powodów, żeby ją nienawidzić, a mimo to potrafił czuć do niej jedynie pożądanie.

Śmiało, ponaglał się w duchu. Przeleć ją i niech będzie po wszystkim. Zaskoczył samego siebie. Wiedział, dlaczego użył lakiego słowa. Chciał ją zdegradować we własnych oczach. Nie podzielało. Nie tym razem. W głębi duszy wiedział bowiem, że Maggie nie należy do kobiet, które można traktować w taki sposób. Z kobietami takimi jak Maggie można było się tylko kochać. Cudownie. Nieśpiesznie i czule. Do utraty tchu. Poczł się nieswojo, bo jego ciało samo odpowiedziało na te myśli.

Podczas gdy Adrian był pogrążony w swoich rozmyślniach, cisza panująca w jadalni wydawała się Maggie nieznośna. Śmiało, powtarzała sobie. Powiedz mu. Powiedz mu o dzieciach. Niech już będzie po wszystkim. Nie sposób żyć, skrywając tę tajemnicę.

Nie był to najlepszy moment. Adrian wciąż przeżywał rozczarowanie wiadomością o jej mężu. Maggie czuła, że powinna dać mu trochę czasu na ochłonięcie, zanim wyleje mu na głowę kolejny kubeł zimnej wody. Nie, zdecydowanie moment nie był dobry. Ale kiedy miał być lepszy? Jutro? Może za tydzień?

- Usiądź, Maggie - odezwał się wreszcie Adrian, mierzając ją przeciągłym spojrzeniem. - Wiesz tak samo dobrze jak ja, że mamy wiele spraw do omówienia. Przemilczanie ich niczego nie rozwiąże, najwyżej odsunie w czasie, a chyba zgodzisz się ze mną, że dla żadnego z nas nie byłoby to korzystne.

Przyglądał się, jak wolno opada na krzesło. Chciał jej powiedzieć, że zdaje sobie sprawę z jej zażenowania i że pamięta to, co powiedział przed swoim wyjazdem, ale jakoś nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Powiedz coś wreszcie, zżymał się w duchu. Uspokój ją trochę. Na co czekasz?

Przecież rozumiesz, że to nie była jej wina. To Ross zataił przed tobą jej poprzednie małżeństwo. Powiedz

jej, że chcesz spróbować.

- Ja nie - zaczęła.

- Chcę - powiedział Adrian w tym samym momencie.

Oboje zamilkli.

- Proszę - zachęcił. - Co miałaś zamiar powiedzieć?

- Mogę poczekać. Ty mów pierwszy.

- To byłoby niegrzecznie z mojej strony.

- Niewiele porozmawiamy, jeśli nie zaczniesz - nalegała. - Bo ja zapomniałam, co chciałam powiedzieć.

Tchórz, powiedział jej wewnętrzny głos. Nie jestem tchórzem. To tylko nieśmiałość. Akurat.

- Miałem zamiar powiedzieć - zaczął Adrian - że nie chciałem być dla ciebie taki szorstki tamtego wieczoru przed wyjazdem. To nie była twoja wina, Maggie. Po prostu to był dla mnie szok. - Tak, rozumiem. Dla mnie to też był szok.

- Szok? To dopiero niespodzianka - powiedział z błyskiem humoru w oczach. - Ty chyba wiedziałaś o tym, że byłaś mężatką.

Roześmiała się, trochę rozluźniona.

- Chyba nie jesteś zły na Rossa? - Wzdrygnęła się, widząc, jak bieleją mu kostki na zaciśniętych w pięści dłoniach.

- Już nie tak, jak byłem. - Adrian głęboko wciągnął powietrze. - Dwa tygodnie temu stłukłbym mu tę urodziwą gębę na miazgę, ale z czasem złość mi trochę przeszła.

- Miło mi to słyszeć. Wiem, że uważał to za słuszne ... że chciał jak najlepiej.

- Nie wątpię - stwierdził Adrian tonem, który stanowczo zniechęcał do jakichkolwiek dalszych uwag na temat jego brata.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, próbując nawzajem odgadnąć swoje myśli. Wreszcie Maggie odezwała się pierwsza: - I co teraz?

- Nie wiem, Maggie. Myślę, że najlepiej będzie czekać, co przyniesie każdy kolejny dzień. Nie mogę obiecać, że będzie łatwo, ale oboje zaszliśmy już dość daleko. Nie chcę, żeby wszystko się skończyło, zanim jeszcze zdążyliśmy spróbować. Tak czy inaczej, jesteś tu uwięziona na jakiś czas. Nawet gdybyś chciała, nie możesz teraz wyjechać. W Ameryce Południowej jest już prawie zima, a opływanie przylądka o tej porze roku jest zbyt niebezpieczne.

Miała ochotę mu powiedzieć, że wcale nie chce wyjeżdżać, ale wzmianka o przylądku przypomniała jej o dzieciach, które wkrótce miały przybyć. Powiedz mu. Teraz, tłuło jej się po głowie, zaraz jednak powiedziała sobie, że ma za mało czasu, "czas w tym przypadku odgrywał kluczową rolę.

Adrian wstał, okrążył stół i stanął za nią, żeby jej odsunąć krzesło.

- Zagrasz dla mnie znowu? - spytał, pochylając się nad nią tak, że czuła na karku jego ciepły oddech. Och, Adrianie, czy między nami zawsze już tak będzie? Dziwnie. Sztucznie. Ja będę się bała mówić, a ty będziesz się bał pozwolić mi mówić.

Twarz Maggie ściągnęła się w bolesnym grymasie. Dobrze pamiętała swój poprzedni występ. A jeśli tym razem znowu się f. apomni? Jeśli podda się nastrojowi i wyrwie jej się coś na temat dzieci? Poczowała ucisk w gardle. Dobry Boże, krzyczało jej w duszy. Powiedz mu. Powiedz mu. Chciała powiedzieć, ale za bardzo się bała. Skrywanie sekretów nie leżało w jej naturze, podobnie jak udawanie kogoś, kim nie była. Coś jej jednak mówiło, że jest za wcześnie. Adrian dopiero dochodził do siebie po wiadomości o jej mężu. Bała się, że to nowe małżeństwo nie przetrwa następnego, jeszcze mocniejszego wstrząsu. Jeszcze nie teraz. Potrzebowała czasu, ale dzieci były już w drodze. Czas działał na jej niekorzyść. To odkrycie jeszcze bardziej ją przybiło, a pragnienie, by ratować związek z Adrianem, zmuszało ją do zachowywania pozorów dobrego nastroju.

Maggie miotła się wewnętrznie; jeszcze nigdy nie była w takiej rozterce, nie czuła się taka samotna. Spojrzała na Adriana. Przyglądał jej się z dziwnym wyrazem twarzy, wyraźnie czekając na odpowiedź.

Przez moment nie mogła sobie przypomnieć, jak brzmiało pytanie.

"Zagrasz dla mnie znowu?" Na szczęście sobie przypomniała.

Westchnąwszy z ulgą, przytaknęła, zebrała w dłonie fałdy spódnicy i ruszyła do drzwi. Adrian w milczeniu przeszedł za nią do pokoju muzycznego.

Zasiadła do fortepianu; wprawnie przebiegała palcami po klawiszach, ale nie mogła się skupić na grze.

Raz i drugi przytapała jego spojrzenie, jakby zamyślane, skupione na niej. Trzykrotnie wstał, żeby dolać sobie brandy, lecz ani razu się nic odezwał, ani na chwilę nie spuścił z niej wzroku.

Wreszcie napięcie stało się nie do wytrzymania. Przerwałszy grę, wstała od instrumentu.

- Przepraszam - powiedziała cicho. - Nie mogę już grać. Nic dzisiaj. Proszę ... - szepnęła błagalnie.

Patrząc jej w oczy, odniósł wrażenie, że gnębi ją jakiś ciężar, którym chce się z nim podzielić, ale szybko spuściła wzrok.

- Przepraszam, Adrianie - powtórzyła. - Wybacz mi.

W milczeniu patrzył, jak odchodzi. Kiedy już jej nie było, wciąż wpatrywał się w puste miejsce przy fortepianie, zastanawiając się, czy wszystko, co odczuwa w stosunku do Maggie, musi być tak silne ... zarówno gniew, jak i pożądanie.

A to ostatnie było niezwykle silne.

Może to była zwykła żądza? Jego uczucia do Katherine nigdy nie miały aż takiej intensywności, a przecież ją kochał. I tej miłości nie dało się porównać z uczuciem, jakie żywił do Maggie. Uczucie do Katherine miało głębię i spokój uspionego stawu. A uczucie do Maggie? Kojarzyło się z wodospadem, gwałtownym, szybkim i burzliwym. I jak człowiek przedzierający się przez wodospad, domyślał się, czym się skończy. Unicestwieniem jednego lub obojga z nich. Nie da się żyć z tak gwałtownymi emocjami. Nie mógł jeść. Nie mógł spać. Nie był w stanie nawet pracować, bo wciąż rozmyślał, jak by to było kochać się z nią. Więc dlaczego nie sprawdzisz?

Nie znał odpowiedzi na to pytanie, ale miał zamiar ją znaleźć. Wychyliwszy dwoma łykami resztę brandy, odstawił kieliszek

na stół i poszedł na górę. Miał szczerzy zamiar udać się od razu do swego pokoju, jednakże, nie wiedząc czemu, znalazł się pod drzwiami sypialni Maggie. Wyciągnął rękę, żeby zapukać, lecz odruchowo położył dłoń na klamce i nacisnął. Drzwi się otwały.

Maggie w kremowej satynowej koszuli stała przy łóżku. Postanie było zapraszająco rozścielone.

Nie potrzebował dalszej zachęty. Wszedł i jednym ruchem stopy zatrzaskał za sobą drzwi.

Maggie nie próbowała się zakryć przed jego wzrokiem, więc zdołał dostrzec, że ma pełne, krągłe piersi, a sterczące brodawki rysują się wyraźnie pod warstwą cienkiej koronki. Natychmiast poczuł odpowiedź swego ciała.

- Nie słyszałam, żebyś pukał.

- Chyba ... byłem zbyt zdenerwowany. Nie pomyślałem. - Adrian miał ochotę dać samemu sobie w pysk.

Zdenerwowany? Jak możesz? Dureń. Czemu nie powiesz czegoś jeszcze głupszego, na przykład, jak niezręcznie się czujesz przy damie takiej jak ona albo jak bardzo chcesz się z nią kochać. No, dalej.

Czemu nie zrobisz z siebie jeszcze większego durnia.

Twarz Maggie rozjaśniła się uśmiechem.

- Och, wiem, co znaczy zdenerwowanie. Sama też się teraz denerwuję.

Miał ochotę odpowiedzieć uśmiechem na jej uśmiech, lecz bał się pokazać swe uczucia.

- Przyszedłem ... bo wychodząc, byłaś jakaś nieswoja. Czasami dobrze jest o tym porozmawiać.

- Przyszedłeś tu rozmawiać?

Wzruszył ramionami i wcisnął dłonie w kieszenie.

- Wydawało mi się, że to dobry pomysł, ale teraz mam wątpliwości. - Zamknij się, głupcze. Kopiesz sobie grób własnym niewyparzoną językiem.

Maggie odwróciła na chwilę wzrok, jakby zbierała myśli. Cisza, jaka między nimi zapadła, wydawała się Adrianowi nie do zniesienia.

- Opowiedz mi o swoim mężu - poprosił, dodając w duchu:

Boże odbierz mi mowę, jeśli znów się odezwę.

- Pytasz o Bruce'a? Chcesz, żebym ci o nim opowiedziała? Teraz?

Potwierdził skinieniem.

- Moment jest tak samo dobry jak każdy inny. Wzmocniłem się odpowiednio, więc jestem gotów słuchać.

- Czyżby? Co dokładnie chciałbyś wiedzieć?

- Chcę wiedzieć, kim dla ciebie był, co do niego czułaś i co się stało ... jak umarł.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, nim zaczęła mówić. - Nie sądzę, byś akurat to chciał usłyszeć. Wcale tak nie sądzę.

- Skąd ci się bierze takie przekonanie?

- Nie wiem. - Uśmiechnęła się lekko i pokręciła głową. - Może stąd, że nie wyglądasz na kogoś, kto jest w nastroju do rozmowy.

- A jak ci się zdaje, w jakim jestem nastroju? - spytał przeciągłym, jakby leniwym tonem, unosząc brew.

- W nastroju do kłótni, a może do ... - Urwała, oblewając się uroczym rumieńcem.

- A może do czego?

- Niczego. Myślę, że to nie czas na rozmowę.

- A ja myślę, że jak najbardziej. Miałem dwa tygodnie na przemyślenia i z tych przemyśleń wynikło parę pytań. Chcę jeszcze dziś uzyskać na nie odpowiedzi.

- Wiem, o co ci chodzi, Adrianie. Uwiera cię myśl, że inny mężczyzna kochał się ze mną, inny mężczyzna robił to, co ty chciałbyś robić. Chcesz, żebym ci powiedziała, że mój mąż był draniem albo mięczakiem, że mnie bił, że nim pogardzałam. Ale nie mogę ci tego powiedzieć, bo to nieprawda. Bruce Ramsay był cudownym, kochającym mężczyzną. Uwielbiałam go. Nasze małżeństwo było doskonałe. Omal nie umarłam z rozpaczy, kiedy zginął.

- I nie ma w twoim życiu miejsca na innego mężczyznę?

- Tego nie powiedziałam. Nie mogłabym tego powiedzieć, w każdym razie nie tobie. Bruce nie żyje. Oplakałam go, odbyłam po nim żałobę. A to, czy znów pokocham ... cóż, zależy tylko od ciebie. Patrzył na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Jeśli chcesz zająć jego miejsce w moim sercu, jesteś z góry skazany na niepowodzenie. Wiele rzeczy mi się w tobie podoba, Adrianie. Wiem, że mogłabym cię pokochać takiego, jaki jesteś, gdybyś dał mi szansę. Ale nie myśl, że możesz zastąpić Bruce'a. Nawet nie próbuj. Będziesz musiał znaleźć własne miejsce w moim sercu. Nie jesteś Bruce'em. Mogę cię pokochać z setki innych powodów, nie mających nic wspólnego z Bruce'em Ramsayem czy moim życiem w Szkocji.

Odwróciła się do toaletki i wzięła z blatu satynową wstążkę.

Domyślił się, że zamierza związać włosy. Był tak pochłonięty obserwowaniem jej miękkich kształtów, rysujących się pod lkaninąkoszuli, iż nawet nie zauważył, że ma rozpuszczone włosy.

Były piękne. A kolor... widocznie musiał się z nim oswoić, bo już go nie raził tak jak na początku. Tak, miała piękne włosy, tę koronę kobiecej urody. Powinny być rozpuszczone. Albo owinięte wokół męskiej dłoni... jego dłoni. Światło lampy odbijało się w nich, wzbudzając ogniste błyski. Przy rozpuszczonych włosach jej wyraziste rysy wydawały się jakby łagodniejsze. Znów mąciło mu się w gowie. Tego wieczoru wydawała mu się piękna. Miał ochotę podejść bliżej, wziąć ją w ramiona, zajrzeć jej w oczy, zobaczyć ich kolor.

Wsunęła wstążkę pod włosy.

- Zostaw - poprosił. - Tak jest dobrze.

Wzruszyła ramionami i odłożyła wstążkę z powrotem na toaletkę.

- Pytałeś mnie o Bruce'a. Nie jestem pewna, czy potrafię ci to wyjaśnić. Ten rozdział mojego życia został już zamknięty, ale nie zniknął. Nie możesz walczyć z duchem Bruce'a, tak jak ja nie mogę walczyć z duchem Katherine. - Spojrzała mu w oczy. - Różnica między nami jest taka, że ja nawet nie próbuję. Szybko przeszedł przez pokój i stanął przed nią z wyrazem lwarzy, jakiego jeszcze u niego nie widziała. Objął ją, przyciskając jej głowę do swej piersi, i gładził po włosach.

- Mogę sprawić, że o nim zapomnisz - szepnął. - Mogę i sprawię. - Przyłożył dłonie do jej skroni. - Nawet gdybym musiał zniszczyć jego wspomnienie w twojej pamięci.

- Możesz próbować - powiedziała z tym swoim spokojem, który tak go irytował.

Trzymając ją w ciasnych objęciach, napał wargami na jej usta, gwałtownie, natarczywie.

- Jeśli masz zamiar się ze mną kochać - szepnęła - przynajmniej zrób to z uczciwych powodów. Zrób to dlatego, że jesteś mężczyzną, który pożąda mnie jako kobiety.

Odsunął się, ściskając ją mocno za ramiona.

- O co ci chodzi?

- Żebyś nie kochał się ze mną z niewłaściwych powodów, Adrianie. Nie rób tego, żeby mi coś udowodnić, żeby mi pokazać, że jesteś tak samo dobry w łóżku jak mój pierwszy mąż, że możesz mi dać tyle samo przyjemności. Przyjemność mogę sobie sprawić sama, ale to nie to samo.

Zesztywniał i odepchnął ją.

- Czemu jesteś zły? - spytała. - Z powodu tego, co powiedziałam, czy dlatego, że mówiłam prawdę? Po to tu przyszedłeś? Czy po to, by udowodnić sobie, że możesz czuć coś do innej kobiety, chociaż kochałeś Katherine?

- Mówiłem ci już, żebyś jej do tego nie mieszała.

- Dlaczego? Ty nie masz skrupułów grzebiąc w mojej przeszłości. Czyżby twoja była bardziej święta, ponieważ nigdy nie doszło między wami do fizycznego zbliżenia?

Twarz mu pociemniała, na czole pokazały się żyły.

- Maggie, ostrzegam cię.

Ale tego wieczoru Maggie nie dała się powstrzymać. Czas uciekał, a i tak miała go niewiele.

- Ostrzegaj sobie, ile chcesz. To nic nie pomoże. Nie boję się ciebie, Adrianie, choćbyś nie wiem jak się starał mnie przestraszyć.

- Mów tak dalej, to może zmienisz zdanie.

- A czego ty się boisz? - spytała.

- Nie boję się niczego - zapewnił, podchodząc bliżej. - Chcesz, żebym ci pokazał?

- Którego ducha próbujesz udusić, Adrianie? - spytała spokojnie. - Mojego czy twojego?

Serce mu zamarło. Znieruchomiał, zbity z tropu jej słowami. Żyży Naggie miała rację? Czy właśnie o to mu chodziło? Był na siebie zły, że na nią naciskał, próbował ją wyprowadzić z równowagi, bo wiedział, że nawet gdyby straciła panowanie nad sobą, winny byłby on. Co w niej było takiego, że postępował wbrew sobie?

Z westchnieniem przeczesał palcami włosy, niepewny, jak się zachować.

- A nil przyszło ci do głowy - odezwał się w końcu - że może pragnę cię dlatego, że od bardzo dawna nie miałem żadnej kobiety? Może nie ma innych powodów poza tym, że potrzebuję kobiety, a ty jesteś pod ręką. Jesteś moją żoną. - Natychmiast pożałował swych słów, bo nawet w jego uszach zabrzmiała okropnie, yle w nich było dziecinne okrucieństwo.

- To przynajmniej będą uczciwe powody - odparła, sięgając do paska bszuli.

Adrian latrzył z sercem w gardle, jak rozwiązuje satynowy pasek, a potem zsuwa koszulę, najpierw odsłaniając jedno ramię, potem drugie.

Kiedy o ramiona były już odkryte, opuściła ręce i miękki materiał s'łynął jak woda po doskonałych konturach jej ciała i opadł napodłogę, ścieląc się wokół jej stóp. Stała przed nim, dumna i pcoma zarazem, i tak piękna w swej nagości, że patrzeć na nią niemal sprawiało mu ból. Uświadomił sobie, że godząc się na upokorzenie, upokorzyła jego. Mimo to nie mógł oderwać od niej oczu, kiedy tak stała, smukła i biała jak narcyz, z rudoczerwymi kędziorami opadającymi na alabastrowe piersi.

Podeszła do łóżka i położyła się.

Adrian nie ruszył się z miejsca. Nie był w stanie. Zaschło mu w gardle, mięśnie skamieniały. Serce waliło, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Krew dziko uderzała do głowy.

Jeszcze nigdy nie widział czegoś równie pięknego. Jeszcze nigdy tak bardzo nie pragnął kobiety.

Leżała nieruchomo i spokojnie jak marmurowy posąg, blada, gładka i zinna. Nie było w niej cienia zalotności, flirtu ani choćby jednego spojrzenia na jego ciało, napięte w gotowości do fizycznego zbliżenia.

Nic z tych rzeczy. Była bezosobowa jak gład. Żądza go opuściła; poczuł, jak jego męskość wiotczeje.

Nienawidził jej.

- Na co czekasz? - spytała. - Przecież tego chciałeś, prawda! Ostatecznie jestem twoją żoną. Skoro potrzebujesz kobiety, dlaczego mnie nie weźmiesz? Jestem, jak to określiłeś, pod ręką. Przecież my, kobiety, wszystkie jesteśmy takie same. No, dalej. To, co chcesz zrobić, jest prawnie i moralnie dozwolone, akceptowane przez prawa ludzkie i kościelne. Czego jeszcze możesz wymagać?

- Nie chcę tego! Gdyby mi o to chodziło, mógłbym się; zadowolić jakimś cholernym manekinem.

- Może powinieneś zdecydować, czego właściwie chcesz, zanim tu znowu przyjdiesz - powiedziała, naciągając na siebie kołdrę.

- Niech cię diabli - syknął, rozpinając spodnie. - Niech cię wszyscy diabli!

Podszedł do łóżka, zerwał z niej nakrycie i wziął ją w ramiona.

Pocałował ją, lecz nie wyczuł żadnego odzewu, więc zaczął całować jeszcze mocniej. Chciał ją doprowadzić do szaleństwa, takiego samego, jakie ona w nim wzbudzała. Chciał, żeby poczuła ten sam palący żar, jaki on czuł w środku. Nie przerywając pocałunku, położył się na niej, wgniatając ją swym ciężarem w pościel.

Ani na moment nie odrywając od niej ust, ściągnął spodnie uwalniając twardą, gorącą męskość. Z gardłowym jękiem wsunął się w nią, w jej aksamitne, wilgotne ciepło.

Myśli uleciały, pozostała pierwotna, wszechogarniająca żądza.

Szybko osiągnął spełnienie, wydając z siebie urywane westchnienie rozkoszy, ledwie słyszalne poprzez chrapliwy, ciężki oddech. Serce mu waliło, krew szumiała w skroniach.

Powoli wróciła świadomość. W tym momencie nienawidził siebie jeszcze bardziej niż Maggie. Czuł ją pod sobą, drobną, ciepłą i bezbronną. Rzuciła mu wyzwanie i wygrała. Czuł się podle i było mu wstyd.

Poddając się, zaspokajając swoje pragnienie, pozwolił się pokonać. Gardził sobą, ale nie mógł się od niej oderwać. Leżał, wyczekując, rozpaczliwie pragnąc, żeby się do niego odezwała, wybawiła jego duszę od tego strasznego upokorzenia, a jego umysł od szaleństwa. Ale ona leżała pod nim cicha i nieruchoma jak posąg. Nie słyszał nawet, by oddychała. Nawet prostytutki nie były aż tak obojętne. Zaklął richo, odrywając się od niej.

- Nie - szepnęła, wyciągając ręce, żeby go zatrzymać. - Nie odchodź. - Dotykała ustami jego wilgotnej od potu piersi. - Chodź do mnie znowu, Adrianie. - Zaczęła go całować po szyi. - Ale tym razem kochaj się ze

mną, a Bruce'a i Katherine pozostaw w przeszłości, tam gdzie ich miejsce.

12

Maggie nie spała zbyt dobrze. Za ledwie parę razy zapadła w krótką, niespokojną drzemkę, nigdy tak do końca nie tracąc świadomości. W głowie kłębiły jej się cudowne wspomnienia i myśli. Adrian kochał się z nią.

Szybko się zorientowała, że nie jest doświadczonym kochankiem. Nie chodziło o brak sprawności, bo tu nie można mu było nic zarzucić. Nie, po prostu był zbyt spragniony i gorliwy. Kochał się z nią, drżąc z przejęcia i niecierpliwości, co było tyleż wzruszające, co podniecające. Choć był mężczyzną po trzydziestce, okazywał wręcz młodzieńcze zaangażowanie.

Kiedy w nią wszedł i wypełnił ją sobą, miała wrażenie, że przeszła przez most, który prowadził od jej pierwszego małżeństwa i dawnego życia do nowego. Uświadomiła sobie z nagłą jasnością, że Adrian jest dla niej o wiele bardziej rzeczywisty niż jakiegokolwiek wspomnienie związane z Bruce'em. Nie bez zdumienia odkryła, że nie myśli już o nim jako o swoim mężu.

Teraz Adrian był jej mężem. Jej rzeczywistością. Wypełniał jej życie i świadomość tak dokładnie, że nie miała czasu i ochoty na nic innego. Ich cielesne zbliżenie ostatniej nocy dowiodło tego niezbitcie, a na samą myśl o nim robiło jej się ciepło w środku.

Maggie wyjrzała przez okno. Na zewnątrz było jeszcze ciemno, więc odwróciła się na drugi bok i zamknęła oczy. Nie pomogło.

Czuła się całkiem obudzona. Tuż przed świtem postanowiła wstać. Skoro myśli o ostatniej nocy i tak nie dawały jej spać, Równie dobrze mogła się ubrać i rozpocząć dzień.

Ubrała się więc i zeszła na śniadanie. Czuła się szczęśliwa i spokojna, więc z radością kręciła się po domu. Zawsze po nocy spędzonej na miłosnych uniesieniach budziła się w doskonałym nastroju. Zaczęło się to po ślubie z Bruce'em, a wszystko wskazywało, że podobnie miłe samopoczucie będzie jej towarzyszyć w pożyciu z Adrianem. Uśmiechnęła się, przypomniałszy sobie, jak Bruce zawsze się obawiał tych jej przypiływów 'nergii, kiedy z radosnym ożywieniem rzucała się w domowe sprawy.

- Nie mam. nic przeciwko temu, że czujesz się szczęśliwa, Maggie, ale czy musisz to wyrażać akurat w taki sposób? - zrywał się któregoś popołudnia, kiedy to odprawiła kamerdynera i postanowiła sama czyścić garderobę męża. - Proszę cię, kochanie, nie krochmal moich kalesonów. Rozegrałem dziś chyba najgorszą partię golfa w swoim dorosłym życiu. Nie mogłem się schylić, a jak się spocilem, to kalesony przykleiły mi się do pośladków. - Wychodząc z pokoju odwrócił się i już od progu dodał: - I jeszcze jedno. Nie farbuj moich chustek do nosa na kanarkowo ... ani na żaden inny kolor. A najlepiej trzymaj się z daleka od moich ubrań.

Maggie wyciągnęła odpowiednią naukę z tamtej lekcji. Nie miała zamiaru tykać ubrań Adriana ... natomiast jego biurko ... to w gabinecie ... tak, tam z pewnością przyda się jej pomocna ręka.

Papiery walały się dosłownie wszędzie, wystawały z książek, zalegały między stojakiem na fajki a lampą, zaścierały całą powierzchnię blatu. Jedne były poskładane, inne ułożone w stosy, pospinane drucianymi spinaczami, a niektóre nawet powiązane sznurkiem.

Usadowiwszy się za biurkiem, Maggie zaczęła sortować papiery. Doprowadzenie ich do stanu względnego uporządkowania kosztowało ją wiele czasu i wysiłku. Nie mogła się nadziwić, jak Adrian mógł cokolwiek znaleźć w tym bałaganie.

Po trzech godzinach zakończyła pracę, polerując mahoniowy blat, tak że lśnił niczym żołnierskie buty.

- Oho, będą kłopoty - stwierdziła MoHy, wchodząc do gabinetu. - Co my tu mamy?

Maggie odgarnęła z czoła niesforny kosmyk i ostatni raz przejechała ścierką po biurku. Następnie stanęła obok MoHy, z zadowoleniem oceniając swoje dzieło.

- Uporządkowałam ten nieład - oświadczyła z satysfakcją. Adrian będzie zaskoczony, prawda?

- O tak, bez wątpienia. Powinnaś być panią ostrzec ... i ostrze głabym, gdybym wiedziała, co pani zamierza - powiedziała MoHy, kręcąc głową. - Pewnie nie byłaby pani w stanie ułożyć tego z powrotem tak jak było, co?

- Z powrotem tak jak było? - zdumiała się Maggie. - O co ci chodzi? Poświęciłam trzy godziny, żeby się z tym uporać. Czemu, na litość boską, miałabym od nowa robić bałagan?

- Bo Adrian zabije nas obie, jeśli pani tego nie zrobi.

- To jakiś absurd. Powinien być zadowolony, że wszystko zostało uporządkowane.

- Może i powinien - przyznała MoHy bez przekonania. - Ale ma pani moje słowo, że nie będzie. Dostałam ścisły zakaz dotykania czegokolwiek na jego biurku, nawet odkurzania.

- Nie masz się czego obawiać - stwierdziła Maggie.

- Jak to?
- Ty niczego nie dotykałaś. Ja to zrobiłam.
- To jedynie oznacza, że panią zabije pierwszą - powiedziała Molly.

Adrian nie przyszedł na kolację, więc Maggie zjadła sama.

Po kolacji spędziła trochę czasu w bibliotece robiąc na drutach, co szybko ją znużyło. Poszła więc do swego pokoju i przebrała się do snu. Siedząc przy toalecie i przeglądając zawartość pudełka ze wstążkami, znalazła pióro kruka, które podarował jej Fletcher. Wzięła je do ręki i delikatnie pogładziła śliską, błyszczącą powierzchnię. Jakże dokładnie pamiętała dzień, kiedy wręczył jej ten prezent, wraz z dwoma jajami siewki. Jaj siewki już nie było, nie pamiętała, co się z nimi stało, ale pióro ...

Przycisnęła je do piersi, czując pod powiekami ciepło wzbierających łez. Starła się nie płakać; zamknęła oczy, ale postacie ukochanych dzieci stały przed nią jak żywe: Barrie siedząca w pokoju dzieciennym nad tabliczką z alfabetem, z rozświetloną słońcem burzą rudych włosów. Ainsley huśtająca się na bujanym koniku, coraz szybciej. No i oczywiście Fletcher, spokojny i poważny jak ciemny kolor jego włosów, Szkot do szpiku kości, taki podobny do swego ojca. Zastanawiała się, czy dalej próbuje wywabić siostry na zewnątrz, żeby się bawić w zbójców albo ciucibabkę, i czy na pokładzie statku, którym płyną, jest dość miejsca na takie zabawy.

Przypomniała sobie popołudnia spędzane z córkami, kiedy siedziały na miniaturowych krzeselkach, popijając herbatę z małych chińskich filiżanek, i miłe chwile wieczornych kąpieli, kiedy Fletcher zapominał umyć uszy, a dziewczynki przyprawiały sobie nawzajem brody z mydlanej piany. Przypomniała jej się, jak Barrie i Ainsley, siedząc na kuchennym ganku puszczały bańki mydlane z ulubionej glinianej fajki Bruce'a, a Fletcher próbował łowić ryby w akwarium za pomocą haczyka zawieszzonego na sznurku. Ainsley rozplakała się wtedy, bo powiedział, że ma zamiar zjeść wszystkie jej rybki na kolację. Bywały szczęśliwe dni opromienione słońcem i te gorsze, gdy nic nie szło tak jak należy, dni dochodzenia do siebie po chorobie, nad talerzami parującej zupy z porów. Bywały zimowe popołudnia wymarzone do jeżdżenia na sankach i ciepłe letnie poranki, jakby stworzone na przejażdżki powozikiem zaprzężonym w kuca. Nie obeszło się także bez ponurych dni, kiedy mgła przechodziła w deszcz i dzieci musiały siedzieć w domu, zabijając czas wycinaniem gwiazdek z papieru i lepieniem owsianych ciasteczek w kuchni z Maude. W słoneczne wiosenne popołudnia spacerowało się po łąkach, zbierając kwiatki, albo leżało w chłodnym cieniu jarzębiny, plotąc wianki ze stokrotek lub doszukując się w chmurach kształtów zwierząt. Rozprostowała zaciśniętą dłoń i wygładziła czarne pióro, po czym odłożyła je z powrotem do pudełka ze wstążkami. Wyjęła guzik, który miała przyszyć do sukienki Barrie, a potem blado-niebieską wstążkę z kilkoma rudoczerwotnymi włosami Ainsley zaplątanymi w węzeł. Nie rozplątała wstążki, odłożyła ją na miejsce ze świadomością, że jeszcze nieraz po nią sięgnie. Te wspomnienia były niczym kamienie, zbyt ciężkie, żeby je usunąć, i na zawsze miały pozostać w jej duszy.

Zamknęła pudełko i sięgnęła po szczotkę. Rozczesując włosy, myślała o swoich dzieciach i o tym, jak powiedzieć o nich Adrianowi.

To, co zaszło ostatniej nocy, bez wątpienia jeszcze bardziej komplikowało sytuację.

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Jej twarz wyglądała jak bładny owal w ramie rudych włosów.

Uszczypnęła się w policzki, co wywołało lekki rumieniec.

Słyszając pukanie do drzwi, już miała się odezwać, gdy usłyszała swoje imię.

- Maggie?

To był głos Adriana.

- Tak, wejdź! - zawołała, odwracając się w stronę drzwi. - Jest otwarte.

Wszedł do środka, starannie zamykając drzwi za sobą. Uśmiechnęła się do niego zalotnie.

Odpowiedział szybkim skinieniem.

Kłopoty, domyśliła się. Do tego stopnia rozmarzyło ją cudowne wspomnienie ich zbliżenia, że nie zastanawiała się nad innymi sprawami.

A jeśli Molly miała rację? Jeżeli nie chciał, żeby ktoś ruszał rzeczy na jego biurku? Jeśli był zły, że to zrobiła?

Jedno spojrzenie na niego wystarczyło, by nabrała pewności, że jest bardzo zły.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem jak dwa wilki - ostrożne, nieufne. Oboje kalkulowali, jak zaatakować, jak znaleźć słaby punkt obrony u przeciwnika, zwyciężyć go, samemu nie odnosząc ran. Zabić albo zostać zabitym - rytuał, taniec stary jak świat.

Dlaczego mężczyźni i kobiety muszą się doprowadzać do szaleństwa, zanim w końcu dojdą do

porozumienia, zastanawiała się Maggie.

Oto miała przed sobą człowieka rozdzieranego przez dwie potężne siły, jego oczekiwania i pragnienia. Najwyraźniej to, co I. robiła w jego gabinecie, nie bardzo mu się podobało.

- Domyślałam się, że przyszedłeś w sprawie papierów na biurku - powiedziała, całkowicie go zaskakując.

- O czym ty mówisz? Jakich papierów?

- Papierów na twoim biurku - powtórzyła. - Rachunków i innych kartek. Tych, które dziś uporządkowałam.

- Co zrobiłaś?! - wykrzyknął.

- Uporządkowałam twoje papiery i wyczyściłam biurko.

- Powiedz, że tego nie zrobiłaś. Powiedz, że to jakiś żart.

- Nie mogę - wyszeptala, zrozumiawszy teraz, że Molly miała rację. Zabije ją pierwszą.

- Co jeszcze robiłaś w moim gabinecie?

- Nic. Nie widziałeś?

- Nie widziałem, a teraz boję się zobaczyć. Pozwól, że coś ci powiem, Maggie. Nigdy nie ruszaj niczego na moim biurku. A jeszcze lepiej trzymaj się z daleka od mojego gabinetu.

- Skoro nie widziałeś, co zrobiłam, to po co tu przyszedłeś? - zdziwiła się.

- Przyszedłem ci powiedzieć, że ostatnia noc ... Była cudowna ... ten drugi raz, pomyślała. Urwał, odwracając głowę.

- Chcę, żebyś wiedziała - podjął po chwili - że to, co się stało ostatniej nocy ... przykro mi, że wziąłem cię siłą. To się więcej nie powtórzy.

Maggie podniosła się z miejsca; szczotka w jej ręce zaczęła drżeć. Adrian przyglądał jej się z dziwnym wyrazem twarzy.

- Dlaczego? - spytała, z trudem zachowując spokój.

Wzruszył ramionami.

- Co za różnica? Co się stało, to się nie odstanie. To był błąd, którego się nie da naprawić. Nie warto nawet próbować.

- Mnie nie jest przykro - powiedziała stanowczo. - W prze ciwieństwie do ciebie, nie żałuję, że to się stało. I nie wziąłem cię siłą. - Zaczęła się śmiać.

- Co ci się wydaje takie śmieszne?

- My - odparła krótko. - Można się uśmieć.

- Tylko jeśli jest się szalonym. Ty jesteś?

Roześmiała się jeszcze głośniejsze.

- Owszem. Chyba muszę być całkiem szalona, skoro bawią nas zupełnie różne rzeczy.

Po jego minie wdziała, że nie rozumiał.

- Ostatnia noc ... - powiedziała z zadumą. - Nie mogę przestać o niej myśleć i ty najwyraźniej także. Ale nie z tego samego powodu. Przychodzisz do mojego pokoju, żeby po długich przemyśleniach oznajmić, że to się więcej nie powtórzy. Ściszyła głos niemal do szeptu. - A ja siedzę tu i liczę godziny, czekając, kiedy znów się zdarzy.

Miała ochotę znów wybuchnąć śmiechem, patrząc na wyraz jego twarzy. Jednak tylko potrząsnęła głową.

- Jak bardzo prawda różni się od wyobrażeń - powiedziała, rzucając mu wymowne spojrzenie. Dostrzegła zaczerwienione oczy, cień zarostu na brodzie i zmęczenie. - Widzę, że niewiele spałeś? - Wcale - przyznał.

- Tak, ja też nie mogłam spać. Przeleżałam prawie całą noc, rozmyślając. - Miała wrażenie, że nieco się rozluźnił i zaczął jej słuchać z pewnym zainteresowaniem, jakby był ciekaw, dokąd zmierza. - Dużo myślałam o naszym następnym spotkaniu, a teraz widzę, jak różnymi drogami biegły nasze myśli. Ty myślałeś, jak się zatrzymać. Ja myślałam, jak pójść dalej.

- Mówisz bez sensu.

- Tak, to taki mój szczególny zwyczaj. - Uśmiechnęła się smutno. - Nie wyobrażasz sobie, o czym myślałam całą noc, co wypełniało mój umysł i nie dawało mi spać.

- Co na przykład?

- Myślałam o tym, jak byś wyglądał bez ubrania.

- Nie ma tu miejsca na myślenie - zachnął się.

- Na rozsądek także, jak widać.

- Rozsądek nie ma z tym nic wspólnego - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Ależ ma. Posługując się rozsądkiem, wyciągamy wnioski.

- Nie jestem idiotą.

Uśmiechnęła się lekko.

- Jakoś nie widzę na to dowodu - rzuciła, ale zaraz westchnęła, widząc, że nie kupił żartu. - Powiedz mi zatem, że nie doszedłeś do tego samego wniosku co ja. Powiedz mi, że po ostatniej nocy uważasz, że między nami nic nie ma. Powiedz, że kiedy mnie dotykasz, nic nie czujesz.

Patrzyła na niego wyczekująco, błagalnie. Pozostał nie wzruszony.

Ostatniej nocy kochał się z nią. Dwukrotnie. O pierwszym razie wolałaby zapomnieć, oczywiście, ale ten drugi raz ... Mężczyzna, który kochał się z kobietą w taki sposób, nie mógł myśleć o tym, że nigdy więcej tego nie zrobi. A jednak mówił jej, że to się więcej nie powtórzy, że jest mu przykro. Czego się bał?

Westchnęła, odwracając się od niego. Nagle zawstydzila się tego, co miała mu powiedzieć.

- Kochałeś się ze mną ostatniej nocy, Adrianie, aja ... - Musiała mu to rzucić prosto w twarz. - Chcę powiedzieć, że mnie się to podobało. - Zaciśnęła pięści w geście bezradności. - Nie, nie podobało. -

Dotknęła ręką czoła. - To było coś więcej, ale nie mogę znaleźć odpowiednich słów. - Podeszła do niego z wyciągniętą dłonią, jakby go chciała dotknąć, jednak w ostatniej chwili opuściła rękę. - Kiedy mnie dotykasz, Adrianie, mam wrażenie, że płonę.

Stał oparty plecami o drzwi i patrzył na nią zmieszany.

- Nie było siły, Adrianie. Niezależnie od tego, co sobie roisz.

Wzruszył ramionami.

- Była, ale to już nie ma znaczenia. - Chciała coś odpowiedzieć, ale jej przerwał: - Zostawmy to, Maggie.

- Dlaczego? Nie rozumiem. Dlaczego jesteś taki? Czy dlatego, że cię rozczarowałam, bo nie jestem taka, jak sobie wyobrażałeś, nie jestem tą kobietą, którą opisałeś swemu bratu?

- Prosiłem, żebyś dała temu spokój.

- Dlaczego? Żebyśmy oboje mogli się kryć za wymówkami?

Ja potrafię być jedynie szczerą, Adrianie. Mogę być tylko sobą. Nie mogę by kimś, kim nie jestem ...

nawet po to, żebyś się czuł szczęśliwy i bezpieczny. Próbujesz zrzucić na mnie winę, ale to się na nic nie zda. Nie wzbudzisz we mnie poczucia winy.

Postał jeszcze chwilę, patrząc na nią, a potem bez słowa odpowiedzi skinął głową i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Przez długi czas Maggie stała nieruchomo, zapatrzona w drzwi, z boleśnie ściśniętym sercem. Przecież nie wziął jej siłą. Jak to możliwe, że tego nie rozumiał? Jak miała go przekonać? Co mogła zrobić, żeby nie był dla siebie taki okrutny? Jeszcze nigdy nie czuła się taka bezradna. Co dziwne, najbardziej martwiło ją nie to, że przegrała, tylko że była taka bliska zwycięstwa.

Mruganiem próbowała powstrzymać cisnące się do oczu łzy.

Zależało jej na Adrianie. Bardziej, niż mogłaby się spodziewać po tak krótkim czasie. Ona także z pewnością nie była mu obojętna. Każde kolejne spotkanie upewniało ją o tym. Problem polegał na tym, że Adrian był zbyt uparty, by się do tego przyznać, a ponadto w sprawach sercowych brakowało mu zdrowego rozsądku.

Adrian posiadał wiele miłych cech, lecz jego zmienne nastroje były trudne do zniesienia. Zastanawiała się, co mogłaby zrobić, żeby utrzymać świeżo narodzoną między nimi więź, a tu się nagle okazywało, że już straciła swoją szansę. Nic więcej nie miała do stracenia.

Przypomniała sobie coś, co - powiedział jej ojciec po śmierci Bruce'a.

- Kiedy człowiek upadnie na ziemię, to wiele dalej już upaść nie może.

Mimowolnie się uśmiechnęła. Jej dzieci miały przybyć za kilka tygodni. Wiele mogło się zdarzyć w ciągu dwóch miesięcy.

- Tak - szepnęła do siebie - jeszcze nie wszystko stracone.

Maggie nie mogła wyjść ze zdumienia, jak dziwnie czasem sprawy się układają - od czasu otwartej rozmowy z Adrianem ich dotąd dość burzliwe wzajemne stosunki zniecka się unormowały.

Z czasem Maggie rozumiała, jak ciężko Adrian pracuje.

Widywała go przy biurku pochylonego nad stertą papierów albo znaczącego punkty na mapie przybitej do ściany. Zdarzało się też, że w ogóle go nie widywała przez dłuższy czas, dowiadując się dopiero później, że pracował w lesie ze swoimi ludźmi lub wyznaczał nowe miejsca wyrębu.

Ich życie domowe zaczęło biec stałym torem. Po kolacji zwykle udawali się do biblioteki, gdzie Adrian pracował, a Maggie robiła na drutach, albo przechodzili do pokoju muzycznego i grała na fortepianie.

Maggie zdecydowanie wolała bibliotekę. Czuła się tam swobodnie, wolna od bolesnych wspomnień, które nawiedzały ją w pokoju muzycznym. Kiedy tak siedzieli razem, a w pomieszczeniu unosił się zapach jego fajki, czuła się mężatką. Wykorzystywała ten czas na obserwowanie Adriana i zastanawianie się, co też może o niej myśleć.

Często słysząc skrzypienie jego fotela, unosiła wzrok znad robótki i przyłapywała jego spojrzenie. Parę razy w takiej sytuacji zagadnęła go o tartak. Tak też było i tego wieczoru. Słyszając westchnienie zmęczonego Adriana i stuk ołówka o blat, spojrzała na męża, który przeciągnął się, a potem wstał i podszedł do stolika z trunkami, żeby nalać sobie brandy.

- Co cię gnębi? - spytała.

Dopiero napełniwszy kieliszek, odwrócił się do niej z pytaniem:

- Czemu sądzisz, że coś mnie gnębi?

- Jesteś niespokojny - odparła z uśmiechem. - Wciąż przeczesujesz włosy palcami. Stukasz ołówkiem.

Bębniysz palcami o biurko. Przeżuleś trzy porcje tytoniu. To wszystko wskazuje, że coś ci chodzi po głowie. Odpowiedział niepewnym uśmiechem.

- Nie wiem, czy mi się podoba, że ktoś czyta w moich myślach - stwierdził.

- Wiesz, że nie czytam w twoich myślach. Ale widzę, co robisz. Więc jak, powiesz mi czy raczej nie?

- Raczej nie - odparł, już ze śmiechem. - Maggie, to nic ważnego, nie ma się czym przejmować.

- Skoro tyle nad tym myślisz, musi być ważne.

- Nie wpatruj się we mnie jak sowa. Maggie, jeśli ci powiem, jutro o świcie zjawisz się w tartaku, żeby przybić skrzydła nietoperza do drzwi baraku albo pokropić pajęczynę w kątach. Jużja cię znam - powiedział, przedrzeźniając jej szkocki akcent, czym szczerze ją rozbawił. - Znam te twoje szkockie gusła i idiotyczne zabobony. - Uniósł w górę obie ręce. - Na litość boską, że też właśnie mnie musi się to przydarzać.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi, ale nie możesz mnie za wszystko winić. Nic na to nie poradzę, że jestem Szkotką, ale jeśli obiecuję, że zachowam dla siebie swoje idiotyczne zabobony, to mi powiesz?

Opuścił ręce w geście rezygnacji.

- No dobrze, niech ci będzie. Czasami zapominam, że dyskutować ze Szkotką to tak, jakby przekonywać do swoich racji niedźwiedzia grizzly. Po pierwszym spotkaniu można się wykrwawić. - Zawiesił głos, przybierając całkiem poważną minę. - Mamy problem z wszami - powiedział. - Po prostu. W baraku jest istna plaga. Znacznie gorsza niż kiedykolwiek wcześniej. Jest aż tak źle, że ludzie nie mogą spać.

Próbowaliśmy zwykłych środków ... nawet posyłałem ludzi do twojej łaźni parowej, ale nic nie pomaga.

Parę godzin po powrocie do baraku są od nowa oblepieni robactwem. Prycze, ubrania...: cały barak aż się rusza od wszy. Są nawet na ścianach.

Maggie zmarszczyła czoło.

- A może by wpuścić do baraku rurę z gorącą parą?

Adrian zbył jej pytanie wzruszeniem ramion, lecz ona nie zamierzała tak łatwo ustąpić.

- Można uszczelnić okna i drzwi, a potem wypełnić barak parą, tak jak łaźnię. - Pokiwała głową. - Tak, to jest wyjście. Robotnicy wieszają tam swoje wyprane ubrania, więc wszystko może zostać na miejscu. Nie będą musieli niczego ruszać.

Adrian zamyślił się na chwilę. Nie wyglądał na przekonanego, ale to w końcu było dla niego typowe.

- Omówię to jutro z Wielkim Johnem - odezwał się wreszcie ku zadowoleniu Maggie.

Nazajutrz Molly, krzątająca się po kuchni jak kwoka, poinformowała Maggie, że robotnicy przygotowują barak do dezynfekcji. - Pojedźcie pani popatrzeć?

Pytanie Molly dało Maggie do myślenia. W każdym innym momencie swego życia uznałaby za szaleńca każdego, kto by ją zaprosił na tego rodzaju akcję.

- Owszem, chociaż nie przychodzi mi do głowy ani jeden powód, dla którego powinnam tam jechać - odpowiedziała, ze zdumieniem kiwając głową.

- No to zbierajmy się. Powody może pani wymyślić po drodze. Kiedy Maggie i Molly dotarły do tartaku, do baraku już pompowano parę. Po odłączeniu rury drwale jakiś czas czekali, żeby w środku trochę się ochłodziło. Gdy wreszcie otwarli drzwi, ujrzeli ostatnie insekty niedobitki spełzające ze ścian. Clem Bumside pierwszy wydał triumfalny okrzyk, a reszta natychmiast mu zawtórowała.

Radosna wrzawa ucichła, kiedy wielki jasnowłosy drwał o nazwisku Jock Halverson wymamrotał coś na temat końca niedzielnych wyścigów wszy.

Utyskiwania nad utratą zawodników, startujących dotąd w niedzielnych wyścigach, ustały, kiedy Eli Carr zajrzał do baraku i zobaczył, że skromne umeblowanie zostało zupełnie zdefor-mowane przez parę i nie nadaje się do dalszego użytku.

- Możemy zrobić nowe meble - powiedział Dudley Dunlap. - Shorty, ty i Clyde wejdźcie do środka i

sprawdźcie, czy uchowały się jakieś żywe wszy.

- A jeśli tak, to co, mam je rozgnieść? - upewnił się Clyde.

- Rozgnieść albo rozdeptać - potwierdził Dudley.

Shorty z Clyde'em weszli do baraku. Gdy po chwili wyszli, Shorty trzymał przed sobą czerwoną wełnianą koszulę, a Clyde parę spodni. Obie części garderoby zbiegły się do dzieciennych rozmiarów.

Molly i Maggie uciekły do wozu i dopiero tam wybuchnęły śmiechem.

- Adrian już nigdy mi nie zaufa - stwierdziła w końcu Maggie.

- Może i zaufa - powiedziała Molly - ale może już nie chce słuchać pani rad. - Molly smagnęła lejcami po końskich zadach i wóz ruszył na wzgórze. - Czy Adrian mówił pani coś na temat tego porządku, jaki mu pani zrobiła w gabinecie?

- Nie, właściwie nic nie mówił - bąknęła Maggie. Molly z niedowierzaniem pokręciła głową.

- To dopiero niespodzianka. Zupełnie nie rozumiem. Ad. rianowi to się nie zdarza. Jest taki skrupulatny we wszystkim. co robi.

- O tak - przyznała Maggie. - Gotów spalić dom, żeby zabić szczura.

Kilka godzin po kolacji Maggie odłożyła robótkę, ziewnęła i przeciągnęła się leniwie. Pochwyciwszy czujne spojrzenie Adriana, zastygła z rozpostartymi ramionami. Wszędzie, w każdym miejscu, gdzie spoczął jego wzrok, czuła palący żar. Wzajemne porozumienie, swoboda obcowania ze sobą, to że był przystojny, nawet wspomnienie fizycznego zbliżenia, wszystko to odeszło w cień. Nic na nią nie działało poza jego spojrzeniem, poza wyrazem jego oczu, z których wzyerało pragnienie. W tym spojrzeniu był taki ból i smutek, że zupełnie się przeraziła. Uświadomiła sobie, że on na wszystko patrzy z cynizmem i nieufnością. Nawet w tym momencie zapewne doszukiwał się niecznych podtekstów w czymś tak naturalnym i niewinnym jak ziewnięcie.

Każda inna kobieta mogłaby go uznać za zepsutego i dziecięcego, a przynajmniej nieczułego i zatruwającego życie wszystkim, którzy żyją obok. Ale nie Maggie. Maggie starała się zobaczyć i zrozumieć, co kryje się w nim głębiej.

Patrząc na Adriana, nie widziała zepsutego dziecka ani nieczułego mężczyzny, tylko wycofanego w głąb siebie człowieka, podejrzliwego i nadmiernie ostrożnego. A jego trochę dziecięce zachowanie wydawało jej się niesłychanie wzruszające.

- Jesteś zmęczony? - spytała.

- Nie, a ty?

- Nie - odpowiedziała, patrząc w ogień. Rozmowa się urwała, znów zapadła cisza. Kiedy podniosła wzrok, Adrian, wciąż patrząc na nią tym wygłodniałym spojrzeniem.

Ostatnim razem, kiedy tak na nią patrzył, skończyło się zbliżeniem. Czyżby znów chciał to zrobić?

Wyglądał, jakby chciał jej coś powiedzieć. Powiedz to, zachęcała go w duchu. Powiedz! Powiedz to, co od tygodni chcę usłyszeć. Możesz to powiedzieć szczerze, bez lęku, bo po twoich oczach poznaję, co do mnie czujesz, i nie odwrócę się od ciebie. Zależy ci na mnie, Adrianie. Musisz tylko wymówić te słowa ... musisz mi tylko powiedzieć, co czujesz. Nie każ nam obojgu dłużej cierpieć. Błagam cię, zakończ tę mękę.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, że wymówiła na głos jego imię, że patrzyła błagalnie, że wyciągnęła do niego rękę. Uświadomiła to sobie, kiedy twarz mu pociemniała i wyczytała z niej, jak trudno mu znieść poczucie własnej bezradności.

Maggie wstała, pocierając zziębnięte ramiona. Rozgarnęła pogrzebaczem węgle w kominku, aż płomienie buchnęły wysoko.

- Może moglibyśmy nadal udawać - powiedziała, odwracając się w jego stronę.

- Co? - spytał półprzyciemnie.

- Powiedziałam, że może moglibyśmy nadal udawać.

- Co udawać, Maggie? Mówisz zagadkami.

- Udawać, że się lubimy. Udawać, że jesteśmy małżeństwem.

Poczerwieniał na twarzy.

- Jesteśmy małżeństwem - mruknął, a potem dodał jeszcze ciszej: - I lubię cię ... czasami.

- Naprawdę? - Ona również się zarumieniła. Roześmiał się.

- Jeśli sądzisz, że ci odpowiem, kiedy mi wymachujesz przed nosem rozgrzanym pogrzebaczem, to znaczy, że mnie nie znasz.

Miał czelność się śmiać, podczas gdy ona mówiła całkiem poważnie.

- Och, znam cię wystarczająco dobrze, Adrianie Mackinnon ... na tyle dobrze, by wiedzieć, że masz

pustkę zamiast mózgu. Nic wiem, po co w ogóle próbuję z tobą dyskutować. Kiedy wreszcie do mnie dotrze, że jesteś po prostu gapą?

Cisnąwszy pogrzbacz do ognia, wyszła z pokoju, odprowadzana jego dudniącym śmiechem.

W dni wypłat zazwyczaj pełen ruchu obóz zmieniał się w istny ul. Drwale kręcili się tam i z powrotem od rana do wieczora, kolejno wstępując do biura. Niektórzy zjawiali się tylko po swoje pieniądze, inni wykorzystywali okazję, by wstąpić do chaty medycznej po opatrunek na skaleczenie czy środek na infekcję.

Mimo nakazu Adriana, by trzymała się z dala od obozu, Maggie i tak się tam pojawiała. Odziana w wykrochmalony biały fartuch, niczym siostra miłosierdzia, udzielała wskazówek, jak utrzymywać rany w czystości, i zszywała głębsze rozcięcia. Ilekroć zdarzała się przerwa w napływie pacjentów, Maggie podchodziła do okna i wsparta łokciami na parapecie obserwowała ruch na zewnątrz.

- Przepraszam, proszę pani.

Odwróciwszy się, Maggie ujrzała młodego chłopca, około piętnastoletniego. Miał włosy jasne jak len i oczy błękitne; wyglądał jak wiking. Prawa nogawka jego spodni była nasiąknięta krwią.

- Och, chłopcze, nie czas na uprzejmości - rzuciła. - Nie stój tak, bo się wykrwawisz na śmierć. - Zgarnęła naręczce bandaży i wyścieliła nimi stół. - Siadaj tu szybko - rozkazała, podtrzymując go za ramię.

Chłopiec skrzywił się z bólu, lecz Maggie była zbyt zajęta rozcinaniem nogawki, by zwrócić na to uwagę.

- Co się stało? Wygląda na to, że masz sześciocalową drzazgę wbity w udo.

- A głębiej jest co najmniej drugie sześć cali - powiedział chłopiec drżącym głosem. Położył się na plecach, cały roztrzęsiony.

- Już dobrze. - Maggie przytrzymała go za głowę. - Wypij to, a potem leż spokojnie, kiedy będę oglądać twoją nogę. - Podawała mu kilka łyków opium rozpuszczonego w wodzie, a potem ułożyła go płasko na stole.

Nim opium zaczęło działać, zgromadziła wszystko, co było jej potrzebne.

- Nie utnie mi pani nogi, prawda? - spytał, unosząc się na łokciach.

Maggie podeszła bliżej i potrząsnęła głową.

- Nie, chłopcze, nie zrobię tego. - Odgarnęła mu włosy z czoła. - Wiem, że nie mógłbyś wtedy uganiać się za dziewczętami, prawda? - Pchnęła go lekko, zmuszając, by znów się położył.

Pokiwał głową i uśmiechnął się słabo.

- Dziękuję pani.

- Jak się nazywasz? - spytała, obmywając ranę.

- Will Watkins.

- Dobrze, Willu Watkinsie. Powiedz mi, jak się teraz czujesz.

- Chce mi się spać.

- To się trochę prześpij, a ja opatrzę twoją nogę. - Ułożyła jego dłonie na brzegach stołu. - Jeśli będzie bolało, to ściskaj stół, dobrze?

- Tak, proszę pani.

Maggie przyjrzała się wielkiemu kawałkowi drewna, który tkwił głęboko wbity w mięsień nogi chłopca. Z rany cały czas sączyła się krew. Obłożywszy miejsce zabiegu ligniną, która miała wchłonać nagły strumień krwi po wyjęciu drzazgi, ujęła wystający kawałek drewna obiema rękami i zaczęła ciągnąć.

Will zacisnął dłonie na krawędzi stołu. Kropelki potu zrosiły mu czoło i miękki puch zarostu pod nosem.

Oddech miał szybki i urywany.

- Oddychaj głęboko, chłopcze. I nie wstydź się krzyczeć, jeśli będziesz musiał.

Maggie zebrała wszystkie siły i znów zaczęła ciągnąć. Kiedy już uznała, że będzie musiała posłać po Adriana lub Wielkiego Johna, drzazga wyskoczyła, a Maggie aż przewróciła się do tyłu.

Pół godziny później rana była oczyszczona z drobniejszych odprysków drewna i porządnie zszyta czarną nicią. Clem Burnside przyszedł, żeby zaprać śpiącego Willa do baraku.

- Za tydzień będę musiała usunąć szwy - powiedziała Maggie do Clema, przytrzymując otwarte drzwi.

Ledwie zdążyła posprzątać, gdy Wielki John wsunął do środka swą siwą głowę, oznajmiając, że wkrótce zrobi się ciemno.

- Jak pani się pośpieszy, to będzie mogła wrócić do domu z mężem. Wyszedł z biura nie dalej jak dwie minuty temu - powiedział, mrugnął porozumiewawczo i zniknął.

W niedzielne popołudnie Maggie siedziała w bibliotece, pisząc list do ojca, kiedy weszła Molly. Wręczyła Maggie mały irchowy miszek ściągnięty rzemykiem. Maggie wzięła go, spoglądając na Molly pytająco.

- Wielki John prosił, żebyś pani to dała. Wygląda na to, że Will Watkins sam nie miał śmiałości tego

zrobić.

Maggie otworzyła worek i wysypała na dłoń naszyjnik z muszelek.

- To są muszelki zębowe - wyjaśniła Molly. - Są miarą zamożności dla niektórych Indian.

- Jeszcze nigdy nie widziałam takich muszelek - przyznała Maggie.

- Znajduje się je daleko stąd, na północy. Tamtejsze plemiona indiańskie wylawiają je z wody. - Molly uniosła w palcach nitkę z nanizanymi muszelkami. - Za naszyjnik tej długości wojownik może sobie kupić żonę - oceniła.

Patrząc z zachwytem na perłowobiałe muszelki, Maggie z rozczuleniem myślała o jasnowłosym Willu Watkinsie.

Następny tydzień okazał się niezwykle obfity w drobne wypadki. Któregoś popołudnia, wracając ze stołówki po lunchu, Maggie zdawała sprawozdanie Wielkiemu Johnowi i Adrianowi.

- Tylko dziś rano opatrzyłam pięć zmiędzonych rąk, jeden łamany palec, otarcie od liny, złamany nos, cztery skaleczenia od piły i jedną stopę zdeptaną przez niezdarnego muła.

- O którym niezdarnym mule pani mówi? - zainteresował się Wielki John. - O Johnie Schurtzu?

Wybuchnęła śmiechem.

- Nie wiedziałam, że Schurtz jest niezdarnym mułem, ale ten, którego miałam na myśli, miał cztery nogi. Teraz Wielki John się roześmiał, a po chwili i Maggie dołączyła do niego. Uniosła twarz skąpaną w słońcu i zobaczyła, że Adrian przygląda jej się z jedną z tych swoich dziwnych min. Ta akurat wyrażała zadumę zabarwioną odrobiną ciekawości.

- Nie bój się, my się tylko śmiejemy - rzuciła w jego stronę, unikając w drzwiach chaty medycznej. Wielki John zarechotał jeszcze głośniej.

Przez resztę popołudnia zajęta była przyjmowaniem pacjentów, którzy przychodzili grupami. Niewielka izba albo pękła w szwach, albo była pusta. Kiedy w czasie takiej przerwy jak zwykle wyglądała przez okno, zauważyła, że w obozie zapanował nagle nienaturalny spokój.

Otworzyła drzwi i wyszła na ganek, wsłuchując się w ciszę. "Lasu nie dobiegały żadne odgłosy, nie słychać było gwizdów, stuk toporów, nawoływań, skrzypienia padających drzew. Ludzie w obozie także to zauważyli, bo stali skupieni w niewielkie gromady, wymieniając szeptem uwagi. Na skraju lasu ukazało się, kilku drwali coś niosących. Kiedy podeszli bliżej, Maggie dostrzegła, że niosą Willa Watkinsa, jasnowłosego chłopca, który pracował przy nacieraniu ześlizgów olejem z morsów, żeby kłody łatwiej się po nich zsuwały.

Chciała podejść, ale powstrzymała ją czyjaś ręka.

- On nie żyje, Maggie - powiedział łagodnie Adrian. - Nic możesz już nic dla niego zrobić.

Maggie stała jak wmurowana. Okazało się, że noga Willa utknęła w ześlizgu i chłopak został zmiędzony pięcioma tonami drewna.

- Nie przyszedł nawet, żebym mu wyciągnęła szwy - powiedział łamiącym się głosem.

- Był jeszcze chłopcem - odparł Clem Burnside. Łzy ciurkiem płynęły mu po twarzy.

Maggie zakryła usta dłonią i z płaczem wróciła do chaty. Nie słyszała otwieranych drzwi ani kroków Adriana, jak usłyszała bicie jego serca, kiedy wzięła ją w ramiona i szlochając, przytuliła do piersi.

Po tym dniu nad obozem jakby zawisła chmura smutku.

Niedługo potem Maggie nabrała przekonania, że śmierć Willa Watkinsa była zwiastunem wydarzeń, które miały wkrótce nastąpić.

Dwa tygodnie później, tuż przed powrotem Adriana na kolację, Maggie zabrała psa na spacer wzdłuż brzegu, by popatrzeć na zachód słońca. Po paru minutach pies oddalił się gdzieś z nosem przy ziemi i Maggie szła sama. Czasami Izrael rzeczywiście nie wiedział, jak powinien się zachować.

Maggie uśmiechnęła się do siebie, przypomniawszy sobie stwierdzenie usłyszane od ojca: "Nawet kastracją nie da się zmienić psu charakteru". Nigdy nie przyszłoby jej do głowy kastrowanie psa, ale komu innemu pewnie mogłoby się to przydać.

Szła przed siebie, aż dotarła do wysuniętego w morze cyplu i usiadła na płaskim głazie. Patrzyła w dal ponad wodą z nadzieją, że zobaczy szarego wieloryba, których wiele, według słów Adriana, zimowało w tych stronach i często podpływało do brzegu.

Zaczynało jej brakować czasu. Wkrótce miały przybyć dzieci, a między nią i Adrianem wciąż nie układało się tak, jak by sobie życzyła. Och, nie był już zły z powodu jej pierwszego małżeństwa, ale ... No właśnie, co ją najbardziej martwiło w istniejącej sytuacji? To, że była w nim coraz bardziej zakochana, a on wcale się nie kwapił do wyrażenia własnych uczuć wobec niej. Jak by to było, zastanawiała się, gdyby Adrian

mnie kochał?

Kochać i być kochaną - to żyć w ciepłe słońca, rozmarzyła się. No dobrze, przywołała się do porządku, nie możesz w nieukończoność rozmyślać o jednym i tym samym. Zmartwienia są jak okruchy w łóżku, im bardziej się wierzysz, tym bardziej drapią.

Próbowała znów wypatrywać wielorybów, ale szybko się poddała i zaczęła obserwować zachodzące słońce. Żałowała, że nie ma przy sobie płótna i farb, by oddać piękno lawendowo-złotych cieni ścielących się na wodzie.

Usłyszawszy za sobą jakiś ruch, odwróciła się, żeby skarcić Izraela za włośćogostwo, ale okazało się, że to Adrian.

- Co ty tu robisz? - spytał. - Jest prawie ciemno.

- Wypatrywałam szarych wielorybów - odparła, znów spoglądając na ocean.

- I wypatrzyłeś jakiegoś?

- Niestety nie, więc poprzestałam na obserwowaniu zachodu słońca. Pięknie tu o tej porze. W dzień nie ma takich kolorów jak o zmierzchu.

- Hmmmm. - Usiadł obok niej. - Czyżbyś robiła się sentymentalna?

- Owszem - powiedziała cicho, a potem dodała figlarnie: - A do tego głodna.

- Więc czemu nie wróciłaś do domu?

- Wołałam popatrzeć na zachód słońca.

- I zostawić mnie samego przy stole?

- Tak - potwierdziła ze śmiechem. - Wiem, jak ci służy moja nieobecność.

Adrian pozostał poważny.

- Nie uśmiechniesz się, choćby przez grzeczność?

- Uśmiecham się tylko wtedy, gdy mam powód.

Pokręciła głową.

- Zawsze jest jakiś powód, żeby się uśmiechnąć - powiedziała z przekonaniem.

- Nawet kiedy myślisz o Willu Watkinsie?

- Nawet wtedy. - Głos jej zadrżał. - Zaisniał w moim życiu i jestem dzięki temu bogatsza. Kiedy teraz o nim myślę, nie mogę się uśmiechać, ale nadejdzie taki czas, że będę nosić jego naszyjnik i uśmiechać się.

- Maggie ...

- Przestań. - Odwróciła się ku niemu. - Czasami mi się zdaje, że jedyne jaśniejsze punkty w twoim życiu widać wtedy, kiedy ci się światło odbije w białkach oczu.

- Właśnie to uwielbiam w szkockim humorze - sarkazm.

- O tak, nic dziwnego. Jest podobny do ciebie, gorzki i zgryźliwy. - Westchnęła, kiedy na nią spojrział.

Odezwała się ostrzej, niż zamierzała. - Przepraszam - powiedziała łagodniej. - Myślałam o Willu Watkinsie, zanim nadszedłeś, więc kiedy wspomniałeś o nim ... Byłam, jak zauważyłeś, w trochę sentymentalnym nastroju, ale wiem, że to nie powód, by się na ciebie złościć.

Nic nie odpowiedział, tylko pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach, i zapatrzył się w wodę.

- Śmierć Willa była jedynie początkiem - powiedział po dłuższej chwili.

Zwróciła ku niemu twarz, zaskoczona.

- Nie wiem, o czym mówisz. Początkiem czego?

- Śmierci - rzekł powoli. - Wypadków.

- Było ich więcej?

- O wiele więcej. Zbyt wiele, żeby to uznać za wypadki. W zeszłym tygodniu mieliśmy trzech rannych i dwóch zabitych. Tydzień wcześniej były dwa wypadki, w tym jeden śmiertelny.

Maggie położyła mu dłoń na ramieniu.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Nie chciałem cię martwić.

Nie uwierzyła.

- Jakie to były wypadki?

- Takie jak zwykle - upadki z drzewa, czyjaś nieostrożność. Przy obróbce drewna wypadki czają się na każdym kroku. Zdarzają się cały czas w tartaku czy w lesie, ale nigdy tak dużo w tak krótkim czasie.

Ludzie zaczynają gadać.

- O czym?

- Uważają, że ktoś je powoduje, a ja sędzę, że mają rację.

- Pope i Talbot?

- To bardzo prawdopodobne.
- Ale nic nie można udowodnić?
- Nic nie można udowodnić - powtórzył zmęczonym tonem. Potrząsnął głową i podniósł się z ziemi. Na jego twarzy pojawił się zarys uśmiechu, bezradnego i jakby przepraszającego. - Nie chciałem tego wszystkiego na ciebie zwałć.
- Nie mogłeś wiecznie tego przede mną ukrywać.
Sądząc po wyrazie jego twarzy, pomyślał dokładnie to samo, jednak skwapliwie zmienił temat.
- Już prawie ciemno. Lepiej wracajmy. Molly będzie podawać kolację, a przecież musi wracać do siebie, żeby nakarmić Wielkiego Johna.
- Masz rację - przyznała, wstając. - Kolory zmierzchu i tak już zniknęły.
W milczeniu przebyli drogę do domu. Adrian otworzył drzwi i puścił ją przodem.
- Nie mogę tak zasiać do kolacji - stwierdziła, patrząc na swoją suknię - bo Molly każe mi jeść w kuchni. Lepiej się przebiorę. - Weszła na schody.
Nie słysząc jego kroków, domyśliła się, że obserwuje ją z dołu.
Nie wiedzieć czemu, zmiękły jej kolana.
Była już w połowie schodów, kiedy za nią zawołał:
- Maggie?!
- Tak? - Spojrzała na niego z góry. Uśmiechał się, a był to zaiste rzadki widok. - Co to jest gapa?
Odwrociła głowę, by nie dostrzegł, że i ona się uśmiecha.
- Wrona. I wcale nie zmieniłam zdania na ten temat.

13

Maggie poprosiła Adriana, żeby pojechał z nią na piknik. Odpowiedział, że nie jeździ na pikniki.
- Nie mam czasu.
- Czasami łatwiej się poddać, niż walczyć - przypomniała mu.
- Mam do wyboru tylko te dwie możliwości? Poddać się lub walczyć?
- Owszem, a muszę cię ostrzec, że jestem niezwykle waleczna.
Wybuchnął śmiechem, odrzucając głowę do tyłu.
Jak się okazało, piknik nie był wcale takim złym pomysłem.
Maggie wybrała miejsce, gdzie kończyła się ściana lasu i teren łagodnym zboczem opadał ku morzu. Pod wyżłobionym przez fale brzegiem rozciągał się samotny skrawek plaży, usłany kawałkami drewna naniesionymi przez wodę. Pogoda była sprzyjająca, słońce ciepłe i łagodne.
I taka też była Maggie.
Adrian myślał o tym, leżąc na kocu, wsparty na łokciach, z wyciągniętymi przed siebie nogami skrzyżowanymi w kostkach, i popatrywał na żonę kątem oka.
Maggie nie wiedziała, że jest uważnie obserwowana. Kręciła się w pobliżu, a to schylając się, by coś podnieść lub dokładniej obejrzeć, a to zadzierając głowę ku niebu, gdy w górze rozlegał się krzyk mewy. W końcu ruszyła w stronę Adriana, zatrzymując się na moment przy bryczce, żeby schować kilka muszelek. Otrzeprawszy z piasku spódnicę i dłonie, usiadła na kocu i zaczęła chować do koszyka resztki jedzenia.
Zaproponowała mu dopicie wina z jagód, którego odrobina została w butelce. Omówił ruchem głowy, zastanawiając się, czy jej szkocka natura pozwoli zmarnować to, co zostało.
Nie pozwoliła. Maggie zerknęła najpierw na Adriana, potem na butelkę. Zaczęła przelewać resztkę wina do swojego kieliszka, lecz szybko zrezygnowała, odchyliła głowę do tyłu i przytknąwszy butelkę do ust, opróżniła ją do dna.
Adrian patrzył na jej szyję; widział, jak leciutko faluje przy przełykaniu, i miał ochotę dotknąć tego miejsca wargami. Ro leniwny słońcem, przyglądał się, jak Maggie odkłada pustą butelkę do koszyka i zamyka przykrywkę.
Kiedy wstała, wiatr przykleił jej do nóg miękkie materiały szarej spódnicy, a potem zadarł falbaniasty brzeg, odsłaniając zgrabną kostkę. Adrian przymknął jedno oko, jakby mierzył ze strzelby. Miała ładnie ukształtowane pośladki. Podobały mu się kobiety z kształtnymi pośladkami. Zabawne, że wcześniej nie zdawał sobie z tego sprawy. Próbował sobie przypomnieć, jak Katherine była pod tym względem wyposażona przez naturę, ale w tym momencie jakoś w ogóle słabo ją pamiętał.
Chociaż usilnie starał się przywołać obraz Katherine, ani na chwilę nie potrafił spuścić wzroku z Maggie. Pamiętał, jak wyglądała tamtego wieczoru, kiedy poszedł do jej pokoju, by ją zapewnić, że już nigdy nie użyje wobec niej siły. Wyraz zdumienia i bólu, który na krótko pojawił się w jej oczach, zanim zdążyła go

ukryć, wzbudził w nim głębokie wyrzuty sumienia.

Uśmiechnął się mimowolnie na wspomnienie porządków, które zrobiła tamtego dnia na jego biurku. Do licha, dojście do ładu z papierami zajęło mu tydzień. Maggie ułożyła wszystko w alfabetycznym porządku. Kto przy zdrowych zmysłach włożyłby pokwitowanie na czterdzieści worków mąki obok rachunku za naprawę piły?

Oczywiście, Maggie.

A kto podał zamówienie na tytoń do żucia? Oczywiście, Maggie.

Och, Maggie, Maggie. Mógłbym się z tobą zestarzeć. Zachnął się, wstrząśnięty tym odkryciem. Ale co w tym

dziwnego? Przecież była jego żoną. Dlaczego nie miałby myśleć o starości u jej boku?

Ponieważ dał jej do zrozumienia, że nigdy więcej nie będzie się z nią kochał. Byłem zły i urażony, a w takim stanie ludzie często mówią różne nieprzemyślane rzeczy, usprawiedliwiając się w duchu. Od tamtego czasu wiele się zmieniło na lepsze. Zaczynam się do niej przyzwyczajać.

Maggie wyrwała Adriana z rozmyślań, podnosząc z ziemi koszyk i zmiernając w stronę bryczki. Bez namysłu również wstał, poskładał koc i ruszył za nią. Musiała słyszeć jego kroki, ho odwróciła się, wyciągając ręce po koc.

Ich dłonie na moment się zetknęły. Spojrzeli sobie w oczy.

- Dziękuję - powiedziała Maggie bardzo cicho i ułożyła koc na pokrywie koszyka.

Adrian pomyślał, że każdej kobiecie musiałyby być trudno na miejscu Maggie - gdyby przebyła pół świata, żeby poślubić nieznanego mężczyznę, i była odesłana z powrotem. Czyżby poczucie winy kazało mu powiedzieć to, co powiedział?

- Jutro jadę do starego obozu. Gdybyś miała ochotę, możesz pojechać ze mną.

Spojrzała na niego, odruchowo podnosząc rękę do szyi. Z jej wielkich, tego dnia wyjątkowo jasnych i łagodnych oczu wyzierało zdumienie bliskie niedowierzaniu. Bez trudu domyślił się, o czym mogła myśleć. Cóż, nic dziwnego, że okazywała nieufność, skoro ...

- Do starego obozu? - spytała niepewnym głosem.

- Leży jakieś trzy godziny jazdy stąd ... bryczką. Nie ma tam nic ciekawego, wykorzystujemy go głównie jako składowisko. Nie mogę znaleźć pewnych rejestrów i pomyślałem, że mogły tam zostać.

- Chyba chciałabym pojechać - przyznała. - A nie byłoby szybciej wierzchem?

- Byłoby, ale jeśli te księgi rzeczywiście tam są ...

- Rozumiem - przerwała mu, uderzając się otwartą dłonią w czoło. - Przecież nie przywieziesz ich na koniu. Nie pomyślałam o tym.

Wyruszyli wcześniej rano następnego dnia. Maggie była zbyt senna, żeby prowadzić rozmowę, a Adrian jakoś nie miał śmiałości jej zagadywać. Nie wiedząc czemu w jej towarzystwie ogarniała go dziwna nieśmiałość. Zastanawiał się, co mu w ogóle strzeliło do głowy, by ją ze sobą zabierać, jakby byli szczęśliwą parą, która świetnie się razem bawi.

Co najdziwniejsze, naprawdę lubił jej towarzystwo. Była uroczą kobietą. A tuż po przyjeździe wydawała mu się tak pociągająca, że zdarzało mu się całymi dniami chodzić z męską kością sterczącą niczym maszt namiotu. Przez jakiś czas martwił się nawet, że już zawsze, budząc się rano, będzie widział piramidę, wznoszącą się pod kołdrą.

Smagnął lejcami po grzbiecie konia, żałując, że nie umie przywołać miłego nastroju, jaki towarzyszył im poprzedniego dnia na pikniku. Zapatrzony przed siebie, szukał w głowicy jakiegoś neutralnego tematu do rozmowy, lecz nie znalazł go, więc nadal milczał.

Im dłużej jechali w zupełnej ciszy, tym bardziej Maggie się bała, że Adrian zechce rozmawiać o ich małżeństwie lub o jej przeszłości, a wtedy, mogła się przecież zapomnieć i powiedzieć coś o dzieciach. W końcu uznała, że skoro nie chce rozmawiać o swojej przeszłości, najlepiej będzie zmusić go do rozmowy o jego przeszłości.

- Ross mówił mi, że twoi rodzice zostali zabici przez Indian.

- I mój brat, Andrew.

- Nigdy nie widziałam Indianina. Jacy oni są?

- Nie mogę mówić o wszystkich Indianach, ale dobrze znam Komanczów. Są dzicy, nieposkromieni i niezwykle odważni. Są też głupi, bo kurczowo trzymają się przeszłości, zaciekle walcząc o sprawę, która już dawno jest przegrana.

- Zatem bardzo przypominają Szkotów.

- Tak, to chyba dobre porównanie. Biali są tym dla Indian, czym Anglicy dla Szkotów. Nie ufają białym. I

pewnie mają ku lemu powody.

- To brzmi tak, jakbyś im współczuł. Spojrzał na nią poważnie.

- Zabili trzech członków mojej rodziny, porwali moją siostrę i osierocili trzech małych chłopców. Nie mogę powiedzieć, i.ebym im współczuł, ale też nie mogę powiedzieć, że zawsze byliśmy wobec nich w porządku.

- Myślałeś kiedyś o odszukaniu siostry?

- Kiedyś tak, ale przestałem. Nie ma jej od zbyt dawna. Nawet gdybyśmy ją znaleźli, nie byłaby już biała ...

- Poruszył się na koźle, przekładając lejce do drugiej ręki. - Lepiej ją zostawić tam, gdzie jest.

Jest już jedną z nich, kobietą z plemienia Komanczów.

Jego twarz przybrała daleki, nieodgadniony wyraz. Jechali dalej w milczeniu, aż dotarli do starego obozu.

Odnalezienie zagubionych rejestrów zajęło Adrianowi więcej czasu, niż się spodziewał.

- Miałem zamiar trochę cię oprowadzić - powiedział, pakując księgi do bryczki. - Ale spędziliśmy tu więcej czasu, niż planowałem. - Spojrzał na niebo. - Musimy się zbierać i to szybko. Nie możemy jechać nocą po tych wyboistych ścieżkach.

W drodze powrotnej czuła się swobodniej, lecz im bardziej swobodnie czuła się ona, tym bardziej milczący stawał się Adrian. Siedząc wygodnie obok niego, podziwiała wspaniałe krajobrazy, zadając mu tyle pytań na temat otaczającej ich scenerii, że w końcu sam zaczął jej zwracać uwagę na różne ciekawe rzeczy.

Raz zatrzymał wóz, żeby jej pokazać kuguara, który wychynął spośród drzew po drugiej stronie wąwozu.

Stał na wielkim głazie, na odkrytym zboczu poniżej linii lasu, w milczeniu obserwowali zwierzę, które najwyraźniej ich nie zauważyło, dopóki znów nie zniknęło między drzewami.

Adrian cmoknął na konia i ponownie ruszyli w drogę. Maggie czuła rozpieszczającą ją wewnętrzną radość.

Zdjęła czepek. Adrian zerknął na nią z zacięciem, ale się nic odezwał. Ona także nic nie powiedziała.

Nie chciała zepsuć miłego nastroju jakimś nieopatrzonym słowem. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, jaka jest szczęśliwa, jaka wolna się czuje i jaka bezpieczna. Adair Ramsay i związane z nim troski zostały gdzieś daleko. Miała męża - silnego mężczyznę, czło wieka, który mógł ją obronić przed kimś takim jak Adair. .. gdyby przyszło co do czego.

Z zachwytem rozglądała się dokoła, podziwiając długie smukłe cienie, rzucane przez drzewa mi. drogę.

Unosząc wzrok w górę, dostrzegła mgłę wzbierającą przy wierzchołkach gór, choć powie trze w wąwozie było całkiem przejrzyste. Przypomniała sobie rymowane porzekadło, którego nauczyła swoje dzieci, a które kiedyś sama usłyszała od matki:

Mgła obok wzgórz - ulewy wróży, a mgła w dolinie - słońca przeminie.

Nie wiedziała, że mówi na głos, dopóki Adrian na nią nie spojrział.

- Wolałbym mgłę, ale to mi wygląda na deszcz - powiedział.

- Dobrze, że przynajmniej bryczka ma dach - zauważyła radośnie. - Cieszę się, że nie przyjechaliśmy tu odkrytym wozem.

Pokiwał głową, przesuwając się nieco na ławce.

- Jeśli będzie padać, nie zdążymy przed zmrokiem.

- I co zrobimy?

- Spędzimy noc w bryczce - stwierdził, przyglądając jej się z ukosa.

- Módl się, żeby jednak nie padało - dodał szybko, podnosząc wzrok ku niebu.

- Wątpię, żeby to coś pomogło - zauważyła po chwili. - Już pada. - Patrzyła na ciemne plamki, pojawiające się na brązowym grzbiecie wałacha. Każda kropla deszczu spadająca na jego sierść wzbijała maleńki obłoczek kurzu.

Niedługo potem cały grzbiet konia połyskiwał wilgocią, a wszystko wokół stało się ciemnoszare. Wałach dwukrotnie się pośliznął, raz niebezpiecznie blisko krawędzi urwiska, <.iągnącego się wzdłuż drogi.

Adrian zaklął, wyzywając nie- szczęsne zwierzę od niezdarnych łotrów, a potem zamilkł. Maggie także się nie odzywała.

Zjeżdżali wolno w dół, docierając do niewielkiej polanki, gdy zgasły ostatnie błyski dziennego światła.

- Musimy się tu zatrzymać - powiedział Adrian, zeskakując z koźla na ziemię. - Nie ma w tej okolicy zbyt wielu miejsc pozbawionych drzew, na wypadek gdybyśmy mieli przeczekać burzę z piorunami.

Wiatr zaczął przybierać na sile, w powietrzu czuć było ciężki zapach wilgoci i sosen. Maggie schowała się w głębi bryczki, żeby deszcz nie zmoczył jej spódnicy. Okryła kolana kocem przed chłodem, który pojawił się wraz z deszczem. Z brodą opartą na dłońach patrzyła, jak Adrian wyprzęga konia i pęta mu nogi.

Było już prawie całkiem ciemno; Adrian wyglądał jak cień,

kiedy siadał z powrotem do bryczki.

Zdjął z siebie nieprzemakalny płaszcz i umieścił go Maggie na kolanach.

- Masz, dzięki temu koc nie zamoknie - powiedział.

_ Dziękuję. - Uniosła róg koca, żeby i on mógł się okryć. _ Nie trzeba - powstrzymał ją, nie ruszając się z miejsca. Wzruszyła ramionami, a potem schyliła się, macając w ciemności pod ławką.

_ Co ty, u licha, wyprawiasz? - spytał po dłuższej chwili.

_ Szukam serwetki - wyjaśniła. - Zawinęłam w nią resztkę kurczaka. Nie jesteś głodny?

- Nie.

_ To dobrze. Nie było tego wiele, a ja umieram z głodu. - Pogrzebała jeszcze chwilę pod siedzeniem bryczki, aż w końcu wydała westchnienie ulgi, trafiawszy ręką na upragnioną zdobycz. Odwinęła serwetkę i zaferowała mu pierwszy kawałek.

- Jesteś pewien, że nie chcesz? - Wyciągnęła rękę z kurczakiem, w ciemnościach trafiając Adriana w nos.

- Nie sędzę, żebyś i ty miała ochotę na ten kawałek - rzucił zgryźliwie.

- Niby dlaczego?

- Bo właśnie wsadziłaś mi go do nosa.

- No to już lepiej sam go zjedz - poradziła, rzucając mu kurczaka na kolana. Adrian odrzucił go najdalej, jak mógł, a potem rozparł się na ławce, nasuwając kapelusz głęboko nad oczy i krzyżując ramiona na piersi.

Zapowiadała się długa noc.

Maggie dojadła resztki kurczaka, robiąc przy tym sporo hałasu, oblizwała palce, po czym znów sięgnęła pod ławkę.

Zsunąwszy z czoła kapelusz, Adrian posłał jej piorunujące spojrzenie, lecz ze względu na panujący mrok na nic się to nie zdało.

- A tym razem czego szukasz? - spytał, nie kryjąc irytacji.

- Było jeszcze jabłko ...

- Cholera jasna! - zaklął. Schylił się, żeby pomóc w poszukiwaniach, i zderzył się z nią głową. - Proszę! - Podał jej jabłko na wyciągniętej dłoni. - Będziesz wreszcie spać?

Spać? Zamrugowała, zdumiona.

- Mamy spać?

- Pewnie - mruknął ze złością. - A co innego można robić na tym pustkowiu?

Kochać się.

- Ba! Skoro musisz mnie o to pytać, Adrianie Mackinnon, to co ty masz w głowie zamiast mózgu? -

Potrząsnęła głową i ugryzła jabłko. Chrup!

- Będziesz ty cicho?

- Yhm. - Chrup ... chrup ... chrup.

- Maggie? - odezwał się po kilku minutach.

- Tak?

- Robisz to umyślnie. Ja wiem.

_ Co? To, że jestem głodna? - Była zadowolona, że jest zbyt ciemno, by Adrian dostrzegł jej minę.

- Nie, jesz to cholerne jabłko.

_ Och! Muszę je zjeść, żeby napęlić czymś żołądek - obruszyła się.

- Nieważne. - Odwrócił się do niej plecami. Chrup! Chrup ... chrup ... chrup ...

Zacisnęła zęby.

- Został ostatni kęs. Chcesz?

- Nie!

Chrup!

Adrian zazgrzytał zębami. Wyrzuciła ogryzek, po czym ułożyła się wygodnie na ławce.

- Dobranoc.

Nie odpowiedział.

- Adrian?

Cisza.

- Adrian?

Obrócił się w jej stronę.

- O co, u diabła, chodzi tym razem?

- Powiedziałam dobranoc.

_ Dobranoc. - Wrócił do poprzedniej pozycji. Maggie zaczęła się wiercić. Ławka zaskrzypiała. - Na litość boską, co ty wyprawiasz?

- Układam się.

Znów zazgrzytał zębami. Bał się, że jeśli to potrwa dłużej, całkiem zetrze sobie szkliwo.

- Ile czasu zwykle ci to zajmuje?

- Co?

- To układanie.

_ Nie wiem. Nie pamiętam, żebym się kiedyś układała do snu w bryczce.

_ Do licha - zawołał - uciszysz się wreszcie i będziesz spać?!

- Tak. A ty?

Miał ochotę ją udusić. Ale biorąc pod uwagę jej naturę, mógł się spodziewać, że i tak wywinęłaby mu się z rąk jak piskorz.

Adrian nie był pewien, ile czasu przesiedział wsłuchany w miarowe bębnienie deszczu o dach bryczki i odgłosy układaniu się Maggie. Wierciła się nieznośnie, robiąc więcej hałasu niż szop buszujący po strychu.

Był tak pochłonięty rozmyślaniami o tym, jak bardzo Maggil' go irytuje, że nawet nie zauważył, kiedy się wreszcie uciszyła. Być może niepostrzeżenie zapadł w drzemkę, bo nie od razu zdał sobie sprawę, że deszcz ustał.

Podobnie jak ruchliwość Maggie.

Księżyc przedarł się przez chmury i zalał niewielką polanę smugami srebrzystej poświaty. Adrian odszukał wzrokiem sylwetkę konia, a potem spojrzął na ledwo majaczącą w cieniu postać Maggie. Siedziała na ławce wyprostowana, z głową opuszczoną do przodu. Spała. Musiało jej być strasznie nie wygodnie.

Ale nie ruszała się. I była cicho.

Nie miał ochoty jej budzić z czysto samolubnych powodów. Jednak ta jej niewygodna pozycja ... Pewnie dostanie skurczu

w szyi, rozboli ją kark i będzie musiał słuchać narzekań ... Z lekkim poczuciem winy przypomniał sobie, że Maggie nic miała zwyczaju narzekać. Musiał jej to uczciwie przyznać. Niewiele zrobił, by uprzyjemnić jej krótki pobyt w jego domu, a jednak nie robiła mu wyrzutów i na ogół okazywała radosny optymizm.

Poruszyła się przez sen, mrużąc coś niezrozumiale, a potem zaczęła się przechylać na bok, coraz bardziej, aż wyśladowała na nim. Nie miał zamiaru jej dotykać. Nie był taki głupi. Nie mógł przecież pokochać tej kobiety, ale była kobietą. I z całą pewnością jej pragnął. Była ciepła i miękka we wszystkich właściwych miejscach, a on cholemie dobrze pamiętał, co czuł, kiedy trzymał ją w ramionach, kiedy się z nią kochał. Powinien ją wziąć w ramiona ... jeśli już nie z innych powodów, to choćby po to, żeby jej było wygodniej.

Dawne uczucia, które do niej żywił, walczyły z tymi nowymi, łagodniejszymi, które dopiero się w nim budziły. Odsunął ją od siebie, wspierając na oparciu ławki, a potem odwrócił się do niej plecami i zająwszy względnie wygodną pozycję, próbował zasnąć.

Po pewnym czasie znów zamruczała i opadła przodem na jego plecy, przywierając do nich twarzą i piersiami. Zrobiło mu się gorąco. Zamknął oczy. Nie mógł spać, kiedy była tak blisko.

Odwrócił się do niej z ociąganiem. Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, wpadła mu w ramiona.

Przycisnął ją do siebie, jednocześnie opierając się plecami w narożniku ławki i wyciągając przed siebie wyprostowane nogi. Przez sen zareagowała na tę zmianę pozycji, wtulając się w niego mocniej. Nie zamykał oczu, lecz wiedział, że to nic nie pomoże. Niemal leżała na nim; jej łono znajdowało się niebezpiecznie blisko tej części jego ciała, która wyraźnie ożyła i stała na baczność, gotowa do ataku.

Do licha. Noc zapowiadała się znacznie dłuższa, niż się spodziewał.

Sam nie wiedział, kiedy zaczął ją gładzić po plecach, kiedy oparł brodę na czubku jej głowy. Musiała to poczuć, bo nagle zeszywniała. A kiedy na nią popatrzył, ujrzał jej oczy, szeroko otwarte, wpatrzone w niego. Nie myślał o tym, by ją odesłać, ani o tym, że przed nim była z innym mężczyzną. W głowie miał tylko jedno - że jest bardzo pociągającą kobietą, jest jego żoną, i znajduje się tam, gdzie powinna.

W jego ramionach.

Powoli ręka, która gładziła plecy, powędrowała wyżej, aż do szyi; palce natrafiły na miękkie kosmyki włosów za uchem.

Maggie zadrżała. Wiedziała, co może się stać, jeśli ta delikatna pieśczoła potrwa dłużej. Twardy ucisk na biodrze mówił jej, że jego ciało ma własne plany. Przebiegł ją dreszcz, kiedy Adriall pochylił głowę i zaczął ją całować po włosach, czole, oczach.

Mogła mu stawić opór i przez chwilę nawet miała taki zamiar, ale trwała w bezruchu, zaskoczona czułością, jakiej dotąd od niego nie zaznała.

Podniosła wzrok i zobaczyła jego ładne, pełne, pociągające usta. Miał minę, jakby ją pytał, czy go przyjmie, czy odepchnie. Powoli opuścił głowę i lekko dotknął ustami jej ust.

Bez słowa zarzuciła mu ręce na szyję.

Nie wiedział, czego bardziej pragnie - dotykać jej czy by przez nią dotykany. Najbardziej ze wszystkiego chciał, żeby ona także go pożałowała, tak jak on jej pożałował. A takie pożałowanie było niebezpieczne, człowiek mógł od niego oszaleć.

Poczuł, jak unosi się i wyciąga ręce, a potem ujmuje w dłonie jego głowę i przyciąga do siebie, żeby go pocałować.

- Maggie - odezwał się tonem ostrzeżenia.

- Tak?

- Igrasz z ogniem - szepnął tuż przy jej ustach.

Zaśmiała się cichym, gardłowym śmiechem, opuszczając rękę.

- Mogę sprawić, że zapłoniesz jeszcze mocniej - szepnęła, zaciskając palce na jego nabrzmiałej męskości.

Wydał z siebie zduszony okrzyk.

- Odpręż się - szepnęła.

Odpręż się? Odchylił głowę, żeby spojrzeć jej w twarz.

- Odpręż się? To chyba ja powinienem powiedzieć?

- To prawda, ale sądziłam, że nigdy się tego nie doczekam - wyjaśniła.

- Maggie ...

Uśmiechnęła się bez słowa i nie cofając dłoni, zaczęła wodzić ustami po jego szyi.

- Odpręż się - powtórzyła ze śmiechem. - Leż spokojnie i myśl o Anglii.

- Anglii? - zdumiał się.

- Właśnie.

Otoczył ją ramionami.

- Nie mogę myśleć o Anglii w takim momencie.

- Dlaczego?

- Bo wszystkie moje myśli są skupione na Szkocji.

- No cóż ...

- Maggie, możesz wreszcie zamilknąć i mnie pocałować?

- No dobrze - ustąpiła.

Pocałowała go w usta z mocą, która mogła rozpalić wygasły wulkan. Adrian nigdy by nie przypuszczał, że jego ciało potrafi odpowiedzieć aż tak skwapliwie na kobietą zachętę. Zaraz sobie Jednak uświadomił, że reagowało w taki sposób tylko na Maggie. A to wielka różnica.

Przyjęli wygodniejszą pozycję; Maggie znalazła się pod nim.

Z westchnieniem naparł na jej miękkie wypukłości. Wsunęła mu palce we włosy, jakby musiała się go trzymać, by zachować t.mysły. Dobrze ją rozumiał, bo sam miał wrażenie, że balansuje na krawędzi.

Kiedy się odsunął, zaprotestowała gwałtownie, ale on oderwał się od niej tylko po to, by rozpiąć spodnie i unieść jej spódnice. Wrócił natychmiast, jeszcze gorliwiej przywierając do jej ust.

Oddychając ciężko, ułożył się między jej udami, a ona cisnęła mu dłonie na pośladkach.

- Pragnę cię - powiedziała zduszonym, urywanym szeptem.

- To dobrze. - Tylko tyle zdołał powiedzieć, nim się w niej zagłębił. Była gotowa tak samo jak on. Po kilku mocnych, pewnych pchnięciach zaczęła głośno dyszeć.

- Za szybko - szepnął. - Nie chciałem, żeby poszło tak szybko.

- Następnym razem może być wolniej - powiedziała.

Zaraz potem zastygła w spazmie rozkoszy, niemal jednocześnie z nim osiagając spełnienie.

"Następnym razem może być wolniej". Adrian czuł, że niedługo będzie gotów do tego następnego razu.

- Adrianie? - odezwała się szeptem.

- Hmrrn?

- Musimy przestać.

- Przestać? Oszalałaś?

Uniosła się, chichocząc.

- Ja nie, ale on chyba tak. Chyba jeszcze nie widziałam, żeby koń jadł filcowy kapelusz.

Adrian obejrzał się szybko; w świetle księżycy dostrzegł spętanego wałacha, któremu z pyska wystawało zmięte rondo kapelusza.

Znowu doprowadzała go do szaleństwa.

- Przestań się śmiać - ostrzegł. - To mój ulubiony kapelusz.

- To tylko kapelusz - obruszyła się. - Nie możesz mi mieć za złe, że się śmieję. To przecież zabawne.
- Nie bawiłoby cię tak bardzo, gdyby to był twój kapelusz.
- Nie złość się na mnie, Adrianie. To nie ja go zjadłam.
- Nie, ale gdybyś mnie nie zbałamuciła, z pewnością bym usłyszał tego drania i zapobiegł zniszczeniu.
- Zbałamuciłam cię? - spytała z niedowierzaniem. - O tak, rzeczywiście - potwierdziła ze śmiechem.
Przytuliła się do niego i zamknęła oczy. Teraz mogła zasnąć.
Adrian nie mógł. Zbyt wiele się wydarzyło, zbyt wiele między nimi zaszło. Miał wrażenie, że minęło bardzo dużo czasu, nim wreszcie słońce wyjrzało zza gór. Zaprzągnął konia do bryczki i ruszył w drogę. Przygarnął do siebie śpiącą Maggie i uśmiechnął się mimowolnie, gdy zaczęła się wiercić, szukając najwygodniejszej pozycji. W końcu wylądowała na jego kolanach, co im obojgu najbardziej odpowiadało.

Właściwie jedynym powodem do narzekań, jeśli idzie o nowe małżeństwo, był fakt, że widywała męża zbyt rzadko. Często już go nie było, kiedy się budziła, albo spóźniał się na kolację. Bywało, że te dwie okoliczności występowały w jednym dniu. Ilekroć wspomniała coś na ten temat, miał czelność okazywać zdumienie.

- Wolałabyś, żebym tyle nie pracował? Dlaczego?

- Bo lubię twoje towarzystwo.

Spojrzał na wystygłą kolację.

- Powinnaś była zjeść - powiedział. - I tak jestem zbyt zmęczony, żeby stanowić miłe towarzystwo dla kogokolwiek. Po kolacji oświadczył, że ma coś do zrobienia, a z tonu jego głosu Maggie wyczuła, że wolałby zostać sam. Kiedy się oddalił, poszła do kuchni, żeby odprawić Molly.

- Pójdę, jak tylko posprzątam w kuchni.

- Ja to dziś zrobię. Ty idź do domu i nakarm swojego męża.

- Jest przyzwyczajony do czekania. Zawsze po powrocie do domu ucina sobie drzemkę. I nie budzi się, dopóki mu nie podetknę talerza pod nos.

- No więc idź i podetknij mu ten talerz. Mam ochotę sama dziś posprzątać. Może nawet wyszoruję podłogę.

Mo11y przyjrzała jej się podejrzliwie.

- Albo się pani spodziewa dziecka, albo się pokłóciliście. Okres się pani spóźnia?

Maggie parsknęła śmiechem.

- Nic mi się nie spóźnia.

- To znaczy, że pani i Adrian znów ze sobą walczyacie. - Szarpnęła troczkami fartucha. - W życiu nie widziałam jeszcze takiej pary. W głowie mi się nie mieści, że ludzie, którzy powinni na okrągło uprawiać miłość, wynajdują sobie do roboty różne inne rzeczy. Pokłóciliście się?

- Jeśli tak, to zapomniał mi o tym powiedzieć - rzuciła Maggie.

- Cóż, nie wyglądał na szczęśliwego, kiedy wrócił dziś wieczorem. Skoro nie jesteście skłóceni, to co mu jest?

- Nie wiem. Widocznie ma jakieś zmartwienie.

- Może mu przykro, że okazał tyle złości o pani poprzednie małżeństwo. Mówił coś więcej na ten temat? Maggie popadła w zadumę.

- Nie. I nie sądzę, żeby widział w tym jeszcze jakiś problem.

Molly nawet nie próbowała ukryć zaskoczenia.

- Chyba nie chce pani powiedzieć, że się w pani zakochał?

- Tak daleko bym się nie posunęła. A myślisz, że to możliwe?

- Nie, jeśli nadal tak uparcie będzie robił z siebie głupca odparła Molly. - Wie pani, co mam na myśli?

- Wiem. - Maggie wzięła fartuch i obwiązała się nim w pili sie. - Widzę, MoHy, że nabierasz szkockiego poczucia humoru. - To normalne. Skoro weszła pani w nasze życie, coś się musiało zmienić, prawda? Stały naprzeciw siebie, jakby każda z nich chciała coś powić dzieć, tylko nie mogła znaleźć odpowiednich słów. Nim Maggit, była gotowa się wreszcie odezwać, MoHy odwróciła się na pięć, i wyszła.

Po dokładnym wysprzątaniu kuchni i dwukrotnym wyszowaniu podłogi Maggie poczuła się lepiej. Była zmęczona, ale czuła się naprawdę lepiej. Powiesiła fartuch na haku, wzięła lampę i wyszła do holu.

Przechodząc obok biblioteki, zobaczyła pod drzwiami prostokąt światła.

Kiedy weszła do środka, Adrian podniósł wzrok znad biurka. - Jest późno - zauważył. - Myślałem, że jesteś już w łóżku.

- Ja myślałam to samo o tobie.

- Muszę napisać listy do rodzin tych dwóch robotników, którzy zginęli w tym tygodniu. - Zamknął oczy, masując się po karku. - Jestem zmęczony - przyznał. - Jak zagoniony pies. Maggie odstawiała lampę i podeszła do niego od tyłu, żeby mu rozmasować barki. Mięśnie miał napięte i zeszywniałe.

- Nic dziwnego, przez ostatnie tygodnie niewiele spałeś.

Zastanawiałam się, co cię gnębi. Powinieneś być mi powiedzieć o wypadkach. Może mogłabym w czymś pomóc.

- Jakoś sobie poradziliśmy sami. Już ci mówiłem, nie chciałem cię martwić.

Maggie zrobiło się ciepło wokół serca:

- Bardziej się martwię, kiedy coś przede mną ukrywasz.

- Wiem. - Poklepał ją po ręce, lecz zaraz, jakby zawstydzony, cofnął dłoń i odchrząknął. - Chyba będzie lepiej, jak się zabiorę za te listy - powiedział szybko.

- Mogłabym je za ciebie napisać - zaproponowała. Przez chwilę wpatrywał się w nią bez słowa.

_ Jest późno - odezwał się wreszcie. - powinnaś iść do łóżka. _ Jutro mogę odpocząć. Ty nie możesz. Poza tym mnie pójdzie łatwiej.

Widziała, jak włączy ze sobą. pokusa była silna, ale nie chciał jej dopuszczać do swoich spraw.

Wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź.

_ Dobrze - zgodził się w końcu, wstając zza biurka.

Maggie odetchnęła z ulgą. Zajęła jego miejsce, wzięła do ręki pióro i umoczyła je w atramencie.

_ Nazwiska tych ludzi są tutaj, razem z listą najbliższych krewnych. Napisz, co uważasz za stosowne.

Dołącz do listów te czeki z wypłatą i dodatkową sumą ode mnie. Napisz, że to niewiele ... _ Urwał, patrząc na nią. - Sama wiesz, co im napisać - zakończył szorstko.

_ Tak, wiem, co im napisać - przyznała.

Maggie zajęła się pisaniem. Podniosła głowę dopiero wtedy, gdy skończyła pierwszy list. Była sama.

Następnego wieczoru Adrian wrócił do domu smutny i wy-czerpany. Choć zjawił się wcześniej niż zwykle, rysy miał wyostrzone zmęczeniem.

Molly oświadczyła, że kolacja stygnie, więc Maggie poszła szukać męża. Znalazła go w gabinecie, wyciągniętego na skórzanym sofie. Kiedy patrzyła na jego długie nogi w samych skarpetkach, zwisające z bocznego oparcia, wydał jej się młodszy i jakiś bezbronny, a przecież nie należał do osób, po których można by się spodziewać choć cienia bezbronności. To odkrycie, nie wiedząc czemu, podniosło ją na duchu.

Usiadła naprzeciw i obserwowała go w milczeniu. Jednakże zmysły Adriana musiały być wyjątkowo wyostrzone, nawet we śnie, bo po paru minutach otworzył jedno oko i spojrzał na Maggie.

Siedziała na krześle, wsparta łokciami na kolanach, z brodą opartą na dłoniach. Kiedy otworzył drugie oko, odezwała się:

_ Witaj. Musisz mieć czyste sumienie, bo spałeś jak niemowlę.

- Skąd tak się znasz na niemowlętach? - spytał, podnosząc się i przeciągając.

Serce jej zatrzepotało.

Adrian schylił się po leżący na podłodze but. Nie dała po sobie poznać, że jego słowa wyprowadziły ją z równowagi. Uśmiechnęła się z trudem, myśląc o tym, jak bliski był odkrycia jej drugiego sekretu.

- Sama byłem kiedyś niemowlęciem. - Podniosła się z krzesła, żeby mu podać drugi but.

Kiedy wyciągnął rękę, zetknęły się ich palce, a potem spojrzenia. Adrian pierwszy spuścił wzrok.

- Na pewno jesteś księżną? - spytał, zajęty wciąganiem buta. Uniosła brwi, przechylając na bok głowę.

- Dlaczego zadajesz mi to pytanie?

Skrzywił się, jakby nie wiedział, co odpowiedzieć. Maggie wybuchnęła śmiechem, odrzucając głowę do tyłu. Adrian niel moment stracił wątek.

- Powiedz mi - zaczęła, z rękami wspartymi na biodrach jak według ciebie zachowuje się księżna?

- Dostojnie - odparł bez namysłu.

- A ja nie jestem ... dostojna? - Opadła z powrotem na krzesło,

- Czasami jesteś. Czasami nie. Z całą pewnością nie wiesz, jak należy jeść jabłka. Ciekaw jestem, czy umiesz podać herbatę.

- Zatem musisz mi powiedzieć, jak się powinna zachowywać dostojna księżna, a ja spróbuję się poprawić.

Zmarszczył czoło, a Maggie natychmiast poczuła chęć, by mu je wygładzić.

- Wiem tylko tyle, ile Ross mi napisał.

- A co ci napisał?

- Według niego księżne wykonują dziwne ukłony i podają herbatę - odparł ironicznym tonem. Domyślała się, o co mu chodzi, i wcale nie miała ochoty porzucać tak interesującego tematu.

- Chyba mogę ci zaprezentować taki ukłon - powiedział z rozbawieniem, dygając wdzięcznie. Szeroka spódnica w zetknięciu z podłogą wyduła się niczym balon. - To miałeś na myśli? - Nie odpowiadał, więc dodała: - Tak, milordzie? Choć działo o dworski ukłon?

- Coś w tym rodzaju - mruknął. - Ale nie tutaj. I nie teraz.

- W takim razie chodźmy coś zjeść - zaproponowała, nie przestając się śmiać.

Następnego dnia Molly spotkała Adriana błądzącego po domu z dziwnym wyrazem twarzy.

- Zgubił się pan?

- Nie - odparł zaskoczony. - A wyglądam, jakbym się zgubił?

- Tak - oświadczyła Molly z przekonaniem. - Pani jest w salonie.

Molly nie zachowywała się zbyt przyjaźnie, lecz Adrian postanowił nie zwracać na to uwagi. Był gotów pokornie zjeść, cokolwiek mu poda, byle nie dodawała do jedzenia trucizny. Udał się do salonu, gdzie zastał Maggie, ubraną w piękną, ciemnoszafirową suknię. Siedziała na kanapie, a przed nią pyszniła się wspaniała srebrna zastawa do herbaty. Ruchem dłoni wskazała Adrianowi krzesło, a on, ciekaw, do czego tym razem mierza, bez słowa usiadł, wyciągając nogi przed siebie.

- Mam nalać? - spytała.

- Jeśli zdołasz trafić herbatą w te naparstki, proszę bardzo. Ja nie umiem aż tak dobrze celować.

Napełniła maleńką filiżankę i podała mu na spodeczku.

- To herbata, nie trucizna - zapewniła z uśmiechem, widząc jego wahanie.

Filiżanka zagrzechotała mu w dłoni, ale Maggie miała taką minę, jakby tego nie zauważyła. Naśladowując jej ruchy, wypił jeden łyk, a potem uznał, że musi wyglądać jak kompletny głupek. Co gorsza, tak też się czuł. Dlaczego w jej towarzystwie jestem takim niezdarnym gamoniem, myślał. Spójrz na mnie, Maggie. Słuchaj tego, co mówi moje serce. Nie zwracaj uwagi na moją głupotę.

Wstał i odstawił na tacę filiżankę wraz ze spodeczkiem.

- W innych sytuacjach bardziej mi się podobasz - mruknął, kierując się do drzwi. W progu niemal zderzył się z Molly. - Co ty, u diabła, wyprawiasz? Podśluchujesz?

- Byłoby to całkiem bezsensowne zajęcie. Rzadko pan mówi coś, czego warto słuchać.

Adrianowi krew uderzyła do głowy.

- Gorąco tu - warknął, omijając Molly. - Może by otworzyć okno?

- Lepiej się przyzwyczaić - odpowiedziała zgryźliwie. - Tam, dokąd pan idzie, jest jeszcze goręcej.

Znalazłszy się w swoim pokoju, Maggie padła na łóżko, nie zadając sobie nawet trudu, by zdjąć suknię z mory albo przynajmniej ułożyć się tak, żeby nie pognieść delikatnych różyczek zdobiących tiurniurę.

Przez długi czas leżała, rozmyślając o zachowaniu Adriana. Dlaczego tak się zdenerwował, kiedy podała herbatę? Uważała to za zabawne nawiązanie do poprzedniego dnia, kiedy to spytał ją, czy na pewno jest księżną. Czy to wspomnienie odrzucenia kazało mu odstawić filiżankę i wyjść z salonu tak gwałtownie? Czyżby w jego życiu wciąż było aż tak wiele cierpienia?

Nie wydawało jej się to możliwe. Chyba nie chodziło o to, że zaczynało mu na niej zależeć, że bał się zakochać. Choć wprawiała sama sobie, że to niemożliwe, wydawało się to jedynym wytłumaczeniem.

Drogi Adrian. Czyżby do tego stopnia nie miał szczęścia w miłości, że albo ranili go ci, których kochał, albo on ranił tych, którzy go kochali? Uważał ją za zagrożenie? Mimo zamętu w głowie odczuwała coś w rodzaju ulgi. Uśmiechnęła się do siebie, serce zabiło jej mocniej. A kiedy przypomniała sobie, jak się kochali, przebiegł ją dreszcz. Zależało mu na niej. Musiało mu zależeć.

Czy na pewno?

Pomyślała, że łatwiej by jej było zmierzyć się na polu bitwy z Anglikami, niż dłużej znosić udrękę niepewności.

Zsunęła się z łóżka i zaczęła chodzić po pokoju, po drodze zdejmując kolejne części garderoby. Kiedy już została w samej halce, wyciągnęła szpilki z włosów i sięgnęła po szczotkę. Zaczęła szczotkować włosy w rytm kroków. Raz, dwa, trzy, zwrot. Jedno przeciągnięcie po włosach, drugie, trzecie, zmiana.

Adrian zaczynał się do niej przekonywać. Czowała, że to było powodem narastającego między nimi napięcia. Byli sobie coraz bliżej, więc Adrian tym bardziej starał się zachować dystans. Potrzebowała jedynie więcej czasu.

Założyła nocną koszulę i weszła do łóżka. Modliła się o więcej czasu. O odrobinę wsparcia ze strony Wszchemocnego. Adrianowi zaczynało na niej zależeć. Była pewna, choć nie odważałaby się nazwać tego miłością. Ale tak było.

Może to niewiele, ale zawsze już coś na początek. Myśl, że len obcy dzikus, nieufny i podejrzliwy, mógł się w niej zakochać, wciąż wydawała się niewiarygodna. Ale to, co niewiarygodne, teraz przynajmniej wydawało się możliwe.

Zasnęła, myśląc o tym, co czeka ją jutro. Bo jutro miał być całkiem nowy dzień. Jutro miała zamiar spróbować mu pokazać, i.e może jej ufać. Te plany wprawiły ją w młodzieńcze ożywienie.

Adrian siedział na dole w swoim gabinecie, zapatrzony w butelkę brandy. Był na siebie zły, że tego popołudnia stracił panowanie nad sobą w obecności Maggie. Czego się bał? Chciał się do niej zbliżyć, ale gdy tylko miał ku temu okazję, uciekał. Dlaczego?

Miał do wyboru dwie możliwości. Mógł się upić do nieprzytomności, przynajmniej na jakiś czas uśmierając w ten sposób pożądanie, które czuł do Maggie, albo pójść do niej i się z nią kochać.

Ta druga możliwość podobała mu się znacznie bardziej. Zamyślił się. Maggie wprawiała go w stan głębokiej frustracji.

Jedynym sposobem oderwania się od wspomnienia o ich fizycznym zbliżeniu było myślenie o tym, by znów się z nią kochać. Spojrzał na brandy. Pij albo idź się z nią kochać, powiedział sobie wreszcie. Po tak postawionej kwestii nie było nad czym rozmyślać.

Kilka minut później pukał do drzwi Maggie, ciekawy, czy zauważy, że tym razem nie wszedł bez pukania. Zastukał jeszcze raz i usłyszał ciche:

- Proszę

Otworzywszy drzwi, wszedł do ciemnej sypialni. Podeszedł do stolika przy łóżku, zapalił lampę, przykręcił knot, by nie świeciła zbyt jasno, i wreszcie spojrzał na Maggie. Zwykle starannie ułożone włosy tworzyły chmurę niesfornych loków, zaścielającą poduszkę niczym złocista peleryna. Miał przed sobą nie elegancką, opanowaną kobietę, którą była na co dzień, tylko pociągającą istotę, którą za wszelką cenę pragnął nagiąć do swej woli, zmusić, by go pożądała do utraty tchu.

- Przyszedłeś tu, żeby się kłócić, czy żeby się kochać?- spytała sennym głosem.

Przebiegły go ciarki.

- A co byś wolała?

Przeciągnęła się z uśmiechem.

- To zależy. Ostatnim razem, kiedy przyszedłeś do mojego pokoju, żeby się kochać, skończyło się na kłótni, po której zniknąłeś na dwa tygodnie. Zastanawiałeś się, co tutejsi ludzie musieli myśleć?

- O czym?

Usiadła na łóżku, podkładając sobie pod plecy dwie poduszki. - Najpierw kazałeś mi czekać na siebie dwa tygodnie, kiedy tu przyjechałam. Wkrótce potem znów mnie zostawiłeś na tak długo. Wiem, że ta część świata nie jest całkiem cywilizowana, Adrianie, lecz mimo wszystko twoi ludzie musieli się zastanawiać. Co jest ze mną nie tak, że wolisz trzymać się z daleka.

- Nie sądzę, żeby ktoś się zastanawiał nad tym, co robimy powiedział Adrian, nie kryjąc rozbawienia. -

Ktoś, kto zleca bratu, by mu znalazł żonę, i zawiera z nią małżeństwo per procura, daje im wystarczająco dużo tematów do plotek.

Maggie nagle sobie uświadomiła, jak muszą patrzeć na całą sytuację ludzie w obozie, ile docinków Adrian musi znosić z tego powodu. Zapewne nieraz wprawili go w zakłopotanie żartami, które tak lubili. Zdążyła ich już poznać na tyle, by wiedzieć, że tych żartów było dużo i to całkiem śmiesznych. Nie mogła powstrzymać uśmiechu, który zdradził ogarniającą ją wesołość.

- Chyba byś się nie śmiała z człowieka tylko dlatego, że zrobił z siebie głupca, co?

- Owszem, śmiałabym się, gdyby chodziło o ciebie.

- Śmieć się do woli - zachęcił, widząc, jak bezskutecznie usiłuje zachować powagę - ale z początku to wcale nie było zabawne.

- Wierzę, że nie było.

- Szkoda, że nie widziałaś, jak na mnie patrzyli tamtego ranka, kiedy im powiedziałem przy śniadaniu, że brat wybrał dla mnie żonę i poślubił ją w moim zastępstwie. Nie przypuszczałem, że tyle widelców może równocześnie uderzyć o stół.

- Po prostu ich zaskoczyłeś.

- I wzbudziłem ich zainteresowanie. Chyba z piętnastu pytało mnie, czy znalazłem cię w katalogu.

- Co im odpowiedziałeś?

- Spytałem, jakim według nich trzeba być głupcem, żeby zamawiać sobie żonę z katalogu.

- I?

- John Schurtz odpowiedział, że mądrzejszym od takiego, który powierza to zadanie swojemu bratu. Maggie wybuchnęła dźwięcznym śmiechem.

- Cóż, chyba miał rację.

- No właśnie, i dlatego czułem się jak kompletny osioł. Mogłem się tylko śmiać razem z nimi.

Serce jej wezbrało szczerym podziwem. Skoro potrafił śmiać się z siebie, mimo zażenowania... cóż, to było obiecujące. Wszystkie dzielące ich przeszkody stały się mało istotne. Adrian był po prostu niezależnym, władcym człowiekiem, który ją poślubił i zaoferował jej nowe życie. Nieświadoma, przynajmniej z początku, że powietrze między nimi gęstnieje od erotycznego napięcia, wpatrywała się w jego urodziwą twarz, w roześmiane niebieskie oczy, jednocześnie powtarzając sobie w duchu, że ten mężczyzna naprawdę jest jej mężem. Adrian najwidoczniej musiał myśleć o tym samym, bo zaraz potem usłyszała, jak szeptem wymawia jej imię.

- Maggie ...

Stanął przy łóżku, wyciągając do niej ramiona, a ona wtuliła się w nie, miękka i ciepła.

Unióśł ją z pośłania, okrywając jej twarz pocałunkami, wodząc doń mi po całym jej ciele. Następnie pociągnął za koniec wstążki, ściągającej koszulę pod szyją. Koszula rozchyliła się, coraz szerzej, aż zsunęła się z ramion i opadła na podłogę, tworząc lśniąca plamę kremowego jedwabiu.

Po plecach Maggie przebiegły ciarki, nie z zimna, lecz od żaru, który tlił się w zwróconych na nią oczach. Poruszyła się, a on musiał pomyśleć, że chce się okryć, bo powstrzymał ją, mówiąc: - Zostaw. Chcę cię oglądać.

- Nie miałam zamiaru - powiedziała, wysuwając stopy z fałdów koszuli.

Adrian sięgnął do lampy i podkręcił ją tak, by świeciła jaśniej.

Wyciągnął rękę i przyłożył ją do miejsca, gdzie serce biło jej jak oszalałe.

- Brak ci tchu. Jesteś zdenerwowana?

- Nie.

- Na pewno? Czuję, jak ci serce wali.

- Tak, ale nie mogę powiedzieć, że to ze zdenerwowania.

- Więc z jakiego powodu?

- Twojego. Tego, jak na mnie patrzysz.

Nie odrywając od niej oczu, wodził dłońmi po jej ciele, po znikających wolno śladach, odcisniętych przez fiszbiny gorsetu. po łagodnej wklęsłości talii, po krągłych biodrach. Zadrżała pod jego dotykiem.

- Masz piękne ciało, Maggie - powiedział, przyciągając ją do siebie i całując.

Uśmiechał się. Był to szczerzy, otwarty uśmiech; tak musiał się uśmiechać, kiedy nikt na niego nie patrzył. Wyglądał z tym uśmiechem młodziej, niemal chłopięco. Gdzieś przepadł cynizm i twardość, już nie był tamtym mężczyzną, który za wszelką cenę starał się ukryć, co czuje. Gdyby nie wiedziała, że kocha inną kobietę, mogłaby przysiąc, że widzi w jego oczach miłość.

- Ja nie ...

- Ciii ... - Zakrył jej usta palcami, ucałował ją w czoło, w oczy. Potem przesunął się niżej, znacząc pocałunkami ścieżkę wzdłuż jej szyi i ramienia. Zadrżała, kiedy jego pocałunek stał się bardziej natąrczywy. Całował ją z takim zapamiętaniem, jakby nigdy nie miał skończyć. Maggie wcale nie chciała, żeby kończył. Może był małowówny, ale kiedy coś robił... Nie miała pojęcia, że pocałunek może być tak nieskończenie namiętny ... i to w takim miejscu ...

Kiedy dotarł do jej piersi i wziął do ust nabrzmiąłą brodawkę, Maggie z głuchym jękiem odchyliła głowę do tyłu. Pragnęła go aż do bólu. Nie zorientowała się nawet, że ją podniósł, dopóki jej nie postawił na podnóżku przed fotelem. Całował ją po brzuchu, a ona zaciskała palce w jego włosach, żeby nie omdleć i rozkoszy. Musiało istnieć jakieś inne określenie na to, co robił, bo "pieszczota" stanowczo nie oddawała pełni doznań. Adrian jej nie pieścił, lecz ... no właśnie, co? Myślała gorączkowo, aż wreszcie znalazła to słowo. Adorował jej ciało.

Całował ją bez końca i dotykał w miejscach, które ominęły lista ... choć niewiele takich miejsc było. Czula jego wargi na udach, kolanach, łydkach i palcach stóp.

- Wystarczy - szepnęła bez tchu.

- O nie - zachichotał. - Dopiero zaczęliśmy.

- To niesprawiedliwe - powiedziała. - Ja jestem naga jak w chwili narodzin, a ty wciąż masz na sobie ubranie. Masz nade mną przewagę.

- Nie masz pojęcia, od jak dawna tego pragnąłem - rzekł cicho, przytrzymując ją za biodra, i ukrył twarz

między jej udami.

- O matko! - Wciągnęła głośno powietrze. - Adrianie ... proszę...

- Nic nie mów. - Zrobił coś takiego, że aż zatopila paznokcie w jego barkach.

- Proszę. Już dość. Kochaj się ze mną. Natychmiast.

- Jeszcze nie skończyłem.

- Skończysz, kiedy cię wezmę ... w swoje ręce.

- Już mnie trzymasz.

- Tak, ale na razie przytrzymuję się, żeby nie upaść.

Zamilkł; wkrótce się przekonała dlaczego.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa. - Cienka strużka potu spłynęła jej między piersiami. - Jak daleko jeszcze możesz się posunąć?

Nie odpowiedział.

- Adrian ... na litość ... ! - wykrzyknęła, a potem z drzeniem osunęła się prosto w jego wyciągnięte ramiona. Miała wrażenie, że zaraz się rozpadnie na kawałki, niczym naczynie z kruchego szkła. - Odpląć ci za to - odezwała się słabym głosem, kiedy już ją przeniósł na łóżko.

- O niczym innym nie marzę - zapewnił, ściągając z siebie ubranie.

Maggie przeciągnęła się jak senna kotka. Zamruczała bezwiednie, czując na sobie dotyk jego nagiej skóry.

- Adrian - szepnęła.

- Powoli, skarbie, powoli. Wiem, czego ci trzeba.

- Ale może to nie to, czego pragnę. - Chciała, żeby Się pośpieszył.

Wszedł w nią z gardłowym jękiem.

Maggie nie odezwała się więcej. Adrian poruszał się w niej długimi, powolnymi pchnięciami, a ona, posłuszna nakazowi własnego ciała, zaczęła się poruszać wraz z nim. Zaciśnęła dłonie najego pośladkach, czując pod palcami twarde, napięte mięśnie. Jakże cudownie ich ciała pasowały do siebie, jakby były od początku stworzone do tego, by się łączyć. A może naprawdę tak było?

To była jej ostatnia myśl, bo zaraz potem zastygła w skurczu rozkoszy. Adrian osiągnął spełnienie sekundę po niej. Przez długi czas leżeli zespoleni ze sobą, niczym dwie połowy jednej istoty. Wreszcie Adrian zsunął się z niej, naciągnął koldrę i spleceni w uścisku zasnęli.

Obudziwszy się, Adrian poczuł na sobie wzrok Maggie.

- Nie mogłaś spać? - zapytał z troską.

- Mogłam, ale wolałam na ciebie patrzeć.

- Dlaczego?

- Bo lubię na ciebie patrzeć. Jesteś przystojnym mężczyzną, Adrianie. Każda kobieta, jeśli nie jest głupia, powinna na ciebie patrzeć, kiedy tylko ma okazję.

- Maggie, nie interesuje mnie, co powinny robić inne kobiety. Tylko ty mnie obchodzisz.

Odwróciła wzrok.

- Mącisz mi w głowie.

- Sam mam niezły zamęt. - Poglądził ją po ręce. - Nie umiem się dobrze wysławiać, Maggie. Czuję słowa tutaj ... _ przyłożył dłoń do serca - ... ale trudno mi przenieść uczucia slamtąd tutaj - powiedział, dotykając ust.

Przytuliła się do niego mocno.

- Och, Adrianie, to nieprawda. Twoje listy były takie piękne, tyle w nich było wrażliwości i emocji.

- Potrafię napisać to, co czuję. Umiem to przelać na papier, tylko nie potrafię powiedzieć.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Może dlatego, że tak wiele rzeczy tak długo trzymałem w sobie. Mam wrażenie, że straciłem zdolność porozumiewania się. Czuję jedno, a okazuję coś innego. Nie chciałem cię ranić, Maggie, ale wygląda na to, że właśnie to mi najlepiej wychodzi.

- Przecież możesz się nauczyć od nowa, jeśli się postarasz. Ciężar zawsze staje się łatwiejszy do udźwignięcia, jeśli można o nim z kimś porozmawiać.

- Nigdy nie miałem kogoś takiego.

- Więc dusiłeś w sobie uczucia i emocje?

- Pewnie tak. To chyba zrozumiałe. Który mężczyzna przy zdrowych zmysłach odsłaniałby duszę przed czterema braćmi! Wyobrażasz sobie docinki, jakie bym musiał znosić, gdyby wiedzieli, co czuję?

Maggie delikatnie dotknęła jego policzka.

- A co czujesz teraz?

- Że mam ci mnóstwo do powiedzenia ... ale nie wiem jak.
- Nie wiesz jak? - spytała. - Czy może się boisz?
Leżał z rękami założonymi pod głowę i patrzył w sufit.
- Może się boję. Nie wiem.
- Myślę, że się boisz. Nie będę się z ciebie śmiała, Adrianie, ani nie odrzucę twoich uczuć. Dlaczego tak się boisz zaufać?
- Bo zaufać to cierpieć - powiedział, zaciskając powieki.
- I dlatego zamykasz się w sobie.
- Dawno temu nauczyłem się, że jeśli ktoś ufa tylko sobie, nikt inny nie może go zranić.
- Czujesz, że ci, których kochałeś, cię zdradzili?
- Tak! - niemal krzyknął. - Tak. Tak. Tak. Chcesz wiedzieć dlaczego?
Pokiwała głową.
- Ponieważ każda osoba, która była mi bliska, każdy, kogo kochałem, albo umarł, albo się ode mnie odwrócił. Moi rodzice umarli, pozostawiając mnie sierotą, moi bracia rozproszyli się ... - Przecież Alex przyjechał tu z tobą.
- I wyjechał, zabierając ...
- Zabierając ze sobą Katherine - dokończyła za niego. - Kolejne odrzucenie.
- Teraz to już nie ma znaczenia. Po jakimś czasie człowiek się przyzwyczaja. Lepsza cicha śmierć niż publiczne upokorzenie. Wygląda na to, że moje serce wzmacnia się, kiedy zostaje zranione.

N następnego dnia Adrian nie pojawił się na śniadaniu ani nic wrócił do domu na kolację. Maggie spędziła rano samotnic; poszła z psem na długi spacer wzdłuż brzegu. Dłuższy czas przesiedziała na wysuniętym w morze cyplu, spoglądając na wodę i rymślając o ostatniej nocy. Płomień spędza się płomieniem, ból dawny nowym leczy się cierpieniem. Jakże prawdziwe wydały jej się teraz słowa z "Romea i Julii", kiedy cierpienie Adriana zatarło w jej pamięci wspomnienie własnego bólu. Cierpiała wraz z nim. Zawsze uważała, że łatwo jest się razem śmiać, a ból jest czymś zbyt osobistym, by go dzielić z drugą osobą. Zawołała psa i wróciła do domu. Krok miała lżejszy, a z jej twarzy zniknął wyraz strapienia. Adrian nie powiedział wprawdzie, że ją kocha, ale otworzył przed nią serce, a to już było bardzo wiele. Popołudnie spędziła w domu, próbując wykończyć swój ostatni obraz, przedstawiający Adriana z Izraelem. Na wielkim płótnie widniał Adrian w swobodnej pozie, zapatrzony w dal ponad wodami Pacyfiku, z dłonią wspartą na płowym łbie psa.

Maggie zamoczyła pędzel w żółtej ochrze, dodając odrobinę sieni palonej, po czym zastygła z uniesioną dłonią, nim pogłębiła cień na psim pysku. Przyszła jej do głowy zabawna myśl, że to był jedyny raz, kiedy widziała Izraela nieruchomego ... poza momentami, gdy spał, ma się rozumieć.

Ostatnie poprawki zawsze były męczące i czasochłonne, ale stanowiły dobry sposób na spędzenie leniwego popołudnia. Zrobiło się dość późno, kiedy zaczęła myć pędzle w terpentynie.

Nagle z holu dobiegł stuk gwałtownie otwieranych drzwi, a potem okrzyki zaprawione soczystymi przekleństwami.

Maggie szybko odłożyła na bok przybory malarskie i pośpieszyła w stronę kuchni, skąd niosły się odgłosy ciężkich kroków i ogólnej wrzawy.

Akurat kiedy weszła do środka, Adrian z Wielkim Johnem ciągnęli po podłodze wielki, przykryty jutowym workiem korpus zwierzęcia. W drugim kącie pomieszczenia, przy zlewie, Molly zmagala się ze stertą łososi.

* Przełożył Józef Paszkowski.

Stojąc pośrodku kuchni, Maggie spoglądała bezradnie raz na Adriana, raz na Molly.

- Gdzie ty byłeś? - odezwała się w końcu.

- Na rybach - odpowiedział, nawet nie unosząc głowy.

- Kończyły nam się zapasy mięsa, więc wybraliśmy się na połowy łososa. W drodze powrotnej trafiliśmy na stado łosi, i pani mąż jednego ustrzelił - rzekł Wielki John tonem wyjaśnienia.

- Mogłeś mi powiedzieć - zauważyła Maggie. - Martwiłam się o ciebie. Bałam się, że wynikły jakieś kłopoty w tartaku. - Spójrz na mnie, Adrianie, krzyczało jej w duszy. Zauważ, że istnieję. Nie odwracaj się ode mnie. Nie wstydź się ostatniej nocy. Ja cię nie skrzywdzę. Zaufaj mi.

Adrian nadal nie podnosił wzroku.

- Myślałem, że dowiesz się od Molly.

- Pani nie pytała - wtrąciła Molly, wzruszając ramionami - więc nie widziałam powodu, żeby jej mówić. Nie mam zwyczaju paplać o wszystkim, co wiem.

Adrian spojrział wymownie na Wielkiego Johna.

- Siedzę okrakiem na barykadzie i zamierzam tam pozostać - oświadczył Wielki John. - Chcę zachować pokój w rodzinie.

Adrian i Wielki John zgodnie wybuchnęli śmiechem. Na widok zgorszenia Maggie Adrian zaśmiał się jeszcze głośniejsze i poradził: - Nie rób takiej kwaśnej miny. Co będzie, jak twarz ci taka zostanie?

- Wcale nie jest kwaśna - stwierdziła sucho - chociaż trudno, by była słodka.

Podczas gdy Adrian z Wielkim Johnem dosłownie zataczali się ze śmiechu, Maggie szybko opuściła kuchnię i poszła na górę, żeby się przebrać. Nie chciała, by Adrian zauważył ślady farby na jej fartuchu, bo mógłby zacząć zadawać pytania, a wolała zachować swoją pracę w tajemnicy.

Po paru minutach wróciła, ubrana w starą sukienkę. Adrian, Molly i Wielki John byli po łokcie umazani krwią i wnętrznościami.

Maggie wstrzymała oddech i cofnęła się, nieprzygotowana na krwawą scenę.

- Nie wchodź tu - ostrzegł Adrian. - Nie trzeba, żebyś jeszcze wymiotowała na ten cały bałagan.

Maggie spojrzała na niego z osłupieniem.

- Nie wymiotuję. A poza tym, dlaczego mam nie wchodzić, skoro wy tu jesteście?

- To nie jest widok dla księżnej - powiedział - ale całkiem przyzwoite mięso dla robotników.

- Żaden Celt nigdy się nie wstydził wybierać łososie z rzeki, drzewo z lasu i jelenie z gór - powiedziała, zawijając rękawy. I obwiązując się w pasie fartuchem, dodała: - Wypatroszyłam w życiu więcej łososi, niż sobie wyobrażasz.

Adrian posłał jej krzywe spojrzenie.

- Radziłabym ci się tak nie krzywić - rzuciła lekko. - Co będzie, jak ci to zostanie?

Molly i Wielki John odpowiedzieli śmiechem, ale Adrian się nie odezwał. Molly jak zwykle nie darowała okazji do przytyku:

- Nie ma się co dąsać. Przecież nie zaatakowała pana szkockim mieczem.

- A co ty możesz wiedzieć na temat szkockich mieczy? - mruknął z niechęcią.

- Tylko to, co usłyszałam od pani - oznajmiła Molly, nie przestając się śmiać.

- Zatem rozumiem, że mnóstwo.

Wkrótce po lunchu następnego dnia Maggie zjawiała się w biurze tartaku. Adrian jej unikał, a ona chciała spędzić z nim trochę czasu, by mu pokazać, że chwila szczeroci tamtej pamiętnej nocy niczego między nimi nie zmieniła. Jedynie umocniła uczucia, jakie do niego żywiła. Jednak nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, w drzwiach ukazał się Wielki John.

- Wiedział pan, że Matt Greenwood pracował dla Talbota i Pope'a, zanim tu przyjechał? - spytał od progu.

- Nie wiedziałem. - Adrian poderwał się zza biurka. Spojrzawszy przy tym na Maggie, która zdejmowała pelerynę i czepek. - Jak się tego dowiedziałeś?

- Ten nowy, Saunders, właśnie mi powiedział. Sam szuka, 1 roboty u Talbota i Pope'a, ale go nie zatrudnili.

- Więc widział, jak Greenwood tam pracował - stwierdził Adrian. - To jeszcze nie musi o niczym świadczyć. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że ci ludzie wciąż przenoszą się z miejsca na miejsce.

- Ale nie wtedy, kiedy są panami sytuacji.

- Greenwood był u nich jednym z szefów?

Wielki John przytaknął.

- Nasuwa się pytanie o te wszystkie wypadki, co?

- Właśnie - przyznał Adrian.

- Chce pan, żebym go zwolnił?

- Nie, chcę, żebyś go złapał na gorącym uczynku. Znajdę kogoś zaufanego, żeby go miał na oku. Chcę wiedzieć o każdym jego ruchu.

- Już to zrobiłem - powiedział Wielki John. - Facet nazywa się Burt Haywood. Daję głowę za jego uczciwość.

- Nie obchodzi mnie, czy jest uczciwy, czy nie. Wystarczy, żeby był skuteczny.

Wielki John pokiwał głową i zniknął za drzwiami. Adrian spojrzawszy na Maggie; zauważył, że trzyma w ręku koszyk.

- Słyszałam, że nie jadłeś lunchu, więc coś ci przyniosłam.

- Nie mam czasu najedzenie, Maggie. Nie teraz. Ale dziękuję.

- No to cię nakarmię. I nie mów mi, że nie masz czasu otworzyć ust albo że robotnicy będą cię mieli za głupca.

Patrząc, jak Maggie wypakowuje zawartość koszyka i rozstawia ją na blacie biurka, Adrian myślał o tym, jak bardzo przypadł U do serca jego prostym, nieokrzesanym robotnikom. Ciągłe słyszał od nich słowa podziwu, że taka światowa, kulturalna kobieta zadała sobie trud, by nie tylko przystosować się do tutejszego surowego życia, ale wręcz brać w nim czynny udział.

Przylapał się na refleksji, że Maggie uosabia wszystko, czego kiedykolwiek pragnął w kobiecie. I w tym samym momencie zrozumiał, dlaczego Ross wybrał mu Maggie na żonę. Od pewnego czasu nie mógł przestać o niej myśleć całymi dniami i nocami.

Maggie napotkała wzrok Adriana i uśmiechnęła się do niego.

Odwinęła talerz jagodowych bułeczek i postawiła przed Adrianem, a potem znów sięgnęła do koszyka, wyjęła kolejny talerz i nucąc cicho pod nosem, zaczęła rozwijać serwetkę. Nie zważając na to, że Adrian nie okazuje zainteresowania jedzeniem, kręci się niespokojnie i daje jej do zrozumienia, by sobie poszła, nie przerywając nucenia rozstawiała na biurku kolejne talerze.

Adrian zdążył się już przekonać, że Maggie posiada ten rodzaj cierpliwości, który zwykłych ludzi doprowadza do szału. Co gorsza, cechował ją także irytująco niezmacony spokój. Adrian potrafiłby sobie radzić z furiatką, krzyczącą i ciskającą przedmiotami ... nawet z taką, która by kopała i gryzła.

Niestety, nie miał pojęcia, jak się obchodzić z kobietą, która zawsze pozostawała opanowana, rozumowała logicznie i nie brak jej było zdrowego rozsądku. Miał świadomość, że jej najmocniejszą bronią jest otwartość. Maggie słuchała i nie osądzała.

Doprowadzała go do szaleństwa.

Adrian zmarszczył brwi, spoglądając na sterty jedzenia zamiatające jego biurko. Wiedział, co będzie, ilu docinków będzie musiał wysłuchać, jeśli któryś z jego ludzi przypadkiem go zobaczy w tej sytuacji.

- Włóż to wszystko z powrotem do koszyka - polecił, wstając. - Nie mam czasu na jedzenie.

- Adrianie Mackinnon, nie wiesz, czego ci trzeba.

- Już mi to mówiłaś - mruknął. - Wiele razy. - Porwał z wieszaka kapelusz i czmychnął za drzwi, ledwie unikając trafienia kromką chleba, która za nim pofrunęła.

Całe popołudnie Adrian przesiedział w biurze, pochylony nad księgami. Dodawał liczby. Ostatnią kolumnę podliczył trzykrotnie. Grafitt się złamał od zbyt mocnego naciskania. Wreszcie wyrzucił ołówek i rozparł się w fotelu, opierając skrzyżowane nogi na biurku. Nic z tego. Nie był w stanie myśleć. Nie mógł się skupić. Na niczym poza Maggie.

Co najdziwniejsze, mimo wewnętrznego niepokoju, mimo panującego między nimi napięcia, czuł się swobodny i ZU dowolny.

Zadowolony? Opuścił nogi na podłogę, siadając tak gwałtownie, że oparcie krzesła uderzyło go w plecy. Zadowolenie. Obce dla niego słowo. Uczciwość nakazywała mu jednak przyznać, że pomimo dzielących ich różnic i chwili. lowych nieporozumień, było mu dobrze z Maggie.

Bezwiednie potarł brodę, kłującą świeżym zarostem. Umyślnie się nie ogolił tego ranka, tak jak umyślnie tłumił w sobie świadomość, że z.aczyna mu zależeć na Maggie. Bardzo zależeć. W głębi duszy wiedział, że jego uczucia do niej zaczęły się zmieniać już jakiś czas temu, lecz uparcie nie chciał sam przed sobą tego przyznać.

Za drzwiami rozległ się odgłos ciężkich kroków, a zaraz potem w progu ukazała się masywna postać Wielkiego Johna. Jego mina świadczyła niezbicie, że nie przynosi dobrych wiadomości.

- Przypłynął statek - oznajmił krótko.

- Gdzie jest Maggie? - spytał Adrian, myśląc o tym, że pewnie chciałaby zobaczyć zawijający do portu statek. - Była tu wcześniej, w chacie medycznej.

Nim Adrian dotarł na nabrzeże, Maggie już tam była; obok niej siedział Izrael.

Nagle Adrian zapragnął się dowiedzieć, co Maggie myśli, co do niego czuje. Już otworzył usta, żeby ją o to spytać, lecz słowa zamarły mu w gardle.

Oslupiał.

Był tak skupiony na tym, co chce jej powiedzieć, że aż do tej chwili nie widział, co się tu dzieje.

Nagle zobaczył idącą w ich stronę kobietę. Dwoje dzieci dreptało obok, uczone jej peleryny, a trzecie trzymała w ramionach. Kim ona, u diabła, jest, pomyślał. Co ona tu robi?

Widząc zbliżającą się Molly, Adrian zwrócił się do niej, wciąż Ilie wierząc własnym oczom:

- Na miłość boską, co to jest?

- Według mnie to są dzieci - odparła spokojnie Molly.-

Niech pan zamknie usta.

- Co one tu robią? Dlaczego wysiadają ze statku?

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała Molly. - Czemu pan nie spyta ... - Urwała, widząc, że Adrian wolno

odwraca się do Maggie.

Stała w milczeniu, drżąc na całym ciele. Czuła się tak winna, jak musiała się czuć Ewa po nakarmieniu Adama fatalnym jabłkiem. Krew odpłynęła jej z twarzy. Adrian przesywał ją wzrokiem. Przełknęła ślinę i otworzyła usta, ale nie mogły się z nich wydostać żadne słowa. Serce jej zamarło pod ciężkim, pytającym spojrzeniem Adriana.

- Adrianie - zaczęła z trudem - to nie jest tak, jak sądzisz. Przeniósł wzrok na dzieci, a potem znów utkwiał go w Maggie. - To są twoje dzieci - rzekł cichym, jakby martwym głosem. -

To są twoje dzieci - powtórzył, tym razem głośno i wyraźnie. Chwycił ją za nadgarstek i szarpnięciem przyciągnął do siebie. Mówił coraz głośniej, tak głośno, że słyszano go zapewne w całym obozie. - Kiedy zamierzałaś mi o nich powiedzieć? - Potrzęsnałą głową. - Jezu! Dzieci. Troje.

- Nie musisz krzyczeć. Uszy mam w porządku.

- Uszy może tak, ale rozum z pewnością nie. Co tu się dzieje? Należą mi się wyjaśnienia, więc lepiej zacznij od razu. Natychmiast.

Szczękając zębami, gorączkowo szukała właściwych słów, żeby mu wszystko wytłumaczyć, przekonać go, że zamierzała mu powiedzieć. Jednakże odpowiednie słowa jakoś nie przychodziły jej do głowy.

Potrzęsnałą nią gwałtownie. - Mów, do diabła!

- Co mam ci powiedzieć? To są moje dzieci ... cała trójka.

- Masz ich więcej?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Jesteś pewna, że jeszcze tuzin gdzieś się nie chowa?

- Nie, to są wszystkie.

- I ja mam ci wierzyć? Co jeszcze przede mną ukrywasz. Maggie? Ilu jeszcze sekretów mam się spodziewać?

- Żadnego. Nie ma więcej sekretów.

- I oczekujesz, że ci uwierzę?

- Wiem, że masz prawo się złościć, ale nie jest tak, jak myślisz. Nie chciałam cię oszukać. - Nie?

- Nie. Od początku chciałam ci powiedzieć.

- Więc czemu tego nie zrobiłaś? Miałaś na to mnóstwo czasu, co cię powstrzymało?

- Chciałam więcej czasu ...

- Czasu? Zrujnowałaś mi życie i twierdzisz, że miałaś zu mało czasu?

- Nie mam ci za złe, że jesteś zły.

- Zły? Zły? Nie jestem zły, to stanowczo zbyt łagodne określenie. Słowo wściekły też nie oddaje tego, co teraz czuję. Zmrużył oczy, ale nie zdołał ukryć płonącego w nich bólu. Niech cię diabli! Zależało mi na tobie - wyrzucił z siebie. Mogłem cię pokochać.

Świat, który dopiero co wydawał jej się taki promienny, nagle .legł w żalosnych gruzach.

- Jeszcze nie jest na to za późno. - Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jego ramienia. Wzdrygnął się jak oparzony. - Adrianie, proszę, uwierz mi. Nie chciałam, żebyś się dowiedział w taki sposób. Myślałam, że mam więcej czasu.

- Dlaczego? - spytał. - Dlaczego potrzebowałaś więcej czasu?

- Bo cię kocham. Bo się bałam, że cię stracę.

- Nie wierzę ci.

- To prawda. Kocham cię.

- Tym gorzej dla ciebie.

- Adrianie, proszę, pozwól mi wytłumaczyć.

Adrian nie chciał słyszeć więcej kłamstw. Nie chciał niczego słyszeć. Myślał tylko o tym, jakiego głupca zrobił z siebie tamtej nocy i jak ona teraz musi się z niego śmiać. W głowie dudniło mu nieznośnym echem; "Maggie, słodka Maggie. Znowu go oszukała".

Kiedy odwróciła się od niego, ogarnęła go dławiąca furia.

- Maggie! - krzyknął, z trudem wydobywając głos ze ściśniętego gardła.

Ale ona biegła już w stronę swoich dzieci.

Adrian jeszcze nigdy nie czuł się taki samotny, taki opuszczony.

Rozdzierał go ból; nie wiedział, co ma z sobą począć. Z bezradną miną odwrócił się do Molly. Nie znajdując u niej pomocy, spojrzał na Wielkiego Johna, ale i on tylko wzruszył ramionami.

Wściekłość i rozpacz nie pozwalały mu jasno myśleć.

- Kim jest ta kobieta? - spytał, jakby to miało jakieś znaczenie.

- Domyślam się, że to niańka albo guwernantka, czy jak tam u nich zwą dziewczynę do dzieci -

odpowiedział Wielki John. - Nie mogą tu zostać - powiedział Adrian.

- Chyba nie zamierza ich pan od razu odesłać? - spytała Molly z niedowierzaniem. - Spędzili na statku całe miesiące. To są dzieci. Odsyłanie ich od razu byłoby nieludzkie.

- A niby co, u diabła, mam z nimi zrobić? - zachnął się.

- Nie wiem, z pewnością wymyśli pan coś niemilego, chociaż na wyrzucenie ich za burtę jest trochę za późno, skoro zeszli na ląd.

- Nie bądź głupia - skarcił ją Adrian. - To do ciebie nie pasuje.

- Do mnie może nie, ale do pana jak najbardziej - odcięła się Molly, podążając w ślad za Maggie.

Adrian obserwował z oddali, jak jego żona wita się z dziećmi, ściska je ze łzami, jednakże, mimo jej widocznej radości ze spotkania, odniósł wrażenie, że coś jest nie w porządku. Kiedy rozmawiała z niańką, miała zatroskaną minę, a potem powiedziała coś poważnie do Molly.

Chwilę później Molly zawróciła w kierunku Adriana.

- I co? Zaprosiłaś je, żeby zostały? - odezwał się cierpko.

- Nie, ale myślę, że pan powinien. Dziecko, które ta kobieta trzyma w ramionach, jest chore. Ma wysoką gorączkę. Nic przeżyłoby drogi powrotnej ... nawet przy dobrej pogodzie, a jak wiemy" trudno się takiej spodziewać, zważywszy na porę roku.

Adrian poczuł się złapany w potrzask. Nie był w stanie myśleć ani mówić.

- Cóż ... - Wielki John przerwał przedłużające się milczenie. - Nie mogą wiecznie stać na brzegu. Mam je potopić?

- Nie gadaj bzdur!

- Czy to znaczy, że mam je zawieźć do domu? - spytał, już rzeczowym tonem, Wielki John.

- O, nie - wycedził Adrian przez zacinięte zęby. - Ten przywilej zachowuję dla siebie.

Maggie siedziała w wozie, trzymając Ainsley na kolanach, podczas gdy Fletcher i Barrie zajmowali miejsca po obu jej stronach. MoHy zasiadła na przednim siedzeniu, pomiędzy guwernantką Maude i Adrianem.

Pobladała i oszołomiona po ostatnich przeżyciach, Maggie przyciskała do siebie rozpalone ciało Ainsley. Za wcześnie, kołatało jej w głowie. Przybyły co najmniej o miesiąc za wcześnie. Zerknęła na Adriana, najego twarz zastygła w grymasie gniewu. Dobry Boże, przecież ,potrzebowała jedynie trochę więcej czasu, żeby wszystko się między nimi ułożyło. Nic chciała, żeby się dowiedział w taki sposób. Wiedziała jednak w głębi duszy, że to ona ponosi odpowiedzialność, bo nie przygotowała Adriana na odkrycie, które musiało być dla niego straszne.

- Już dobrze, moje dzielne maleństwo. Mama jest przy tobie. Nie martw się - szeptała, tuląc do siebie córeczkę.

Kiedy dotarli do domu, Adrian wziął Ainsley od Maggie i podał ją Molly, a potem wyciągnął rękę, żeby pomóc Maggie wysiąść. Ścisnął jej przy tym dłoń tak mocno, że omal nie połamał jej kości. Milcząco, z kamienną maską zamiast twarzy, zadbał o to, by przypadkiem nie dotykać jej dłużej, niż to było konieczne.

- Adrianie ...

- Zostawmy to - przerwał jej.

- Nie mogę. Wiem, jak musisz się czuć.

- Nie wiesz. Nie możesz tego wiedzieć.

- Przykro mi. Zamierzałam ci powiedzieć. Chciałam tylko zyskać więcej czasu.

- Już o tym mówiliśmy.

- Czy to źle, że chciałam, by ci zaczęło na mnie zależeć? Zależać na tyle, żebyś zrozumiał?

- Wszystko było nie tak od samego początku. Nie rozumiem ciebie ani tego, co robisz. I już nie chcę zrozumieć

. - Adrian, proszę cię, spróbuj.

- Nie mam zamiaru próbować. Nigdy.

- Co według ciebie mam zrobić? Wyjechać? Tego chcesz? Chcesz, żebym wzięła dzieci i wróciła do Szkocji?

Z twarzą jak lodowa maska, głosem, jakiego jeszcze u niego nie słyszała, wycedził nienawistnie:

- Myślę, że to doskonały pomysł. O niczym innym nie marzę. Wziął Ainsley od Molly i podał jej bez słowa.

Nim Maggie doszła do siebie, odwrócił się do niej tyłem, nakazując swoim ludziom, by wypakowali z wozu bagaże i zanieśli je do domu.

Potem poszedł na tył wozu, odwiązał swojego konia, wskoczył na siodło i pognął przed siebie na złamanie karku.

- Czy to był on? To był pani mąż? - spytała Maude.

- Tak, to Adrian.

- Miły gość. Musi mieć w sobie szkocką krew.

- Jest Szkotem do szpiku kości i tego nie ukrywa.

Maggie spojrzała na Ainsley, dotykając jej rozpalonego czoła.

- Gorączka pokładowa - powiedziała Maude. - Tak to nazwał kapitan. Spadła na nią całkiem zniecka. Skarżyła się na ból głowy i na to, że bołą ją plecy i nogi. Zaraz potem zaczęła gorączkować. Biedactwo, była bardzo chora i płakała za panią.

- Chodź, skarbie, mamusia jest przy tobie - powiedziała czule Maggie, kierując się do domu. Drobne ciało Ainsley aż parzyło w jej ramionach. Maggie czuła łzy, spływające po policzkach.

- Potrzebujemy zimnej wody i mnóstwo czystych prześcieradeł! - zawołała do Molly od progu. - Muszę ją wykapać, żeby obniżyć gorączkę.

- Nie obniży się - powiedziała Maude. - Kapałam biedactwo od dwóch dni, a gorączka wciąż rosla.

- Przyniosę wody - zaferowała Molly. - Jeśli nawet to nic obniży gorączki, może chociaż pomoże, żeby się nie podnosiła. Musimy też dopilnować, żeby mała coś zjadła. Potrzebuje siły do walki z chorobą. -

Molly przyjrzała się Ainsley. - Módlmy się, żeby ten kapitan miał rację.

Maggie spojrzała na nią pytająco.

- Co masz na myśli?

- Mam nadzieję, że to gorączka pokładowa. Sądząc po tym, w jakim jest stanie, to może być gorączka pokładowa ... albo dur brzuszny.

- O mój Boże - jęknęła Maggie. - Zabierz ze sobą Fletchera i Barrie - zwróciła się szybko do Maude. - Nie chcę, żeby ktoreś z nich zbliżyło się do Ainsley. Bez względu na to, czy to gorączka pokładowa, czy dur brzuszny, mogą się zarazić, jeśli nie za chowamy ostrożności. - Wzięła Maude za rękę. - Wybacz, ale będziesz musiała sama się tu jakoś odnaleźć, Maude. Spróbuj wytłumaczyć Fletcherowi i Barrie, że nie mogą być z nimi, bo muszą zostać przy Ainsley.

Wyjrawszy przez okno, Maude zobaczyła, jak Fletcher i Barrie gonią wielkiego płowego psa.

- Z tego, co widzę, nie będzie z tym problemu. Mają się czym zająć. I czują się dobrze ... znacznie lepiej niż pani. Więc proszę się o nich nie martwić.

Maggie zaniósła Ainsley do pokoju, w którym zawsze ją sobie wyobrażała - do jasnego narożnego pokoju na drugim piętrze. Ułożyła córeczkę na łóżku i zdjęła z niej ubranie. Kiedy Molly przyniosła miednicę z zimną wodą, Maggie rozpoczęła kąpiel. Najpierw dokładnie umyła Ainsley mydłem, a potem obłożyła zimnymi, mokrymi prześcieradłami.

- Spal to - poleciła Molly, wręczając jej ubranie dziewczynki. Zupełnie wyczerpana, bojąc się odejść od boku córki, Maggie klęczała przy łóżku, wsłuchana w przyspieszony oddech Ainsley. Żeby dodać otuchy bardziej sobie niż córce, ujęła jej drobną rączkę i zaczęła się modlić.

Było już ciemno, kiedy Adrian wrócił do domu. W kuchniznalazi Molly i zimną kolację. Niańki i dwójki starszych dzieci nie było nigdzie widać. Jakby czytając w jego myślach, Molly powiedziała:

- Maude położyła je do łóżka zaraz po tym, jak zjadły kolację.

- A Maggie?

- Malutką położyliśmy w tym dużym narożnym pokoju na drugim piętrze. Pani ciągle jest przy niej.

Adrian skinął głową i wyszedł z kuchni, zabierając ze sobą lampę. Wspiął się po schodach na drugie piętro. Gdy otworzył drzwi do narożnego pokoju i uniośł wysoko lampę, dostrzegł Maggie. Spała, siedząc na podłodze, z głową opartą tuż obok główki dziewczynki. Postawił lampę na stole i stanął nad śpiącymi. Miały ten sam kolor włosów; właściwie trudno było rozróżnić, gdzie kończą się włosy Maggie, a zaczynają dziecka. Dziewczynka była uderzająco podobna do matki. Nie zastana-wiając się nad tym, co robi, Adrian podniósł Maggie z podłogi i ułożył na łóżku obok śpiącego dziecka. Maggie zamruczała coś niewyraźnie, ale się nie obudziła.

Przez chwilę stał przy łóżku, przyglądając się śpiącym. Potem przyłożył rękę do czoła Ainsley. Było rozpalone od gorączki. Zdjął z dziecka prześcieradło, zamoczył w miednicy, wykrecił i ułożył z powrotem na miejsce. Nawet ostatni głupiec by zobaczył, że dziewczynka jest ciężko chora. Adrian czuł ulgę, że tym razem gniew nie odebrał mu całkowicie zdolności myślenia, jak to się czasami zdarzało, i poszedł po

lekarza do San Francisco.

Kiedy spojrzął na Maggie, złość trochę ustąpiła. Przyszedł do tego pokoju, żeby jej powiedzieć, że chce z nią porozmawiać, lecz widząc wyczerpanie malujące się na jej twarzy, uznał, że to może poczekać. Co się miało stać, już się stało. Doszedł do wniosku, że równie dobrze może porozmawiać z nią jutro_ Przeniósł wzrok na dziecko. Jutro lub pojutrze, poprawił się w myślach.

Znów popatrzył na Maggie. Swoją żonę. Swoją żonę, która była wcześniej żoną innego mężczyzny.

Maggie - żona. Maggie - matka. Maggie - oszustka, zdrajczyni. Serce mu się ścisnęło.

Czy były jeszcze jakieś inne Maggie?

Wyszedł z pokoju. Schodząc na dół po schodach, zastanawiał się, jakie jeszcze sekrety przed nim skrywała. Przetarł zmęczone oczy. Miał poczucie, że nie panuje nad własnym życiem, i nie wiedział, co ma robić. A przecież był człowiekiem czynu, jedne, z jego największych zalet była zdolność przewidywania problemów i zapobiegania im na czas. Jednak odkąd ta płomiennie-włosa Szkotka wkroczyła w jego życie, żył w stanie ciągłego zamętu.

Z jednej strony miał ochotę spakować Maggie i jej dzieci i odesłać ich wszystkich tam, skąd przybyli. Z drugiej pragnął odesłać dzieci, a zatrzymać Maggie. Przychodziło mu też na myśl, by zatrzymać ich wszystkich. Chciał. Nie chciał. I nic rozumiał, jak może czuć to wszystko równocześnie.

Po prostu cierpiał.

14

Gdyby nie sprzyjające wiatry, statek wiozący doktora Hirama Farnswortha nigdy by nie obrócił do San Francisco i z powrotem tak szybko.

Adrian osobiście przywiózł doktora do domu, ale polecił Molly, by zaprowadziła go na górę. Molly nawet nie próbowała ukryć dezaprobaty.

- Pan nie wejdzie? - rzuciła, przyszpilając go do ściany spojrzeniem spod zmrużonych powiek.

- Nie, nie wejdę. Już i tak na zbyt długo oderwałem się od pracy. Muszę pilnować interesu, a poza tym zupełnie się nie znam na medycynie. - Zerknął na lekarza. - Macie wszystko, czego potrzebujecie. Ja bym tylko przeszkadzał. Muszę wracać do tartaku.

Molly zbyła jego wyjaśnienia gniewnym mruknięciem i poprowadziła doktora na górę.

Adrian popatrzył za nią ze złością. Głupia kobieta, prychała i mruzczała na niego przy każdej okazji.

Zaczynał mieć wątpliwości, czy Molly w ogóle potrafi się porozumiewać przy użyciu słów.

- Do diabła - warknął, wpychając ręce do kieszeni. Naprawdę miał mnóstwo pracy. Był niezbędny w tartaku. Nie mógł... Nagle uświadomił sobie coś dziwnego. Im więcej o tym myślał, tym bardziej się dziwił, dlaczego zawsze czuje się winny albo ma poczucie, że musi się usprawiedliwiać przed MoHy i Maggie. Przecież to nie on oszukiwał. To z całą pewnością nie on zdradził Maggie. W tym domu jest za dużo kobiet, powiedział sobie w duchu. Przypomniawszy sobie o dwóch córeczkach Maggie, dodał, że teraz jeszcze przybyły posiłki.

Wystarczająco wiele osób zajmowało się córką Maggie, żeby jeszcze on się dołączał do zamieszania. "A pan nie wejdzie?" Słowa MoHy tłukły mu się echem po głowie.

Już w drodze do drzwi przypomniał sobie, że zostawił księgę~ rachunkową w swoim gabinecie. Ruszył po nią, gdy z kolei mu się przypomniało, że w swoim pokoju na komodzie zostawił szczyrzyk. Wszedł na schody.

Wówczas sobie przypomniał, że nie jadł śniadania i najprawdopodobniej nie ma co liczyć na lunch, więc wstąpił do kuchni, włożył dwa kawałki kielbasy z łosia między kromki chleba i zauważywszy, że kawa jest wciąż gorąca, nalał sobie kubek i usiadł przy stole, żeby się posilić.

Po jedzeniu skierował się wreszcie do wyjścia. W holu przy stanął, patrząc na szerokie zakręcone schody. Lekarz wciąż był na górze. Co mnie to właściwie obchodzi, zadał sobie w duchu pytanie.

Nic, odpowiedział sam sobie, otwierając drzwi. Wyszedłszy na ganek, spojrzął w niebo. Zanosilo się na deszcz. Może powinien zmienić buty ... Cofnął się do środka i po raz drugi wrócił do swojego pokoju.

Zmienił buty i zszedł na dół. Już przy drzwiach przystanął, zastanawiając się, czy aby nie powinien wrócić na górę po nieprzemakalny płaszcz. Nim podjął ostateczną decyzję, po schodach zeszła Molly i zmierzyła go twardym, oskarżycielskim spojrzeniem.

- Na co się gapisz? - rzucił zaczepnie.

- Pan jeszcze tu jest? - odezwała się w tym samym momenck Molly.

- A myślisz, że rozmawiasz z duchem?

- Nie, duchem to pan nie jest, ale zastanawiam się, czy przypadkiem nie jest was dwóch. Bo wygląda na to, że jeden chce zostać, a drugi wyjść.

- Chcę wyjść.

- Więc co pana zatrzymuje? Myślałam, że jest pan potrzebny w tartaku - zakpiła. - Czy aby na pewno nie zmienił pan zdania? - Na pewno. - MoHy wpatrywała się w niego groźnie; dyszała ciężko, nozdrza jej drgały. - Po prostu coś mnie zatrzymało.

Po minie Molly poznał, że nie uwierzyła w ani jedno jego słowo.

- Pójdzie pan teraz na górę? Adrian się zawahał.

- Jest tam lekarz, na co ja mógłbym się przydać?

- Może pani byłoby miło mieć trochę towarzystwa.

- Jeśli chce towarzystwa, może zawołać Izraela - rzekł cierpko.

- To dopiero mądra rada - sarknęła. - Gdyby pan nie był taki bezmyślny, toby pan wiedział, jak ciężko kobiecie przechodzić przez coś takiego samej. Wiem, jak ona się czuje. Nigdy bym nie przeżyła śmierci moich chłopców, gdyby nie ten wielki stary gbur, który jest moim mężem. Wielki John PoHy nigdy mnie nie opuścił w potrzebie.

- Wielki John nigdy cię nie oszukał tak jak Maggie mnie.

- Cóż, gdyby to zrobił, chyba nie byłabym taka zatwardziała, żeby chociaż nie próbować zrozumieć.

- Dajmy temu spokój, Molly. Między tobą i Wielkim Johnem było inaczej niż między mną i Maggie.

- Nie wydaje mi się, żeby aż tak bardzo inaczej - stwierdziła. - My po prostu byliśmy wobec siebie bardziej szczerzy.

Adrian przesunął dłonią po oczach. Był zmęczony i nie miał ochoty na dalsze dyskusje z Molly.

- Myśl sobie, co chcesz - westchnął.

- I dobrze. Myślę, że pan jest głupi, nie chcąc jej wysłuchać. Nigdy w życiu nie pragnął pan niczego tak bardzo, że bał się pan to stracić?

- Chyba zapomniałaś, Molly. Ja w życiu tylko traciłem _ powiedział Adrian i skierował się do swojego gabinetu.

Molly przystanęła u stóp schodów, obserwując go z daleka.

- Mówił pan, zdaje się, że zamierza jechać do tartaku. Drzwi wyjściowe są tam - zauważyła, wskazując we właściwą stronę. - Wiem, gdzie są te cholerne drzwi! - zawołał. - Postanowiłem popracować tutaj. - Ściszył głos. - Przeszkadza ci to? - Nieczekając na odpowiedź, odwrócił się do niej plecami.

- Też coś! Pewnie, że nie - powiedziała, uśmiechając się pod nosem.

W gabinecie Adrian zaczął przeglądać korespondencję, ale litery zamazywały mu się przed oczyma niczym mokry atrament, zlewały się razem, tworząc zarys kobiecej twarzy.

Maggie.

Jak to możliwe, by zwykle plamy atramentu mogły oddać tajemniczą głębię oczu? Patrzyły na niego z bólem i żalem. Potrząsnęła głową, zły na siebie za uleganie głupim fantazjom. Był przecież dorosłym mężczyzną, człowiekiem obowiązku. Sny na jawie mogły uchodzić tylko dzieciom.

Dzieci. To słowo zazgrzytało mu w mózgu, jakby nóż przejechał po odkrytej kości. Już samo słowo go przerażało. Cóż on wiedział o dzieciach? Od bardzo dawna nie miał z żadnym z czynienia. Oczywiście, pragnął dzieci, ale swoich własnych. które by znał od urodzenia i miał dość czasu do nich przywyknąć, zanim się staną małymi ludźmi. Zbyt wiele się wydarzyło i zbyt szybko. Nie był przygotowany na posiadanie od razu licznej rodziny, tak jak nie był przygotowany na wstrząs wywołany oszustwem Maggie.

Maggie. Nawet jej imię sprawiało mu ból. Serce mu się ścisnęło z żalu, że ją traci.

Próbował znów skupić uwagę na pracy. Bez skutku. Nie mógł pracować. Nie mógł myśleć o niczym poza Maggie i tą mail, dziewczynką tam na górze. Przypomniał sobie, jak trzymał ją na rękach, pomagając Maggie wysiąść z wozu. Dziecko było lekkie jak piórko. I takie rozpalone od gorączki.

Poderwał się zza biurka, podszedł do okna i patrzył, jak strużki deszczu spływają po szybach. Po raz pierwszy od lat stanęła mu przed oczyma niewyraźna postać Margery, jego małej siostrzyczki. Pamiętał tamtą straszną zimę, nim została porwana, kiedy była chora na krup i bardzo kaszlała. Matka z ojcem zbudowali z koców namiot nad jej łóżkiem i wstawili do środka garnki z wrzącą wodą, w nadziei że para pomoże zwalczyć chorobę. Oczyma duszy widział ojca, poszarzałego na twarzy ze strapienia, chodzącego niespokojnie tam i z powrotem, podczas gdy matka siedziała pod namiotem razem z Margery. Najmocniej jednak utkwilo mu w pamięci, jak ojciec ścisnął je obie i płakał, kiedy gorączka ustąpiła i matka powiedziała, że Margery będzie zdrowa.

Chwilę później Adrian szybko opuścił swój gabinet i udał się na drugie piętro.

Maggie stała po drugiej stronie łóżka, naprzeciw doktora Farnswortha, który badał Ainsley. Nie zauważyła Adriana, kiedy wszedł do pokoju i stanął przy drzwiach. Z ramionami skrzyżowanymi na piersi oparł się o

ścianę i słuchał lekarza, spoglądając raz na pobladłą twarz żony, raz na rozpaloną buzię dziewczynki.

- Taaak, wysoka gorączka, ogólne osłabienie. - Doktor Farnsworth uniósł koszulkę dziecka i przyjrzał się sienie wysypce. - Kiedy to się pojawiło?

- Trzy dni temu - odpowiedziała Maggie.

- I mówi pani, że gorączka wystąpiła na dwa dni przed wysypką?

- Tak, dzień po wypłynięciu z San Francisco.

- Niestety - westchnął. - Szkoda, że to się nie stało wówczas, kiedy byliście bliżej lekarza. - Przykrył dziecko, a potem zajrzał mu pod powieki. - Oglądała pani jej język? Jest biały?

- Tak.

- Wystąpiło majaczenie, mówienie przez sen, niespokojne ruchy, nerwowość?

- Tak.

Spojrzał na Maggie znad okularów.

- Tak? Który z tych objawów?

- Właściwie wszystkie.

- Hmm - mruknął doktor Farnsworth z zadumą.

- Czy to źle? Że wystąpiły wszystkie?

- I źle, i dobrze. Źle z oczywistych powodów, a dobrze, bo to mi pomaga w postawieniu diagnozy. - Doktor Farnsworth zdjął okulary i schował je do kieszeni. - Cóż, dziękować Bogu, to nie dur brzuszny. To tyfus ... albo gorączka pokładowa, jak kto woli. - Widząc przestrach na twarzy Maggie, dodał: - Pani córka jest młoda i silna, i poza tym zdrowa. To dobrze rokuje. - Zastanowił się przez chwilę. - Jeśli jest pani pewna, że gorączka wystąpiła siedem dni temu, to za trzy dni powinno nastąpić przesilenie. Potem temperatura powinna się gwałtownie obniżyć.

Maggie spojrzała na wymizerowaną, bladą twarz córeczki. - Nie można by jej czegoś podać? Jakiegoś lekarstwa?

- Właściwie nie ma nic takiego. Przy tyfusie organizm musi sam zwalczyć chorobę. Wygląda na to, że mała dobrze sypia, ale zostawię roztwór opium, na wypadek, gdyby silnie majaczyła albo nie mogła spać. Majaczenie jest normalnym objawem tej choroby. Będzie niespokojna i będzie mówić od rzeczy. Proszę jej zapewnić spokój i ciszę. Kiedy się obudzi, trzeba jej dać bulionu. - Rozejrzał się po pokoju. - Pomieszczenie jest obszerne i wygodne. To dobrze.

- Więc sądzi pan, że ma szansę?

Doktor Farnsworth poklepał Maggie po ramieniu.

- Zawsze jest szansa, pani Mackinnon. Widziałem ludzi, którzy dochodzili do siebie, choć nigdy bym nie uwierzył, że przeżyją.

I takich, którzy umarli, choć mieli 'szanse przeżyć, pomyślał Adrian.

- Jak już mówiłem, jest młoda i zdrowa. Niech się pani nie zamartwia. Musi pani zachować siły, żeby się nią należycie opiekować.

Maggie poczuła łzy pod powiekami, lecz ochota do płaczu ją opuściła, kiedy zerknąwszy w stronę drzwi, dostrzegła Adriana.

- Kiedy będę mogła zabrać ją z powrotem do Szkocji? - spytała, nie patrząc na niego.

Jej słowa ugodziły Adriana prosto w serce. Nietrudno było zgadnąć, że pytanie zostało zadane na jego użytek.

Doktor Farnsworth uniósł krzaczaste brwi.

- Z powrotem do Szkocji? Przecież sama pani mówiła, że dopiero co przyjechała?

- Rzeczywiście - przyznała Maggie, odruchowo kierując wzrok w stronę drzwi.

Doktor Farnsworth podążył za jej spojrzeniem.

- Rozumiem. Cóż, muszę powiedzieć, że przez jakiś czas podróż będzie wykluczona. Mała potrzebuje ciepła i spokojnego odpoczynku przez co najmniej trzy miesiące. Sześć miesięcy do roku byłoby jeszcze bardziej wskazane. Tyfus może mieć nawroty. W sadzenie jej z powrotem na statek o tej porze roku byłoby równoznaczne z morderstwem, pani Mackinnon. - Oczy Maggie zrobiły się wielkie i okrągłe. - Przepraszam, że nie owijam słów w bawełnę, ale chciała pani usłyszeć moją opinię. Nie widzę powodów, bym nie miał być z panią całkiem szczery. Zresztą chyba tego pani ode mnie oczekuje, gdy chodzi o życie pani dziecka.

- Oczywiście, dziękuję.

Maggie zmieniła okład na czole Ainsley, a potem odprowadziła doktora na dół. Kiedy wychodzili z pokoju, Adriana nie było już przy drzwiach. W holu Maggie powiedziała do lekarza:

- Jeśli zechce pan chwilkę zaczekać, znajdę kogoś, żeby odwiózł pana do portu.

- Won g czeka na zewnątrz w powozie. Odwiezie doktora Farnswortha - odezwał się Adrian za jej plecami. Podziękowawszy lekarzowi, uściśnął mu rękę i otworzył przed nim drzwi. Maggie patrzyła, jak odprowadza doktora do powozu; pochyleni ku sobie głowami, rozmawiali o czymś z powagą. Maggie postąpiła chwilę w progę, a potem poszła odszukać Molly.

Pozwoliła Molly wziąć wolne na resztę dnia i skierowała się z powrotem do pokoju Ainsley. W holu niemal wpadła nił Adriana; stał przy schodach, jakby na nią czekał.

Na jego widok krzyknęła cicho, odruchowo podnosząc rękę do szyi.

- Przestraszyłeś mnie. Nie spodziewałam się, że tu będziesz powiedziała.

- A ty dokąd idziesz?

- Do Ainsley.

- Chyba powinnaś trochę odpocząć - powiedział po chwili wahania.

- Nie mogę teraz odpoczywać. Wypałam się ostatniej nocy.

- Mam na myśli prawdziwy odpoczynek, Maggie. Nie przydasz się Ainsley na nic, jeśli nie będziesz miała siły miel. oczu otwartych. Połóż się, a ja powiem Molly, żeby z nią posiedziała.

- Właśnie odesłałam Molly do domu.

- Dlaczego?

- Była tak samo zmęczonajakja. Spędziła na nogach prawie całą noc.

- A Maude?

- Kazałam jej zabrać Barrie i Fletchera na piknik.

Maggie nie potrafiła powiedzieć, dlaczego nagle zaczęła się trząść na całym ciele, a nogi w kolanach zrobiły jej się dziwnie miękkie. Może to sprawił szok albo napięcie nerwowe, a może po prostu ulga, że Ainsley ma szansę przeżyć. Było jej zimno, czuła się zagubiona i samotna, miała wrażenie, że zaraz się zachwieje i upadnie.

- Jesteś wyczerpana - powiedział Adrian, podchodząc do niej. - Idź do łóżka, póki jeszcze możesz chodzić o własnych siłach. Ja zostanę z dzieckiem. - Ruszył po schodach na górę, a Maggie tylko patrzyła za nim w bezradnym milczeniu.

- Zaczekaj! - zawołała w końcu. - Nie możesz z nią zostać. Adrian przystanął i odwrócił się powoli.

- Dlaczego? Boisz się, że mógłbym ją udusić?

Maggie pobladała.

- Nie, oczywiście, że nie, ale ona może się obudzić, a poza tym, trzeba zmieniać okłady.

- Nie jestem idiotą, Maggie. Myślę, że poradzę sobie z wykręceniem kawałka szmaty.

Trzymając się balustrady, Maggie z trudem weszła na schody.

Miała zamiar pójść do Ainsley, lecz kiedy mijiała drzwi swojego pokoju, zatrzymała się, przyznając w duchu, że Adrian jednak ma rację. Była zbyt wyczerpana, by jasno myśleć.

Przychodzi taki moment, powiedziała sobie, że sen staje się nieunikniony. Czuła, że jeśli natychmiast się nie położy, po prostu padnie z nóg.

Na górze Adrian odgarnął wilgotne włosy przyklejone do czoła Ainsley i zmienił jej kompres. Następnie, siadając na krześle przy łóżku, rozejrzał się po pokoju, który sam wybudował, a który wcale nie wydawał mu się znajomy. Doskonały pokój dla małej dziewczynki, pomyślał, wyobrażając sobie zabawki rozrzucone na jasnym dywanie, lalki siedzące rzędem na półce, falbaniaste firanki w oknach.

Wrócił spojrzeniem do śpiącego dziecka. Właściwie nic nie wiedział o takich małych istotach. Według jego obliczeń, musiało minąć dobre dwa lata, od kiedy ostatnio widział jakieś dziecko. Więc co, na miłość boską, miał zrobić z tą trójką, która nagle znalazła się pod jego dachem? Przyglądając się nieruchomej, bladej twarzyczce, próbował sobie przypomnieć siebie w tym wieku, ale mu się nie udało.

Wpatrywał się w dziewczynkę z zaciekawieniem. Musiał przyznać, że dzieci nie są takim znowu dziwnym zjawiskiem. Są jakby miniaturą dorosłych osób. Ta mała nie wyglądała szczególnie przerażająco. Fakt, że spała. Zastanawiał się, dlaczego dotąd trochę bał się dzieci.

Może dlatego, że posiadały jakiś dodatkowy zmysł, którego dorośli byli pozbawieni, a który pozwalał im odgadywać cudze myśli. No i były szczere. Aż do bólu.

Ainsley poruszyła się, mamrocząc coś, czego nie zrozumiał.

Zmienił jej okład. Przekładając jej rączkę zwisającą poza łóżko. zdumiał się, że jest aż tak drobna.

Przecież to jeszcze maleństwo, pomyślał, oglądając cieniutki(' paluszki. Zauważył, że dziewczynka ma bliznę na dłoni i właśnie zastanawiał się, w jaki sposób się skaleczyła, kiedy zaczęła się niespokojnie wiercić.

- Tato! - zawołała piskliwie. - Tato, gdzie jesteś? - Zaczęła się rzucać na posłaniu i szarpać się za włosy.

Przestraszony, że je sobie powyrywa, Adrian przytrzymał ją delikatnie.

- Już dobrze! Przestań - powiedział i natychmiast poczuł sił,; głupio, bo przecież te słowa były zbyt szorstkie, żeby je mówi do dziecka. Ale jak należało się zwracać do takiej małej istoty? Wrócił pamięcią do swego dzieciństwa, próbując sobie przypomniać matkę. Zamknąwszy oczy, niemal usłyszał, jak śpiewa kołysankę po celtycku. Matka była czułą kobietą i miała łagodny głos. Ainsley znów zawołała ojca.

- Ciii ... - szepnęła Adrian, chwytając ją ostrożnie za ręce. -Wszystko będzie dobrze.

Dziewczynka wciąż miotła się na łóżku, wykrzykując raz po raz nie zrozumiałe słowa. Adrian starał się wymyślić coś, co mógłby jej powiedzieć, ale przychodziła mu na myśl jedynie rymowanka, którą śpiewały dziewczynki z sąsiedztwa. Zerkając z obawą na drzwi, zaczął cicho nucić:

Biedroneczko leć do nieba,

Przynieś mi kawałek chleba.

I daj mi go prosto do ręki,

Nie pamiętam dalszych słów tej głupiej piosenki.

Ainsley leżała spokojnie, dopóki śpiewał, lecz gdy tylko przestał, znów zaczęła się rzucać.

- Tato ... tato ... tato! Nie odchodź - mówiła spierzchniętymi od gorączki ustami, zaciskając paluszki na dłoni Adriana. - Nie zostawiaj mnie, tato. Proszę, nie zostawiaj mnie.

- Nie zostawię - obiecał. Czuł się nieswojo, oszukując dziecko, choć usprawiedliwiał się w duchu, że to konieczne, by je uspokoić. - Jestem tutaj, więc śpij - powiedział, gładząc dziewczynkę po czole.

Poskutkowało, bo po chwili zapadła w spokojny sen.

Adrian widocznie także musiał się zdrzemnąć, bo kiedy Ainsley zaczęła się znowu kręcić, obudził się gwałtownie. Dziecko mamrotało coś nieskładnie, ale w końcu ucichło, nie puszczając ręki Adriana.

Ile razy próbował uwolnić dłoń z uścisku, mała zaczynała się rzucać i mówić przez sen. Adrian westchnął, zastanawiając się, czy to możliwe, by mógł przejąć na siebie część gorączki z jej ciała, które wydawało się zbyt małe, by wytrzymać taki żar.

Wciąż siedział trzymany przez Ainsley za rękę, kiedy Maggie weszła do pokoju. Usłyszawszy stuk zamykanych drzwi, szybko cofnął dłoń, spoglądając na Maggie ..

_ Ja ... chyba lepiej jej się spało - wyjaśnił niepewnym głosem, podrywając się na nogi.

_ Dziękuję ci - powiedziała cicho Maggie. - Teraz ja z nią zostanę•

_ Może lepiej zajmij się kolacją. Ja mogę jeszcze trochę tu posiedzieć.

_ Molly wróciła. Kiedy tu szłam, szykowała już kolację• Adrian odszedł od łóżka, przystanął i z dziwnym wyrazem

twarzy zwrócił się do Maggie:

- Opowiedz mi o jej ojcu - poprosił. Maggie nie zdołała ukryć zdziwienia. - Pytasz o Buce'a?

Adrian popatrzył na Ainsley.

_ Ciągle go wołała. Majaczyła w gorączce ... Myślała ...

- Że ty jesteś jej ojcem.

_ Właśnie. - Zaczerwienił się; żeby to ukryć, odwrócił głowę. - Byłem ciekaw ... to znaczy, zastanawiałem się .. • - Przejechał dłonią po włosach. - Zresztą nieważne.

_ Byłeś ciekaw, czy Bruce był do ciebie podobny - odpowiedziała. Nie brzmiało to jak pytanie.

- Tak, chyba tak.

_ Bruce był mniej więcej twojego wzrostu, ale cięższy, bardziej muskularny i miał znacznie ciemniejsze włosy, prawie czarne. -Urwała na chwilę, jakby się namyślała, po czym mówiła dalej: -W ogóle nie jesteście do siebie podobni. Bruce dużo mówił i lubił się przekomarzać. Szybko się zaprzyjaźniał. Miał bardzo wyraźny szkocki akcent. Lubił żartować, śmiać się i uwielbiał nasze dzieci.

- Jednym słowem, był tym wszystkim, czym ja nie jestem.

- Chyba można tak powiedzieć, ale nie powinieneś tego odbierać jak zarzutu. - Maggie widziała, jak Adrian zaciska zęby. - Myślałam, że będziesz zadowolony, że tak się od niego różnisz. Z czasem dzieci pokochają cię takiego, jaki jesteś, dla setki powodów zupełnie różnych od tych, dla których kochały swego ojca. Będą ... - Zamilkła gwałtownie, uświadomiwszy sobie, co mówi. Głupia, głupia, skarciła się w duchu. Ani ja, ani dzieci nie zostaniemy tu na tyle długo, by to się mogło stać. Spojrzała mu w oczy. -

Przepraszam. Nie chciałam sugerować ... Wiem, co musiałeś sobie pomyśleć.

- Przeciwnie. Nie sądzę, byś znała moje myśli, a co do sugestii... - Urwał, a potem dodał głośnie: - Nie myśl, że jestem taki naiwny, słodka Maggie. Mam wrażenie, że doskonale wiesz, co robisz. Tak samo jak wiedziałaś, co zrobić, by mi zależało za skórę.

Już od progu zobaczył, że druga dziewczynka, ta o imieniu Barrie, siedzi w bujanym fotelu, śpiewając lalce, którą trzyma na kolanach. Kiedy wszedł do środka, Barrie zsunęła się z fotela i okrążyła go szerokim łukiem, najwyraźniej zmierzając do drzwi. Przyglądała się Adrianowi nieufnie, jakby próbowała podjąć jakąś decyzję.

- Dokąd się wybierasz? - spytał gderliwie. Dziewczynka zmarszczyła czoło.

- Nie chcę tu zostać - powiedziała cicho, przyciskając lalkę do siebie.

- Dlaczego? Bo ja tu jestem?

- Tak.

- Zostań, jeśli masz ochotę. Nie ugryzę cię.

- Właśnie, nie ugryziesz, jeśli mnie tu nie będzie. - Powoli zbliżała się do drzwi.

- Zaczekaj - powstrzymał ją, zwracając. - Ja wyjdę z domu i poszukam sobie jakiegoś spokojnego miejsca.

Już na zewnątrz usłyszał szczekanie Izraela. Podniósłszy wzrok, ujrzał chłopca, Fletchera, biegnącego po podjeździe, opadającym łagodnie zboczem wzgórza. Chłopiec próbował puszczać latawiec, lecz Izrael biegł za nim w podskokach, chwytając zębami ogon latawca, ilekroć uniósł się nad ziemię. Adrian przystanął, obserwując, jak chłopiec złości się na psa, i omal nie wybuchnął śmiechem, widząc, jak pies rozpląszcza się na ziemi, zakrywając łapami nos.

Adrian zawrócił na pięcie i poszedł w przeciwną stronę, do stajni, z zamiarem osiodłania konia i wybrania się na przejażdżkę. Ledwie założył wędzidło i sięgnął po siodło, kiedy za jego plecami rozległ się donośny młodzieńczy głos.

- Nie wyszczotkujesz mu najpierw grzbietu?

Adrian rozpoznał głos, ale zaskoczył go zaczepny ton. Arogancki smarkacz, pomyślał ze złością.

Odwróciwszy się, zobaczył Fletchera, opartego o bramę stajni. Ciemne włosy miał zmierzwiwione wiatrem; wpatrywał się w Adriana przenikliwie swymi niebieskimi oczyma. Nie był ani trochę podobny do Maggie.

- Myślałem, że jesteś zajęty puszczeniem latawca - powiedział Adrian. - Czego tu szukasz?

- Przyszedłem zobaczyć, co robisz. Nie da się puszcza latawca przy Izraelu.

- Mógłbyś zamknąć psa w jednym z boksów.

- Wolę popatrzeć, co ty robisz - odparł Fletcher, przenosząc spojrzenie na wałacha. - A jeśli ma coś na grzbiecie? Nie wyszczotkujesz go przed założeniem siodła?

- Już mnie o to pytałeś.

- Moja mama mówi, że lepiej dwa razy zapytać, niż popełni błąd.

- Więc idź, spytaj matkę. Ona zna odpowiedzi na wszystko.

- Dlaczego?

Adrian spojrzał na chłopca spod zmarszczonych brwi.

- Dlaczego? Dlaczego zadajesz tyle pytań?

- Moja mama mówi, że należy zadawać pytania, wtedy inni nie będą myśleć, że zjadłeś wszystkie rozumy.

- Jest coś, czego twoja matka nie wie?

Fletcher uśmiechnął się szeroko.

- Pewnie. Nie wie, jak zrobić porządne naleśniki. Kiedy wyrzucała je naszym psom, zawsze je zakopywały.

Adrian zacisnął zęby; powoli mijała mu ochota na przejażdżkę. Czyżby nie było miejsca wolnego od inwazji tych małych potworów? Usunął wędzidło z końskiego pyska i wyszedł ze stajni.

- Zmieniłeś zdanie?

- Właśnie.

- Chcesz, żebym ja go wybiegał?

- Nie, nie chcę. Chcę, żebyś się trzymał z daleka ode mnie i od tego zwierzęcia. Jest zbyt cenne, żeby dziecko mogło na nim jeździć.

Fletcher wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Umiem jeździć i dobrze się znam na koniach. Od razu poznałem, że ten twój wałach jest rasowy, jak tylko pierwszy raz go dosiadłem.

Adrianowi krew uderzyła do głowy.

- Kiedy pierwszy raz co?

- Jeździłem na nim.

- Kiedy?

- Dziś rano.

- Nie będziesz więcej jeździł na tym koniu. Jasne?

Fletcher rozejrzał się po stajni, w której oprócz wałacha stały II'dynie dwa konie zaprzęgowe.

- To na czym mam jeździć?

- Na swojej wyobraźni - odparł Adrian, zamykając bramę stajni.

Odchodząc w stronę domu, obejrzał się, ciekawy, czy Fletcher idzie za nim. Nie szedł, co wzbudziło w nim pytanie, czy chłopiec będzie na tyle bezczelny, by znów dosiąść jego konia, po tym co usłyszał. Po namyśle Adrian uznał, że chłopiec nie może być iż tak głupi.

Wychodząc zza węgła, dostrzegł plamę rudości błyszczącą w słońcu. To była Barrie, dziewczynka z płomienną czupryną i piegami. Siedziała na schodach, śpiewając lalce.

Cicho, cicho, moja mała,

Cicho, nie chcę, byś się bała.

Zamknij oczka, śpij spokojnie,

Czarny Douglas cię nie porwie.

Kiedy Adrian wszedł na pierwszy stopień, Barrie uniosła głowę i usunęła się na bok, żeby mógł ją ominąć. Skinął głową w podziękowaniu. Zadzierając podbródek, odprowadziła go wzrokiem, a kiedy był już przy drzwiach, zapytała:

- Idziesz udusić moją mamę?

Adrian wzdrygnął się jak oparzony, bo w istocie podobne pomysły chodziły mu po głowie. A ta smarkula miała czelność pytać go o coś takiego?

- Dlaczego myślisz, że mógłbym udusić twoją mamę?

- Momy pony tak mówiła.

Adrian uznał, że Momy Polly powinna być druga na liście osób zasługujących na uduszenie.

- Jeszcze nikogo nie udusiłem. Nie mam pojęcia, skąd coś takiego przyszło jej do głowy.

Na piegawatej twarzyczce odmalowała się wyraźna ulga.

- Powiedziała, żebyśmy ci nie wchodzili w drogę, bo jeśli damy ci się we znaki, to udusisz naszą mamę.

Nie pamiętam, co jeszcze mówiła.

- To dobrze - stwierdził Adrian i zawołał na Momy.

Molly jak zwykle wcale się nie śpieszyła na jego wezwanie. - Wołał mnie pan? - spytała, opierając się na miotle.

- Owszem. Dość mam kłopotów, odkąd mój dom zmienił się w ochronkę, więc nie musisz wprowadzać dodatkowych komplikacji.

- A niby co ja robię?

- Nie udawaj niewiniątka. Dobrze wiesz, co zrobiłaś. Dlaczego opowiadasz tym dwojgu utrapieńcom różne głupoty, na przykład takie, że uduszę ich matkę, jeśli będą mi wchodzić w drogę?

- Sam pan tak powiedział.

- I co z tego? Musisz koniecznie powtarzać wszystko, co mówię?

- Tylko wtedy, kiedy wychodzą panu żyły na czole, tak jak teraz. Kiedy indziej nie.

- Molly, pewnego dnia posuniesz się za daleko i jak się na ciebie rzucę, to mnie nie odciągnie połowa ludzi z obozu.

- Chciałby pan - powiedziała Molly ze śmiechem. - Może pan czekać, ale jest pan jak pies bez zębów.

Te dzieciaki szybko się przekonają. Musi się pan pogodzić z tym, że stał się pan częścią ich życia, czy się to panu podoba, czy nie. To maleństwo na górze jest ciężko chore i potrzebuje troskliwej opieki. Nic pan nie straci, będąc trochę miłszym, a zawsze to łatwiejsze, niż robić z siebie dupę wołową.

- Nazywasz mnie dupą wołową?

- A widzi pan tu jeszcze kogoś?

Adrian, całkiem oniemiały, patrzył, jak Molly spokojnie wraca do sprzątanego. Jakby nigdy nic omiotła podłogę wokół jego stóp i zniknęła w głębi domu.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego wciąż pozwala jej pyskować, ale musiał przyznać, że co do jednego miała rację. Został włączony w życie Maggie i jej potomstwa, czy mu się to podobało, czy nie.

A skoro już musiał być częścią ich życia, do diabła, miał prawo dowiedzieć się więcej o tym, co go czeka.

Po kolacji wziął Maggie pod łokieć i wyprowadził ją z jadalni.

- Chcę z tobą porozmawiać - powiedział, zerkając na Barrie, która obserwowała go z niechęcią.

- Nie martw się. Nie mam zamiaru jej udusić ... jeszcze. Kiedy znaleźli się w bibliotece, starannie zamknął drzwi.

- Chcę, żebyś mi opowiedziała o swoim mężu - zażądał. - Chcę o nim wiedzieć wszystko i chcę się tego

dowiedzieć natychmiast. Nie obchodzi mnie, czy masz ochotę o nim mówić. Mam prawo wiedzieć.

- Rzeczywiście, masz takie prawo. Nie wiem, czemu mnie wcześniej nie spytałeś - powiedziała Maggie spokojnie.

Adrian tylko westchnął, zaciskając dłonie w pięści.

- Jak umarł?

W pierwszej chwili na twarzy Maggie pojawiło się zaskoczenie, lecz odpowiedziała zdecydowanym tonem:

- Został zepchnięty z urwiska.

- Chcesz powiedzieć, że został zamordowany?

- Tak. - Pokiwała głową, nie patrząc na niego. - Nie było tego w oficjalnym raporcie, ale Bruce Ramsay był zbyt dobrym jeźdźcem i za dobrze znał drogę do Edynburga, żeby na osłep zjechać z urwistego brzegu i się zabić.

- Dlaczego ktoś miałby chcieć jego śmierci?

- To bardzo długa historia - powiedziała zmęczonym głosem.

- Powiem ci, jeśli uznasz, że jest zbyt wyczerpująca obietnica.

Maggie westchnęła. Potrzebowała wiele czasu, by się pogodzić ze śmiercią Bruce'a. Teraz Adrian chciał otworzyć starą ranę. Teraz on był jej mężem i przeszłość się nie liczyła ... Czy jednak na pewno?

Westchnęła jeszcze raz, gotowa ustąpić. Oczywiście, miał prawo wiedzieć. Postanowiła opowiedzieć o tym jeszcze ten jeden raz, a potem już nigdy więcej.

Wciąż milczał, dając jej do zrozumienia, że może długo czekać, ale nie zrezygnuje. Ta nagła demonstracja cierpliwości była do niego niepodobna, bo jeśli Maggie dotąd zdołała się czegoś nauczyć o Adrianie Mackinnonie, to na pewno tego, że nie należał do osób cierpliwych.

Opowiedziała mu więc o Adairze Ramsayu, o jego pretensjach do tytułu Bruce'a, a potem o samej jego śmierci, nie pomijając żadnych szczegółów.

- I twój syn został pozbawiony tytułu?

- Tak.

- Sądzisz, że jego życie jest w niebezpieczeństwie?

- Pewnie by było, gdybym pozostała w Szkocji. Teraz już, się tak nie obawiam, odkąd przyjechałam do Ameryki.

- A co ma do tego twój przyjazd do Ameryki?

- To bardzo proste. Kwestia geografii. Szkocję od Ameryki dzieli bardzo długa droga. Adair Ramsay ma, czego chciał. Dopóki będę się trzymała z dala od Szkocji ... dopóki będę trzymała z daleka Fletchera, jesteśmy bezpieczni. Już sama odległość powstrzyma Adaira.

Adrian pokręcił głową.

- Nie rozumiem, jak coś takiego mogło się zdarzyć. Mówiłaś, że ten tytuł był w rodzinie twojego męża od lat.

- To prawda.

- Nie miałaś dobrych prawników?

- Miałam najlepszych, jakich mogłam zdobyć. Mój mąż nie żył, a ja bałam się o bezpieczeństwo Fletchera. Bałam się walczyć zbyt zaciekle, ze strachu, że może mu się coś stać.

- Nie miałaś nikogo, kto by ci pomógł?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- A twój ojciec?

- Mój ojciec jest stary i prawie ślepy, i ma ograniczone możliwości finansowe.

- A Ross? On by ci pomógł.

- Owszem, proponował pomoc, ale nie mogłam pozwolić, aby się angażował. Nie miałam pewności, czy Adair nie skieruje swego gniewu przeciwko Rossowi i Annabelli. - Spojrzała mu w oczy. - Nie miałam do kogo się zwrócić - powiedziała drżącym głosem, ze łzami w oczach.

Do Adriana nagle dotarło, jak wiele Maggie musiała wytrzymać, zanim opuściła Szkocję.

- Więc przyjęłaś propozycję Rossa, żeby wyjść za mnie?

- Tak. W tamtym momencie wydawało mi się to najlepszym rozwiązaniem.

- A teraz?

Podniosła się z miejsca.

- Nie pytaj mnie o to. - Łzy spłynęły jej po policzkach. - Nie mogę ci udzielić racjonalnej odpowiedzi.

- Dlaczego?

- Bo serce mi nie pozwala - wyrzuciła z siebie, po czym wybiegła z biblioteki.

Kiedy już jej nie było, Adrian długo siedział wpatrzony przed siebie, zmagając się z natłokiem sprzecznych

uczuć. Jedne kazały mu' pójść do Maggie, wziąć ją w ramiona i pocieszyć. Inne go przed tym powstrzymywały.

Nadal tak się czuł następnego popołudnia, gdy stał przed swoim biurem w obozie, rozmawiając z Clyde'em Bishopem. Nagle zauważył Wonga z Fletcherem i Barrie. Wong, z tobołkiem prania przerzuconym przez ramię, prowadził ich do łaźni.

Kiedy Clyde sobie poszedł, Adrian wrócił do biura. Wyglądając przez okno, stwierdził, że obie latorośle Maggie szybko znudziły się pobytem w łaźni i uciekły na zewnątrz. Nim Adrian wyszedł z biura, John Archer zaczął uczyć Fletchera rzucania nożem, a Hiram Curtis, powożący zaprzęgiem wołów, posadził Barrie na szerokim grzbiecie jednego ze zwierząt. Oboje pomachali Adrianowi, kiedy ich mijał. Nie mając wyboru, Adrian odpowiedział takim samym gestem. To wcale nie znaczy, że zmieniłem zdanie na ich temat, usprawiedliwił się przed sobą.

Do końca pracy miał głowę pełną myśli o dzieciach. Wróciwszy do domu, spotkał Molly wychodzącą z kuchni z bańką na mleko.

- Niech pan wejdzie cicho - poleciała. - Pani zasnęła nad talerzem. Pomyślałam, że dam jej tak odpocząć, dopóki nie skończę dojenia. Zajrzałam do dziecka, śpi spokojnie.

Adrian pokiwał głową i wszedł do kuchni. Maggie rzeczywiście spała, ale jej talerz stał odsunięty na bok. Był nietknięty.

Obszedł stół dookoła, żeby zajrzeć Maggie w twarz. Spała oparta na zgiętym ramieniu, popołudniowe słońce oświetlało ją łagodnie, a niewiarygodnie długie rzęsy kładły cień na policzkach. Usiadł obok niej, pochylając głowę, tak 'że ich twarze znalazły się na jednym poziomie. Po raz pierwszy przyglądał jej się z tak bliska, naprawdę z bliska. Na jej powiekach rysowały się ledwie widoczne fioletowe żyłki, oczy miała podkrążone ze zmęczenia, a mimo to miał wrażenie, że ma przed sobą twarz dziecka z cudownie świeżą cerą, małym noskiem i pełnymi ustami. Wprowadzie nos miała trochę za mały w stosunku do reszty rysów, a usta trochę zbyt wydatne, ale i tak, mimo oznak wyczerpania, wydała mu się śliczna.

- Maggie - szepnął. Zamierzał jej powiedzieć, żeby poszła odpocząć, a on posiedzi z Ainsley, ale kiedy się poruszyła, bezwiednie przysuwając się bliżej niego, zapomniał o wcześniej-szych zamiarach. Pachniała mydłem, oddech miała świeży i ciepły. Pomyślał o tym, jak mogłoby być, i serce mu się ścisnęło.

Po chwili wstał, wziął ją na ręce i wyniósł z kuchni. Nim dotarł do schodów, Maggie, wciąż półprzytomna, wymówiła szeptem jego imię, a zaraz potem przytuliła twarz do jego piersi, równocześnie zarzucając mu ręce na szyję. Adrianowi zaschło w gardle.

Nogą otworzył drzwi do jej pokoju, a potem zamknął je kopnięciem. Zaniósł ją na łóżko. Nie zdążył się odwrócić, kiedy otworzyła oczy.

- Pragnę cię - powiedziała.

Adrian był pewny, że się przesłyszał. Eleganckie, dystyn-gowane damy nie mówiły takich rzeczy. Córki hrabiów tak się nie wyrażały. Ani księżne. Wpatrywała się w niego płomiennym wzrokiem.

- Kochaj się ze mną, Adrianie.

- Jesteś zmęczona. Nie wiesz, co mówisz.

- Wiem, co mówię. I nie wstydzę się tego. Pragnę cię. Nie chcę więcej myśleć o chorobie i śmierci. Chcę poczuć, że żyję. Chcę, żebyś się ze mną kochał. Chcę się przekonać, że potrafię jeszcze coś czuć.

Słońce zachodziło, ostatnie promienie rzucały jasne smugi na podłogę i łóżko. Twarz Adriana pozostawała w cieniu, lecz Maggie знаła go na tyle, by domyślać się, jaką zrobił minę. Zabrakło jej słów. Wyciągnęła do niego drżącą rękę.

Stał nieporuszony, w milczeniu patrząc na jej wyciągniętą dłoń. Mógłby tak stać wiecznie, gdyby nie spojrzął na jej twarz i nie dostrzegł na niej bólu odrzucenia. Opadł na kolana, chwytając jej rękę w obie dłonie.

- Pragnę cię. - Przełknęła z trudem. - Pragnęłam cię, zanim przybyły dzieci, ale nie wiedziałam, jak cię prosić. A teraz ... Och, Adrianie, pragnę cię tak bardzo, że nie jestem w stanie myśleć.

- Przestań. - Wziął ją w ramiona, przygniatając ją swoim ciężarem do posłania.

Adrianowi nawet się nie śniło, że kobieta może patrzeć na mężczyznę z tak szczerym pożądaniem. Jego ciało odpowiedziało natychmiast. Wiedział, że choćby chciał, nie byłby w stanie dłużej się opierać.

Należała do niego i pragnęła go. Wszystko inne nagle przestało mieć znaczenie.

Uśmiechnęła się do niego, obejmując go za szyję. Bez słowa ucałował jej brwi, potem powieki.

Zatrzepotała rzęsami i zamknęła oczy. Jęknęła cicho, kiedy przywarł wargami do jej ust. Całował ją łapczywie, jakby chciał nadrobić stracony czas. Wsunął rękę pomiędzy ich ciała.

- Maggie, nie mogę ... nie mogę się powstrzymać - wyszeptał drżącym głosem. - Nie potrafię być

delikatny. Nie tym razem. - To dobrze - wymruczała, pomagając mu ściągnąć ubranie. - Delikatni możemy być potem ...

- Och ... - jęknął, rozsuwając jej nogi i wchodząc w nią jednym mocnym pchnięciem. - Doprowadzasz mnie do szaleństwa. - Zaczął się w niej poruszać.

- Nie wiedziałam, że szaleństwo może być takie przyjemne. - Oddychając ciężko, uniosła biodra, dopasowując się do narzuczonego przez niego rytmu. Miała wrażenie, że jej ciało nie należy już do niej. Zagłębiał się w niej raz po raz, a z nią działo się coś dziwnego, jakby miała przekroczyć jakąś ostateczną granicę.

- Nie! - wykrzyknęła, przywierając do niego z całej siły. - Przestań, Adrianie. Proszę. Nie chcę więcej. Kropelka jego potu spadła jej na twarz.

- Chciałaś tego, Maggie. Nie przestanę, dopóki nie dostaniesz tego, o co prosiłaś.

Jej oddech stał się chrapliwy i urywany, ciało napięte jak struna. Jeszcze nigdy się tak nie czuła. Ogarnął ją lęk. Czy można od tego umrzeć?

Otworzyła usta, żeby go powstrzymać.

- Tak, Adrianie! Och, tak! - usłyszała własny głos.

Oboje byli złani potem, ale on nie zdradzał żadnych oznak zmęczenia. Przeciwnie, jej krzyk jakby go jeszcze mocniej pobudził. Wijąc się pod nim, odpywała na wzbierającej fali rozkoszy, wysoko, ponad ból i lęk, do innego wymiaru istnienia.

- Teraz to czujesz - wydyszał jej prosto w usta, wbijając się w nią coraz mocniej, coraz szybciej. Zatopiła zęby w jego barku, paznokciami orała mu skórę na plecach, ogarnięta nieopanowaną, pierwotną potrzebą, by dotrzeć na szczyt, gdzie ich dusze spotkają się i stopią w jedno.

I kiedy to nastąpiło, zastygła wygięta w łuk, a z jej gardła wydarł się krzyk.

Powoli odzyskując świadomość, Maggie poczuła, że przygnięta ją ramię Adriana, a jego udo leży w poprzek jej nóg. Spał obok niej, bezwładny i ciężki, oddychał równo i powoli. Przekręciła głowę na poduszce, dotykając twarzajego szyi. W dychała zapach jego ciała, jego potu, zastanawiając się, czy leżą tak, spleceni ze sobą, po raz ostatni.

Bała się poruszyć, bo wiedziała, że to by go mogło obudzić, a chciała przedłużyć tę chwilę bliskości, zachować jak najdłużej płynącą z niej przyjemność.

W końcu zdrętwiała i musiała zmienić pozycję. Adrian otworzył oczy.

- Czy to były jakieś zawody? - spytał, uśmiechając się do niej zaczepnie.

Odwzajemniła uśmiech.

- Nie wiem. A czujesz się jak zawodnik?

- Czuję się wykończony. I mam wrażenie, że przedzieralem się przez kolczaste zarośla - powiedział, macając się po barku. - Coś ty zrobiła? Ugryzłaś mnie?

- Uhm. I to mocno.

- Masz zęby jak borsuk. - Przewrócił się na plecy, pociągając ją ze sobą.

- Nie chciałam, żebyś zapomniał.

- Zapomnieć? Nie ma mowy. Zabiorę te blizny do grobu. Czy to ci aby nie wejdzie w nawyk?

Pogładziła palcem włosy na jego piersi.

- Nie wiem - powiedziała lekko. - Chcesz spróbować jeszcze raz, żeby się przekonać?

- Nie mógłbym się ruszyć, nawet gdybyś podpaliła łóżko.

- To się chyba da zrobić. - Znienacka zacisnęła dłoń na jego męskości.

- Maggie ...

- Pamiętaj, jak już nie będziesz mógł wytrzymać, pomyśl o Anglii - doradziła, śmiejąc się cicho. Zaczęła poruszać palcami; czuła delikatne pulsowanie krwi, kiedy stawał się coraz większy i twardszy. -

Kłamczuch - szepnęła, tłumiąc śmiech.

- Tylko ta jedna część we mnie jeszcze żyje - jęknął. - Reszta jest wykończona. Nie mógłbym, Maggie, choćbym nie wiem jak chciał.

- No to ja spróbuję - postanowiła, wspinając się na niego i zamykając mu usta pocałunkiem. - Nie bój się - dodała zmysłowym szeptem - będę bardzo, ale to bardzo delikatna.

- Czuję się już wystarczająco wypoczęty - stwierdził po paru sekundach. Zmienił pozycję, tak że to on znalazł się na wierzchu. - Tylko nie mów, że cię nie ostrzegalem.

- Nie powiem.

Znów się z nią kochał, ale tym razem nieś piesznie i czule.

Rozleniwiona rozkoszą, Maggie zamknęła oczy, czując, że wreszcie może zasnąć, spokojnie i głęboko, po

raz pierwszy od czasu choroby Ainsley.

W środku nocy poczuła, że Adrian wierci się na łóżku. Zaraz potem pochylił się nad nią i wymówił jej imię.

- Maggie.

- Tak?

- Śpisz?

- Już nie.

- Mówiłaś poważnie?

Przeciagnęła się, wciąż zaspana.

- Kiedy?

- Wtedy, kiedy powiedziałaś, że jesteś we mnie zakochana.

- Tak, mówiłam poważnie - przyznała. - A teraz śpij.

- Za nic w świecie. - Wycisnął jej na ustach gorący pocałunek. - Maggie ... Słodka, słodka Maggie. Chyba nie sądziłaś, że możesz powiedzieć coś takiego i oczekiwać, że zasnę. - Przyciągnął ją do siebie. Oparła dłonie na jego piersi; czuła pod nimi ciepłą skórę, twarde mięśnie i bicie serca, przyspieszające z każdym oddechem. Rozumiała to, bo jej serce także wybijało radosną melodię, a z każdym uderzeniem jakby przybywało w nim miłości.

Ręce Adriana błędziły po jej plecach, pośladkach, palce instynktownie wiedziały, gdzie i jak dotykać. Jego usta muskały ją po twarzy, ciepły oddech łaskotał skórę.

Objął jej piersi, zataczając kciukami powolne kręgi wokół brodawek. Wstrzymała oddech, napięta aż do bólu. Krew pulsowała jej dziko, całe ciało płonęło, pożądanie odbierało zmysły. Czy właśnie tak się umiera, zastanawiała się resztką świadomości. Wsunęła mu palce we włosy, przyciągnęła go do siebie i odszukała ustami jego usta. Niestrudzona, ciepła dłoń sunęła po jej ciele, pieszcząc, drażniąc, stopniowo doprowadzając do szaleńczego spazmu rozkoszy.

- A ty? - szepnęła, kiedy już odzyskała głos.

- Maggie. Słodka Maggie. Jakże dla ciebie typowe, zadawać w takiej chwili takie pytanie. Nie rozumiesz, że samo dotykanie cię sprawia mi najwyższą przyjemność?

16

"Kto zajrzy śmierci w oczy, będzie zadowolony z gorączki".

Te słowa były dla Maggie pociechą w czasie długich dni i nocy, a chociaż wciąż czyniła sobie wyrzuty, że zostawiła dzieci, jadąc do Kalifornii, nie potępiała siebie aż tak dalece, by obwiniać się za chorobę Ainsley. Przeżyła wiele chwil strachu i potwornego bólu, gdy Ainsley balansowała na krawędzi życia i śmierci, i wydawało się, że drobne ciało córeczki wyparuje z przeciągającej się gorączki. Aż wreszcie nadeszła ta błogosławiona chwila, piękny deszczowy wieczór przypominający Maggie Szkocję, gdy gorączka Ainsley ustąpiła.

Kiedy minęły obawy o życie córeczki, Maggie skuliła się przy łóżku Ainsley, a pozostała dwójka dzieci oraz Molly i Maude stanęły nieopodal, czując wielką ulgę.

- Choroba przybywa na koniu: a odchodzi pieszo - powiedziała Maude.

- Na skrzydłatym koniu - dodała Molly - a odchodzi boso i na palcach.

- Czy Ainsley umarła? - zapytała Barrie.

- Nie, kochanie, nie umarła - pośpieszyła z zapewnieniem Maude. - I nie umrze. Będzie się czuła coraz lepiej.

- Skoro nie umarła, to dlaczego mama płacze? - zdziwiła się Barrie.

- To są łzy płynące z serca - wyjaśniła Maude. - Twoja mama płacze z radości.

- Wcale nie wygląda na bardzo szczęśliwą - powiedział Fletcher, przyglądając się matce badawczo.

- Na pewno jest szczęśliwa, możesz mi wierzyć - powiedziała Maude, wyprowadzając Fletchera i Barrie z pokoju. - Zaraz położycie się do łóżek - oznajmiła. - Jutro trzeba wcześniej wstać. Ostatnio mieliście sporo luzu z nauką i innymi sprawami, ale to już koniec laby.

- To znaczy, że jutro znów będziemy mieli lekcje? - zapytał Fletcher.

- Zgadza się. Czytanie i pisanie nie mogą dłużej czekać.

Skończyłaś już czytać Jamesa Thomsona? - zapytała, chwyciwszy Fletchera za ucho.

- Tak.

- A pamiętasz strofy, których kazałam ci się nauczyć z Pór roku?

Nie odpowiedział, więc Maude wykręciła mu ucho tak, że aż zaskowyczał z bólu.

- A co z matematyką? Założę się, że też się nią nie zajmowałeś.

- Uczyłem się, ale nie pamiętam - odpowiedział Fletcher.

Maude zwróciła się do Barrie:

- Co robił twój brat w czasie choroby siostry?

_ Przede wszystkim się bawił - poskarżyła Barrie.

_ Niech robi tak dalej, dzięki zabawom na pewno zdobędzie wspaniałe wykształcenie. No cóż, mój panie, skończyło się bez troskie życie. Jutro czeka cię prawdziwa orka.

- A Barrie?

Maude puściła oko do dziewczynki.

_ Ona też będzie musiała pracować bez wytchnienia.

Gdy w końcu Ainsley zapadła w spokojny sen, Maggie nagle zaczęła odreagowywać napięcie. Jak oszalała zbiegła ze schodów, szeroko otworzyła drzwi, wciągnęła w nozdrza zapach świeżego powietrza, po czym wypadła na dwór, rozpostarła ramiona i okręciła się dookoła, nie zważając na to, że deszcz moczy jej włosy i ubranie, a pantofle robią się ciężkie od błota.

- Dzięki ci, Boże! - wykrzyknęła ku niebiosom, obracając się coraz szybciej.

Stojące na progu Molly i Maude wymieniły znaczące spojrzenia.

- To wszystko musi z niej wyparować - powiedziała Molly. Maude obserwowała Maggie, przemokniętą już do suchej nitki. - To prawda, ale na razie raczej nasiąka wodą. - Maude potrząsnęła głową, a Molly wzruszyła ramionami, po czym zamknęła drzwi.

Przejeżdżający obok na swoim wałachu Adrian zatrzymał się i patrzył na Maggie. Zauważywszy go, natychmiast znieruchomiała. Był wysoki, wyprostowany w siodle, luźno trzymał wodze; deszcz spływał mu strużkami z ronda kapelusza na pelerynę.

- Lepiej wejdź do domu - poradził z uśmiechem - bo ludzie pomyślą, że postradałaś zmysły.

Maggie odgarnęła mokry kosmyk włosów, który opadł jej na twarz.

- Jestem zupełnie zdrowa na umyśle - zapewniła przepełniona szczęściem, choć zęby dzwoniły jej ;z zimna. - Gdyby Szkoci siedzieli w domach z powodu deszczu, nigdy by nie mogli wystawić nosa za próg. Zauważyła, że Adrian przygląda jej się z wyraźnym upodobaniem.

- Chcesz, żebym do ciebie dołączył?

- To solowy popis - odpowiedziała z uśmiechem. Patrzyła, jak Adrian zmusza konia do klusa. Po chwili deszcz przybrał na sile, lunął zimną, szarą strugą, lecz nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia.

Dojechawszy do stajni, Adrian zeskoczył z konia i wprowadził go do ciemnego wnętrza.

- Życzę miłego dnia Waszej Świątobliwości - powiedziała Maggie i wykonała głęboki ukłon, tracąc przy tym równowagę i upadając twarzą w błoto. Natychmiast obróciła się na plecy, wyciągnęła ramiona i wystawiła twarz, by deszcz ją obmył. - To właśnie nazywam pełnią życia - mruknęła z satysfakcją.

Odzyskawszy wewnętrzną równowagę, Maggie wróciła do domu, wykapała się, umyła głowę, po czym zmieniła ubranie i wbiegła do pokoju Ainsley, przy której czuwała Maude. Obmyły dziewczynkę gąbką i przebrały w czystą koszulkę. Molly przyniosła miskę zupy ziemniaczanej.

Ainsley odwróciła głowę.

- Jeśli nie zjesz zupy, nie będziesz mogła zobaczyć się z Barrie i Fletcherem - ostrzegła Maggie.

Ainsley zawałała się; drobna, biała twarzyczka skurczyła się w grymasie namysłu. Po chwili mała uniosła się na łokciach i wysunęła podbródek. Zdecydowane spojrzenie niebieskich oczu skrzyżowało się z równie stanowczym orzechowych. W końcu Ainsley otworzyła buzię.

Gdy zupa zniknęła z miski, Molly poszła po Barrie i Fletchera.

Weszli do pokoju, gdy Maggie podawała Ainsley krople uspokajające.

Dziewczynka odwróciła głowę.

- Kochanie, musisz zażyć lekarstwo. Dzięki niemu będziesz dziś lepiej spała.

- Ale to jej nie smakuje - stwierdziła Barrie. - Musi być bardzo niedobre.

- Skuteczne lekarstwo zawsze musi być niedobre - wytłumaczyła Maggie z uśmiechem, gładząc Ainsley po policzku, gdy córeczka przełykała krople.

Maggie siedziała na łóżku, a Barrie i Fletcher przykucnęli na podłodze. Ainsley włożyła palec do buzi, gdy Maggie zaczęła opowiadać historię o tym, że MacCodrumowie wywodzą się od fok. Widząc, że Maude i MoHy wychodzą z pokoju, Maggie skinęła im głową.

- Od fok? - zapytał z niedowierzaniem Fletcher. - To nie-możliwe.

Adrian wszedł do pokoju, niezauważony przez nikogo, oparł się o framugę i słuchał opowieści.

- Możliwe - zapewniła Maggie.

Fletcher popatrzył na nią z powątpiewaniem. - Jak?

- No cóż, to nie jest łatwe, ale wróżki zmieniają się w foki ... Kiedy byłam małą dziewczynką, nazywałyśmy

je puchatkami. Te foki pływają wzdłuż brzegu, żeby porwać odpowiednią dla siebie dziewczynę lub chłopaka. Kiedy sobie kogoś upatrzą, rzucają na fale coś, co wzbudza podziw w wybranej osobie. A kiedy taki chłopak lub dziewczyna wchodzi do wody, żeby wstawić ten piękny przedmiot, wróżka foka wciąga ich pod wodę. Rozumiesz?

- I taki człowiek tonie? - zapytała Barrie.

- Nie, poślubia wróżkę i żyje w świecie baśni.

- A jeśli focie nie uda się nakłonić człowieka do wejścia do wody? - dociekał Fletcher.

- Wtedy zdejmuje swoją foczą skórę i zmienia się w pięknego człowieka, by móc poślubić wybranca lub wybraną.

- I wtedy żyje na lądzie, tak jak my? - spytała Barrie.

- Tak, żyje jak ludzie.

- A czy kiedyś wraca do morza? - zaciekawił się Fletcher.

- Tak. To może nastąpić po wielu, wielu latach, ale czasami zdarza się, że wróżka dziwnym trafem odnajduje swoją foczą skórę. Biedaczka musi wtedy ją włożyć, wrócić do morza i do krainy baśni, i nikt już jej więcej nie widzi.

- Czy tata był foką? - zapytała Barrie. - Musiał zmienić się w fokę i odejść?

- Nie, kochanie. Twój ojciec był mężczyzną. Prawdziwym mężczyzną - powiedział, unosząc wzrok.

Zaskoczona, dostrzegła Adriana, który jednak wyszedł, zanim zdążyła się odezwać.

Po odesłaniu Fletchera i Barrie do ich pokoi z poleceniem szykowania się do snu, Maggie jeszcze dłuższą chwilę siedziała, trzymając Ainsley za rękę i patrząc, jak pod wpływem opium zamykają się powieki córki. Gdy do pokoju weszła Maude, Maggie pocałowała Ainsley i szczerze otuliła ją kocem.

- Powinna spokojnie przespać całą noc - powiedziała Maggie.

- Też tak myślę, ale chciałabym tu przy niej być.

Maggie położyła rękę na ramieniu opiekunki.

- Może rzeczywiście lepiej będzie, jeśli z nią tu zostaniesz, kiedy najgorsze już minęło. Ostatnio strasznie zaniedbałam Barrie i Fletchera. Muszę spędzić z nimi mnóstwo czasu, żeby im to jakoś wynagrodzić.

- Są bardzo zajęci poznawaniem nowego domu, a ta żółta bestia, Izrael, bardzo ich polubił. Ha! Myślę, że wcale im pani tak bardzo nie brakowało.

- To pocieszające - stwierdziła Maggie. - Powiem im teraz dobranoc. Do zobaczenia rano.

- Dobranoc, proszę pani.

- Dobranoc, Maude. Śpij dobrze.

- Na pewno będę dobrze spała, teraz, kiedy już wiem, że małej panience się poprawiło.

Maggie pokiwała głową, wzięła lampę i cicho zamknęła za sobą drzwi.

- Czy ja też chorowałam tak jak Ainsley, kiedy byłam mała? - zapytała Barrie, gdy Maggie weszła do pokoju.

- Nie. Chociaż parę razy byłaś chora, to nigdy nie chorowałaś tak poważnie. - Maggie rozejrzała się po pokoju. - Gdzie jest Fletcher?

- Pod łóżkiem.

- Miałaś nic nie mówić! - stęknął z niezadowoleniem chłopak, wychodząc spod łóżka. - Obiecałaś, że mnie nie wydasz.

- Nieprawda - obruszyła się Barrie. - Prosiłeś mnie o to, ale wcale nie powiedziałam, że tego nie zrobię. - Pogroziła mu palcem.

- Mama mówi, że zawsze powinniśmy mówić prawdę ... nawet jeśli musimy skłamać.

Mała myszka przebiegła tuż obok łóżka, zatrzymując się na chwilę na widok Fletchera. Stała na tylnych łapkach; jej czarne ślepka błyszczwały, a wąsiki poruszały się szybko.

- Patrzy na ciebie - stwierdziła Barrie. - Pewnie myśli, że jesteś wielką myczą.

- Nie przyszłoby jej to do głowy, gdybyś nie łaził na czworakach po podłodze - powiedziała Maggie, chwytając syna za ramię. - Wstawaj, chłopcze. Co tam robiłeś pod łóżkiem?

- Chciałem cię przestraszyć - przyznał się Fletcher. - Ale nie aż tak bardzo.

Myszka uciekła, kiedy Fletcher wstał.

- Jutro obetnę ci włosy - zapowiedziała Maggie, mierzwiąc czuprynę syna.

- Są bardzo dobre - odpowiedział, unosząc ramiona, by skryć w nich głowę żółtym gestem.

- Wcale nie są dobre. - Maggie nie dała się przekonać. - Są za długie.

Barrie zachichotała.

- No pewnie. Wyglądasz jak dziewczyna.

Brat pokazał jej język.

- Nie cierpię cię! - zawołała Barrie. - Nie chcę, żebyś siedział w moim pokoju.
- Uspokój się - zwróciła się do niej Maggie. - To nieprawda, że nie cierpisz swego brata.
- To prawda - zaperzyła się Barrie. - Nienawidzę swojego brata. Chcę mieć innego.
Maggie uśmiechnęła się.
- Niczego by to nie zmieniło. Dobrze wiesz, że wszyscy mężczyźni są tacy sami. Mają tylko inne twarze, żeby można było ich odróżnić.
- A czy ja w ogóle muszę mieć brata?
- Nie musisz, ale masz, i powinnaś być z tego zadowolona - powtórzyła Maggie chyba po raz dziesiąty od przyjazdu dzieci do Kalifornii i setny, odkąd Barrie nauczyła się mówić.

W ciągu najbliższych kilku dni Ainsley powrócił apetyt, a na jej twarzy znów pojawiły się rumieńce. Wrócił nawet jej śmiech.

Nie zmieniło się tylko jedno.

Od wystąpienia pierwszych objawów choroby Ainsley przestała mówić.

Z początku Maggie myślała, że to coś chwilowego i mowa wróci wraz z odzyskaniem sił, lecz okazało się, że mimo poprawy zdrowia, Ainsley pozostawała niema. Kiedy miała na coś ochotę, pokazywała to palcem lub wykonywała gesty rękami, li ilekroć Maggie pytała ją, czemu nie chce się odezwać, Ainsley tylko patrzyła na nią szklanym wzrokiem i odwracała głowę.

Maggie poruszyła ten problem z Molly i Maude - obie usiłowały znaleźć sposób nakłonienia Ainsley do mówienia. Próbowowały nie dawać jej do jedzenia tego, co chciała, ale w takich sytuacjach radziła sobie sama, korzystała z pomocy Barrie albo rezygnowała z danej potrawy.

- Biedulka gotowa całkiem się zagłodzić - ubolewała Maude.

- Właśnie tego się obawiam - przyznała Maggie.

- Słyszałam już o czymś takim - powiedziała Moll y. - Znałam młodą dziewczynę, która straciła całą rodzinę w czasie pożaru. Nie odzywała się przez prawie dziesięć lat, a potem nagle pewnego dnia zaczęła mówić.

- A więc stało się to po ciężkich przeżyciach - stwierdziła po namyśle Maggie. - No cóż, w takim razie Ainsley ma mnóstwo powodów do tego, by się nie odzywać. Po śmierci Bruce'a mówiła znacznie mniej niż wcześniej. Być może niebezpieczeństwo utraty życia jakoś wpłynęło na stan jej umysłu.

- Tak - przyznała Maude. - Jeśli panienka myślała, że umrze, musiała przypomnieć sobie dzień, w którym przyniesiono jej ojca do domu.

Krew odpłynęła nagle z twarzy Maggie. Przypomniała sobie tamte chwile i zmianę, jaka zaszła wówczas w Ainsley. Na zawsze miała jej zostać w pamięci śmiertelnie blada twarzyczka córki i jej oczy, tak rozszerzone, że wydawały się za duże w dziecięcej główce. Przypomniała sobie również, jak wiele czasu upłynęło, zanim Ainsley ponownie się odezwała.

Tego wieczoru przed położeniem Ainsley do łóżka Maggie usiadła przyoknie w sypialni, kołysząc córeczkę do snu. Ainsley jedną rączką trzymała szmacianą lalkę, kciuk drugiej włożyła do buzi.

- Cii, spokojnie, kochanie - powiedziała Maggie i pocałowała miękkie złocistorude loczki. - Cii, moja zmartwiona dziewczynko. Wszystko będzie dobrze.

Kciuk Ainsley wysunął się z buzi; mała zasnęła.

Maggie otarła pasemko śliny z ust Ainsley i położyła córeczkę do łóżka. Do pokoju cichutko wśliznęła się Maude. Gdy Maggie wychodziła z sypialni, Maude powiedziała:

- Odwagi, proszę pani. Proszę nie zapominać słów Adama Lindsaya Gordona.

Maggie popatrzyła na opiekunkę zdeorientowana, a po chwili głęboko zaczerpnęła tchu.

- O, rzeczywiście dawno o nich nie myślałam. Życie jest jraszko igraszko

Lecz dwie rzeczy są jak skała:

Życzliwość w cudzych strapieniach, We własnych - odwaga niemała. Odwaga.

Istotnie, patrzeć na własne dziecko pogrążone w świecie ciszy wymagało nie lada odwagi i hartu ducha. Cierpienie córeczki sprawiło, że Maggie poświęcała jej więcej czasu niż zwykle; kołysała ją, tuliła, czytała bajki, śpiewała piosenki. Czasami Ainsley klaskała w dłonie z zachwytu albo zanosila się chichotem, gdy Maggie powiedziała coś śmiesznego lub ją łaskotała. Ainsley była mądrą, pełną temperamentu dziewczynką - Maggie zauważała to teraz wyraźniej niż wtedy, gdy córka mówiła. Czasami córka bywała cicha i poważna; kiedy indziej znów zachowywała się jak istne pódziablę. Maggie bezbłędnie rozpoznawała figlarne iskierki w niebieskich oczkach.

Ainsley nie sprawiała wrażenia zmartwionej ani zakłopotanej własną niemotą, lecz mimo to coraz częściej Maggie wychodziła z jej pokoju z bladą, napiętą twarzą.

- Za bardzo pani się stara - powtarzała Molly. - Ainsley przemówi, kiedy się uspokoi, a pani musi się z tym pogodzić, bo ta walka panią wykończy.

Maggie przyznawała jej rację, lecz z każdym dniem milczenia Ainsley odczuwała coraz większy niepokój.

- Nie ma na ziemi takiego strapienia, którego niebiosy nie byłyby w stanie ukoić - powiedziała jej któregoś wieczoru Maude, lecz wkrótce Maggie zaczęła powątpiewać w prawdziwość tych słów, gdyż do zmartwień związanych z Ainsley doszły obawy o trwałość jej związku z Adrianem oraz niepewność o los własny i dzieci.

Kiedy w końcu zapadała noc, Maggie z ciężkim westchnieniem kładła się do pustego łóżka. Uspokajała się z trudem, a kiedy wreszcie jej się to udawało, czuła dziwne odrętwienie. Wszystko, co ją otaczało, chaos, zamieszanie, rozczarowania, wydawało się odległe, tak jakby jej umysł stanowił odrębny byt. Zamykała oczy, pragnąc znaleźć ukojenie we śnie.

"Kiedy kogo nawiedzają smutki, to nigdy luzem, a zawsze gromadnie" *.

P rzez wiele dni po wyzdrowieniu Ainsley Adrian starał się nie wchodzić Maggie w drogę i nie absorbować jej swoją obecnością, wiedząc, że matka pragnie teraz spędzać czas ze swoimi dziećmi.

W obecności Maggie i jej dzieci czuł się bardzo niezręcznie, był skrępowany. Nie wiedział, jak ma się zachować, co powiedzieć. Dziwiło go, że trójka dzieci potrafi być tak wszędobylska. Zdążył się już przekonać, że dzieci uwielbiają podsłuchiwać, a także mają dziwną skłonność do zapamiętywania najdrobniejszych szczegółów, kiedy jest to dla nich wygodne, a zapominania o rzeczach mniej przyjemnych.

* Przełożył Józef Paszkowski.

Przyłapał kiedyś Barrie i Fletchera na burzliwej kłótni o to, które z nich cieszy się większą sympatią psa. Izrael, urodzony dyplomata, siedział na uboczu z przechylnym łbem, zachowując neutralność. W końcu, nie potrafiąc dowieść swej racji, Fletcher przywołał Izraela i puścił się pędem, a pies pognał za nim. Barrie nie była w stanie ich dogonić i wróciła do domu rozszlochana.

Tego dnia Adrian przekonał się, że nie umie pozostać obojętny na płacz kobiety, niezależnie od jej wieku.

Z rękami głęboko wepchniętymi w kieszenie Adrian w milczeniu przyglądał się rozwichrzonym rudym włosom Barrie, słuchał jej płaczu i nie miał pojęcia, jak zwracać się do dziecka. W końcu, bojąc się, że Barrie zemdleje z wyczerpania, zaproponował, że ją pokonała Fletchera jego własną bronią.

- Alle ... nnie wwiem ... jgak - zaszlochala. - On jest szybszy ode mnie. Izrael też jest szybszy.

- Noś w kieszeni jakiś smakołyk na przynętę - poradził. - Następnym razem, kiedy zawoła Izraela, wyjmij przynętę. Izrael jest łakomczuchem, na pewno z niej nie zrezygnuje. A teraz wytrzymaj buzię i przestań płakać. - Podał jej chusteczkę. - A kiedy wygrasz za pomocą tego małego podstępku, wybaczysz swojemu bratu i o wszystkim zapomnisz.

- To niemożliwe - powiedziała, ocierając intensywnie niebieskie oczy. - Nigdy nie będę umiała mu przebaczyć.

- Na pewno będziesz umiała. To wcale nie takie trudne. Musisz tylko powiedzieć to na głos. Śmiało.

Powiedz, że mu przebaczysz i zapomnisz.

Mała uparciucha buntowniczo wysunęła podbródek.

- No, śmiało - zachęcił.

- Przebaczę i zapomnę - wyszeptała w końcu, a gdy Adrian odszedł, dodała głośniejszym głosem: - Ale będę pamiętała.

- Żal mi Barrie - powiedział Adrian do Molly któregoś popołudnia. Natychmiast zrobił się zły, że podjął ten temat.

Molly myślała właśnie kuchenne szafki wodą z octem. Z wrażenia aż upuściła ścierkę, która z głośnym pluskiem wpadła do wiadra.

- Żal panu Barrie?

Adrian wzruszył ramionami.

- Nie było tej rozmowy - próbował się wykręcić.

- Dlaczego żal panu właśnie jej, a nie innych dzieci?

- Bo ona jest pośrodku, między młotem a kowadłem.

- Jeśli to pana pocieszy, to przyznam się, że i ja z początku jej współczułam, ale kiedy powiedziałam o tym Maude, zaraz mnie odpowiednio ustawiła. Stwierdziła, że żal jej wszystkich, którzy bliżej zadają się z Barrie, bo szybko zostają zmiążdżeni jak ząbek czosnku.

Od czasu tej rozmowy Adrian zaczął bacniej przyglądać się starszej dziewczynce i wkrótce doszedł do wniosku, że Maude ma rację.

Wystarczyło choćby wspomnieć popołudnie, kiedy zastał Barrie i Fletchera w stajni. Wchodząc do środka usłyszał dziecięce głosy dochodzące z pustych boksów. Ostrożnie wyjrawszy zza przepierzenia, zauważył Fletchera splatającego kawałki rzemyków i Barrie, która wpatrywała się brata, głaszcząc kotka. Adrian zauważył, że Fletcher pomylił sploty. Zastanawiał się, jak zareaguje, gdy zauważy swój błąd.

- Cholera! - zaklął Fletcher. Barrie odstawiła kota i wstała.

- Fletcherze Ramsayu, co powiedziałaby na to Jezus? - To powiedziawszy, zostawiła brata z rozdziawioną buzią.

Adrian, który do tej pory nie miał żadnych doświadczeń z dziećmi, był zdumiony liczbą zadawanych przez nie pytań i ciągłymi dociekaniem. Ich ulubionymi słowami były: Dlaczego? Jak? Kiedy? Co? Jedyne najmłodsza dziewczynka, Ainsley, była cicha i rzadko się odzywała - po namyśle Adrian uświadomił sobie, że w ogóle nie słyszał jej głosu. Pomyślał, że najprawdopodobniej jest nieśmiała.

Dzieci były niezwykle hałaśliwymi stworzeniami, głośno biegały po schodach, z piskiem zjeżdżały po poręczach, wbiegały zniecierpliwione do kuchni, z hukiem zatraskując drzwi. Strofowanie i zwracanie uwagi nie odnosiło żadnego skutku. Nawet Izrael zmienił się w ich obecności - Adrian nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wcześniej pies biegał po domu, czekał, a już na pewno nigdy nie szarpał ozdobionych pomponami poduszek leżących na sofie, tak że aż wylatywało z nich pierze.

Ilekcję zwrócił dzieciom uwagę, Barrie wpatrywała się w niego swoimi niewiarygodnie niebieskimi oczyma i uparcie milczała, pozornie skruszona. Fletcher patrzył na niego spode łba i odchodził, ale już po kilku minutach wszystko zaczynało się od nowa.

Adrian przyznawał jednak, że czasami obecność dzieci, jeśli nawet nie podnosiła go na duchu, to z pewnością ubarwiała mu życie.

Barrie i Fletcher byli w bibliotece. Maude kazała im znaleźć Egipt na globusie. Adrian miał zamiar wejść do środka, lecz słysząc głos Barrie, przystanął w progu.

- Co to jest nauka?

- To jest to, co znajdujesz w książkach - odpowiedział Fletcher.

- Jeśli to już jest w książkach, to dlaczego musimy się tego uczyć?

- Bo tak każą mama i Maude.

- Ale dlaczego?

- Bo jeśli nie będziemy się uczyć, zostaniemy nieukami.

- Kto to jest nieuk?

- Ktoś, kto nie wie, co jest w książkach.

Po chwili milczenia Barrie oznajmiła:

- Już chyba wolę być nieukiem. To dużo zabawniejsze. Znów zapadła cisza.

- Myślisz, że pan Mackinnon przeczytał te wszystkie książki?

- Nie.

- To dlaczego je tu trzyma?

- Bo chce, żeby ludzie myśleli, że je przeczytał. Dzięki temu uchodzi za mądrego.

- Ale on jest mądry.

- Nieprawda. On po prostu dużo gada i dlatego tak myślisz.

Później tego popołudnia Adrian zastał w kuchni Maude; stała nad balią, z ręcznikiem w rękę, i wpatrywała się w rudą czuprynę wystającą z mydlin. Po chwili spod czupryny wyjrzała piegowata buzia.

- No, dość już tego, bo za chwilę utoniesz i nie trafisz do krainy bajek. Wyskakuj z wody! - zarządziła Maude.

- Nie mogę posiedzieć, dopóki nie zaczną mi się marszczyć palce?

Maude chrząknęła.

- Jeśli natychmiast nie wyjdiesz z kąpieli, zmarszczy mi się humor i pożałujesz.

Owinięta w ręcznik, naburmuszona Barrie ruszyła w stronę drzwi, mamrocząc pod nosem:

- Nie mogę mieć ani odrobiny radości. Fletcher siedzi w balii, dopóki nie zsinieją mu usta.

- Diablica - powiedziała Maude, wymierzając Barrie lekkiego klapsa.

Adrian czuł się skrępowany w obecności dzieci, ale prawdziwe katusze przeżywał dopiero wtedy, gdy w towarzystwie znajdowała się także Maggie. Nigdy dotąd nie napatrzył się na tyle uścisków i czułości, nie widział też Maggie takiej, jaką była teraz - psotnej i radosnej. Przyglądając się scenkom świadczącym o rodzinnej miłości, słuchając serdecznego śmiechu, czuł wewnętrzną pustkę, złość, a nawet zazdrość. A najgorsze było to, że ilekroć miał szansę znaleźć się w tym kręgu miłości, czuł zagrożenie.

Pochylny nad rachunkami w swoim gabinecie, podliczył kolumnę cyfr i właśnie wpisywał sumę, kiedy poczuł na sobie czyjś wzrok. Zobaczył Barrie. Stała w drzwiach, ubrana w nocną koszulę, i trzymała za nogę swoją szmacianą lalkę.

- O co chodzi? - spytał.

- Mam zamiar odmówić modlitwę, a chciałam się dowiedzieć ...

Adrian czekał, aż Barrie dokończy zdanie; czuł rosnące zniecierpliwienie.

- No, śmiało. O co chciałaś zapytać?

- Chciałam się dowiedzieć, czy czegoś nie potrzebujesz.

- Sam potrafię się o to pomodlić - burknął Adrian.

- To ty się modlisz?

- Nie jestem poganinem. Pewnie, że się modlę.

- I chodzisz do kościoła?

- Nie mamy tutaj kościoła, ale to nie znaczy, że nie znam Biblii. A teraz idź do łóżka. - Adrian powrócił do rachunków.

- I znasz imię matki Jezusa?

Gwałtownie odłożył ołówek.

- Oczywiście, że znam. Co to ma być, przesłuchanie? Pójdiesz do łóżka, czy mam posłać po Maude?

- Ona się kąpie.

- To znajdź mamę.

- Mama jest w pokoju Fletchera. Czekają na mnie, bo będziemy się razem modlić. Chcesz do nas dołączyć?

- Nie.

- Dlaczego? Bo nie znasz imienia matki Jezusa?

Adrian wychylił się zza biurka, opierając dłonie na blacie.

- Znam imię matki Jezusa! - niemal krzyknął.

Rudowłosa diablica popatrzyła na niego kąpiący, ale się nie odezwała. Adrian spojrzał na jej wysunięty podbródek. W Tek-sasie taką postawę określano mianem meksykańskiej hardości. Adrian zdążył się już przekonać, że ma do czynienia z trójką młodych uparciuchów. Trudno było ich przechrzyć, a zachowanie cierpliwości graniczyło z niepodobieństwem. Chcąc wybrnąć z kłopotliwej sytuacji, westchnął zrezygowany.

- No dobrze. Czy obiecasz mi, że stąd wyjdiesz, kiedy

wymienię imię matki Jezusa?

Barrie pokiwała głową. - Tak.

- Maria! - powiedział energicznie. - Miała na imię Maria. A teraz stąd wyjdź! - Usiadł, biorąc znów ołówek do ręki.

- To nie było jej pierwsze imię.

- Nie miała żadnego innego imienia! - krzyknął, czując, że za chwilę wybuchnie.

Stojąca w drzwiach Barrie była wcieleniem cierpliwości, podobnie jak jej matka. Przecież ta dziewczynka miała zaledwie siedem lat! Co z niej wyrośnie, jaka będzie za parę lat? Adrian aż się wzdrygnął.

Odrzuciwszy ołówek na biurko, przecesał włosy palcami. To wszystko nie miało sensu. Skrzyżował ramiona na piersi.

- No dobrze - powiedział po dłuższej chwili, przebijając nerwowo palcami. - W takim razie ty mi powiedz, jakie było pierwsze imię matki Jezusa.

- Dziewica.

- Wyjdź stąd! - krzyknął, zrywając się z miejsca. - Natychmiast! Już!

Barrie wybiegła z pokoju.

- I pod żadnym pozorem tu nie wracaj!

Wkrótce potem Molly zajrzała do gabinetu, chcąc poznać przyczynę zamieszania.

- Prostack! - mruknęła, wysłuchawszy relacji Adriana. Następnego ranka, gdy Adrian zszedł na śniadanie, znalazł obok swojego talerza kartkę. Kobiety się uginają, a mężczyźni - łamią. - przeczytał.

Zmiał kartkę i rzucił w ką.

- Co to było? - zapytała Maggie, uniósłszy wzrok znad herbaty.

- Jeszcze jedna tortura - odburknął Adrian.

Jego dom zamienił się w dom wariatów, a Adrian zastanawiał się, czy aby nie jest największym wariatem z nich wszystkich, skoro się na to godzi.

Idea małżeństwa i rodziny oznaczała dla mężczyzny perspektywę samozagłady, a przy tym była tak głęboko zakorzeniona w umysłach kobiet i dzieci, że nieborak był całkiem bezsilny. Doskwierało mu poczucie wykluczenia i nieufności, a im mocniej się one nasilały, tym rozpaczliwiej musiał walczyć o zachowanie władzy, coraz bardziej oglupiał i rozczarowany. Miał Maggie tyle do powiedzenia, ale nie wiedział, od czego zacząć. W zaistniałej sytuacji zupełnie nie potrafił wyrazić tego, co czuł, a przecież wiele spraw wymagało wyjaśnienia. Czy Maggie wciąż nosiła się z zamiarem wyjazdu? Czy nadal wierzyła, że on tego pragnie?

Dostłownie dusił się od obaw. Musiał się jakoś bronić. Musiał się trzymać z daleka od tego rodzinnego cyrku, w którym bezustannie był rzucony na pożarcie lwom. Musiał się zastanowić. Musiał się odnaleźć. Musiał na jakiś czas wyjechać.

Nie wyjawiał jej swego zamiaru aż do ostatniego wieczoru. Patrząc na Barrie, która zagrzebywała buraczki pod tłuczonymi ziemniakami, Maggie powiedziała:

- Jedz buraki, to będziesz miała różowe policzki.

- I oczy też - włączył się Fletcher.

_ Oczy nie - obruszyła się Barrie. - Prawda, mamusiu?

_ Prawda, Fletcher tylko się z tobą droczy. - Maggie zgromiła syna spojrzeniem. - Nie ucz Ainsley wkładać fasoli do nosa.

Ainsley siedziała na swoim miejscu przy stole, wpatrując się w Adriana oczyma zbyt wielkimi i wyrazistymi jak na dziecko w jej wieku. Najmłodszej pociechy Maggie Adrian obawiał się najbardziej. W tej dziewczynce było coś dziwnego, czego nie potrafił określić. Wzdrygnął się wewnętrznie. Nie chciał myśleć o dzieciach, o żonach, o czymkolwiek związanym z rodziną. Każdy mężczyzna potrzebował swobodnego oddechu.

- Rano wyjeżdżam - oznajmił.

Maggie popatrzyła na niego, ale się nie odezwała.

- Dokąd jedziesz? - spytał Fletcher.

_ Na północ, do jednego z naszych tartaków.

_ Jeśli już skończyliście, możecie odejść od stołu - zwróciła się Maggie do dzieci. - Kiedy cała trójka zniknęła za drzwiami, spytała Adriana: - Jak długo cię nie będzie?

_ Tylko kilka dni - odparł, umykając wzrokiem.

Życzył Maggie dobrej nocy i poszedł do swego pokoju, gdzie spędził długą, bezseną noc, wsłuchując się w deszcz chluszczący o szyby i rozmyślając o tym, co powinien zrobić. Jeśli nie chcesz, żeby wyjechała, lepiej jej powiedz, powtarzał sobie w duchu.

Powiem.

Kiedy?

Wkrótce. Potrzebuję tylko trochę czasu, żeby się z tym wszystkim oswoić.

Następnego rana wyjechał, kiedy wszyscy jeszcze spali.

Jednakże bardzo szybko się przekonał, że nie patrzeć na Maggie, wcale nie oznacza nie myśleć o niej bez przerwy. Stwierdziwszy zatem, że cel wyprawy nie może być osiągnięty, wrócił do domu wcześniej, niż planował.

Nastala zima, ze wszystkimi związanymi z nią uciążliwościami. Wieczorem, zanim dzieci poszły do łóżek, Maggie zabrała je ze sobą do biblioteki. Fletcher siedział przed kominkiem, trzymając na kolanach płowy łeb Izraela. Ainsley usypiała lalkę, huśtając się w fotelu na biegunach, a Maggie robiła na drutach. Barrie przytrzymywała jej wełnę na wyciągniętych rękach.

- Byłaś kiedyś niegrzeczna, jak byłaś małą dziewczynką? - spytał nagle Fletcher.

Maggie uśmiechnęła się pod nosem.

- Owszem, byłam wyjątkowo niegrzeczna, jak na dziewczynkę.

- A dostałaś kiedyś lanie? - zainteresowała się Barrie.

- O tak, mnóstwo razy oberwało mi się pasem. - Maggie

odłożyła robótkę, wyciągając ramiona do Ainsley, która opuściła fotel, żeby wejść matce na kolana.

- Dlaczego dziadek cię bił? Co takiego robiłaś? - nie ustępował Fletcher. Izrael podniósł łeb i przez chwilę węszył uniesionym nosem, po czym znów wrócił do poprzedniej pozycji. - Za co było to najgorsze lanie?

- Za coś, czego nie zrobiłam ... - Urwała, widząc, że do biblioteki wchodzi Adrian.

Fletcher i Barrie odwrócili się, podążając za jej wzrokiem.

Ainsley jedynie wyjęła kciuk z buzi, zerknęła w stronę drzwi i uznając, że nic szczególnego się nie dzieje, zamknęła oczy, znów z palcem w ustach.

Maggie nie mogła oderwać oczu od męża. Miała wrażenie, że nie było go dłużej niż kilka dni, ale dla dzieci najwyraźniej czas nie miał żadnego znaczenia. Zachowywały się tak, jakby widziały go tego ranka.

- Jak to się stało, że dostałaś lanie za coś, czego nie zrobiłaś? - naciskała Barrie.

Adrian uniósł kieliszek w geście toastu.

- Proszę, nie przerywaj, to bardzo ciekawe - zwrócił się do żony.

Maggie pokiwała głową, głaskając Ainsley po włosach.

- Moja kuzynka Jane i ja bawiliśmy się w pokoju mojej mamy, przymierzając jej długie suknie i wpinając sobie we włosy strusie pióra z jej kapeluszy. Jane chciała założyć biżuterię mojej mamy, więc spytała mnie, gdzie jest kasetka. Wiedziałam, że nie wolno nam się bawić klejnotami, ale też nie chciałam, żeby Jane się na mnie złościła, więc jej powiedziałam. J ona owinęła się sznurem perły w pasie i związała je zbyt mocno. Nitka pękła i perły rozsypały się po całej podłodze. Wydawało nam się, że zebraliśmy wszystkie, ale po powrocie do domu mama stwierdziła, że jednej perły brakuje. Nie znalazła się już nigdy.

- I twój ojciec dał ci za to klapsa? - domysliła się Barrie.

- Owszem.

- Dlaczego? Przecież to nie ty rozsypałaś perły - zdziwił się Fletcher.

- Nie ja, ale ojciec uderzył mnie trzy razy, raz za to, że powiedziałam Jane, gdzie jest kasetka, raz za zgubioną perłę, i raz za to, że wsunęłam lane do majtek zwinięty kawałek płótna, żeby jej nie bolało, jak dostanie lanie od swojego ojca.

Fletcher wybuchnął śmiechem, na moment budząc śpiącego psa.

- Ale to było niesprawiedliwe - oburzyła się Barrie. Zwracała się do brata, lecz patrzyła przy tym na Adriana. - Czasami jesteśmy karani za coś, na co nic nie możemy poradzić - powiedziała, przenosząc wzrok na Fletchera. - Za takie rzeczy, które od nas nie zależą.

Kiedy znów spojrzała w stronę, gdzie stał Adrian, już go tam nie było.

Pół godziny później Maude przysłała po dzieci. Maggie odłożyła druty, ale nie poszła od razu na górę. Nalała sobie kieliszek brandy i usiadła przy kominku. Gładząc stopą grzbiet psa, przełknęła łyk brandy i skrzywiła się, zaskoczona, że aż tak pali w przetyku. Zdziwiła się, jak można znajdować przyjemność w takiej torturze.

Wkrótce ogień wygasł, pozostawiając na palenisku jedynie szary popiół, a Izrael gdzieś sobie poszedł. Maggie wiedziała, że czas udać się na spoczynek, lecz czuła, że nie będzie w stanie zasnąć. Dręczył ją niepokój. Adrian wrócił. Ale na jak długo?

Myślała, że uda jej się zdobyć jego serce, jego miłość, ale okazało się to jednak trudniejsze, niż sądziła. Nie mogła próbować w nieskończoność, chociaż tak bardzo jej zależało na tym małżeństwie. Możliwe, że wkrótce będzie musiała wyjechać, jak tylko Ainsley będzie silniejsza, a nie wiedziała, dokąd mogłaby się udać. Dopóki żył Adair Ramsay, Szkocja była dla Fletchera zbyt niebezpieczna. Bliskość położenia wykluczała także Anglię, jako miejsce ewentualnego osiedlenia.

Dlaczego nie miałyby zostać w Ameryce? Dzieci nie musiałyby wówczas odbywać długiej morskiej podróży, a i bilety na statek były przecież drogie. Tak, postanowiła zostać w Ameryce. Uniósła kieliszek.

- Za Amerykę - powiedziała, wychylając brandy do dna i natychmiast zanosząc się kaszlem.

Śmieszna rzecz, ta brandy. Paliła jak diabli, ale kiedy już się znalazła w żołądku, Maggie zrozumiała, dlaczego ludzie dobrowolnie zadają sobie taką torturę. Przyjemnie rozgrzana od środka, pogasiła lampy, poza jedną, którą zabrała ze sobą.

Nie potrafiłaby powiedzieć, co jej kazało wejść do salonu, ale po prostu nie mogła się oprzeć pokusie, by tam wstąpić. Może przyciągał ją unoszący się tam smutek niespełnionej miłości, który sama tak dobrze rozumiała.

Podeszła do kominka i postawiła lampę na okrągłym mahoniowym stoliku. Jej spojrzenie, jak zawsze, gdy wchodziła do tego pokoju, spoczęło na portrecie Katherine Mackinnon.

Wydawało jej się dziwne, że nadal nie odczuwa zazdrości wobec tej kobiety. Może byłoby inaczej, gdyby знаła Katherine albo przynajmniej gdyby kiedyś ją spotkała. A może żywiłaby do niej niechęć, gdyby Katherine kochała Adriana. Jednakże wiedząc, że miłość Adriana do Katherine była jednostronna, że Katherine nigdy nie kochała nikogo poza swoim mężem, łatwiej godziła się z jej istnieniem.

Podobnie jak Adrian, Maggie także kochała już wcześniej.

Kochała, i to głęboko. Różnica polegała na tym, że ona umiała pozostawić swoją miłość i wspomnienie o Brusie tam, gdzie należało.

W przeszłości.

Maggie przyjrzała się uważnie twarzy Katherine. Ta kobieta знаła Adriana przez większość jego życia. Jeśli Maggie czuła jakąkolwiek zazdrość wobec Katherine, to wyłącznie z tego powodu. Gdybym znała go lepiej, mogłabym mu pomóc, pomyślała z żalem.

— Pomóż mi go poznać. Pomóż mi go zrozumieć — szepnęła

do kobiety na portrecie. Jednak mówiąc te słowa, wiedziała, że to by nic nie dało. Człowiek, którego znała Katherine, już nie istniał. Minęło dziesięć lat od czasu, gdy Katherine z Alexem wyjechali do Teksasu, zostawiając Adriana samego. A człowiek może się bardzo zmienić przez dziesięć lat. Może być samotny. I zgorzkniały.

Dziesięć lat życia ze wspomnieniem może zrobić z człowiekiem dziwne rzeczy, może upośledzić jego zdolność do życia w teraźniejszości, tak jak popiół z wygasłego ognia może zdusić świeży płomień.

Jeszcze raz spojrzała na portret. Dziesięć lat to zbyt długo, żeby kochać wspomnienie. Jak bardzo chciała, żeby mógł zapomnieć tę twarz, te włosy, ten uśmiech. Lepiej zapomnieć, niż pamiętać i być ciągle smutnym.

Zadała sobie pytanie, jakie uczucia budzi w niej ten portret, stanowiący ścianę pomiędzy przeszłością Adriana, a jego obecnym życiem. Większość kobiet wpadłaby w gniew i zażądała natychmiastowego usunięcia portretu. Większość kobiet odmówiłaby spędzenia w tym domu choćby jednej nocy, dopóki portret wisi w salonie.

I większość kobiet już dawno opuściłaby Adriana. Tak, większość kobiet by tak zrobiła.

Adrian wykorzystywał Katherine, wykorzystywał jej portret żeby zniechęcić do siebie swoją żonę.

Jednakże mogło mu się to udać tylko wtedy, jeśli ona na to pozwoli. Czasami było jej ciężko, czasami miała wielką ochotę zrzucić ten przedmiot kultu ze ściany i z całym siłą walić w niego pogrzebaczem.

Adrian zdążył opróżnić trzy kieliszki w swoim gabinecie, nim usłyszał, że Maude schodzi po schodach, by zabrać Barrie i Fletchera. Niedługo potem do gabinetu zajął Izrael. Pies powstał chwilę w pręgach i zniknął.

Adrian nalał sobie jeszcze dwa drinki i dopiero wtedy wyszedł. Mijając salon, dostrzegł blade światło lampy rzucające cień na posadzkę holu. Stał w drzwiach salonu i zobaczył ją.

Maggie.

Myślał, że śpi już na górze. Spojrzył na portret Katherine, a potem na stojącą przed kominkiem Maggie, nieruchomą jak posąg, i serce mu się ścisnęło.

Powiedz jej, powiedz — podpowiadał mu wewnętrzny głos. Powiem. Za jakiś czas.

Maggie stała z zadartą głową, wpatrywała się w Katherine.

Wyglądała równie pięknie, jak wcześniej w bibliotece. Miała na sobie głęboko wyciętą suknię w kolorze ciemnego złota. W miękkim świetle jej odkryte mlecznobiałe ramiona zdawały się świecić własnym blaskiem.

— Nie musisz tu stać, żeby mnie pilnować całą noc — powiedziała Maggie, nie odwracając się do niego. —

Nie zniszczę jej portretu. Nie uważam, żeby wyzywanie się na przedmiotach było sposobem na rozwiązywanie problemów.

— A to jest problem?

Maggie wiedziała, do czego zmierzał. Miał nadzieję, że odpowie twierdząco, a wtedy on będzie mógł stwierdzić, że portret zostanie tam, gdzie jest, a jeśli jej się to nie podoba, może opuścić ten dom. Panie Boże, daj mi siłę, westchnęła w duchu. Sama sobie nie poradzę.

— Nie — odpowiedziała cicho, wreszcie na niego spoglądając. — Nie jest. A powinien być?

Zignorował jej pytanie.

— Pewnie byś wolała, żebym go zjął — powiedział, gotów zaraz dodać, że nie ma takiego zamiaru.

— Nie, nie poprosiłabym cię o to — zapewniła.

Przez dłuższą chwilę żadne z nich się nie odezwało, jakby oboje potrzebowali czasu na zebranie myśli.

Maggie uśmiechnęła się pod nosem; wiedziała, co Adrianowi musiało chodzić po głowie. Próbuje podstępem zdobyć przewagę, pomyślała. Jest zaskoczony i zbity z tropu, a nawet trochę zły, że rozmowa nie układa się tak, jak sobie zaplanował. Boże, daj mi cierpliwość ...

I giętki język.

— Zatem podoba ci się, że portret wisi tam, gdzie wisi — wydukał w końcu.

Miała ochotę parsknąć śmiechem.

— Nie mogę powiedzieć, że mi się podoba — odparła szczerze — ale nie poproszę cię, żebyś go zjął.

- Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

- Zdejmiesz go sam, kiedy będziesz gotowy, kiedy nie będziesz już postrzegał tego, co jest teraz, jako zagrożenia dla przeszłości, którą wciąż czcisz.

- To dziwne - powiedział.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak sądzisz? Dlaczego?

Widziała wyraz zmieszania w jego oczach, które mimo dzielącej ich odległości i słabego światła lampy były jaskrawo-niebieskie. Mimowolnie opuściła wzrok na jego usta, zmysłowe i pełne. I zamarzyła, by ich dotknąć w pocałunku.

Przypomniała sobie ich ostatnie zbliżenie. Doznała wówczas zaspokojenia, ale nie czuła się kochana.

Nagle uświadomiła sobie, że pragnie właśnie tego. Pragnie, by ją kochał całym sobą, niczego nie kryjąc i nie powstrzymując. Do takiej miłości niezbędnym jest zaufanie, a nie dała mu przecież zbyt wielu powodów, by jej ufał.

Boże, dopomóż, była w nim bardziej zakochana teraz niż kiedykolwiek wcześniej, i nawet nie wiedziała, jak to się stało. Nie wiedziała też, co powinna zrobić. Adrianie, powiedz coś, modliła się bezgłośnie.

Powiedz, że nie chcesz, bym wyjeżdżała.

- Pewnie powinienem się czuć winny i zdjąć go - powiedział, patrząc na portret.

Wiedział, że powinien to zrobić, ale brakowało mu woli. Jakby ten portret był jego tarczą, która miała go osłonić od kolejnych ran. Maggie go oszukała. I to nie jeden raz, lecz dwukrotnie. Nie mógł jej ufać'.

A jednak to, co powiedziała, wzbudziło w nim ciekawość. Jaka naprawdę była kobieta, którą poślubił? Jaka właściwie była kobieta, która miała dość cierpliwości i wyrozumiałości, żeby żyć z mężczyzną, trzymającym nad kominkiem portret swojej jedynej prawdziwej miłości?

- Nie prosiłam cię, żebyś go zdjął - powiedziała, zwrócona do obrazu - ... nieważne, czy z poczucia winy, czy z innego powodu. I nie poproszę.

Ton jej głosu dziwnie go poruszył. Zaskakiwała go i zdumiewała. Była czułą, delikatną kobietą, cierpliwą i wyrozumiałą. I nie świadczyło to o jej słabości; przeciwnie, te cechy raczej dawały jej siłę.

Dawały jej także władzę nad nim.

Potrafił sobie radzić ze złością. Słowa mógł puszczać mimo uszu. Ale cierpliwe zrozumienie go rozbrajało. Nie umiał się przed nim bronić i nie rozumiał dlaczego.

- Wiem, że nie poprosisz - powiedział w końcu. Jakaś niewytłumaczalna siła popychała go ku niej, aż stanął za jej plecami tak blisko, że czuł jej zapach. A pachniała jaśminem, różami i ciepłą, chętną kobietą.

- Jeśli będziesz zbyt długo tak zadzierać głowę, jutro rano nie zdołasz nią ruszyć.

- To dobrze! - odparła z uśmiechem. - Będę miała wymówkę, żeby zostać w łóżku.

- Tego właśnie chcesz? Zostać w łóżku? - zapytał ciszej. Tak. Z tobą, pomyślała.

- Każda chwila odpoczynku jest cenna - odpowiedziała. - Wszystkie matki o niej marzą.

Podniósł rękę, żeby rozmasować jej szyję. Maggie się nie poruszyła. Czuł, jak cała drży pod jego dotykiem.

- Zmęczona?

- Tak, jestem zmęczona - przyznała. - Ale szczęśliwa.

- Szczęśliwa?

- Uhm. Moje dzieci są bezpieczne i odzyskałam Ainsley. - Unosząc ramiona, odgarnęła z szyi luźne kosmyki włosów. - Tak, jestem szczęśliwa.

Adrian nie mógł oderwać oczu od jej wdzięcznie przechylonej głowy. Wydawała mu się nieskończenie piękna, piękna aż do bólu, bo to piękno miało w sobie jakiś dziwny smutek. Przesunął dłonie niżej, gładząc jej odsłonięte ramiona, a potem jeszcze niżej, aż koniuszki palców dotknęły jej piersi.

Jęknęła cicho, opierając się o niego.

- Dobry Boże ... - szepnął, przyciskając wargi do jej karku.

- Adrian ...

- Nie - rzucił szorstko, jak rozkaz. - Nic nie mów.

Przesunął ustami po jej szyi, do ucha, owiewając jej skórę ciepłym oddechem. Pozostała nieruchoma, jak płomień świecy w bezwietrznym powietrzu.

Krew w nim zawrzała. Od wielu dni żywił się myślami o niej, wspomnieniami jej aksamitnego ciała, jej zduszonych okrzyków rozkoszy. Marzył o dotyku jej ust, ciepłych i wilgotnych.

Zamknął oczy, przypominając sobie szczegóły ich zbliżenia, i natychmiast poczuł, jak tężeje w nim każdy mięsień.

Pragnął jej.

Ale pożądanie sprawiało mu ból. Uosabiała wszystko, czym gardził - była lubieżna, bezwstydna, zuchwała. I miała w sobie wszystko, co podziwiał - szczerość, bezpośredniość i to, że można było na niej polegać. Zaakceptowała go, stała się częścią jego życia, otworzyła się przed nim całkowicie, jak tylko kobieta może się otworzyć przed mężczyzną. Oczarowała go do granic szaleństwa swoim ciałem, zapachem, głosem, tym, jak wyglądała i tym, jak się czuł, będąc z nią blisko. Odebrała mu zdolność logicznego myślenia. Maggie ... Maggie ... Maggie ...

Pragnął ją pokochać, ale nie mógł sobie na to pozwolić.

Surowość wobec siebie tak dalece weszła mu w krew, że stłumiła wszelkie inne odczucia. Zepchnięta w najgłębsze zakamarki tęsknota skręcała mu trzewia, drażyła go od środka, podczas gdy umysł kazał mu ją odrzucić, odesłać, skąd przybyła.

Jak miał to zrobić? Przecież była wszędzie. Cały jego dom nią oddychał, był pełen jej zapachu, jej dotyku, śladów jej istnienia. Będąc z nią, napawał się jej widokiem, z dala od niej żywił się wspomnieniami. A kiedy brakło wspomnień, natychmiast pojawiały się marzenia.

Zastygł bez ruchu, z dłońmi wypełnionymi żywym ciepłem.

Powoli, ostrożnie, powodowany jakąś pierwotną, nieodpartą potrzebą, zaczął ją pieścić. Z początku delikatnie, potem stopniowo coraz żarliwiej. Natrafił palcami na perłowe guziczki stanika.

- Nie rób tego - szepnęła.

- Dlaczego?

- Drzwi są otwarte.

Zaśmiał się cicho.

- Nie szkodzi. Jesteśmy sami. Wszyscy już śpią.

Teraz ona wydała z siebie gardłowy śmiech.

- Nigdy nie jesteśmy sami.

- Teraz jesteśmy - zapewnił, przesuwając językiem po brzegu jej ucha i jednocześnie rozpiąwszy suknię.

Ciężkie fałdy z szelestem zsunęły się po gołej skórze.

Zaskoczony, powiódł dłońmi po jej ciele.

- Jesteś naga - szepnął bez tchu.

- Bałam się, że nie zauważysz.

- Zauważyłem - wymruczał.

- O tak, zauważyłeś. - Opuściła głowę, kiedy zaczął błędzić pocałunkami po jej plecach, od jednej łopatki do drugiej. Przebiegły ją ciarki, miała wrażenie, że biegnie do utraty tchu, zatrzymuje się na krawędzi otchłani, chce skoczyć, by poczuć się lekko, zawisnąć w przestrzeni, lecz paraliżuje ją lek przed upadkiem. Co się z nią dzieło? Jeszcze nigdy tak się nie czuła. Wszystko wokół traciło ostrość, rozpląwało się w niewyraźną plamę, jak atrament w wodzie.

- Dlaczego - spytał szeptem - nie masz nic pod suknią, słodka Maggie? Jestem ciekaw dlaczego?

- Nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedziała. Zachichotał.

- Pewnie masz rację, bo jak cię znam, odpowiedź wcale nie jest prosta.

Słowa padały lekko, a jego ręce poruszały się delikatnie i zręcznie, jakby znały na pamięć wszystkie wrażliwe punkty na jej brzuchu i piersiach.

- To nie to, co myślisz - powiedziała urywanym szeptem. Przywarł mocniej do jej pleców, nie przerywając pieszczoty.

- Nie?

- Nie.

- A co ja myślę?

- Że umyślnie nie założyłam bielizny.

- A nie było tak?

- Nie. Nie wiedziałam, że wrócisz.

Jego gorący oddech przyprawiał ją o drżenie.

- Nawet najbardziej roztargnione osoby pamiętają o rzeczach tak podstawowych jak założenie bielizny.

- Nie jestem roztargniona. Nie miałam co założyć.

- Co?

- Wszystko było mokre. Molly zbyt ochoczo zabrała się dziś za pranie. Wyprała ... dosłownie wszystko.

Zostały mi tylko te rzeczy, które miałam na sobie, ale zamoczyły się, kiedy kąpałam dzieci. Były zbyt mokre, żeby je nosić pod suknią. Mogłam przyjść albo tak, bez bielizny, albo wcale.

- Cieszę się, że przyszłaś. Mógłbym się do tego przyzwyczaić. - Przesuwał wolno dłońmi po jej brzuchu.

- Drzwi są otwarte - przypomniała jeszcze raz. - Nie wiedziałabym, co powiedzieć, gdyby ktoś wszedł.
- I tak by ci nie uwierzył. Ale nie martw się. Stoję za tobą, więc cię zasłaniam. Nikt cię nie zobaczy. Jesteś za mała.

Roześmiała się, sięgając do tyłu i trafiając palcami na jego męskość.

- Za to ty jesteś duży - zauważyła z gardłowym śmiechem. - Swoją drogą, chciałabym zobaczyć minę Maude, gdyby tu weszła i przyłapała cię z gołym tyłkiem.

- Jeśli tu wejdzie - wymruczał, wsuwając złożone dłonie między jej uda - założę się, że nie zostanie długo.

- Tak ... - wyszeptała półprzymkniętymi oczami - niedługo.

- Chcę cię dotknąć. Rozsuń nogi - poprosił cicho. - Szerzej.

- Nie mogę. Ledwie stoję. Zaraz upadnę.

- Nie upadniesz. Trzymam cię.

Spełniła prośbę i niemal natychmiast wyprężyła się, jęcząc z rozkoszy.

- Dostyc. Błagam, nie wytrzymam więcej.

- Ależ tak, wytrzymasz. - Postarał się, by jej to udowodnić.

Kiedy ponownie targnął ją spazm, położył ją na podłodze i nakrył sobą. Nie przestawał jej pieścić, z czułością i cierpliwością, o jaką się nawet nie podejrzewał. Ddotykami próbował przekazać jej to, czego nie umiał powiedzieć. Modlił się przy tym, by zrozumiała, że wszystkie okrutne słowa, które padły z jego ust, były wyrazem bólu i poczucia krzywdy. Pomóż mi, Maggie, prosił bezgłośnie. Pochłoń mi okazać, co czuję.

- Proszę - szepnęła z ustami przy jego zroszonej potem skórze. Wiała się pod nim niecierpliwie. Oddychała ciężko, z jej ust dobywały się urywane, stłumione dźwięki.

Wreszcie w nią wszedł, zanurzył się w jej miękkim cieple.

Na moment znieruchomiał, żeby nad sobą zapanować; nie chciał osiągnąć spełnienia, zanim ona nie będzie gotowa. Poruszał się wolno równymi, mocnymi pchnięciami, dopóki nie zastygła wygięta w łuk, wykrzykując jego imię.

Wreszcie zsunął się z niej, przyciągnął ją do siebie i trzymał w zachłannym uścisku. Pozostali w tej pozycji, nie odzywając się do siebie, dopóki nie nabrał przekonania, że zasnęła. Wtedy uniósł się na łokciu i spojrzał jej w twarz. Nie spała; szeroko otwartymi, lśniącymi od łez oczyma wpatrywała się w portret. Dotknął jej policzka, lecz nim zdążył coś powiedzieć, zamknęła oczy i odwróciła głowę.

- Nie płacz - powiedział cicho. - I nie żyw do mnie nienawisci.

- Nie czuję do ciebie nienawisci - powiedziała. - I jeszcze nie płakałam.

- To dobrze. Nie mógłbym znieść myśli, że to, co właśnie robiliśmy, napawa cię smutkiem.

Wiedziała, że mówił szczerze, i trochę ją to pocieszyło.

Przytulił ją mocniej, bo chłód panujący w salonie zaczął się dawać we znaki. A Maggie zastanawiała się, czy mężczyzna może się tak kochać z kobietą, jeśli naprawdę zamierza ją odprawić.

18

Następnego ranka, kiedy Maggie weszła do kuchni, Molly stała przy piecu spowita w kłęby pary i mieszała w garnku z kaszą. Okazywanie euforii nie leżało w naturze Maggie, ale tego dnia była szczęśliwa, najszczęśliwsza od lat, więc wszystko wokół wydawało jej się jaśniejsze niż zwykle.

- Dzień dobry. Wygląda na to, że czeka nas piękny dzień.

- Będzie padać - mruknęła Molly.

Maggie przystanęła w miejscu. Spojrzawszy przez okno, zobaczyła słońce.

- Deszcz? Nie chce mi się wierzyć - powiedziała.

Molly wzruszyła ramionami, stukając drewnianą łyżką o brzeg naczynia; gruda zlepionej kaszy z chlupnięciem wpadła do środka.

- Może pani wierzyć lub nie, ale to nie zmieni faktów.

- Jakich faktów?

- Na przykład, każdy osioł w obozie ... mam na myśli te czworonożne, ocierał się o płot i miał postawione uszy. A Clem Bumside mówił, że woły liżą sobie kopyta.

- I to oznacza deszcz?

- Właśnie.

- No to będę przygotowana na deszcz - powiedziała Maggie ugodowo i ucałowała w czubek głowy po kolei Barrie, Fletchera i Ainsley. Już miała coś powiedzieć, kiedy jej uwagę przyciągnęła zawartość talerza Barrie.

- A to co? - zdumiała się. Barrie opuściła wzrok na talerz.

- Naleśniki - powiedziała tonem, który z każdym dniem coraz bardziej przypominał ton Molly. Maggie zerknęła na Molly, a potem znów na talerz córki.

- Naleśniki zwykle bywają okrągłe. Dlaczego pokroiłaś je w kwadraty. Barrie zrobiła minę, jakby nie mogła uwierzyć, że matka jest aż tak mało domyślna. Oblizła wąsy z mleka z nad górnej wargi. - Bo Molly tak powiedziała - stwierdziła z westchnieniem. Maggie zwróciła pytające spojrzenie na Molly, która z kolei zgromiła wzrokiem Barrie.

- Nie wciągaj mnie w tę historię - ostrzegła. - Nic mnie nie obchodzi, jak kroisz swoje naleśniki, ale z pewnością nie kazałam ci ich kroić w kwadraty. Lepiej powiedz matce prawdę.

- Nie patrz tak na mnie - zachnęła się Barrie pod karcącym spojrzeniem matki. - To jej wina. - Wskazała na Molly. - Kazała mi to zrobić. Naprawdę!

Molly potrząsnęła głową, odłożyła łyżkę i wzięła się pod boki.

- Niby kiedy ci kazałam, nieznośna pannico, i co dokładnie powiedziałam? Krzywiąc się ze złości, Barrie wyrzuciła z siebie:

- Nie pamiętam kiedy, ale powiedziałaś, że rosnące dzieci powinny jadać trzy równe posiłki dziennie.

- Zgadza się - wtrącił Fletcher. - Też to słyszałam.

- Niektórym ludziom można wmówić każdą winę - powiedziała Molly i gniewnie parsknęła. - Ale nie mnie. Tak czy owak, dostało mi się. "Podług słów waszych sążeni będziecie".

I na tym się skończyło.

P odczas gdy Barrie zjadała kwadratowe naleśniki, Maggie nalala sobie filiżankę herbaty. Zauważyła, że na miejscu, gdzie zwykle siedział Adrian, stoi nienaruszone nakrycie. Serce zabiło jej żywiej, bo natychmiast przypomniała sobie wydarzenia ostatniej nocy.

- Gdzie jest Adrian? - spytała.

- Na zewnątrz, rozmawia z Wielkim Johnem - odpowiedziała Molly, znów mieszając w garnku.

- Z Wielkim Johnem? - zdziwiła się Maggie. - Nie pamiętam, żeby kiedyś przychodził tak wcześnie rano.

- Bo nie przychodził... do tej pory. Wydaje mi się, że są jakieś kłopoty w tartaku. Tylko taki powód wizyty Johna przychodzi mi do głowy.

Maggie uśmiechnęła się, puszczając oko do dzieci.

- Może przyszedł nam powiedzieć, że woły przestały sobie lizać kopyta.

Molly odęła wargi. Po chwili do kuchni wszedł Adrian i nalal sobie kawy.

- Śniadanie na stole - oznajmiła Molly, nakładając kaszę do porcelanowej wazy.

Adrian sprawiał wrażenie tak głęboko zamyślnego, że Maggie miała wątpliwości, czy w ogóle usłyszał, co Molly mówiła. Najwyraźniej jednak musiał usłyszeć, bo powiedział:

- Nie mam czasu teraz jeść. Muszę jechać do tartaku.

- Stało się coś? - spytała Maggie.

- Nic takiego, z czym bym sobie nie poradził. Nie chcę, żebyś się niepotrzebnie martwiła.

- Nie możesz mi powiedzieć, o co chodzi?

Uśmiechnął się, ale nie był to szczerzy uśmiech, tylko próba rozwiania jej obaw.

- Jeśli ci powiem, to będziesz się martwiła. - Widząc, że Maggie otwiera usta, by coś powiedzieć, dodał: - Nie mogę ci teraz powiedzieć nic więcej. Zaufaj mi, Maggie, i nie martw się. Muszę już iść. Nim zdążyła zaprotestować, już go nie było.

Maggie zamyśliła się na moment, a potem odstawiła filiżankę na stół i ruszyła do wyjścia.

_ Nie chce pani nic zjeść?! - zawołała za nią Molly.

_ Nie jestem głodna! - odkrzyknęła od progu. Była ciekawa, co też się może dziać w tartaku. Uznała, że Adrian najwyraźniej nie docenia jej naturalnej kobiecej ciekawości. Wystarczyło sobie przypomnieć jego zawsze nieodgadniony wyraz twarzy.

Mony uniosła brwi.

_ Nieplanowane wczesne wyjście, co?

Maggie oburknęła coś pod nosem, lecz Molly tylko wzruszyła ramionami.

_ Ciekawość to pierwszy stopień do piekła! - Zerknęła na Maggie z ukosa. - Nie powiem, trochę ciekawości czasami nie zawadzi, ale nie można przesadzić. Nie można być zbyt dociekliwym wobec wyroków losu, boskich sekretów i własnego partnera.

- Ja ...

Molly nie dała jej dokończyć.

_ Ten, kto pyta, nie uniknie odpowiedzi. Zadawaj zbyt wiele pytań, a poczujesz się tak, jakbyś wetknął

głowę do gniazda żmij - nic nie widać, ale czuć ukąszenia.

Maggie z uśmiechem odpowiedziała jej odpowiednim cytatem z Burnsa, dodając:

_ Droga Molly, nie słyszałaś, że kobieta jest mądrzejsza, ponieważ wie mniej, ale więcej rozumie?

Molly jak zwykle wyraziła swą opinię prychnięciem.

_ Nadal uważam, że powinna pani raczej siebie zapytać, czy naprawdę chodzi o tartak... czy chce pani wiedzieć, dlaczego Adrian wyszedł w takim pośpiechu?

_ Nie mogę powiedzieć. - Maggie wybuchnęła śmiechem, posłała Molly całusa i wybiegła z kuchni, gwizdząc prostą szkocką melodię.

Na twarzy Molly pojawił się ledwie widoczny wyraz rozbawienia.

_ Kto gwizdże przed śniadaniem, ten do południa będzie płakać - mruknęła do siebie.

Kiedy Maggie przybyła do tartaku, niewiele się tam działo.

Widząc konia Adriana przywiązane przed biurem, postąpiła chwilę przed drzwiami, zastanawiając się, czy najpierw tam wstąpić. Zganiła się w duchu za niezdecydowanie. Jeśli nie umyjesz rąk, będą brudne. Jeśli to zrobisz, zużyjesz wodę. W końcu, wzruszywszy ramionami, odeszła, postanawiając za-jrzyć do biura później.

Nie znajdując w obozie niczego zajmującego, Maggie skierowała się do chaty medycznej.

W środku było ciemno i niechlujnie, lecz wkrótce okiennice zostały pootwierane, lampy zapalone, a całe pomieszczenie odkurzone i wymyte do czysta. Pod jedną ścianą stały dwa pudła z zamówionymi dostawami. Maggie przetarła szklaną półkę w szafce na leki i zajęła się sortowaniem oraz opisywaniem dostarczonych medykamentów.

Przepracowała bez przeszkód cały ranek; uporawszy się ostatecznie z porządkami, poświęciła następną godzinę na przeglądanie ostatniego wydania Carlisle 's Complete Medical Journal i robienie notatek. Zainteresowana nowymi środkami, czytała o dostępnych lekach roślinnych i mineralnych - chininie na malarię, naparstnicy na choroby serca, wyciągu z zimowita na podagrę i opiatkach przeciwbólowych, o tych ostatnich z największą uwagą.

W trakcie lektury natrafiła na nazwisko doktora Crawforda W. Longa, lekarza z Georgii, który przeprowadził trzy drobne zabiegi chirurgiczne z użyciem eteru siarkowego, na który szybko wypisała zamówienie. Z niesmakiem obejrzała dowcip rysunkowy zatytułowany: "Lekarstwo na gderliwe żony", przedstawiający męża zmuszającego żonę do wdychania gazu rozweselającego po to, by się histerycznie śmiała, kiedy będzie ją karał.

Pochłonięta czytaniem, nie od razu zwróciła uwagę na coraz głośniejszy gwar dobiegający zza okna.

Ocknęła się dopiero, kiedy Clem Burnside wsunął głowę przez drzwi, szukając Wielkiego Johna.

- Nie ma go tutaj - powiedziała Maggie, już świadoma zamieszania panującego na zewnątrz. Jednak nim zdążyła zapytać, co się dzieje, Clem zniknął.

Maggie wyszła z chaty.

Pośrodku obozu gromadzili się ludzie; szeptali między sobą, lecz na tyle cicho, że stojąca na ganku chaty Maggie nie była w stanie usłyszeć, o co chodzi. Po chwili przyłączyła się do nich i stając na palcach próbowała coś dostrzec, ale widziała tylko rosnący tłum przed drzwiami baraku.

Nagle zobaczyła Wielkiego Johna stojącego nieopodal i ruszyła w jego stronę, wierząc, że od niego dowie się wszystkiego. Jednakże nim do niego dotarła, drzwi baraku otworzyły się z hukiem. Oślepiona słońcem Maggie z początku nie była w stanie dostrzec, co się dzieje w ciemnym wnętrzu. Dopiero po chwili ujrzała szamoczących się trzech mężczyzn. Dwóch z nich usiłowało wyciągnąć na zewnątrz trzeciego, który wyrwał im się rozpaczliwie, zapierając się przy tym nogami o framugę.

Maggie pomyślała, że to pewnie zwykłe żarty, które tak lubili ci prości ludzie, kiedy to nie podejrzewający niczego biedak jest wystawiany na pośmiewisko przed resztą obozu. Przypomniała sobie drwała o przezwisku Brudna Koszula, którego siłą wykapa-no i który potem zniknął na zawsze i nikt o nim więcej nie słyszał.

Już miała się wycofać, kiedy naszło ją jakieś dziwne przeczucie.

Działo się coś innego, coś, w czym nie było nic zabawnego.

Ten nieszczęśnik nie protestował przeciw złośliwym żartom kolegów. Wrzeszczał i kopał, ajego twarz zmieniała się w maskę przerażenia. Mężczyźni stojący w tłumie mieli poważne miny, nie śmiali się i nie krzyczeli. Dla Maggie stało się jasne, że zgromadzili się z zupełnie innego powodu.

Ciasno otoczona ludźmi, Maggie patrzyła, jak ofiara zostaje w końcu wypchnięta z baraku, a potem, potykając się i prze-wracając, jest prowadzona po wyboistym placu. Kiedy cała trójka stanęła na środku obozu, z biura wyszedł Adrian.

Był blady, usta miał zaciśnięte w wąską linię. Maggie domyśliła się, że Adrian ma coś wspólnego z zaistniałą sytuacją. Z ustami otwartymi w niemym proteście, zaczęła się wycofywać, lecz prawie natychmiast zmroził ją przeraźliwy krzyk.

- Błagam! Nie możecie pozwolić, żeby mi to zrobili. Niech mi ktoś pomoże! Clem! John! Elijah! - zawodził ten człowiek, rozpaczliwie rozglądając się za wsparciem. - Nie pozwólcie im tego zrobić! Na miłość Boską, niech mi ktoś pomoże!

Zaczął szlochać, słowa zmieniły się w bezładne mamrotanie.

Oslupiała Maggie patrzyła, jak ślina cieknie mu z ust. Zaraz potem zsiąk w spodnie. Tylko raz widziała taki strach, kiedy wieszano skazańca.

Przez tłum przeszedł niespokojny pomruk. Ludzie zaczęli się cofać, jakby ich także zjął strach.

Maggie poczuła mdłości. Nie mogła znieść takiego okrucieństwa. Nadal nie wiedziała, o co chodzi, wiedziała tylko tyle, że Adrian ma z tym coś wspólnego.

Zaufaj mi, Maggie, przypomniała sobie jego słowa, wypowiedziane przy śniadaniu.

Dobry Boże, pragnęła mu ufać. Patrzyła na swego męża z obawą, pytaniem, zwątpieniem.

Jeśli nawet dostrzegł ją w tłumie, nie dał tego po sobie poznać.

- Zamknąć go - rozkazał donośnym, opanowanym głosem. - Przez chwilę rozglądał się po tłumie, nim skupił wzrok na ofierze. - Przykro mi - powiedział. - Nie ma innego sposobu. Gdyby był, wiesz, że bym z niego skorzystał.

- Kłamca! Drań! - wrzeszczał skazany. - Zimny drań! Znalazłbyś inny sposób, gdyby chodziło o twoją skórę. Gdyby to ciebie mieli zamknąć ... żebyś zdechł jak zwierzę.

Maggie widziała, jak Adrian zaciska zęby.

- Zamknijcie go w szopie. Kazałem tam wstawić łóżko ... - Urwał, lecz zaraz dodał: - Przywiążcie go.

- Neeee. Na miłość boską, nie!

Maggie nie mogła oderwać oczu od wijącego się nieszczęśnika, wrywającego się dwóm trzymającym go osiłkom. Był chudy i bosi, na twarzy miał niechlujny czarny zarost. Długie skołtunione włosy jeszcze potęgowały wrażenie dzikości. Nie mieściło jej się w głowie, że Adrian może być taki okrutny. Niezależnie od tego, co zrobił ten człowiek, przywiązywanie go do łóżka w niewielkiej szopie wydało jej się po prostu nieludzkie.

"Biada tym, którzy się sobie zdadzą mądrymi, a sami u siebie roztropnymi!" Te słowa Izajasza wydały jej się jakby skierowane wprost do Adriana. Prawy, nadęty głupiec, pomyślała. Jak on może?

Cała się trzęsała, tak wzburzona i przejęta brutalną surowością Adriana, że dźwięk własnego głosu ją zaskoczył.

- Przerwij to! Przerwij to natychmiast! - Ominęła mężczyzn stojących tuż przed nią i zaczęła się przedzierać przez tłum, ze złością rozpychając tych, którzy dzielili ją od męża. - Z drogi! - krzychała. - Przepuście mnie.

Czując dzikie pulsowanie krwi w skroniach, parła naprzód, aż wreszcie wydostała się z tłumy i stanęła oko w oko z Adrianem. Nie był już blady; przeciwnie, twarz mu pociemniała z gniewu. Przez moment Maggie miała wrażenie, że to ona jest skazańcem, samotnym naprzeciw wrogiej ciżby. Przebiegł ją lodowaty dreszcz. Nagle poczuła się tak, jakby otaczała ją ciemność.

„1 obaczyłem, iż jest pożyteczniejsza mądrość niżeli głupstwo, tak jako jest pożyteczniejsza światłość niżeli ciemność. Mądry ma oczy w głowie swej, ale głupi w ciemnościach chodzi”.

Czyżby te słowa z księgi Koheletha były przeznaczone dla niej?

Przez chwilę wpatrywała się bezmyślnie w Adriana, zdumiona tym, co zrobiła. Przywołała się do porządku. Posunęła się tak daleko, że nie miała odwrotu. Już miała się odezwać, lecz na widok miny Adriana oniemiała.

Twarz człowieka, którego poślubiła, wyrażała już różne rzeczy, bywała cyniczna, twarda, wyniosła, oskarżycielska, ale tym razem wyrażała coś, czego jeszcze nie widziała. Przeszywał ją spojrzeniem, w którym była rozpacz i ból... i błaganie. Był upokorzony. Świadomość, że ten dumny mężczyzna błaga, choćby tylko wzrokiem, odebrała jej mowę.

- Wracaj do domu, Maggie. To ciebie nie dotyczy - powiedział głosem, w którym nie było już złości.

Twarz Maggie, jeszcze przed sekundą śmiertelnie blada, oblała się purpurą. Jego niespodziewana łagodność podziałała na nią mocniej, niż gdyby okazał wściekłość.

- Co jest z tobą?! - krzyknęła, ledwie nad sobą panując. - Jak możesz mówić, że mnie to nie dotyczy?

Komuś tu się dzieje krzywda! - Odwracając się do milczącego tłumy, zawołała: - I wy nazywacie siebie mężczyznami? Budzicie we mnie odrazę! - Odwróciła się z powrotem do Adriana: - Nie możesz zamknąć tego człowieka jak zwierzęcia i jeszcze przywiązywać go do łóżka! To nieludzkie!

Adrian szybko podszedł do Maggie, chwycił ją za ramię i odprowadził do Wielkiego Johna.

- Powiedziałem, że to ciebie nie dotyczy - wycedził przez zęby.

Aż otworzyła usta ze zdumienia.

- Nie dotyczy? Pięknie powiedziane. Nic nie szkodzi, że jestem twoją żoną! No, dalej! Zgnieć mi rękę!

Odepchnij mnie! Przecież chcesz się mnie pozbyć ... za wszelką cenę!

Adrian pobladł, jakby jej słowa miały w sobie magiczną moc odbierania koloru jego twarzy.

- I pozbędę się! - ryknął. Chwycił ją za ramiona i mocno nią potrząsnął. - Czy chcesz wyjechać, czy nie! -

Pchnął ją w stronę Wielkiego Johna; gdyby ten jej nie przytrzymał, niechybnie by upadła. - Zabierz ją stąd!

- Pewnie, wyrzuc mnie stąd! Odeślij mnie! To najłatwiejsze rozwiązanie wszelkich problemów! Nie jestem

Katherine, więc się mnie pozbadź! - wyrzuciła z siebie, umyślnie chcąc go zranić. - Naprawdę tak myślisz?

- spytał.

- Ja to wiem. Od dnia, kiedy tu przyjechałam, nie możesz mi wybaczyć, że nie jestem Katherine.

- Mylisz się. Nie oczekuję, że będziesz Katherine, tak jak ty nie oczekujesz, że będę Bruce'em. Ale nie możesz żądać, by wszystko było po twojej myśli tylko dlatego, że tak sobie zaplanowałaś.

- Tak to widzisz? Że po prostu wszystko sobie zaplanowałam?

- Owszem. Przyjechałaś tu gotowa zrobić wszystko, żeby to małżeństwo było udane, nie biorąc pod uwagę tego, jak ja się czuję. Nie chciałaś po prostu być mężatką i dać mi dzieci ... których, jak wiedziałaś, pragnąłem przede wszystkim. Ty chciałaś mieć wszystko - miłość, poświęcenie, oddanie, a kiedy ci tego nie dałem, postanowiłaś się na mnie zemścić. Może cię nie kochałem, Maggie, ale przynajmniej byłem uczciwy. Czego nie można powiedzieć o tobie.

- Och! Tak, ty byłaś uczciwy! - zawołała. - Trzymasz na ścianie jej portret i nie obchodzi cię, co ja o tym myślę. Ja przynajmniej okazałam więcej taktu. Nie opowiadałam ci o tym, jaki był Bruce, nie mówiłam o dzieciach, nie kłutałam cię nimi w oczy.

- Nie, zachowałaś wszystko dla siebie. Ta część twojego życia była zbyt cenna, zbyt ukochana, żeby się nią dzielić, prawda?

Te słowa ją zmroziły. Nie miała zamiaru niczego przed nim ukrywać, jednak później nie podjęła wysiłku - po tym, jak już się dowiedział - żeby rozwiać jego obawy.

Dyszała z wysiłku i złości, ale nie mogła się już cofnąć. Bruce i Katherine należeli do innej wojny, którą należało rozegrać do końca. Później.

Teraz toczyła z nim inną bitwę.

- Jeśli musisz kogoś związać - powiedziała twardo - to zwiąż mnie.

Adrian wpatrywał się w nią z miną, jakiej jeszcze u niego nie widziała, wyrażającą niedowierzanie, złość, zmieszanie i niepewność. W końcu odwrócił głowę, mówiąc:

- Wracaj do domu, gdzie twoje miejsce. Ja się tym zajmę.

- Nie pozwolę ci tego zrobić, Adrianie.

Przez moment miała wrażenie, że może ją uderzyć. Jednak tylko chwycił ją za ramię i ponad jej głowę zwrócił się do Wielkiego Johna:

- Zabierz ją stąd ... i trzymaj z daleka. Jeśli będzie trzeba, możesz ją zakneblować.

Nie mówiąc nic więcej, wepchnął ją w ramiona Wielkiego Johna i podszedł do ofiary, teraz już stojącej bez ruchu, wyczerpanej, lecz wciąż trzymanej przez dwóch ludzi.

- Na co czekacie? - zwrócił się do nich ze złością. - Przecież kazałem go zamknąć.

- Chodźmy, pani Mackinnon. Nie powinna pani tu być - powiedział Wielki John, biorąc ją pod łokieć.

- On miał rację! - zawołała Maggie przez ramię, niechętnie pozwalając się prowadzić. - Jesteś zimnym, nieludzkim draniem.

Wyraz twarzy Adriana wzbudził w jej sercu lodowaty strach, ponieważ nie patrzył na nią ze złością, lecz z niekłamany bólem. Powoli przeniósł wzrok na Wielkiego Johna, a potem się odwrócił.

- Nie powinna pani tak do niego mówić w obecności tych ludzi - powiedział Wielki John, pomagając jej wsiąść do wozu. Maggie zastygła w bezruchu. Nie pamiętała, by Wielki John kiedykolwiek patrzył na nią w taki sposób - z pogardą i wrogością.

- Chyba nie zgadzasz się na to, co on robi? Nie można usprawiedliwiać takiego traktowania ... niezależnie od tego, co ten nieszczęsny głupiec zrobił.

Wielki John nie odpowiedział. Z głuchym mruknięciem podładował ją na kozioł tak energicznie, że ledwie zdążyła się przytrzymać, by nie upaść na twarz. Wprawdzie nic jej się nie stało, ale kapeluszyk zsunął jej się na oczy.

Usadowiwszy się wygodnie, wygładziła spódnice i próbowała odgiąć złamane pióro, które ciągle opadało jej na twarz. Po kilku nieudanych próbach odłamała je i wyrzuciła.

- Nie rozumiem, dlaczego tak się zachowujesz w stosunku do mnie, skoro to Adrianem powinieneś się przejmować. Nie wi-działeś, co on robił?

Wielki John w milczeniu podszedł do słupka, odwiązał lejce i dopiero siadając obok niej na koźle, powiedział:

- Widziałem, ale na pani miejscu nie tym bym się martwił.

- Co masz na myśli?

- Nie chodzi o to, co zrobił, ale to, co zapewne zrobi. Tak, raczej tym bym się trapił na pani miejscu. -

Zostawili już obóz za sobą i jechali pod górę stromą drogą prowadzącą do domu. Zazwyczaj w tym miejscu Maggie robiło się żal konia, ale dziś miała głowę zaprzątniętą tym, co mówił Wielki John. - Adrian mógł się pani wydać zimny i okrutny, ale działał w interesie pozostałych ludzi z obozu. Trzeba mieć wiele hartu ducha, żeby zrobić to, co on zrobił. Jego ludzie to wiedzą. Dlatego żaden z nich się nie wtrącił. Szkoda, że pani nie potrafiła mu bardziej zaufać.

- Ufać mu? - zachnęła się. - Zaufanie jest cnotą u osła.

Prędszej bym ufała w łagodność wilka lub w przysięgę prostytutki.

Wielki John obrzucił ją spojrzeniem, pod którym aż się skurczyła.

- Zaufanie - powtórzył - takie niepozome słowo, a tak wiele znaczy. Nie sądziłem, że to będzie takie trudne. Zważywszy na okoliczności.

- Jakie okoliczności?

- Przecież jest pani jego żoną, prawda?

- Tak - powiedziała z wahaniem. Nie wiedzieć czemu przyszło jej do głowy porzekadło, że rozum jest jak brzytwa: naj-częściej kaleczy tego, kto go używa, kiedy stępi się ostrze.

Przypomniała sobie słowa Adriana wypowiedziane tego ranka:

"Zaufaj mi, Maggie".

Teraz dudniły jej echem w mózgu, lecz była zbyt wściekła, by się w nie wsłuchać.

- Ufać mu? - powiedziała z ironią. - Łatwo ci mówić, ale ja znam Adriana. Prędszej bym zaufała królikowi, że mi przyniesie sałatę. Gdybyś miał odrobinę przyzwoitości, nie pozwoliłbyś na to, co się stało.

Rozczarowałaś mnie. Nie sądziłam, że potrafisz być tak samo okrutny jak on. - Widząc, jak Wielki John krzywi się ze złości, dorzuciła pogardliwie: - Gdybyś był mężczyzną, tobyś go powstrzymał.

- Nigdy nie lubiłem słuchać, jak jajko poucza kurę - wycedził przez zęby. - Ale skoro pani tak lubi rady, to niech pani zapamięta tę, której dopiero co udzieliłem. Niech się pani przestanie martwić tym, co pani nie dotyczy, a zacznie martwić tym, co zapewne panią czeka ze strony Adriana.

Maggie poczuła dziwny ucisk w gardle. - O co ci chodzi? Co mnie czeka?

- Wkrótce się pani dowie, chociaż ja byłbym za tym, żeby

panią wychłostał po gołym zadku, jak się należy komuś, kto podżega do buntu.

- Do buntu! - wykrzyknęła z niedowierzaniem. - Przecież to nie mnie należy się kara, tylko jemu! - Nawet w jej własnych uszach te słowa zabrzmiały jakoś fałszywie i pozostawiły jej w ustach metaliczny posmak.

- Zawsze uważałem panią za rozsądną osobę - powiedział Wielki John - ale kiedy wpada pani w złość, pani umysł przestaje działać.

- Och! Mój umysł? A co z jego umysłem?! - krzyczała, nawet nie próbując nad sobą panować. - Dlaczego pomijasz milczeniem to, co on zrobił, a czepiasz się mnie?

- Bo pani nie wie, o czym mówi. Sądzi pani, że Adrian nie ma nic lepszego do roboty, tylko się zastanawia, kogo by tu następnego okrutnie potraktować? A nie przyszło pani do głowy, że może musiał być okrutny dla jednego człowieka po to, żeby ocalić życie pozostałych?

Maggie osłupiała.

- Ocalić życie? - powtórzyła tępo. - Pozostałych ludzi?

- To właśnie powiedziałem.

Zamknęła oczy, pogrążając się w zadumie.

- Przepraszam, że straciłam panowanie nad sobą - odezwała się po chwili.

- I przy okazji zdrowy rozsądek.

Znów zapadła między nimi cisza.

- Powiedz mi, co miałeś na myśli - przerwała ją w końcu Maggie. - Kiedy mówiłeś o ocaleniu życia reszty ludzi.

- Widziano oszalałego wilka w wyższych partiach gór, tam, gdzie parę tygodni temu nasi ludzie spuszczaali drzewa. Jeden z drwali go postrzelił. Baxter wyciągnął nóż i nim ktoś zdążył go ostrzec, podbiegł do leżącego wilka. Chciał zabrać skórę. Zwierzę jeszcze żyło i ugryzło go.

- To był ten człowiek - powiedziała cicho - ten, którego Adrian kazał zamknąć. Wielki John potwierdził skinieniem.

- Musiał być zamknięty, dopóki nie będzie wiadomo, czy oszaleje tak jak ten wilk.

- Wodowstręt. Chcesz powiedzieć, że wilk był wściekły?

- Niestety. Adrian odczekał tak długo, jak się dało. Myśleliśmy, że Baxter miał szczęście i uniknął zarażenia wścieklizną, ale dziś rano skarżył się na ból głowy i zdrętwienie ramienia, w które wilk go ugryzł. Pani mąż nie mógł zrobić nic innego. Musiał kazać go zamknąć.

- Ale po co go przywiązywać do łóżka?

- Konwulsje. - Popatrzył na Maggie, a ona po raz pierwszy zauważyła, że ma przejrzyste niebieskie oczy.

- Widziała pani kiedyś człowieka, który oszalał?

- Nie - szepnęła, myśląc tylko o jednym, o wyrazie twarzy Adriana, kiedy nazwała go zimnym, nie ludzkim draniem. Bardziej poruszyło ją nie to, jak na nią patrzył, tylko żal w jego oczach, kiedy spojrzał na Wielkiego Johna. Upokorzyła go w obecności wszystkich jego ludzi. Wiedziała, że nigdy jej tego nie wybaczy.

Nigdy.

- Człowiek wijący się w konwulsjach ... cóż, to nie jest piękny widok. Na skutek zeszywnienia mięśni gardło się zaciska i pojawia się wodowstręt. Zwykle po tym zaczynają się konwulsje. Wtedy chory traci zmysły i staje się niebezpieczny. Kwarantanna to jedyny sposób, żeby powstrzymać chorego na wściekliznę przed atakowaniem innych i zarażaniem ich.

- Ile czasu potrwa, zanim umrze?

- Cztery lub pięć dni.

Maggie zrobiło się niedobrze; żołądek podszedł jej do gardła. Odwróciła głowę.

Kiedy dotarli już do domu i Wielki John pomógł jej wstać, Maggie położyła mu dłoń na ramieniu.

- Jesteś jego przyjacielem - powiedziała niepewnie. - Co powinnam zrobić?

Wielki John odpowiedział jej bezradnym spojrzeniem.

- Nie wiem. Mogę powiedzieć tylko jedno; nie chciałbym być na pani miejscu.

- Słusznie. - Maggie westchnęła. - Ja chyba też nie chcę.

Trochę mnie to przerasta.

Stojąc w drzwiach, patrzyła, jak Wielki John odjeżdża. Przyszły jej na myśl słowa Coleridge'a z Pieśni o starym ięglarzu: "Smutniejszy, ale mądrzejszy, wstał następnego ranka".

Tuż przed kolacją Maggie wyszła ze swego pokoju i udała się do kuchni. Molly zręcznie wykrawała kość z szynki, operując nożem wielkości rycerskiego miecza. Na widok Maggie uniosła głowę. - Skończyła pani się dąsać?

- Dlaczego uważasz, że się dąsałam?

- Jest pani błada niczym świeca na ołtarzu.

- Nie dąsałam się - zapewniła Maggie, trochę urażona.

- To co pani robiła w swoim pokoju całe popołudnie? Piła herbatę?

- Myślałam.

- Myślenie ... dąsanie się ... Z galopującego konia nie widać różnicy.

Maggie włożyła sobie do ust cienki plasterzek szynki.

- Słyszałaś o tym, co się stało? Mam na myśli to w tartaku.

- Słyszałam. Wielki John mi powiedział.

- Zrobiłam z siebie idiotkę. Co gorsza, zrobiłam też głupca z Adriana w obecności wszystkich jego ludzi.

Nie zdziwię się, jeśli więcej się do mnie nie odezwie.

- Nie można zrobić głupca z kogoś innego, najwyżej z samego siebie. Adrian był pewnie zażenowany, i słusznie, ale jego ludzie nie będą go za to winić. Ale do pani mogą się odnosić trochę chłodniej przy następnym spotkaniu.

- Już tak jest - przyznała Maggie, rozcierając sobie ramiona. - Podczas jazdy do domu z Wielkim Johnem omal me zamarzałam.

Molly przyjrzała się z bliska pobladłej twarzy Maggie i roześmiała się, widząc jej nieszczęśliwą minę.

- Niech się pani rozchmurzy. Wielki John nie potrafi się długo boczyć. W końcu odtaje.

Maggie odsunęła krzesło i usiadła przy stole. Nie wyglądała na pocieszoną.

- Nie pamiętam, żebym kiedyś tak pochopnie wyciągała wnioski jak dziś rano.

- Rzeczywiście, nie powinna pani była tak się ciskać. Przez takie kobiety reszta z nas ma ciężkie życie.

- Co masz na myśli?

- Większość mężczyzn uważa, że kobiety można oglądać, ale nie powinno ich być słycać, całkiemjaki. Takie wydarzenia jak dzisiejsze tylko ich utwierdzają w tym przekonaniu.
- Nie zauważyłam, żebyś się bała odezwać - stwierdziła Maggie cierpko.
- I nie zauważy pani, ale nie rozmawiamy o mnie. To nie mnie grunt pali się pod nogami. - Molly pokiwała głową. - Jedno muszę przyznać - wpadła pani jak śliwka w kompot. Pytanie, jak się pani z niego wydostanie?
- Jeszcze nie wiem, ale coś wymyślę. - Maggie zabębniła palcami po stole. - Wiem, że powinnam była najpierw pomyśleć. - Po fakcie zawsze myśli się znacznie mądrzej.
- Tak, na własne życzenie wpakowałam się w kłopoty.
- Nie chcę pani denerwować jeszcze bardziej, ale dziś rano zauważyłam coś, co i pani powinna była zobaczyć, zanim pojechała do obozu. Miałam pani o tym powiedzieć, ale się rozmyśliłam, bo doszłam do wniosku, że wołałaby pani sama to odkryć.
- Co takiego? - zaintrygowała się Maggie.
- Portret. Zauważyłam, jak tylko weszłam do salonu, żeby odkurzyć.
- Co zauważyłaś?
- Portret nad kominkiem ... przedstawiający Katherine. Już go tam nie ma.

Fletcher czekał przy drzwiach stajni, kiedy Adrian przyjechał wieczorem.

- Pomóc ci? - spytał chłopiec. - Mogę rozsiodłać wałacha za ciebie.
- Adrian zsiadł z konia i spojrzał na Fletchera z góry.
- Lepiej zejdz mi z drogi - ostrzegł, wprowadzając konia do stajni. - Wracaj do domu.
- Fletcher poszedł za nim.
- Już w boksie Adrian zaczął rozpinać popręg.
- Mama powiedziała nam o tym chorym człowieku. Powie-działa, że słusznie postąpiłeś - odezwał się Fletcher za jego plecami.
 - Naprawdę? - Adrian zacisnął zęby, żeby nie powiedzieć nic więcej.
 - Tak. Wróciła do domu niezbyt szczęśliwa. Powiedziała, że żałuje tego, co się stało.
 - Żal niczego nie naprawi, ale to i tak nie ma znaczenia. Trochę za późno, żeby o tym mówić. Idź do domu.
- Adrian ściągnął siodło z końskiego grzbietu i odniósł na stojak. Kiedy wrócił, Fletcher szcztokował konia.
- Adrian chwycił się pod boki.
- Chyba mówiłem, żebyś szedł do domu?
- Wysunięty podbródek chłopca wyrażał upór i coś dziwnie Adrianowi znajomego.
- Wolę być tu z tobą.
 - Nie pytałem cię, co wolisz. Matka nie wspominała ci o posłuszeństwie?
 - Wspominała, a dziadek mówił, że ten, kto słucha, jest większy od tego, co rozkazuje.
- Adrian zazgrzytał zębami.
- Twój dziadek zapewne miał rację.
 - Mama mówiła, że taki chłopiec jak ja powinien od czasu do czasu przebywać w męskim towarzystwie. Cieszę się, że tak powiedziała, wiesz? Ciągłe przebywanie z dziewczynami okropnie męczy.
 - To akurat mogę zrozumieć. - Adrian wszedł do boksu i klepnął wałacha po zadzie. Zdjął koniowi wędzidło i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Chłopiec się nie ruszył.
 - Jeśli chcesz coś zrobić - powiedział Adrian szorstko - to daj mu trochę wody i dwie miarki owsa. Nie więcej.
 - Tak jest.
- W domu Adrian od razu poszedł do kuchni. Molly, obsypana mąką po łokcie, wyrabiała ciasto.
- Dziś wieczorem będą placki - oznajmiła, jakby nic szczególnego się nie stało.
- Molly należała do kobiet, które wiedzą, kiedy się odzywać, a kiedy zachować milczenie. Gdyby Maggie była taka ... Zacisnął usta. Nie miał ochoty rozmawiać z Maggie. Nawet nie chciał jej widzieć.
- Mam dziś mnóstwo pracy - oświadczył. - Zjem kolację w gabinecie.
- Prawie już udało mu się dotrzeć do swego upragnionego sanktuarium, kiedy usłyszał za plecami głos Maggie.
- Chciałabym z tobą porozmawiać.
 - Nie mam czasu - uciął szorstko, nawet nie zwalniając. - To zajmie tylko minutę.
 - Nie mam ci nic do powiedzenia, Maggie.

- Ale ja chcę ci coś powiedzieć.

- Nie chcę tego słuchać.

- Dlaczego?

Przystanął, ale się nie odwrócił.

- Bo nie chcę myśleć o tym, co się dziś stało. A jeśli zacznę o tym myśleć, to nie ręczę za siebie.

- Więc jesteś aż taki zły?

Znów ruszył przed siebie.

- Jestem zły jak cholera - zapewnił.

- Nie możesz się zatrzymać albo przynajmniej na mOle spojrzeć? Próbuję cię przeprosić.

Zatrzymał się, lecz i tym razem się nie odwrócił.

- Wiem, co próbujesz zrobić, ale problem w tym, że ty nie rozumiesz, co ja próbuję zrobić.

- A co próbujesz zrobić?

- Próbuję cię unikać, Maggie, ponieważ nie chcę cię widzieć i nie chcę z tobą rozmawiać. I mam nadzieję, że to jest dla ciebie jasne.

- Nie jest. Dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać?

- Bo chcę być na ciebie zły. - Otworzył drzwi do gabinetu, wszedł do środka i natychmiast zamknął je za sobą.

Idąca tuż za nim Maggie omal na nie nie wpadła. Stała chwilę z ręką na klamce, zastanawiając się, czy powinna wejść.

Z jednej strony chciała go przeprosić i mieć to już za sobą.

Z drugiej zaś miała ochotę odejść.

Wpatrzona w zamknięte drzwi zastanawiała się, co robi Adrian po drugiej stronie. Wreszcie z westchnieniem klęski zawróciła. Uznała, że lepiej poczekać, aż wrzątek ostygnie, nim się do niego włoży głowę.

Po drugiej stronie drzwi Adrian nalał sobie porcję whisky i usiadł za biurkiem. Zaczął przeglądać korespondencję, lecz po chwili ukrył twarz w dłoniach.

Po pewnym czasie zmęczonym ruchem przetarł oczy i powrócił do pracy. Przeczytał kilka listów od swoich przedstawicieli w portach, gdzie sprzedawał drewno. Prawie wszystkie brzmiały jednakowo. Ktoś pracujący dla Talbota i Pope'a zwracał się do jego kupców, próbując przejąć jego kontakty i wykluczyć go z interesu. Napisał pięć listów, zalecając swoim ludziom obniżenie cen drewna poniżej kwot oferowanych przez Pope'a i Talbota.

Zaczął pisać szósty list, kiedy usłyszał, że drzwi się otwierają.

Podniósłszy głowę, ujrzał w progu Ainsley. Spojrzał na dziewczynkę groźnie spod zmarszczonych brwi, oczekując, że ucieknie spłoszona, ale stała w miejscu, jedną rączką skubiąc falbankę białego fartuszka, a drugą przytulając do siebie szmacianą lalkę, którą zawsze nosiła ze sobą.

Próbując ją ignorować, powrócił do pracy. Po paru minutach rzucił ołówek na biurko.

- Zgubiłaś się?

Pokręciła głową przecząco.

- Szukasz swojej matki?

Pokręciła głową.

- Brata?

Pokręciła głową.

- Siostry?

Znów ten sam gest.

- No to czego tu szukasz? W skazała na niego.

- Mnie?

Przytaknęła skinieniem.

- Przyszedł do mnie?

Skinęła głową, podchodząc bliżej.

Obserwował, jak podchodzi do wielkiego skórzanego fotela i próbuje się na niego wdrapać. Spod sukienki ukazały się majteczki ozdobione wokół kolan białą koronką i różową wstążką. Udało jej się za drugim razem. Usadowiłszy się wygodnie, znów przytuliła lalkę i wsunęła kciuk do buzi.

- Masz zamiar ułożyć się tu na noc? Pokręciła głową. Kciuk pozostał w buzi.

- Więc to tylko wizyta?

Potwierdziła skinieniem.

- Czy twoja matka wie, że tu jesteś?

Pokręciła głową.

- Smaczny ten palec?

Potaknęła.

- Nie umiesz mówić?

Pokręciła głową.

- Milcząca kobieta - powiedział, wyrzucając ręce w górę. -Więc jednak Bóg istnieje.

19

Maggie nie należała do kobiet, które znajdują pociechę, czy choćby ukojenie, w płaczu, ale tej nocy płakała. Co więcej, jak już raz zaczęła, nie mogła przestać. Jak to się mogło stać? Jak los mógł być aż tak okrutny, by pozwolić jej się wygłupić dokładnie w tym samym czasie, kiedy Adrian ściągnął ze ściany portret Katherine? I dlaczego nie mogła nic na to poradzić, a jedynie płakać nad sobą? Własny płacz zabrzmiął jej w uszach tak żałośnie, że poczuła się tym bardziej zagubiona i opuszczona. Zbyt długo tłumiła w sobie różne emocje i teraz musiała je z siebie zmyć łzami, wypływającymi prosto z serca. Portret Katherine zniknął.

Los był niesprawiedliwy. Dowiedziała się o zniknięciu portretu dopiero po tym, jak upokorzyła Adriana przed jego ludźmi. Dlaczego? Zaszłochała. Dlaczego Bóg daje jej coś jedną ręką, skoro drugą ma zamiar to odebrać? Wolałaby już raczej w ogóle nie wiedzieć o zniknięciu portretu. Czasami pozostawanie w niewiedzy pomagało człowiekowi przetrwać.

Siedziała przyoknie w swoim pokoju, w którym zrobiło się zimno, ale nie wzywała Wonga, żeby napalił w kominku, jakby zmarznięcie miało w jakiś sposób naprawić zawinione przez nią błędy. Oparła głowę o szybę; łzy spływały jej po policzkach.

Ponure milczenie północnych lasów, otaczających ją zewsząd, jeszcze pogłębiło jej smutek.

Po pewnym czasie wstrząsający nią szloch ucichł, choć łzy nie przestały płynąć. Nie wiedziała, co ma zrobić. Nie miała się dokąd udać. Czas uciekał, Ainsley wyzdrowiała, a wkrótce i pogoda wokół przylądka Horn miała się poprawić.

Czy Adrian naprawdę chciał, by wyjechała? Tak, załkało jej serce.

Zygzak błyskawicy rozdarł niebo, a sekundę potem szyby zdrząły od grzmotu. Najpierw spadły duże, ciężkie krople, a po nich ruszyła istna nawałnica.

Na zewnątrz drzewa łomotały gałęziami o ściany, wiatr wył w kominie, wypełniając pokój lodowatym przeciągiem. Dom zatrzęsł się od kolejnego pioruna. Maggie skuliła się ze strachu, samotna, przytłoczona własnym smutkiem i grozą rozszalałego żywiołu. Miała wrażenie, że jest sama na świecie, bez przyjaciela, bez wsparcia bratniej duszy.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, podbiegła do drzwi.

Odgłos własnych kroków wydawał jej się dziwnie obcy, kiedy pędziła przez hol, w rozwianym szlafroku, z włosami rozsypanymi na plecach.

Wybiegając zza rogu, wpadła prosto na Adriana i dopiero wtedy się zatrzymała. Objął ją, a ona stała w milczeniu, wpatrując się w niego palającymi oczyma. Pierś jej falowała od przyśpieszonego oddechu.

_ Maggie. - Potrząsnął ją delikatnie. - Co się dzieje?

Przytulając głowę do jego piersi, załkała bezgłośnie. Poczwała jego usta we włosach, jego ramiona otaczające ją ciepłym kręgiem i w tym momencie jej żal jakby stał się żywą istotą, która rozpostarłszy wielkie czarne skrzydła, odleciała, uwalniając ją od cienia, wypełniając jej duszę światłem. Zadrzała, otrząsając się z resztek rozpacz.

Adrian odchylił się i ujmując ją za podbródek, czule spojrział jej w oczy.

_ A jednak - rzekł z uśmiechem - jesteś prawdziwą kobietą. Już zaczynałem się bać, że Ross ożenił mnie z jakąś nimfą wodną. - Przytulił ją do siebie, przyciskając jej głowę do swej piersi i lekko gładząc po plecach. - Nie ma nic złego w płaczu -mówił cicho. - To jedynie dowód, że jesteś ludzką istotą, zdolną do uczuć.

- Jeśli na tym polega bycie ludzką istotą - chlipnęła - to chyba mi się to nie podoba.

- Cóż - powiedział ze śmiechem - trzeba się przyzwyczaić. - Popatrzył na nią z góry. - Lepiej się już czujesz?

- Tak. - Próbowała się odsunąć, ale trzymał ją mocno.

- Powiedz mi, dlaczego płakałaś? Z powodu Ainsley?

- Tak ... częściowo.

- I z powodu tego, co się stało w tartaku?
- Też ... częściowo.
- Ile jest tych części?
- Zbyt wiele - wykrztusiła, pociągając nosem.
Podał jej chusteczkę. - Dziękuję.
- Proszę bardzo.
- Przykro mi z powodu tego, co się zdarzyło w tartaku. Bardzo przykro.
- Wiem, ale nie chcę o tym teraz rozmawiać. Bardziej mnie interesuje, dlaczego płakałaś.
Westchnęła ciężko. Czuła się już lepiej i było jej trochę wstyd, że widział ją w takim stanie. Może najlepiej było mu odpowiedzieć i mieć to już za sobą.
- Płakałam z wielu powodów.
- Wymień jeden.
- Bo jestem samotna.
Ledwie widoczny uśmiech zaigrał mu na ustach.
- W tym domu? Z nami wszystkimi?
- Można być samotnym w tłumie - powiedziała.
- Czy to nie brzmi trochę melodramatycznie? - zaśmiał się.
Spojrzała mu w oczy, rozjaśnione humorem i zrozumieniem, jak jeszcze nigdy dotąd.
- Rzeczywiście - przyznała, również się uśmiechając. - Chyba brzmi.

Choć przez następnych kilka dni układało się między nimi znacznie lepiej, Adrian nadal nie poprosił jej, żeby została. Nie uspokoił jej, więc strapienie odbierało jej chęć do życia. Wkrótce kolejny statek miał wpłynąć do portu i Maggie wiedziała, że jeśli Adrian nic nie powie, będzie musiała wejść na pokład. Żyła w napięciu, ze świadomością, że i tym razem czas pracuje na jej niekorzyść.

- Wygląda pani, jakby ktoś umarł! - stwierdziła Molly, widząc, jak Maggie schodzi na dół następnego ranka.
- Bo umarł - powiedziała Maggie. - Ja umarłam. Molly zastygła w bezruchu, z durszlakiem w ręce.
- Dobry Boże, pamiętam te pożalowania godne noce, kiedy wyplakiwałam sobie oczy, beczalam jak chore ciele, w nadziei, że łzy skruszą serce Wielkiego Johna, a okazało się, że ten dureń spał w najlepsze. - Nagle, jakby sobie uświadomiła, że plecie od rzeczy, Molly zmieniła temat, mówiąc lekkim tonem: - Nie wygląda pani na taką całkiem umarłą, więc chyba uda się przywrócić trochę koloru na tę bladą twarz. Maggie nie podzielała jej optymizmu.
Porozmawiawszy z Molly parę minut, poszła do salonu, żeby na własne oczy sprawdzić, czy przypadkiem portret Katherine nie wrócił na swoje miejsce.
Nie poszła tam poprzedniego wieczoru, kiedy Molly powiedziała jej o portrecie, przekonana, że po wydarzeniach w tartaku Adrian nie miał głowy do zajmowania się ponownym wieszaniem malowidła. Zatrzymała się przed drzwiami prowadzącymi do salonu. A jeśli portret znów wisi nad kominkiem? A jeśli go tam nie ma?
Otworzyła drzwi i z oczyma utkwionymi w podłogę weszła do środka. Zamknęła za sobą drzwi, wciąż nie podnosząc wzroku.
Oparła się o drzwi, krzyżując ramiona na piersi, jakby sama siebie chciała podtrzymać. Wreszcie powoli uniosła głowę, spoglądając na ścianę nad kominkiem.
Portretu nadal nie było.
Pomyślała o Adrianie i o dwóch rzeczach, których pragnął w życiu najbardziej: Katherine i tytoniu do żucia.
- Tytoń do żucia - powiedziała do siebie na głos, kręcąc głową. Czy możliwe, by kiedyś z niego zrezygnował?
Zapewne nie.
Nagle przypomniała sobie, jak kiedyś powiedziała to samo o portrecie, i w jej serce wstąpiła nadzieja. Jedno się udało, więc może i drugie ...

Padło, kiedy Adrian wrócił do domu, wcześniej niż zwykle.
Wchodząc tylnymi drzwiami, natknął się na wychodzącą Maggie. Jeszcze zanim się odezwał, wiedziała, że to nie ten sam czuły Adrian, którego widziała poprzedniego wieczoru. Znów miała przed sobą dawnego Adriana, sztywnego i cynicznego.
- Dokąd się wybierasz? - spytał.

- Do stajni, poszukać Fletchera. Czas najego lekcje. Niełatwo go znaleźć, kiedy przychodzi pora na naukę.
 - Będziesz potrzebowała parasola.
 - Po co?
 - Bo pada.
 - A jak wezmę parasol, to przestanie? - zdziwiła się.
- Maggie wyszła, a za plecami Adriana pojawiła się Molly.
- Czy to był przykład szkockiej logiki, czy jedynie kobiecy dowcip? - zwrócił się do niej.
- W odpowiedzi Molly wybuchnęła donośnym śmiechem.

Deszcz przestał padać, pozostawiając po sobie niewielkie kałuże. Tuż przed ztńrokiem Adrian wybrał się na spacer nad morze. Zabrał ze sobą Izraela, lecz potem, widząc jego oblepione mułem łapy i grudy błota zwisające z kudłów na brzuchu, nabrał wątpliwości, czy to był dobry pomysł. Przeszli wzdłuż poszarpanej krawędzi urwiska w stronę łagodnego zbocza, skąd wąska ścieżka, wijąc się i opadając, prowadziła do skrawka plaży.

Izrael biegł przodem, z wywieszonym na bok językiem. Na moment przystanął, oglądając się na Adriana, szczerkając i machając ogonem. Zbyt niecierpliwy, by czekać na kogoś, kto się porusza wolniej od niego, pognął w kierunku plaży, po chwili znikając wśród skał. Dopiero kiedy ucichło piekielne szczekanie, Adrian usłyszał za plecami ciche kroki. Obejrzał się, prawie przekonany, że ujrzy Maggie.

To była Ainsley.

- Co ty tu robisz? - spytał mruklawie. W skazała na niego palcem.

- Nie chcę, żebyś szła ze mną. Przyszedłem tu, bo chcę być sam, No już! Wracaj do domu.

Stała w miejscu i patrzyła na niego tymi wielkimi oczyma, zbyt wielkimi i zbyt mądrymi jak na takie małe dziecko.

- No już - powtórzył. - Uciekaj!

Nie uciekła wprawdzie, ale zawróciła w stronę domu. Adrian obserwował ją przez chwilę, a potem ruszył w stronę plaży, natychmiast powracając myślami do sprawy, która martwiła go nawet bardziej niż wystąpienie Maggie w obozie.

Ktoś próbował go zniszczyć.

Idąc, wspominał, jak przed dziesięciu laty przybył w te strony z Alexem, żeby zbudować firmę obrotu drewnem. Początki były skromne; drwale i robotnicy tartaczni mogli pracować tylko podczas sześciu suchych, ciepłych miesięcy. Pamiętał, jak ryzykowali każdego centa, zdobytego na złotonośnych piaskach, żeby najać więcej ludzi, i jak się z nich śmiano, że pracują przez okrągłą dobę, by zgromadzić jak największe zapasy drewna. Pamiętał także, jak ci, co się śmiali, umilkli następnej wiosny, kiedy się okazało, że zapasy drewna dały zatrudnienie wielkim tartaczynom nie tylko przez zimowe miesiące, lecz także przez dwanaście godzin sześć dni w tygodniu.

Był tu pierwszy; zbudował swoje miejsce na ziemi pośród pierwotnego, dzikiego lasu, wiedząc, że po nim przyjdą następni.

I przyszli.

Jednak niektórzy z nich nie chcieli zdobywać wszystkiego od początku, jak on kiedyś. Przystanął, spoglądając na gromadę wydr, dokazujących wśród skał tuż przy brzegu. Był ciekaw, czy przyplłynęły już wieloryby i czy Maggie je widziała.

Adrian usiadł; patrzył na wydry, lecz jego myśli krążyły wokół Maggie i interesów. Myślał o zamówionej flocie szkunerów, zaprojektowanych i zbudowanych przez jego braci, Tawisa i Ni-cka, i o tym, jak owe szkunery będą pływać po morzach, w dobrą i złą pogodę, dostarczając jego drewno do egzotycznych portów. Pamiętał, że to Maggie podsunęła mu myśl, by te statki zbudowali jego bracia.

Był pierwszym, który przybył tak daleko na północ, pierwszym, który składował drewno, i pierwszym, który utrzymywał własne statki i sam zajmował się rozprowadzaniem drewna. Nikt nie miał powodu, by odbierać czy niszczyć to, co należało do niego. Lasy były zbyt wielkie, a zagraniczne rynki zbyt chłonne, by ktoś miał choćby próbować je zmonopolizować. Więc dlaczego ktoś taki się znalazł? Jedynym wytłumaczeniem, jakie przychodziło Adrianowi do głowy, było to, że niektórzy ludzie woleli zabierać innym, niż zdobywać wszystko własną pracą.

Następnego dnia Wielki John i AdFian byli w biurze tartaku już przed świtem. W pomieszczeniu biura, niewielkim i skromnym, zarówno ściany, jak i podłoga wyłożone były surowymi sekwojowymi deskami. Na ścianie wisały dwie olbrzymie mapy; jedna przedstawiała zachodnie wybrzeże Ameryki, od Meksyku po Kanadę, druga tereny północnej Kalifornii, z dokładnie zaznaczonymi obszarami działania

Kalifornijskiej Kompanii Drzewnej.

Okna nie były zasłonięte - Adrian kategorycznie odmówił zawieszenia firanek oferowanych przez Maggie. Pamiętał do-kładnie, co jej powiedział tamtego dnia:

- To jest tartak, Maggie, nie herbaciarnia. - Kiedy nie chciała ustąpić, uciął stanowczo: - To moje biuro i będzie takie, jak mnie się podoba.

I rzeczywiście takie było. Na całe umeblowanie składały się dwa biurka, pięć krzeseł o prostych oparciach, spluwaczka, stojak pełen zrolowanych i starannie opisanych map, wieszak na ubrania i piec, na którym zimową porą stał dzbanek z kawą.

Adrian siedział za swoim biurkiem, z nogami opartymi o blat, huśtając się na tylnych nogach krzesła. Patrzył na Wielkiego Johna.

- Gdybym miał zamiar przyhamować, to teraz byłby najlepszy moment - mówił Wielki John. - Przez ostatnie dwa lata roz-wijaliśmy się znacznie szybciej niż kiedykolwiek w przeszłości. Mamy w ruchu cztery tartaki i trzydzieści osiem pił w jednym. Przy takim tempie pracy jeden tartak może w dwa tygodnie napęłnić statek... co w sumie daje szesnaście milionów stóp drewna rocznie. Im bardziej się rozrastamy, tym trudniej chronić nasze interesy. A głodny wilk jest gotów na wszystko.

- Wiem i mam zamiar jakoś to opanować. Pomyślałem, że powinniśmy zacząć wysyłać ładunki bez pośredników. Mamy na to dość drewna albo będziemy mieli, jak tylko zainstalujemy tę nową piłę.

- Bez pośredników? Ma pan na myśli sprzedaż w miastach, gdzie nie mamy agentów?

- Mam na myśli to, że musimy się zabrać za problem u samych korzeni.

- A jeśli nie znajdziemy kupca?

- Wyładujemy drewno, podzielimy na mniejsze partie i wystawimy na aukcję.

- Jak tylko wyświetlimy sprawę tych wypadków - dodał Wielki John.

- Właśnie - potwierdził Adrian.

- Sądzi pan, że Matt Greenwood nadal jest podejrzany? Burt Haywood ma na niego oko, ale dotąd niczego nie zauważył. Może powinniśmy go po prostu zwolnić i czekać, czy skończą się kłopoty?

- Już ci mówiłem, że nie mogę wyrzucić człowieka tylko z powodu podejrzeń - powiedział Adrian. - Może być niewinny. W końcu to on odkrył ten przecięty kabel.

- Mógł to zrobić specjalnie, żeby nas zmylić - wysunął przypuszczenie Wielki John.

- To prawda - przyznał Adrian. - Mógł. - Wstał zza biurka. -Przydzielimy mu jeszcze jednego człowieka. Jak będą go ob-serwować we dwóch, to może coś wykryją.

- Kogo pan proponuje?

- Wyznacz Mose'a Whittakera do tej samej brygady z Greenwoodem. Powiedz Mose'owi, żeby nie spuszczał z niego oka. Niech uważa na wszystko, co ten drań robi. Jeśli choć kiwnie palcem nie w tę stronę, co trzeba, chcę się o tym dowiedzieć.

Było już po dziesiątej, gdy Adrian wrócił wreszcie do domu.

Maggie czekała na niego w żółtym aksamitnym szlafroku, przy którym jej włosy wydawały się jeszcze bardziej płomiennie.

Podniosła głowę, kiedy wszedł do sypialni, i dostrzegła, że jest czymś strapiony.

- Stało się coś?

- Nie.

- Wyglądasz na zmartwionego.

- Jestem zmęczony - próbował ją zbyć.

- Chodź do kuchni. Przygotuję ci coś do jedzenia.

- Jadłem z ludźmi w obozie.

- Adrianie, musisz trochę zwolnić. Zapracowujesz się na śmierć.

Zmierzył ją zimnym spojrzeniem.

- Czekaaś tak długo, żeby mi to powiedzieć? Jeśli tak, to mogłaś sobie zaoszczędzić fatygi.

- Czekaałam, ponieważ chcę z tobą porozmawiać.

- Nie dzisiaj, Maggie. Jestem zbyt zmęczony.

Aż się wzdrygnęła, zaskoczona jego obojętnością.

- Wiem, co myślisz o mnie, Adrianie, ale nie proszę o nic dla siebie. Chodzi o Ainsley.

- Co z nią? Znowu ma gorączkę?

- Nie, pod tym względem wszystko jest w porządku. - Maggie spojrzała mu w oczy. - Martwię się tym, że nie mówi.

- Nie mówi już od jakiegoś czasu. Więc dlaczego teraz tak cię to martwi?

- Ponieważ napisałam do doktora Farnswortha. Właśnie otrzymałam jego odpowiedź. Twierdzi, że to się czasami zdarza dzieciom po chorobie albo jakimś dramatycznym przeżyciu. Może spadło na nią zbyt wiele - straciła ojca, potem ją opuściłam ... a do tego przyszła choroba. Ainsley najciężej przeżyła śmierć Bruce'a, bo była jeszcze bardzo mała. Nie rozumiała śmierci. Całymi tygodniami chodziła po domu, wołając: "Tato, tato!"

- Czy Farnsworth napisał, co można zrobić? Dał jakąś radę?

- Nie. Píše, że czasami to trwa niedługo, ale słyszał też o przypadkach, że pozostawało na całe życie.

- Skoro Farnsworth nie może ci pomóc, dlaczego sądzisz, że mogę ja?

- Bo podczas choroby skłaniała się ku tobie ...

- Myślała, że jestem jej ojcem.

- Musi być w tobie coś, że uznała cię za odpowiedniego do tej roli. Wiem, że to szukanie po omacku, ale tylko to mi pozostaje. Miałam nadzieję, że gdybyś zechciał spędzić z nią trochę czasu ... może zaczęłaby mówić.

Zmarszczył czoło.

- Nie mam czasu, Maggie. Są kłopoty ... poważne kłopoty w tartaku. Mogę stracić wszystko, na co tak ciężko pracowałam. Nie rozumiesz?

- Nie - przyznała cicho. - Masz rację. Nie rozumiem. Nie wiem, jak coś może być ważniejsze od dziecka.

Następny ranek Maggie spędziła w kuchni z Barrie, Fletcherem i Ainsley. Robili figurki z piernika. Molly pomogła Barrie wymieszać ciasto, Fletcher wycinał z niego postacie, a Maggie i Ainsley doklejały z rodzynek twarze i guziki, Maude natomiast miała dopilnować wypieku.

Stojąc na krześle, Ainsley brała rodzynek od Maggie i wciskała je w ludziki z ciasta, starannie wycięte przez Fletchera.

- Gdzie zrobisz nos? - spytała Maggie.

Ainsley pokazała pulchnym paluszkiem właściwy punkt, a potem zerknęła na matkę, oczekując aprobaty.

- Ile będzie miał guzików przy płaszczu?

Ainsley podniosła w górę trzy paluszki.

- A ilu piernikowych ludzików zamierzasz zjeść, mały łakomczuchu? - spytała Maggie, obejmując córeczkę i obsypując ją całusami. Ainsley zachichotała. - No, powiedz mi, ilu ich zjesz? - zachęcała Maggie.

Wciąż chichocząc, Ainsley pokazała dziesięć palców.

- Nie na palcach. - Maggie zamknęła oczy. - Nie widzę twoich paluszków, więc musisz mi powiedzieć.

Ainsley spojrzała na Barrie.

- Ona nie chce - poskarżyła Barrie.

- Dlaczego? - spytała Maggie starszą córkę, otwierając oczy. - Dlaczego nie chce?

- Nie może - odpowiedziała Barrie.

Maggie spojrzała bazradnie na Maude, która szybko otarła oczy brzegiem fartucha i odwróciła głowę.

Gdy figurki zostały już upieczone, wszyscy droczyli się z Ainsley, ponieważ zjadła tylko trzy, nie dziesięć.

Kiedy Maude zabrała Barrie i Fletchera do sypialni przerobionej na salę lekcyjną, Maggie stała okruchy z buzi i rączek Ainsley, po czym zaprowadziła ją do pokoju i ułożyła na drzemkę.

Pocałowałwszy córeczkę, szła już ku drzwiom, kiedy Ainsley wydała z siebie dźwięk podobny do kwilenia. Odwróciwszy się, Maggie zobaczyła, że Ainsley wskazuje najpierw na nią, potem na łóżko.

- Co? - spytała Maggie. - Chcesz, żebym ci poczytała?

Ainsley pokręciła główką, znów wskazując na łóżko.

- Chcesz, żebym się położyła obok ciebie?

Ainsley przytaknęła skinieniem.

Maggie leżała przy córeczce, gładząc jej długie rude włosy, dopóki mała nie zamknęła oczu i nie zasnęła.

Opuściwszy pokój Ainsley, Maggie poszła do swojej sypialni, rzuciła się na łóżko, ukryła twarz w poduszce i wybuchnęła płaczem. Zawsze uważała się za silną kobietę, zdolną radzić sobie ze wszystkimi przeciwnościami losu, ale zbyt wiele spadło na nią naraz. Nie potrafiła równocześnie uporać się z problemami małżeństwa z Adrianem, z milczeniem Ainsley i mroczną przyszłością, jaka czekała ją i jej dzieci po powrocie do Szkocji.

Płacz ukołysał ją do snu. Obudziła się, kiedy było już ciemno, i zeszła na dół.

- Chce pani trochę zupy? - powitała ją Molly.

- Która godzina? Przespałam kolację?
- Kolację i zmywanie po kolacji - powiedziała Molly.
Maggie rozejrzała się po kuchni, wciąż jeszcze półprzutomna.
- Gdzie są wszyscy?
- Maude kładzie Barrie i Fletchera do łóżek.
- A Ainsley?
- Po kolacji Adrian odprowadził ją do pokoju.
- Adrian? - zdumiała się Maggie.
_ Tak powiedziałam, a przecież się nie jąkam. To jak, chce pani tej zupy?
- Za chwilę - rzuciła Maggie, wychodząc z kuchni.
Drzwi do pokoju Ainsley były otwarte. Stojąc w korytarzu, Maggie zajrzała do środka. Kiedy Adrian zrobił krok do wyjścia, Ainsley pisnęła. Przystanął więc, a ona wskazała na lalkę siedzącą na krześle.
- Chcesz tę lalkę? Pokiwała głową.
Wzjął lalkę i podał jej.
- Jak ta lalka ma na imię?
Ainsley porząsnęła głową.
- Nie ma imienia? - domyślił się. Ainsley skinęła.
- Ma imię?
Ainsley znów pokiwała głową.
- Więc ma imię, ale mi nie powiesz jakie?
Ainsley przyglądała mu się przez chwilę, jakby coś rozważała. Potem wskazała na firankę w oknie.
- Chcesz, żebym otworzył okno?
Pokręciła głową, uniosła lalkę do góry i znów pokazała na okno.
- Chcesz, żebym położył lalkę na oknie?
Ainsley sprawiała wrażenie rozczarowanej. Pokręciła głową, wskazała na lalkę, przeczołgała się przez łóżko, chwyciła rąbek koronkowej firanki i pomachała nim.
- Firana? - podsunął Adrian.
Ainsley pokiwała głową, wskazując na lalkę.
- Lalka ma na imię Firana?
Pokiwała głową, a potem pokręciła nią na boki.
- Tak i nie - powiedział Adrian i zamilkł na chwilę, skołotwany. - To głupie - mruknął. Rudowłosy maluch wpatrywał się w niego wyczekująco, więc rzekł z westchnieniem: - No dobrze, wygrałaś. Zagram jeszcze jedną rundę. Chcesz powiedzieć, że imię lalki brzmi podobnie jak firana?
Ainsley potaknęła skwapliwie.
- Altana ... Bellana ... Celana ... Robię z siebie bałwana ... Diana ...
Ainsley pisnęła, energicznie machając głową.
- Diana - powiedział z ulgą. - Twoja lalka ma na imię Diana?
Ainsley przytaknęła. ..
- Zatem najwyższy czas, żeby życzyć Dianie dobrej nocy. - Zgasił lampę i wyszedł z pokoju.
- Dziękuję ci - powiedziała Maggie, kiedy zamykał drzwi. Popatrzył na nią, znów przybierając na twarz maskę obojętności.
- Nie masz mi za co dziękować. Molly i Maude miały pełne ręce roboty, a ty wyraźnie potrzebowałaś się wyspać. - Rysy mu stężyły. - Nie oczekuj, że wejdzie mi to w zwyczaj - powiedział, odchodząc.

Fletcher i Barrie wpadli do domu z takim wrzaskiem, jakby ich gonilo stado upiorów.
- Hola, moja panno! - zawołała Molly, chwytając Barrie za kołnierz, kiedy próbowała ją ominąć.
Fletcherowi się to udało i nawet wbiegł na schody, lecz tam zastąpiła mu drogę Maude. - Nie widzę, żeby ci się spodnie paliły na siedzeniu, więc czemu tak gnasz?
- Gdzie mama?
- Tu jestem - odezwała się Maggie ze szczytu schodów.
_ Chodź szybko - gorączkował się Fletcher. - Chodź i sama zobacz ...
_ Ainsley ma osiołka, najśliczniejszego na świecie. Chodź, zobacz - przerwała mu Barrie.
- Ja jej mówiłem - rozsierdził się Fletcher. Z pałającymi złością oczyma ruszył w stronę siostry.
Widząc zagrożenie, Barrie krzyknęła, wyrwała się Molly i pędem wybiegła na dwór. Fletcher pognał za nią.
_ Wielkie nieba! - Maggie westchnęła i wraz z dwiema pozostałymi kobietami wyszła na zewnątrz. Na placu przed domem zobaczyły osiołka, długouchę stworzenie z ogonkiem jak pędzel i grzywą podobną do

szczotki. Był uroczy, a Ainsley musiała być tego samego zdania, jako że Diana leżała na ziemi, bezlitośnie porzucona. Ainsley obejmowała osiołka za szyję. Dopiero w tym momencie Maggie zauważyła, że zwierzę jest uwiązane na linie, którą trzyma Adrian.

Spojrzała na męża pytająco.

_ Sprowadziłem go dla niej. Pomyślałem, że może jeśli będzie miała swoje zwierzątko, coś własnego to ... pomyślałem, że to może pomóc.

- Nie wiem, co powiedzieć - wykrztusiła Maggie. - Dziękuję chyba nie wystarczy. - Przykucając koło Ainsley, spytała: - Wiesz, czy to chłopiec, czy dziewczynka?

Ainsley pokazała na Barrie.

- To dziewczynka - powiedziała Maude.

- Jak sądzisz, jak moglibyśmy ją nazwać? - spytała Maggie.

- Ona chce ją nazywać Azalia - odpowiedziała Barrie.

- Skąd wiesz? - zdziwiła się Maggie.

- Bo ją spytałam, czy woli imię Azalia, czy Chryzantema i wybrała Azalię.

- Wcale jej się nie dziwię - mruknęła Maude i wszyscy się roześmiali.

Molly, przechylając głowę na bok, z uwagą przyglądała się Azalii.

- Rzeczywiście słodkie bydlatko.

Azalia miała długą kudłatą sierść, jaśniejszą przy nosie i pod brzuchem, i całkiem ciemną wokół oczu, jakby ktoś namalował wokół nich obwódki.

Po paru minutach Adrian oznajmił:

- Zaprowadzę ją teraz do stodoły. Jutro każę komuś wybudować dla niej zagrodę.

Kiedy Adrian odchodził, Ainsley podbiegła do niego i pociągnęła go za rękaw. Wskazała najpierw na siebie, potem na Adriana. - Ona chce wiedzieć, czy może pójść z tobą - wyjaśnił Fletcher.

- Wiem, o co pyta - obruszył się Adrian i dodał, zwracając się do Maggie: - Może zobaczyć osiołka jutro.

Gdy Adrian z Azalią się oddalili, Maggie podniosła z ziemi Dianę i podała ją Ainsley.

- Może pójdziesz dać Dianie coś do jedzenia. Myślę, że jest okropnie głodna. Jutro znów zobaczysz Azalię. Chcesz popatrzeć, jak robotnik będzie stawiał dla niej zagrodę?

Ainsley przytaknęła, wzięła matkę za rękę i poszła z nią do domu, lecz cały czas oglądała się za siebie, w stronę, gdzie zniknęli Adrian z Azalią.

20

Maggie obudził okropny hałas.

Otworzyła jedno oko i stwierdziła, że nic nie słyszy. Musiało mi się przyśnić, pomyślała. Przewróciła się na drugi bok i naciągnęła koc na głowę.

Znowu to samo.

Pomrukując gniewnie, wstała z łóżka, podeszła do okna i rozsunęła zasłony. Przez dobrą minutę rozglądała się po podwórzu, dopóki ten sam straszny hałas nie przyciągnął jej uwagi do stajni.

W drzwiach stajni stała, a raczej siedziała Azalia. Siedząc na zadzie, z przednimi nogami wyciągniętymi przed siebie, Azalia ocierała się grzbietem o szorstkie deski. Ziewnęła, a potem znów wydała z siebie przeraźliwe ryknięcie.

- lllll ... ouuuuuu ... lllllll ... ouuu! Do pokoju Maggie wpadła Maude.

_ Widzę, że pani też słyszała - powiedziała, stając obok

Maggie przy oknie.

_ Jak mogłabym nie słyszeć? - zaśmiała się Maggie.

_ No tak - przyznała Maude. - Nawet umarły by usłyszał.

Śmiejąc się, obserwowały, jak Azalia podnosi się na cztery nogi, otrzepuje futro z kurzu, a potem rusza zygzakami, rycząc i podrygując, strzygąc długimi uszami i machając ogonkiem.

_ Jeśli to nie skłoni Ainsley do mówienia, to już chyba nic jej nie pomoże - powiedziała Maggie i umilkła, modląc się z całego serca, żeby się udało.

Po raz trzeci z rzędu Azalia pobudziła wszystkich przed świtem i po raz trzeci z rzędu Maggie chwiejnie zeszła do kuchni, wcześniej niż zwykle.

Mniej więcej w tym samym momencie Molly wprowadziła do kuchni Elięgo. Adrian zasiadał właśnie do śniadania.

- Piła nie działa - oznajmił Eli bez zbędnych wstępów. Adrian odłożył napoczętą kromkę na talerz.

- Co to znaczy, że nie działa?

- Nie da się jej uruchomić. Próbowaliśmy ją włączyć dziś rano, ale nie ruszyła. Ktoś przy niej majstrował. Wielki John z Nicholsonem robią przegląd. Wygląda na to, że brakuje kilku części.

- Części?

- Tak twierdzi Wielki John - powiedział Eli.

Adrian wstał, szurając krzesłem o podłogę.

- Pojadę z wami - oznajmił, biorąc z wieszaka kapelusz i kurtkę.

- Zje pan coś najpierw? - spytała Molly.

- Nie mam czasu - odburknął Adrian, zerkając na Maggie, a potem gestem poganiając Eliego do wyjścia.

- Miło znów panią widzieć, proszę pani - powiedział Eli, kłaniając się Maggie.

- Idziesz? - ponaglił go Adrian, unikając spojrzenia żony.

- Mnie też miło cię widzieć, Eli - odpowiedziała Maggie,

popatrując na Molly, która tylko wzruszyła ramionami. - A pani? - spytała. - Podać pani śniadanie?

- Nie - odparła Maggie. - Tylko herbatę.

Po jej wyjściu Molly powiedziała do siebie:

- Jeśli nikt tu nie będzie nic jadł, to wkrótce zostanę bez pracy. - Przyjrzała się jedzeniu, które dopiero co sama przyrządziła. - Równie dobrze mogę sama to zjeść.

I tak też zrobiła.

Adrian stał obok Eliego, podczas gdy Wielki John z Shortym pracowali nad piłą. Brakowało jednego koła zamachowego oraz dwóch pionowych ostrzy.

- Będziemy musieli sprowadzić nowe koło z San Francisco - stwierdził Wielki John. - Ostry akurat mamy pod dostatkiem. - Myślałem, że trzymamy też zapasowe koła - odezwał się Adrian.

- Bo trzymamy. A przynajmniej trzymaliśmy. W zeszłym tygodniu użyliśmy dwóch - powiedział Eli. - Dwa koła w tydzień?

- Złamały się, ale kto wie, czy im w tym ktoś nie pomógł?

- Tego się draniowi nie chciało łamać - zauważył Adrian. - Po prostu je zabrał.

- Nie tak łatwo złamać koło zamachowe ręcznie - powiedział Wielki John. - Może się do tego przymierzał, ale ktoś go zaskoczył, więc postanowił zabrać je ze sobą. Pewnie wrzucił gdzieś do rzeki. - Sprowadź Mose'a Whittakera - polecił Adrian. - Chcę z nim pogadać.

Eli i Wielki John wymienili spojrzenia. Widząc to, Adrian spytał z irytacją:

- Co jest? Nie mów mi, że nie wiesz, gdzie on jest?

- Nie wiem - przyznał się Wielki John. - Mose zniknął gdzieś dzisiaj w nocy.

- Co to znaczy zniknął? - zdziwił się Adrian.

- Poszedł spać w baraku razem ze wszystkimi, ale kiedy się rano obudzili, już go tam nie było.

- Wyślij kilku ludzi, żeby go poszukali - rozkazał Adrian.

- Już wysłałem - powiedział Wielki John.

Adrian odszedł do biura, ale wkrótce się okazało, że to dopiero początek nieszczęść, jakie miały nastąpić tego dnia. Na terenie wyrębu trzy osoby odniosły rany, zapaliła się sterta trocin, a później ktoś znalazł ciało Mose'a Whittakera unoszące się na rzece.

Było ciepłe, słoneczne popołudnie, rzadkie o tej porze roku.

Kiedy dzieci bawiły się na dworze z Maude, obserwując budowę zagrody dla Azalii, Maggie poszła odszukać Molly. Znalazła ją zmieniającą pościel na łózkach.

- Molly, jak ci się zdaje, kto się najlepiej orientuje w przemyśle drzewnym? Nie chodzi mi o kogoś takiego jak Wielki John czy Eli, lecz osobę na mniej odpowiedzialnym stanowisku, która może mieć trochę więcej czasu.

Molly nie musiała się długo zastanawiać.

- Myślę, że najprędzej ten wielki blondyn, na którego wołają Nor.

- Wielki Szwed?

- Norweg. Nor to zdrobnienie od Norwega.

Maggie podziękowała jej i wyszła.

- Chwileczkę! - zawołała za nią Molly. - Wzbudziła pani moją ciekawość. Co pani kombinuje? Tylko proszę mi nie mówić, że nic. Już ja wiem swoje.

Maggie wzruszyła ramionami.

- Chcę się czegoś dowiedzieć o tej okolicy, o prowadzeniu tartaku.

- Po co?

- Molly, nie mam pojęcia o prowadzeniu tartaku ani o pracy, którą wykonuje Adrian.
- Jak na kobietę, która nie ma o niczym pojęcia, spędza pani dużo czasu w obozie.
- Owszem, ale nie w głównym biurze. Wiesz o tym. A to nie to samo.
- Więc czemu pani nie spyta ... - Molly ugryzła się w język. - Mniejsza z tym. Proszę spytać Nora. Jest miły, jak koszyk z kociętami.

Maggie rzeczywiście zwróciła się do Nora następnego ranka. Okazał się trochę nieśmiały, lecz chętny do pomocy. Najbliższej niedzieli Maggie wymknęła się z domu i spotkała z Norem na szlaku prowadzącym pod górę, do terenów wyrębu. Szli prawie dwie godziny, podczas których Nor, wskazując na różne drzewa, wyjaśniał, do czego nadaje się ich drewno. Kiedy już dotarli na miejsce, pokazał jej, jak się ścina i zwala drzewa.

A w obozie zapoznał ją z różnymi narzędziami, używanymi przez drwali.

- Chętnie sam bym pani wszystko pokazał, ale chyba będzie lepiej, jeśli poprosi pani o to Wielkiego Johna - powiedział na koniec.

Kilka dni później Wielki John zabrał ją na miejsce, gdzie pracowali drwale. Dopiero tam Maggie zaczęła rozumieć, dla czego Adrian tak kocha las i swoją pracę. Niełatwo było powalić wielką sekwoję, ściągając ją z gór do tartaku, tam przerobić na belki i oddać w ręce agentów zajmujących się sprzedażą.

Potrzebni byli ludzie do różnych zadań: do ścinania drzew, do obdzierania ich z kory, do cięcia pni i rozłupywania ich na bele, które w tartaku cięto na gonty. Inni pracownicy związywali belki linami do transportu, by następni mogli spławiać je rzeką. A między nimi, jak zawsze, był Adrian.

- Adrian pracuje razem ze swymi ludźmi - powiedział Wielki John. - Jednego dnia jest w tartaku, innego przy ścinie lub przy zwózce. Dlatego jego ludzie dają z siebie wszystko. Bo nie żąda od nich więcej niż od siebie samego. Jest prawym i uczciwym człowiekiem i nie boi się ciężkiej pracy. Niektórzy z robotników mogą go nie lubić, ale wszyscy bez wyjątku go szanują. - Maggie się nie odezwała, więc Wielki John zakończył: - Lepiej zawiozę już panią do obozu. Jutro pokażę pani spławiak.

Spławiak okazał się urządzeniem, jakiego Maggie jeszcze nigdy w życiu nie widziała. Była to wypełniona wodą rynna, którą spuszczano z grubsza pocięte drzewa z gór do tartaku. W niektórych miejscach spławiak trzymał się ścian kanionów, w innych tworzył mosty nad głębokimi wąwozami, niczym prymitywna wersja rzymskiego akweduktu. W wielu przypadkach wymagało to drewnianej konstrukcji, która wielkością przewyższała wszystkie znane jej mosty.

Ta metoda transportu drewna była ryzykowna, ponieważ spiętrzenie belek albo wyciek wody z rynny mogły się okazać niebezpieczne i spowodować zniszczenie całej budowli. Podczas swej trzeciej wizyty przy spławiaku Maggie miała okazję widzieć, jak człowiek o nazwisku Jem Johnson szykuje się do wyjścia na pomost nad głębokim wąwozem, żeby przepchnąć belki zaklinowane w rynnę. Kiedy Johnson zaczął się wspinać po drewnianym rusztowaniu, w powietrzu czuć było napięcie, a zgromadzeni wokół robotnicy dziwnie ucichli. Adrian, obserwujący scenę z grzbietu wałacha, nagle zsunął się z siodła i zawołał na Johnsona, żeby wracał. W chwilę później Maggie z zapartym tchem patrzyła, jak Adrian wchodzi na pomost, szeroki na nie więcej niż sześć cali, biegnący wzdłuż rynny, i przesuwa się krok za krokiem, by w końcu znaleźć się pośrodku wąwozu, trzysta stóp nad ziemią.

Maggie dosłownie skamieniała, kiedy Adrian kopnął w belkę torującą drogę pozostałym. Belka puściła z głośnym trzaskiem i cały ładunek już bez przeszkód zaczął się przesuwać w dół, a Adrian wrócił do swojego konia.

Tego wieczoru po kolacji Maggie znalazła go w bibliotece, czytającego przy kominku gazetę wydawaną w San Francisco.

Przeszła do swojego fotela, usiadła i zaczęła robić na drutach.

Po kilku minutach przestała, a nagle cisza po wcześniejszym szczerku drutów musiała rozproszyć Adriana, bo podniósł wzrok znad gazety.

- Dlaczego nie pozwoliłeś, żeby to Johnson przetkał spławiak?
- Ponieważ on ma chorą żonę i trzynaścioro dzieci w Minnesocie. Tylko dzięki niemu nie przymierają głodem.
- Jesteś dziwnym człowiekiem, Adrianie Mackinnon.
- Według kobiet wszyscy mężczyźni są dziwni.
- Nie wszyscy, tylko niektórzy - sprostowała ze śmiechem. - Ale ty jesteś dziwny w inny sposób.
- Powinienem spytać dlaczego?
- Tylko jeśli chcesz wiedzieć.

Adrian wzruszył ramionami, powracając do lektury.

- Nie jesteś aż tak nieczuły, jak przede mną udajesz - powiedziała. - Ale zbyt szybko wpadasz w złość i zbyt powoli wybaczasz.

Z westchnieniem odłożył gazetę.

- Po to tu przyszedłeś? Żeby mi przeszkadzać w czytaniu, wytykając mi moje wady?

- Nie, nie po to. Przyszedłem tu, bo chciałem być z tobą.

- Cóż, ja przyszedłem tu, szukając samotności.

- Tak, wiem - powiedziała cicho.

W milczeniu przyglądał się, jak składa robótkę. Ta kobieta była jego żoną, stanowili małżeństwo, a byli dla siebie jak obcy ludzie ... nie, nawet gorzej. Obcy przynajmniej zachowywaliby się wobec siebie uprzejmie i taktownie, a o nich nawet tego nie dało się powiedzieć. Przyjrzał się Maggie ukradkiem. Tego wieczoru ubrana była na niebiesko i ten kolor do niej pasował, bo otaczał ją jakiś nieuchwytny cień melancholii, niepokojący i wzuszający zarazem. Przyglądał się jej i wciąż nie umiał zdecydować, czy jest ładna ... co nie miało większego znaczenia, bo przecież jej pożądał, a jego pożądanie nie miało nic wspólnego z jej wyglądem.

Stała przed nim, przyciskając do brzucha kłębek wełny, z którego wystawały dwa druty.

- Boli cię żołądek? - spytał.

- Nie.

- Więc co się dzieje?

- Nic. Po prostu uświadomiłam sobie coś, co już dawno powinnam zauważyć.

- Niby co?

- Że się mnie boisz.

- Napelniałaś ostatnio lampy naftowe?

- Nie, dlaczego?

- Bo musiałaś się nawdychać oparów i to cię otumaniło. Nie boję się ciebie.

Uśmiechnęła się.

- Tak, tak, nie ma co zaprzeczać.

- Nie muszę niczemu zaprzeczać - zachnął się. - Przyszedłem tu, szukając odrobiny spokoju, a przy tobie z pewnością go nie zaznam.

- Dlaczego?

- Bo ty mnie cholernie rozpraszasz, jeśli już chcesz znać prawdę.

- Jak bardzo cię rozpraszam, Adrianie?

Podniósł się z fotela, odrzucając na bok gazetę. Zbliżył się do Maggie dwoma szybkimi krokami.

- Tak bardzo, że muszę coś z tym zrobić.

- No, dalej - rzuciła zaczepnie. - Pokaż mi, Adrianie, co zrobisz, żebym cię nie rozpraszała.

- Do licha. - Jednym ruchem przyciągnął ją do siebie. - Do licha - powtórzył i zamknął jej usta mocnym, natarczywym pocałunkiem. Kiedy się od niej oderwał, oddech miał szybki, urywany. - Wyjdź stąd - powiedział chrapliwie. - Bo inaczej pożałujesz.

Wspięła się na palce i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Nie mogę - wyznała.

- Dlaczego?

- Bo stoisz na mojej spódnicy. - Nim zdążył cokolwiek odpowiedzieć czy cofnąć nogę, szepnęła z ustami tuż przy jego ustach: - Pocałuj mnie, Adrianie. Pocałuj mnie tak, jak mnie pragniesz. - Pragnę cię. Boże, dopomóż, bardzo cię pragnę.

Położył ją na podłodze, pośpiesznie zrzucając z siebie ubranie, a potem pomógł jej się rozebrać.

Wyczuwała na jego skórze zapach świeżo ciętego drewna. Nakrył ją sobą, wyciągając jej ręce nad głowę i przyciskając do podłogi.

- Nie boję się ciebie - szepnęła.

- A powinnaś - powiedział, kolanem rozsuwając jej nogi i układając się między nimi. Nim zdążyła odpowiedzieć, wbił się w nią, sięgając tak głęboko, jak tylko to było możliwe. - Mogłaś uciec, kiedy miałaś jeszcze szansę, skarbie - powiedział cicho, poruszając się w niej rytmicznie. - A teraz się przekonasz, co czeka kobiety, które kręcą się tam, gdzie nie powinny.

Głośno wciągnęła powietrze, kiedy jego ruchy stały się szybsze, pchnięcia mocniejsze.

- Przestrasz mnie jeszcze bardziej.

- Możesz pożałować tych słów, kiedy to się stanie, bo mam zamiar ujeżdżać cię, jak jeszcze nigdy nie byłaś ujeżdżana. - Nie był w stanie powiedzieć nic więcej, bo całą energię wykorzystywał na szaleńcze

pchnięcia.

Maggie zadrżała, poddając się wzbierającym skurczom rozkoszy, a on nie ustawał, jakby go opętały demony.

- Chciałaś tego, prawda? - wydyszał jej w twarz. - Chciałaś, błagałaś o to, więc zadbam, żebyś dostała to, co ci się należy.

Wbijał się w nią coraz mocniej i mocniej, aż miała wrażenie, że zaraz rozpadnie się na kawałki. Leżał na niej całym ciałem, niemal wgniatał ją w podłogę swoim ciężarem i ani na moment nie zwalniał dzikiego rytmu. Wreszcie wsunął dłonie pod jej pośladki i unióś ją, żeby sięgnąć jeszcze głębiej.

- Tak - krzyknęła. - Och, tak! Adrian! Tak! - Próbował stłumić jej krzyk pocałunkiem, ale nie zdołał.

Długo trwało, nim zaczęli normalnie oddychać. Adrian zsunął się z niej i leżał obok. Położyła mu głowę w zagłębieniu ramienia i leciutko muskała palcami ciemny zarost na jego piersi.

- To już staje się nawykiem. - Syknął, próbując powstrzymać skurcze w tydkach. - Nie pamiętam, żebyśmy się kiedyś kochali w łóżku.

- A to właśnie robiliśmy? - spytała, uśmiechając się do siebie. - Kochaliśmy się?

Pochylił głowę, żeby na nią spojrzeć, aż dotknął brodą klatki piersiowej.

- Jesteś prawdziwym utrapieniem - powiedział, mierzwiąc jej włosy, a potem dodał ciszej: - Ale miewałem gorsze utrapienia.

- To dobrze, bo chcę cię o coś spytać.

- O co?

- Zastanawiałam się - powiedziała ze śmiechem - co byś powiedział, gdybym cię zechciała jeszcze trochę porozpraszać. - Bardzo proszę. - Wstrzymał oddech, kiedy się na niego wspięła, i przylgnął do niej całym ciałem.

21

Adrian miał ochotę się upić i pewnie by to zrobił, gdyby sobie nie uświadomił, że musi zachować jasność umysłu, jeśli ma zamiar uporządkować swoje stosunki z Maggie. Nie mógł sobie darować, że nie zabrał się za to wcześniej. Nie należał do osób, które pozwalają, by ich sprawy toczyły się własnym, niekontrolowanym torem. Nie mieściło mu się w głowie, by mógł dopuścić do zaniedbań w prowadzeniu tartaku ... więc dlaczego nie stosował tej samej zasady, kiedy chodziło o małżeństwo?

"Tyle otrzymujesz, ile dajesz". Nic więc dziwnego, że odnosił wrażenie, iż nie wynosi ze związku z Maggie tyle, ile powinien. Trudno było nie zauważyć, że czegoś w nim brakuje. Maggie była otwarta i naturalna podczas ich fizycznych zbliżeń. Okazywała mu uwagę i zrozumienie, ilekroć byli razem. Nawet wyznała mu, że go kocha, tamtego pamiętnego dnia, kiedy przybyły jej dzieci. Dawała z siebie wszystko, a Adrian ze wstydem uświadomił sobie, że przyjmował coś, na co nie zasługiwał. Maggie potrafiła wybaczać, była jak drzewo sandałowe, które obdarza swym cudownym zapachem nawet ścinający je topór.

Tak, czegoś pomiędzy nimi brakowało. Nie było tak, jak być powinno. Nadal czuł się w jej obecności dziwnie onieśmielony i niepewny. A Maggie? Z przykrością musiał przyznać, że nie zachowywała się jak kobieta zakochana. I nie wyglądała na zakochaną. Nie wyglądała na szczęśliwą ... i dlatego on także nie mógł się czuć szczęśliwy. Najwidoczniej jego szczęście zależało od tego, czy ona jest szczęśliwa.

To prawda, że Maggie go oszukała, zataiła przed nim fakty, które miał prawo znać. Jednakże nie opuszczało go poczucie, że to bardziej z jego winy znaleźli się w trudnej sytuacji niż przez nią.

Męczyła go ta świadomość, podobnie jak jedno pytanie. Czy Maggie ma zamiar go opuścić? Chyba nie, bo przecież wiele sygnałów dowodziło, że wrastała w jego życie, jego dom i interesy niczym drzewo zapuszczające korzenie głęboko w ziemię. Czyż nie widziała, że zaczęło mu na niej zależeć? Nie rozumiała, że to, co nazywał pożądaniem, było w istocie miłością? Nie pojmowała tego, wiedząc, że słowa, które wypowiedział tamtego dnia, były jedynie wyrazem bólu i złości wywołanych zdradą?

A jeśli tego nie rozumiała?

Czy chciał zaryzykować, że straci wszystko w tej grze?

- Niech cię licho, Maggie - powiedział na głos, choć jej tutaj nie było. - Twierdziłaś, że zamierzałaś mi powiedzieć o dzieciach, zanim przyjadą. Czemu tego nie zrobiłaś? Czemu czekałaś tak długo? Nie rozumiem tego.

Nie rozumiesz? - odezwał się w nim wewnętrzny głos. Może z tego samego powodu, dla którego ty zwlekasz z wyznaniem, co do niej czujesz. Może się bała. Tak samo jak ty.

Im dłużej nad tym rozmyślał, tym głębszego nabierał przekonania, że wini Maggie za błąd, który on sam także popełnił. Dlaczego to, co w przypadku Maggie uważał niemal za zbrodnię, we własnym wykonaniu uznawał za całkowicie zrozumiałe?

Postanowił odszukać Molly. Znalazł ją w pralni, gdzie składała wyprane rzeczy z pomocą Wonga.

- Chcę z tobą porozmawiać, jeśli masz wolną chwilę - powiedział.

- I tak nie miałam ochoty na składanie prania - odparła Molly. Pociągnawszy Wonga za warkoczyk, poszła za Adrianem.

Już W gabinecie nalał kieliszek czerwonego wina dla siebie i drugi dla Molly.

- Może nam się przydać - powiedział, stawiając butelkę na biurku. Usiadł w swoim fotelu, wskazując MoHy krzesło. - Powiedz mi coś - zaczął. - Czy Maggie nadal ma zamiar wrócić do Szkocji?

- Czemu pan jej nie zapytał?

- Bo pytam ciebie. Więc jak?

- Nie dziwiłabym się, gdyby tak było.

- Lepiej odpowiedz wprost. Czy Maggie wyjeżdża?

- Dlaczego by nie miała wyjechać? Jeśli dobrze pamiętam, był pan zapalony do tego pomysłu, kiedy przyjechały dzieci.

Adrian zacisnął pięści. Dlaczego rozmowa mężczyzny z kobietą musiała być taka trudna? Wziął głęboki oddech.

- Molly, nie próbuję cię zmusić, żebyś mi powiedziała coś, czego nie chcesz powiedzieć. Zwróciłem się do ciebie, ponieważ ... ponieważ potrzebuję pomocy.

Adrian odniósł wrażenie, że po raz pierwszy od wielu miesięcy MoHy spojrzała na niego nieco łaskawiej.

- Cóż - mruknęła. - Sądzę ... wiedząc, jak trudno musiało panu przyjść to wyznanie, że mogę się postarać panu jakoś pomóc.

- Dziękuję ci.

- Wie pan, odbyłam podobną rozmowę z pana żoną.

- Naprawdę?

- Owszem, ale nie chodziło o jej wyjazd, zaznaczam. To było już dawno, zaraz po tym, jak się pan dowiedział o jej poprzednim małżeństwie.

- Wiedziałaś o nim?

- Tak. Powiedziała mi również, że ma dzieci.

Adrian uniósł się z fotela.

- Wiedziałaś? Wiedziałaś o wszystkim?

- Wiedziałam.

- I nie powiedziałaś mi?

- Nie ja byłam od tego, żeby panu powiedzieć.

Adrian usiadł.

- Mów dalej.

- Powiedziała mi o dzieciach i spytała, co powinna zrobić.

- I ty jej poradziłaś, żeby mi powiedziała - podsunął.

- Nie, poradziłam jej, żeby trochę zaczekała, aż spędzicie razem więcej czasu. Teraz widzę, że nie miałam racji. Dlatego nie będę panu udzielać żadnych rad. - Molly podniosła się z krzesła. - Dziękuję za wino.

Kiedy była już przy drzwiach, Adrian zapytał: - Molly, co byś zrobiła na moim miejscu? Odwróciła się od progu.

- Gdybym była na pana miejscu, nie traciłabym czasu na próżno. Jeśli pan ją kocha, jeśli pan chce, żeby tu została razem z dziećmi, to niech jej pan to powie.

- Miałem nadzieję, że się domyśli, że chcę, by została. Cholera! - zaklął, wpatrując się w sufit. - Wiem, że mógłbym ją przekonać, gdybym miał więcej czasu.

- Gdybanie do niczego nie prowadzi.

- Nie bardzo mi pomagasz.

- Pewne rzeczy człowiek musi zrobić sam. - Potrząsnęła głową. - Chyba nigdy nie zrozumiem, dlaczego dobry Bóg tak sprawił, że mężczyźni mają siłę do wielu rzeczy, a są zbyt słabi, by otworzyć serce przed ukochaną kobietą. Kobieta nie jest wyschniętą ziemią. To, że pan w nią sączy po kropelce różne informacje, a ona je wchłania, wcale nie znaczy, że będzie wiedziała, że pan ją kocha. Jeśli pan chce, by Maggie wiedziała, co pan czuje, musi jej pan to powiedzieć.

Wyszła z gabinetu. Po chwili wychyliła głowę zza drzwi.

Zmieniłaś zdanie? - ożywił się.

- Nie, ale mam coś, co może panu pomóc w podjęciu decyzji.

- Co takiego?

- Coś, co zwykle mawiał mój tato.

- Cudownie. Akurat tego mi trzeba. Rodzinnych przypowieści. - Widząc błysk wesołości w jej oczach, dodał: - No dobrze, mów.

- "Z braku gwoźdźcia może być po podkowie; z braku podkowy może być po koniu; z braku konia może być po jeźdźcu". Na pana miejscu nie czekałabym zbyt długo. Na mój rozum, to stracił pan już podkowę i konia. Płyń pan z prądem wprost na młyńskie koło, jak mawia Wielki John.

- Ależ ze mnie głupiec - westchnął. - Tępy, ślepy głupiec.

- Cóż, chyba nie powinien pan aż tak się obwiniać. Bóg jeden wie, że gdyby każdy głupiec nosił białą czapkę, z góry wyglądalibyśmy jak stado gęsi - powiedziała, po czym spokojnie zamknęła za sobą drzwi. Długi czas po jej wyjściu Adrian przesiedział z zamkniętymi oczami, rozważając to, co od niej usłyszał. Czuł zarazem żal i ulgę. Żal z powodu całego zła, jakie się wydarzyło między nim i Maggie, z powodu nieporozumień i braku wspólnego języka. Ulgę, bo uświadomił sobie własne błędy na czas. Maggie naprawdę go kochała. Powiedziała mu to. Ale on jej nie powiedział. Zrobię to, przysiągł sobie w duchu. Nim otworzył oczy, przyszło mu do głowy, że chętnie by udusił tego, kto twierdził, że czyny przemawiają głośniejszą od słów".

W jego przypadku czyny nie były warte funta kłaków. Maggie potrzebowała słów, i to wielu. A tych Adrian najbardziej się obawiał. Nie umiał wyrażać uczuć. Ale dla Maggie postanowił się nauczyć.

Podjąwszy decyzję, zaczął myśleć o Maggie. Z pewnym rozbawieniem przypomniał sobie owe pół godziny, spędzone z nią tego ranka przy śniadaniu. Uparła się, żeby mu opowiedzieć wszystko, czego się ostatnio nauczyła o sekwojach.

Czy wiedział, że są odporne na ogień, choroby i owady? Wiedział.

Czy wiedział, że kiedy rosną blisko brzegu, prawie zawsze są chronione sąsiedztwem pewnego gatunku świerków?

Wiedział.

Czy wiedział, że są blisko spokrewnione z olbrzymimi małutkowcami?

Wiedział.

Czy widział kiedyś takie drzewo?

Wiedział.

Czy kiedyś jej pokaże? Jak będzie grzeczna. Na co odpowiedziała:

- Cóż, nie możemy zobaczyć wszystkiego, co byśmy chcieli, prawda?

- Teraz wydało mu się to jeszcze bardziej zabawne niż rano.

Zdumiewała go swoją wiedzą, orientacją w jego interesach, zainteresowaniem jego pracą, umiejętnością inteligentnego rozmawiania na tematy, które zwykle interesowały tylko mężczyzn. Uświadomił sobie nagle, z jaką radością wraca codziennie do domu, żeby posłuchać, jak z przejęciem opowiada mu o tym, co się wydarzyło, pyta go o pracę, udziela mądrych rad. Ale i tu, jak zwykle, go zaskoczyła.

Ostatnio nie witała go, kiedy wracał, a gdy o nią pytał, Molly zbywała go krótkim:

- Jest tu gdzieś.

Martwiło go to. Myślał o swoich uczuciach do Maggie, o tym, jak promienna i świeża jest jego miłość do niej. A może kochał ją już od dawna, tylko sobie tego nie uświadamiał? Jakby ukrywał tęczę w kieszeni. Czy naprawdę pokochał ją dopiero niedawno? Przecież kiedy nie było jej w pobliżu, zawsze odczuwał jej nieobecność. I pamiętał gładkość jej skóry, sosnowy zapach jej włosów.

Ale wtedy jej jeszcze nie kochał.

Przecież nasłuchiwał jej kroków, kiedy mijała drzwi jego pokoju, i jej dźwięcznego śmiechu, kiedy kładła dzieci spać.

Ale jej nie kochał.

Pamiętał, jak dobrze im się razem spacerowało, jak bezwiednie natychmiast odszukiwał ją wzrokiem, nawet kiedy stała w tłumie.

Ale nie kochał jej.

Dlaczego ilekroć wyszła z pokoju, patrzył na miejsce, gdzie była jeszcze przed chwilą.

Maggie, Maggie, Maggie. Pożądał jej przez cały dzień. W nocy myśli o niej nie dawała mu spać. Noc sprzyjała skupieniu, zmuszała go do stawienia czoła uczuciom, których nie potrafił wyrazić. Noc budziła w nim lęk, że zbyt długo zwleka, że Maggie go opuści. A to rodziło nowe pytanie - jeśli wyjedzie, dokąd się uda? Nie mogła wrócić do Szkocji.

Szkocja oznaczała niebezpieczeństwo dla Fletchera. Wszelkie formy niegodziwości zawsze budziły sprzeciw Adriana, a kiedy dotykały bliskich mu ludzi, wzbierał w nim bunt. Choć żył na uboczu, w lasach północnej Kalifornii, wiedział, co się dzieje na świecie. Skoro ten Adair Ramsay miał czelność ukraść

książęcy tytuł i wysuwać pogroźki pod adresem Fletchera, należało mieć się przed nim na baczności. Adrian odsunął się z fotelem od biurka, żeby wyrzucić przez okno. Z miejsca, gdzie siedział, mógł obserwować Fletchera, jak czyści jego wałacha. Ten chłopiec miał oko do koni. Miał też pewność siebie i sposób bycia młodego księcia. Zarówno w jego rysach, jak i manierach widać było szlachetne pochodzenie. Ponadto było jasne, że doskonale zaadaptował się do swojego nowego życia. Adrian postanowił za wszelką cenę dopilnować, by Fletcher pozostał bezpieczny.

Chcąc się trochę przewietrzyć, Adrian wyszedł z domu z zamiarem wybrania się na spacer wzdłuż brzegu, lecz już od progu dostrzegł Ainsley, która usiłowała przywiązać Azalię do wózka.

- Zaczekaj - powiedział, zbliżając się do dziewczynki. - Nie możesz jej zaprząć, zawiązując jej sznur na szyi. Chyba nie chcesz jej udusić?

Ainsley pokręciła głową.

Kiedy Adrian połuźnił pętlę, Azalia zastrzygła uszami i powitała go głośnym rykiem.

- Iii ... owww ...

- Spójrz na nią teraz - powiedział do Ainsley. - Widzisz, jak postawiła uszy do góry? To znaczy, że się cieszy na mój widok. Kiedy opuszcza uszy w dół, to znak, że nie jest zbyt szczęśliwa, a kiedy je kładzie na szyi, to chce ci powiedzieć, że jest zła i może mieć ochotę ugryźć. - Adrian poczochnął oślicę po grzywie. - Jeśli chcesz, żeby ciągnęła wózek, każę zrobić dla niej uprzęż.

Podniósłszy wzrok, zauważył Maggie, która stała nieopodal, przyglądając mu się z dziwnym wyrazem twarzy. Poczł się nieswojo.

_ Chciała udusić biednego osła - rzucił szorstko i odszedł.

Z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie, Adrian szedł wąską ścieżką wśród skał, ciągnącą się wzdłuż brzegu. Słońce chyliło się już ku zachodowi, choć wciąż jeszcze świeciło jasno na ciemnobłękitnym niebie. Usłyszał, jak kamień spada, odbijając się o skały, by wreszcie z pluskiem wylądować w wodzie. Obejrawszy się stwierdził, że Ainsley z Azalią podążają za nim.

_ Odejdź - polecił. - Nie powinnaś tu być. Tu jest zbyt niebezpiecznie. - Kiedy to nie odniosło pożądanego skutku, odezwał się ostrzejszym tonem: - To nie jest miejsce dla dzieci. Wracaj do domu.

Ruszył przed siebie, lecz po chwili znów się obejrzał. Ainsley i Azalia wciąż podążały za nim.

_ Słyszałaś, co powiedziałem? - rzekł gniewnie. - Wracaj do domu, zanim dam ci klapsa. Nie masz tu czego szukać.

Ainsley stała i patrzyła na niego, tak jak zawsze. A Adrian, tak jak zawsze, odwrócił się, przeszedł kilka kroków i znów spojrzł za siebie.

Ainsley i Azalii nie było.

22

Adrian zawsze miał skłonność do rozmyślań, lecz tego dnia oddawał się naprawdę poważnym rozważaniom. Uznał, że wysunięty cypel, górujący nad wodami Pacyfiku, jest odpowiednim miejscem do tego celu. Myślał, jak zwykle, o Maggie. O tym, jak pięknie zawsze wyglądała, kiedy wracał wieczorem do domu. O tym, że starała się być zawsze miła i w dobrym humorze, nawet kiedy on zachowywał się jak niedźwiedź dopiero co zbudzony z zimowego snu. O tym, jak wieczorami zaglądała do biblioteki, żeby czytać bajki Barrie, Fletcherowi i Ainsley, a on obserwował, jak zmienia się wyraz jej twarzy i ton głosu, kiedy naśladowała postaci z książki. Jak mógłby zapomnieć te jej niewiarygodne oczy, zmieniające barwę w zależności od nastroju, i płomienne błyski we włosach? Ale najwięcej myślał o tym, jak się czuł, kiedy Maggie była w pobliżu.

Maggie, kobieta z rodowodem sięgającym Karola Wielkiego.

Maggie, z wykształceniem, jakiego mógłby pozazdrościć każdy mężczyzna. Maggie, ze swoją kobiecością, szkocką logiką, cierpkim humorem i nieskończoną cierpliwością. Maggie, nieśkora do złości, szybka do wybaczenia. Maggie, która musiała go znać lepiej, niż on sam znał siebie. Maggie, kobieta, którą straci, jeśli w porę nie wyzna, co do niej czuje. Zamknął oczy i zaczął się modlić.

- Boże, powiedz mi, jak mam to zrobić. Daj mi słowa, jakie chce usłyszeć. Tak wiele razy w życiu traciłem.

Nie pozwól, żebym stracił też Maggie. - Po krótkim zastanowieniu dodał jeszcze: - I nie pozwól, żebym znów zrobił z siebie durnia.

Wróciwszy do domu, nalał sobie kieliszek czerwonego wina. A potem poszedł szukać Maggie.

— Zdrzemnęła się z Ainsley - powiedziała Maude. - Mam po nią pójść?

- Nie, zobaczymy się przy kolacji - powiedział szybko Adrian.

Przy kolacji też nie poszło tak, jak oczekiwał, bo ledwie Adrian zdążył się przebrać, Eli przyszedł z wiadomością, że ktoś próbował się włamać do biura tartaku.

Chwytał kurtkę i wyszedł razem z Elim.

- Zginęło coś? - spytał, biegnąc do stajni.

- Nie, chyba nic. Wielki John zauważył, że w biurze się świeci, i pomyślał, że przez pomyłkę zostawiono zapaloną lampę. Poszedł do biura, żeby ją zgasić, lecz kiedy otwierał drzwi, włamywacz uciekł przez tylne okno.

Adrian osiodłał wałacha, w drodze do obozu wysłuchując reszty opowieści. Wielki John był w biurze, kiedy przyjechali na miejsce.

- Sądzę, że było ich dwóch - stwierdził - chociaż widziałem tylko jednego, jak uciekał. - Podeszedł do okna.

- Wybili dolną szybę. Tak się tu dostali.

Adrian rozejrzał się po pomieszczeniu. Wszystko wydawało się na swoim miejscu. Zmarszczył czoło, zatrzymując wzrok na stercie ksiąg. Był pewien, że włożył je z powrotem do szuflady. I co robiła bańka z naftą obok nich na stole?

- Na Boga! - wykrzyknął. - Kimkolwiek byli, zamierzali spalić księgi ...

- A przy okazji i biuro - dodał Wielki John, podchodząc do stołu.

Adrian jeszcze raz dokładnie się rozejrzał.

- Teraz nie jesteśmy w stanie nic zrobić. Wy obaj możecie jechać do domu i trochę się przespać.

- A pan? - zdziwił się Eli. - Nie jedzie pan do domu?

- Zabiję okno deskami, usunę parę rzeczy i też pojedę.

Adrian przybił deski tak, że zasłaniały dolną połowę okna, po czym odstawił na właściwe miejsce bańkę i księgi. Kiedy skończył, stanął przyoknie i patrzył na obozowy plac; tylko w baraku widać było słabe światło lampy. Podmuch wiatru targnął drzwiami, lecz Adrian prawie tego nie zauważył. Czuł, że jego życie zaczyna biec dwoma torami - jednym był tartak, drugim jego żona. A on sam zagubił się gdzieś pośrodku. Zgasił lampę i wyszedł. Wkrótce potem był już w domu. Zjadł na kolację zimnego łososia z ziemniakami i poszedł szukać Maggie. Drzwi jej pokoju były zamknięte, więc zapukał lekko, ale nie odpowiedziała. Przez długą chwilę stał pod drzwiami. Obudź ją i powiedz jej, podpowiadał mu wewnętrzny głos.

Ale ona potrzebuje snu. Znowu się wycofujesz? Nie, powiem jej rano.

Nagle przypomniał sobie maksymę, wyrytą na przycisku do papieru stojącym na jego biurku: "Bądź mądry dziś, nie wolno z tym do jutra zwlekać, bo możesz jutra nie doczekać".

Odwrócił się i wolnym, ciężkim krokiem poszedł do swojego pokoju.

Przez resztę życia Adrian miał uważać ten dzień za proroczy. Obudziwszy się tego grudniowego poranka, zszedł do kuchni, gdzie czekały go dwie nowiny: pierwsza - że do portu zawinął statek, druga - że znaleziono Clyde'a Bishopa z podciętym gardłem.

Maggie właśnie miała wejść do kuchni, kiedy dosłyszała wiadomość. Zatrzymała się jak wryta przed drzwiami. Przypląnęła statek. Nadszedł czas.

Straciwszy całkowicie apetyt, zawróciła, cicho weszła na schody, udała się do swego pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Nieco później usłyszała lekkie pukanie.

- Maggie, wstałaś już? - zapytał Adrian.

Po drugiej stronie drzwi Maggie stała z suknią przyciśniętą do łona, z dziko walącym sercem. Nie zapukał drugi raz ani jej nie zawołał. Ocierając Jzy z policzków, wolno podeszła do łóżka, na którym leżały jej ubrania. Z żalnym westchnieniem poskładała suknię i ułożyła ją w kufrze, na innych rzeczach. Miała wrażenie, że tak niedawno składała te same ubrania, pakując się na wyjazd do Kalifornii, a teraz miała stąd wyjechać. Wzięła do ręki mufkę, odruchowo głaszcząc miękkie futerko. Zastanawiała się, co by było, gdyby przed chwilą otworzyła drzwi i gdyby Adrian zobaczył, jak się pakuje. Nie, powiedziała sobie w duchu, tak jest lepiej. Lepiej, żeby nie wiedział. Nie jesteś aż taka silna, jak ci się zdaje, Maggie. Tylko silna kobieta otworzyłaby drzwi.

W drodze do obozu Adrian poczuł ból, tak głęboki i silny, że trudno mu było oddychać. Jego zwlekanie doprowadziło do oplakanych skutków. Zdawał sobie sprawę z tego, że Maggie nadaje sens i smak jego życiu, ale teraz, kiedy statek przypląnął, zanim on zdążył wyznać, co do niej czuje, wydawało mu się, że

jego małżeństwo jest jak ziarno starte na mąkę, ziarno, z którego już nic nie wykiełkuje.

Znalazł się w pułapce, pomiędzy decyzjami z przeszłości a tym, co było teraz, i cierpiał, wiedząc, że nie może ani cofnąć czasu, ani zostawić za sobą tego, co się stało. Tyle wspomnień nasuwało mu się przed oczy, a najbardziej dojmujące było wspomnienie dawnego samotnego życia. Nie wiedział, co ma zrobić. I bał się, że na wszystko jest już za późno.

Po rozmowie z Elim i Wielkim Johnem na temat śmierci Clyde'a Bishopa Adrian stał w oknie i patrzył na statek.

- Maggie i dzieci wyjeżdżają. Wiedział pan o tym? - odezwał się za jego plecami Wielki John.

Adrian odwrócił się gwałtownie.

- Wyjeżdżają? Czemu mi wcześniej nie powiedziałaś?

- Myślałam, że pan wie.

Adrian znów wyrzwał przez okno. Maggie stała na nabrzeżu; Izrael siedział przy jej nogach, a dwóch ludzi układało na pomoście jej bagaże. Dzieci nie było nigdzie widać. Maggie stała odwrócona do niego tyłem; w pewnym momencie podniosła rękę i dotknęła kołnierza sukni. Ten wdzięczny, kobiecy gest wydał mu się niewymownie smutny. Ogarnęło go nieznośne poczucie winy.

Wreszcie w całej pełni uświadomił sobie, do czego dopuścił.

Najpierw połączyło ich małżeństwo, potem namiętność, wreszcie coś na kształt miłej przyjaźni, a on wszystko zepsuł, dając się ponieść złości.

Pośpiesznie opuścił biuro i ruszył w stronę nabrzeża. Jakby wyczuwając jego obecność, Maggie odwróciła się i patrzyła na niego w milczeniu. Coś dławilo go w gardle. Od kilku miesięcy niczego tak nie pragnął jak tego, by jej wyznać, co czuje, a teraz było za późno. Statek cumował w porcie; gołe maszty sterczały w górę, jakby drwiły z niego, pokazując, jakie będzie jego życie bez Maggie - puste i pozbawione wszelkiej radości.

Głośny stuk zwrócił jego uwagę - opuszczono trap i zaraz miał po nim zejść kapitan. Maggie schyliła się po swój wiklinowy koszyk. Przypomnił sobie ten koszyk, stojący przy fotelu w bibliotece, wypełniony kolorowymi kłębkami wełny i szalem, który Maggie robiła dla Molly. Pamiętał także, jak wypełniony prowiantem stał na wozie, kiedy jechali na piknik.

Nie mógł pozwolić jej odejść.

Szukając w myślach sposobu na powstrzymanie szaleństwa, do którego sam doprowadził, spojrzął na gromadę ludzi zebranych przy nabrzeżu. Ich wyraźna wrogość i pogarda były niczym celujące w niego oskarżycielskim gestem palce.

Maggie miała na sobie suknię, której jeszcze nie widział, w tak ciemnym odcieniu granatu, że wydawała się czarna. To była skromna, niemal żałobna suknia i pasowała do okoliczności.

Zmusił się, żeby podejść do Maggie.

- Co ty tu robisz?

- To, czego chciałeś. Wyjeżdżam. - Spojrzała mu w oczy. - Nie martw się. Zabieram dzieci ze sobą.

Ainsley chciała się pożegnać z Azalią, więc Maude zabrała je do kowala. Emmitt robi uprzęż dla Azalii, więc trzyma ją u siebie, żeby mógł przymierzyć i dopasować.

Adrianowi zdawało się, że zaraz pęknie mu serce. Otworzył usta, kiedy Maggie odwróciła głowę, mówiąc:

- Nic nie mów, Adrianie. Proszę. - Popatrzyła na grupę milczących robotników. - Nie chcę, żeby widzieli, jak płaczę, a jeśli zaczniesz mówić, to nie zdołam się powstrzymać. Już po wszystkim. Masz, czego chciałeś. Proszę, pozwól mi zachować resztki godności.

Po raz pierwszy słyszał w jej głosie złość i urazę.

- Miałem nadzieję ...

Odwróciła się gwałtownie, niemal dotykając twarzą Jego twarzy.

- Na co? Że wyjadę ze śmiechem na ustach? Że ci podziękuję za to, że nas nie chcesz? Czy może na to, że rozstaniemy się jak przyjaciele? Cóż, to niemożliwe.

- Maggie, kochana, nie złość się.

- Kochana? Nie nazywaj mnie tak. Nie zrozumiesz, co to miłość, choćby cię nią ktoś zdziesiął po głowie. Nie dostrzegłbyś jej nawet, gdyby ci siedziała na nosie. Jesteś ślepy, Adrianie. Ślepy i głupi. - Tupnęła nogą. - Dlaczego? - Wzniosła oczy ku niebu. - Dlaczego musiałam się zakochać w głupim, upartym ślepcu? - I opuszczając na niego wzrok, dodała: - I nie mów mi, żebym się nie złościła. Mam prawo być zła ... I chcę być zła. Muszę.

Jeszcze nie widział jej takiej rozjuszonej. I jeszcze nigdy jej tak bardzo nie kochał.

- Nie musisz być zła.

- Owszem, muszę. Łatwiej mi będzie wyjechać, jeśli będę na ciebie zła.

Dotknął jej rękawa.

- Nie wyjeżdżaj.

- Dlaczego?

- Bo nie chcę, żebyś wyjechała.

- Będziesz musiał się bardziej postarać - powiedziała, nagle pewna, że się postara.

Teraz albo nigdy. Odezwij się. Powiedz jej, bo inaczej ją stracisz. Przełknij swoją głupią dumę. Ona cię kocha. Nie możesz jej powiedzieć tego, co chce usłyszeć?

To było najtrudniejsze przedsięwzięcie w jego życiu.

- Maggie. - Kiedy wypowiedział jej imię i zobaczył iskrę nadziei w jej oczach, wszystko stało się łatwe. - Kocham cię.

W tym samym momencie, gdy wymówił te słowa, jakby opadły z niego całe tony wątpliwości i niepokojów. Poczł się tak lekki, że chyba mógłby latać. Stał się nowym człowiekiem. Z bijącym głośno sercem patrzył, jak złość powoli w niej topnieje. Kochać i być kochanym. Czy mogło być coś lepszego?

Porwał ją w objęcia i pocałował na oczach wszystkich mieszkańców obozu.

Rozległy się radosne okrzyki i śmiechy. Maggie odepchnęła go lekko.

- Dzieci - przypomniała. - Muszę je znaleźć, żeby im powiedzieć.

- Pójdę z tobą - zaproponował, biorąc ją za rękę.

- Nie, lepiej będzie, jak najpierw sama z nimi porozmawiam. W tej chwili nie są do ciebie najlepiej usposobione, sam rozumiesz.

- Tak, rozumiem - przyznał, próbując naśladować jej szkocki akcent. Nie udało mu się, ale po ciepłym spojrzeniu poznał, że już sama próba sprawiła jej przyjemność.

Odprowadził ją pod biuro, a potem, stojąc na ganku, patrzył, jak idzie przez obozowy plac w stronę Maude i dzieci, które tak, jak powiedziała, nie patrzyły na niego zbyt przychylnie.

Szczęście dosłownie go rozpierało. Miał wrażenie, że jest dziesięć razy większy niż dotychczas. Był silny. Mógł przenosić góry. Maggie go kochała i to było najważniejsze na świecie.

Wszedł do środka. Biuro było opustoszałe. Nalawszy sobie kubek kawy, podszedł do okna i patrzył na statek, który wkrótce miał odpłynąć, bez cennego ładunku ... jego cennego ładunku.

Po chwili drzwi się otwały, weszła Maggie i stanęła obok niego przy oknie. Odstawił kawę na parapet i objął żonę, opierając brodę na czubku jej głowy.

- Chcesz kawę?

- A masz herbatę?

- Nie, ale odtąd będę miał.

Z westchnieniem zamknęła oczy, przywierając do niego całym ciałem.

- Kocham cię.

- Ja kocham cię bardziej - rzekł - bo ciebie jest więcej do kochania. Kocham cię, Maggie ... was wszystkich.

- Nawet Maude?

- Zwłaszcza Maude - zapewnił, przytulając ją jeszcze mocniej.

- Słyszałam, co się stało z Clyde'em Bishopem - powiedziała. - Wielki John mówił, że tego człowieka, którego podejrzewałeś, już tu nie ma.

- Greenwooda - przytaknął Adrian. - Nie, nie ma go. Zniknął.

- Myślisz, że nie żyje?

- Wątpię. Bardziej prawdopodobne, że gdzieś się zabawia za pieniądze otrzymane od Talbota i Pope'a.

- Żał mi biednego Clyde'a. Był miłym człowiekiem. Nie zasłużył na to, co go spotkało.

- Nie zasłużył - przyznał Adrian. Nim zdołał powiedzieć coś więcej, do biura wpadł Eli i niemal równocześnie rozległo się bicie na alarm.

- Pożar! - zawołał Eli. - Zapaliła się hałda trocin za tartakiem.

Wiatr przybiera na sile. Wygląda na to, że ogień może się rozprzestrzenić aż do tartaku albo do kuźni.

Adrian wraz z Maggie wybiegli na zewnątrz. W powietrzu już unosiły się gęste chmury duszącego dymu.

Adrian ruszył w stronę robotników, którzy zdążyli utworzyć szereg do podawania wiader. Podjęli rozpaczliwą próbę zgromadzenia wody, nim niesione wiatrem płomienie, ryczące niczym głodna bestia, pożarł cały obóz. Przeskakując z drzewa na drzewo, zlizując z ziemi suchą trawę, ogień pełził w stronę małych drewnianych zabudowań, a także większego, w którym mieściły się tartaczne piły.

Szarpana wiatrem Maggie załzawionymi od dymu oczyma rozglądała się za dziećmi. Dym wiszący nad wierzchołkami drzew zasnuwał niebo szarym całunem. Wszędzie dookoła niej trzaskały płonące gałęzie, a zaraz potem zajął się mały drewniany domek. Rozległ się huk i w górę zaczęły wylatywać kawałki drewna,

niczym płonące strzały.

. Maggie spostrzegła dzieci, stojące z Tomem Radfordem.

Oslaniając oczy, podbiegła do nich.

- Lepiej niech się pani stąd wynosi razem z dziećmi - poradził Tom. - Wiatr podsycy ogień, więc wkrótce z obozu niewiele zostanie.

Maggie zagarnęła dzieci przed sobą i rozejrzała się za bryczką, ale zobaczyła jedynie jej tył, oddalający się drogą prowadzącą do domu.

- Konie uciekły - powiedział Fletcher. - Jak się teraz do-staniemy do domu?

- Pieszko - odparła Maggie. Nagle poczuła, jak otaczają ramię Adriana.

- Chodźcie ze mną! - zawołał, biorąc Ainsley za rękę. -Szybko! Mamy niewiele czasu.

- Dokąd nas zabierasz?

Wokół nich gęstniały chmury dymu. Gdzieś w pobliżu rozległ się trzask podobny do wystrzału, a po nim wzbił się z górę snop iskier. Maggie strząsnęła ogarek, który przykleił jej się do spódnicy.

- Zabieram was na statek.

Maggie stanęła w miejscu jak wryta.

- Proszę, Adrianie. Proszę, nie rób tego.

- To nie to, co mylisz, Maggie. Nigdzie was nie wysyłam. -

Objął ją. - Nie rozumiesz, że nie mógłbym cię odesłać? Jesteś częścią mnie, a statek jest jedynym bezpiecznym schronieniem. Możecie się stąd wydostać, zanim obóz stanie się śmiertelną pułapką.

Maggie nie zamierzała się ruszyć.

- Nie możesz nas teraz odesłać - starała się przekrzyczeć hałas. - Spójrz! Rozejrzyj się! Jeśli nas odeślesz, oni też nie zostaną. - Wskazała ruchem głowy na robotników, którzy już zaczęli zwalniać, a niektórzy po prostu stali z wiadrami w rękach, patrząc wyczekująco, co robi Adrian. - Jeśli wsadzisz nas na statek, nie zostaną. Potrzebujesz ich, Adrianie. I nas też po-trzebujesz. Nigdy nie ugasisz tego pożaru, jeśli oni odejdą.

Popatrzył na nią tak, że przez moment myślała, że jest na nią zły.

- Zaraz wrócę. - Pocałował ją szybko. - Czekajcie na mnie przy pomoście. Jeśli ogień się nasili, wsiądź z dziećmi do łodzi i uciekajcie jak najdalej od brzegu. Rozumiesz?

- Tak. - Ledwie zdążyła odpowiedzieć, a Adrian już gnał ile sił w stronę miejsca, gdzie ogień był największy. Podsycane

wiatrem płomienie niebezpiecznie zbliżały się do budynku z piłami i pobliskiej kuźni.

Czarny od sadzy, ociekający wodą Adrian obejrzał się jeszcze raz, krzyżąc do Maggie, by wycofała się razem z dziećmi.

- Chodźcie - powiedziała Maggie, biorąc Barrie za rękę.

Drugą chciała chwycić Ainsley, ale młodszej córce nie było. Maggie zobaczyła, jak Ainsley biegnie w stronę kuźni, aż podskakuje jej rude loczki. Krzyknęła, ruszając za dzieckiem. Słyszając jej krzyk, Adrian spojrział w tamtym kierunku i natych-miast zrozumiał, co się dzieje.

Wypuściwszy z ręki wiadro, rzucił się w pościg i złapał Ainsley tuż przed kuźnią. Oddał wrzeszczące i kopiące dziecko matce i nakazał im wszystkim oddalić się jak najszybciej.

Trzymając Ainsley i Barrie za ręce, Maggie skierowała się ku nabrzeżu, gdy zmroził ją przeraźliwy dziecięcy krzyk.

- Azalia! - krzychała Ainsley. - Azalia tam jest! Nie pozwól jej umrzeć!

Maggie padła na kolana przed Ainsley i zaczęła płakać.

- Co powiedziałaś?

- Azalia - chlupała dziewczynka, wskazując na kuźnię.

Adrian popatrzył najpierw na Maggie, potem na Ainsley, wreszcie na główny budynek tartaku. Nie było dość ludzi, żeby ratować zarówno pomieszczenia z piłami, jak i kuźnię, więc wydał już rozkaz, żeby skupili się na tartaku.

Czuł się tak, jakby mu wrywano serce z piersi.

- Azalia - chlupała cicho Ainsley. - Azalia. - Po oczach dziewczynki widział, że nie rozumie, co się wokół niej dzieje.

- Eli! - zawołał. - Przenieś ludzi do kuźni, szybko!

- Do kuźni? - zdziwił się Eli.

- Tak, i pośpiesz się.

- Czy pan wie, co mówi? - Wielki John stanął przed Adrianem, dysząc ciężko z wyczerpania. - Jak pan teraz odwoła ludzi z tartaku, wszystko pan straci. Zastanów się, człowieku. Nie da się uratować i pił, i

kuźni. Trzeba wybierać.

Adrian zerknął szybko na Maggie.

- Już wybrałem - rzekł twardo. - Niech się spali tartak! - zawołał, ruszając biegiem. - Ratować kuźnię! Na szczęście budynek był niewielki, a drewno suche, więc łatwo dało się nasączyć wodą. Kiedy płomienie były już z grubsza opanowane, Adrian chwycił jakąś płachtę, zanurzył ją w beczce z wodą, zarzucił na siebie i wbiegł do środka. Krztusząc się od dymu, odnalazł w jednym z boksów osiołka, narzucił zwierzęciu worek na głowę i wyprowadził je na zewnątrz.

Ainsley podbiegła do Azalii i zawisła jej na szyi. Adrian nie mógł oderwać oczu od dziecka, tulącego do siebie usmolone zwierzę, które nagle wydało z siebie głośny ryk.

- liii ... owww

- Jest szczęśliwa - powiedziała Barrie.

- Nie, ona chce, żebym ci podziękowała - sprostowała Ainsley.

Adrian przełknął z trudem. Nie wiedział, co powiedzieć, jak rozmawiać z Ainsley. Zerknął bezradnie na Maggie.

- Dlaczego? - spytała, patrząc na tartak, pożerany przez łapczywe płomienie. Położyła mu dłoń na ramieniu. - Och, Adrianie, dlaczego ... skoro mogłeś uratować tartak.

- Nie wiem - wyznał, patrząc na Ainsley, potem znów na Maggie. - Może dlatego, że jestem szalony. - Uśmiechnął się do niej ciepło. - A może zrozumiałem, że są rzeczy ważniejsze od pieniędzy.

Kilka godzin później, kiedy ogień się dopalił, Adrian stał z Maggie i dziećmi, patrząc na dymiące resztki tego, co jeszcze niedawno było Kalifornijską Kompanią Drzewną. Niewiele pozostało, poza kuźnią, barakiem i częścią biura. Chata medyczna, stołówka, budynki tartaku i kilka innych przestały istnieć. Wielki John i Eli stanęli obok Adriana. Pod obie jak on, byli umazani sadzą, mokrzy od wody i potu.

- Znalazłeś coś? - zwrócił się Adrian do Wielkiego Johna.

- Wystarczająco dużo - odparł Wielki John. - Znaleźliśmy Greenwooda.

- Chcę zobaczyć tego drania - rzeki Adrian. - Gdzie on jest?

- Nie żyje.

- Następną dobrą wiadomość - westchnął Adrian. - Nigdy się nie dowiemy, kto za tym stał tym razem.

- Wiemy, ile trzeba. Widać zabójcy Greenwooda tak się śpieszyli, że nie czekali, by się upewnić, że ofiara nie żyje. Nie zostało mu wiele czasu, ale zdążył napisać własną krwią na pniu dwa słowa.

- Jakie?

- "Pożar" i "Talbot".

- To nie wystarczy jako dowód w sądzie - stwierdził Adrian.

- Dlaczego? - zdziwił się Eli. - Mamy mnóstwo świadków, którzy widzieli Greenwooda i to, co napisał na pniu.

- Tak, tylko że wszyscy ci świadkowie dla nas pracują. Poza tym nie mamy dowodów, żeby wykazać związku Greenwooda z Pope'em i Talbotem.

- Tego bym nie powiedział - mruknął Wielki John, wyciągając z kieszeni mały czarny notatnik. - Wygląda na to, że Greenwood skrzętnie zapisywał wszystko, co dostawał od Pope'a i Talbota. - Otworzył notatnik i podsunął Adrianowi. - Widzi pan? Wszystko tu jest - data, wypłacona suma. Z zapisków wynika, że był opłacany przez Pope'a i Talbota aż do zeszłego tygodnia. - Zamknął notatnik. - Mamy tu wszystko czarno na białym, spisane własnoręcznie przez Greenwooda. Pracował dla nich, bo inaczej przecież by mu nie płacili.

Wielki John podał notatnik Adrianowi.

- Schowam go w sejfie w moim gabinecie - obiecał Adrian. - To jedyna ognioodporna rzecz w okolicy.

Wielki John rozejrzał się z z troską miną.

- Wygląda na to, że pozostał panu tylko dom - stwierdził.

- No, nie wiem - powiedział Adrian, patrząc na Maggie.

- Nie rozumiem tego - wyznał Eli. Nie widział, jak Wielki John z Adrianem wymienili spojrzenia. - Gdyby pan nie zabrał ludzi z tartaku i nie kazał im ratować kuźni, moglibyśmy zatrzymać ogień, zanim strawi urządzenia. - Powiódł wzrokiem po pogorzelsku. - I wiem z całą pewnością, że gdybyśmy uratowali tartak, pożar nie przeniósłby się na resztę obozu. - Potrząsnął głową, spoglądając na trzy ocalałe budynki. - A tak, stracił pan wszystko.

Adrian spojrzał na Eliego, potem na Wielkiego Johna, wreszcie na Maggie. Zapakowała dzieci do wozu, posyłając je do domu z Maude, a potem wraz z Molly przeszła przez plac, gotowa udzielić pomocy rannym, którzy zgromadzili się wokół małego, pośpiesznie rozstawionego namiotu. Większość środków

opatrunkowych i lekarstw spłonęła w pożarze, lecz Maggie nie traciła ducha; poruszała się z typową dla siebie energią i zdecydowaniem.

Kiedy szła, wiatr targnął jej spódnicą, a Adrianowi przypomniało to tamten pierwszy raz, kiedy ją ujrzał, stojącą na cyplu wysuniętym w morze. Czy rzeczywiście wszystko było stracone?

Miał Maggie. Miał także jej dzieci. Uświadomił sobie, że to mu wystarczy. Uśmiechnął się i nie odrywając oczu od żony, zwrócił się do Eliego i Wielkiego Johna:

- Mielicie w życiu coś, dla czego warto zaryzykować wszystko?

Stał pośród dymiących ruin swojego tartaku, z rękami wciśniętymi głęboko kieszenie, z czarnymi smugami sadzy na spoconej twarzy. I nagle zrobił coś zupełnie niewyobrażalnego. Odrzucił głowę do tyłu i głośno się roześmiał.

23

Adrian spędził resztę dnia na inwentaryzacji tego, co zostało z Kalifornijskiej Kompanii Drzewnej. Zgliszcząca tartaku miejscami jeszcze dymiła, a tu i ówdzie sterczały kawałki powyginanego metalu, niczym kości jakiegoś prehistorycznego mamuta.

- I co teraz? - odezwał się Wielki John.

- Odbudujemy - stwierdził Adrian. - Mamy mnóstwo drewna. - Może pan tylko dziękować swojej szczęśliwej gwiazdzie,

że dostawa nowej piły się opóźniła. Powinna być tu na miejscu akurat wtedy, kiedy odbudujemy tartak i będziemy gotowi, żeby ją zainstalować - powiedział Wielki John. - Mimo wszystko szkoda, że straciliśmy zabudowania.

- Och, sam nie wiem - powiedział Adrian. - Właściwie projekt starego tartaku nie bardzo mi odpowiadał. - Położył rękę na ramieniu Wielkiego Johna i razem przeszli dalej. - Pozwól, że ci przedstawię plany nowych budynków. Chyba powinniśmy ...

Weszli do biura, więc nie było słyhać ich rozmowy, lecz gromki śmiech Wielkiego Johna rozniósł się po całym obozie. Po chwili zawtórował mu Adrian.

Uprzątający pogorzelsko ludzie przerwali pracę; niektórzy z nich, drapiąc się po głowach, spoglądali w stronę biura. Każdy z nich myślał swoje, lecz nad jednym zgodnie zastanawiali się wszyscy:

Jak człowiek, który dopiero co patrzył, jak ogień obraca w ruinę wielką część jego majątku, może się śmiać?

Po powrocie do domu Adrian nie mógł się doczekać końca kolacji. Po posiłku bowiem zamierzał się kochać ze swoją żoną.

Żeby zabić czas, udał się do gabinetu. Mijając salon, stanął jak wmurowany. Wszedł do środka i natychmiast jego wzrok powędrował do ściany nad kominkiem, gdzie wisiał portret Katherine, zanim sam go ściągnął.

Dokładnie w tym samym miejscu wisiał teraz inny portret i choć wielkością nie dorównywał poprzedniemu, był nieskończenie bardziej cenny.

Od razu się domyślił, że to dzieło Maggie, bo tylko ona mogła z taką prostotą oddać najważniejsze cechy malowanej postaci. Obraz przedstawiał jego i Izraela, był doskonały, jeśli idzie o formę i kompozycję ... jednak nie to zrobiło na Adrianie największe wrażenie. Najdziwniejsze było to, co czuł, patrząc na siebie oczyma Maggie.

- To mój sposób, żeby ci podziękować - powiedziała Maggie, podchodząc do niego od tyłu.

Odwrócił się do niej.

- Niesłychane. Nie miałem pojęcia, że zrobiłaś coś takiego. - Patrzył na nią z czułością. - Nie wiem, co powiedzieć, nie przypominam sobie, żeby ktoś mi kiedyś coś dał.

- Ależ tak - powiedziała ze śmiechem. - Ross dał ci żonę i troje dzieci, tylko że ty wcale nie byłeś mu za to wdzięczny.

Objął ją mocno.

- Teraz jestem wdzięczny.

- Naprawdę?

- Wątpisz w to?

- Nie możesz mnie za to winić. Długo się opierałeś.

- Ale opamiętałem się w porę. - Przytulił ją jeszcze mocniej, opierając brodę na jej głowie, tak że kiedy mówił, czuła wibracje. - Kiedy sobie pomyślę, jak niewiele brakowało, żebym cię stracił... Gdybyś wsiadła na ten statek ...

Roześmiała się cichutko.

- Nie wsiadłabym na ten statek, Adrianie Mackinnon. Jestem na to stanowczo zbyt uparta.

Odchylił głowę, żeby na nią spojrzeć.

- Naprawdę byś nie wsiadła?

- Nie. Wyjechałabym tylko wówczas, gdybyś mnie siłą wciągnął na pokład, a tego byś przecież nie zrobił - powiedziała, stając na palcach, żeby go pocałować.

- Dlaczego? - spytał nagle schrypniętym głosem.

- Ponieważ wiedziałam, jak bardzo mnie kochasz. Tylko ty tego nie wiedziałeś.

- Teraz wiem - zapewnił, oddając pocałunek.

- Tak - powiedziała cicho - a ja dopilnuję, żebyś nie zapomniał. Nigdy.

Krzyki i tupot szybkich stóp powiedziały im, że Barrie z Fletcherem znowu są w stanie wojny.

- Coś mi się zdaje, że czasy kochania się na podłodze w całym domu minęły - stwierdziła z uśmiechem i pocałowała Adriana jeszcze raz, podeszła do drzwi, gdzie udało jej się złapać za ucho przebiegającego Fletchera.

- Czemu nie złapałaś jej? - zaskamlał Fletcher, łypiąc groźnym wzrokiem na Barrie, która miała więcej szczęścia i zdołała umknąć.

- Ty byłeś bliżej - wyjaśniła mu rzeczowo Maggie.

Kolacja tego wieczoru nieznacznie się opóźniła, toteż Adrian postanowił wybrać się na spacer wzdłuż brzegu.

Łągi Izraela nie było nigdzie w pobliżu, więc wyruszył sam krętą ścieżką prowadzącą do cypla. Kiedy znalazł się na skraju urwiska, pod którym kłębiły się fale uderzające z rykiem o skały, przystanął i w zadumie patrzył w dal ponad wodą. Wreszcie z westchnieniem rezygnacji wyciągnął z kieszeni woreczek tytoniu do żucia. Przypomniał sobie, jak Katherine powiedziała mu kiedyś, że pewnego dnia znajdzie dla siebie kobietę, która każe mu zapomnieć o tytoniu do żucia.

Kręcąc głową z podziwu, Adrian pomyślał, jak nieskończenie mądry jest Bóg, dając nam czasami nie to, czego chcemy, tylko to, czego potrzebujemy. Następnie zrobił krok do tyłu, zamachnął się szeroko i wyrzucił woreczek. Patrzył, jak leci w powietrzu, a potem znika w błękitnych wodach Pacyfiku.

Postać jeszcze chwilę z rękami w kieszeniach, lecz w końcu wrócił na ścieżkę i dokończył spacer.

Nie uszedł daleko, kiedy usłyszał coś za plecami. Obejrzał się, pewien, że ujrzy Izraela. Zamiast psa zobaczył jednak Ainsley.

- To nie jest miejsce dla ciebie - powiedział. - Tu jest niebezpiecznie. Wracaj do domu.

Stali naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem, jakby mieli odbyć coś w rodzaju pojedynku.

Ainsley wyraźnie nie zamierzała się ruszyć. Adrian, nie mniej uparty, także nawet nie drgnął.

- Wracaj do domu - powtórzył, po czym odwrócił się, by pójść swoją drogą. Po paru minutach jednak zwyciężyła w nim ciekawość. Przystanął i obejrzał się.

Ainsley także się zatrzymała.

Adrian poczuł, jak wzbiera w nim złość. Niezależnie od tego, jak bardzo przypominała swoją matkę, musiała się nauczyć posłuszeństwa.

- Nie będę ci więcej powtarzał - ostrzegł. - Wracaj do domu. Znow ruszył przed siebie.

Po pewnym czasie powtórzyło się to samo: ciekawość kazała mu stanąć i się obejrzeć. Tak, jak się spodziewał, Ainsley szła za nim.

Miała na sobie niebieską sukienkę i granatowy aksamitny płaszczyk, spod którego wystawały wysoko sznurowane buciki. Jednak najbardziej przykuwała uwagę jej twarz, jednocześnie dziecięca i dojrzała.

Ainsley była dziwną istotą o intensywnie niebieskich oczach i milczącym sposobie bycia. Przypominała mu jego samego, kiedy był małym chłopcem.

- Zdawało mi się, że kazałem ci wracać do domu - rzekł cierpko. - Czy ty nigdy nie słuchasz? - Znow ruszył ścieżką, łagodnie skręcającą ku plaży.

_ Chcę iść z tobą - odezwał się za nim cichy głosik. Adrian odwrócił się powoli i przez długą chwilę stał naprzeciw dziewczynki o twarzyczce cherubina, z wielkimi niebieskimi oczyma.

_ No to chodź - odezwał się w końcu, ruszając szybkim krokiem. I nagle poczuł dotyk ciepłej dziecinniej rączki w swojej dłoni.

Przystanął, spoglądając z góry na Ainsley, a potem uściśnął lekko jej drobną rączkę i razem poszli dalej.

Epilog

Fletcher siedział na krześle, wyprostowany, nieruchomy i poważny jak dorosły mężczyzna. Barrie po raz

chyba szesnasty przebierała lalkę. Ainsley robiła to co zwykle, kiedy Adrian siedział w swoim ulubionym fotelu - wspinała się po nim, syjąc okruchy ciastek do kieszeni jego koszuli, obdarowując go mokrymi pocałunkami i prosząc, żeby pośpiewał Dianie. Jediną znaną sobie piosenkę, która według niego nadawała się dla lalki, zdążył już odśpiewać pięć razy.

Modlił się o cud, kiedy cud się zdarzył.

Rozległ się krzyk noworodka. Wszyscy czworo jednocześnie poderwali się na nogi i pognali do holu. U szczytu schodów pojawiła się MoHy.

- No? Na co czekacie? Chcecie zobaczyć swojego nowego braciszka czy nie?

Dzieci z piskiem rzuciły się po schodach. Adrian podążył za nimi, przepuszczając ich przodem w drzwiach, przez moment niepewny, jak się ma zachować.

- Niech pan wejdzie - zachęciła MoHy, popychając go lekko. - Noworodek to tylko mniejsza wersja tych małych ludzi, których się pan tak bał. Nie ugryzie pana - dodała ze śmiechem.

Adrian wszedł do pokoju i zatrzymał się w progu. Patrzył na Maggie usadowioną wysoko na poduszkach, z nowo narodzonym synem przy piersi. Fletcher, Barrie i Ainsley obsiedli ją jak pisklęta kwokę.

Maggie podniosła wzrok i widząc wyraz zagubienia w jego oczach, z uśmiechem poklepała łóżko obok siebie. Adrianowi wystarczyły trzy kroki, żeby znaleźć się przy niej. Najpierw ogarnął wzrokiem trzy młode twarzyczki, potem spojrział na żonę, a na końcu na swojego nowo narodzonego syna. Patrzył na swoją rodzinę, czując ciepło w sercu i niezmierną pokorę w duszy.

_ Więc to jest miłość - szepnął, zagarniając w ramiona całą piątkę.